Dodatek do Nr. 48 pisma tygodniowego Bluszcz z 1886 r.

OSTATNI BATORY

(AZ UTOLSÓ BÁTORI)

POWIEŚĆ

przez

MIKOŁAJA JOSIKA

UWIEŃCZONA PRZEZ AKADEMIĄ NAUK W PESZCIE

przełożył z węgierskiego A. L.

OSTATNI BATORY

POWIEŚĆ

przez

Mikołaja Josika

UWIEŃCZONA PRZEZ AKADEMIĄ NAUK W PESZCIE.

WSTĘPNE SŁOWO OD AUTORA.

Czasy Gabryela Batorego stanowią w rocznikach węgierskich epokę pełną wrzawy wojennej. Duch awanturniczy znajduje sobie wśród ciągłych przewrotów politycznych szerokie pola działania. Miłość przybiera cechy gwałtownych namiętności, ambicya zdobywa potęgę. W gruncie rzeczy działo się tam może to samo, co i dziś się dzieje, ale charakter epoki kolorował to wszystko pełnemi romantyzmu barwami. Bieg wypadków nie był to cichy, po równinie z łagodnym szumem płynący strumień; warunki owoczesnego bytu pchały jego fale ku szczytom wyniosłych gór, tam on pasował się z przeszkodami, tam szalał, tam się stroił w perły i złota odblaski. Czy kto jest szlachetny czy nikczemny, podniosły czy nędzny— wszystko z głębi jego piersi wypływa. Szatan wstępuje w serce zazdrosne, gnuśność gnieździ się w obojętnem;

śmiałość—jeżeli pozbawiona stanowczości, tworzy szydercę, boska potęga i siła poświęcenia żyje w sercu szlachetnem. Ten-to świat wewnętrzny uczuć—cierpień i miłości odźwierciadla się w powieści niniejszej, nie przez ułudne obrazy wymyślonych położeń, ale w niekłamanej prawdzie zdarzeń życiowych, tak jak się rozwijały w rzeczywistości i ukazuje, jak to człowiek szlachetny, mimo klęsk i rozczarowań szlachetnym pozostaje, jak mimo ponęty wdzięków, mimo otaczających go ze wszech stron ułud i pokus, zwycięża pod tarczą swego anioła i ideał swój osięga.

Powieść ta dalej dowodzi, jak najszlachetniejsze, najwybitniejsze zdolności, marnieją pod wpływem złego kierunki, jak drugostronnie miłość ziemi swojej i cnota z siłą ducha złączona, może dokonać cudów, jak wreszcie prawdziwie cnotliwy mąż góruje nad wypadkami i próbami losu, nie zniżając się nigdy przed dziką i nieszlachetną naturą człowieka, który tylko materyalną, cielesną moc ma za sobą.

Czy powieść niniejsza okazała to wszystko, czy wierną pozostała charakterowi opisywanej epoki, czy ściśle historycznie przedstawiła działające postaci, o ile to w powieści jest możebnem—o tem autorowi sądzić nie wolno. To tylko wolno mu powiedzieć, że nie zbywało mu ani, na dobrych chęciach, ani dobrych celach.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ I.

Toga i Sznur.

Byłem dziki, dzikszy niźli potok górski
I wolny—lecz niestety tylko pożądliwy!
Vörösmarty 1).

W końcu Czerwca 1609 r., mąż szanownej postaci wstępował zwolna po wązkich schodach, wiodących w głąb' ciemnego korytarza szkolnego gmachu w Koloswarze (Klausenburgu). Postać ta zawróciwszy na lewo, mechanicznie kieruje się ku zamazanym drzwiom, które widzieć się dają w słabem oświeceniu, udzielanem przez niewielkie okno w końcu korytarza. Mąż, który ku nim dąży okryty jest w długi, do kostek dochodzący płaszcz, brodę ma rzadką, a na głowie jakąś szczególną mięszaninę czapsza bez ronda, to wszystko przykrywa szeroka kapa. Jakkolwiek postać ta dziwną nam się wydaje, lecz w epoce naszego opowiadania, każdy obywatel Kolosvaru, każdy mieszczanin i wszyscy żacy z daleka by poznali czcigodnego pana Demetera Kapornai, lub jak sam się zazwyczaj ówczesną modą podpisywał: Dewmewtewra Kapornai.

Kiedy ten pracowity i punktualny nauczyciel Koloswarskiej szkoły o drugiej godzinie po południu wstępował na schody wiodące go do sali szkolnej, dziwny hałas doszedł jego uszu. Słyszał dzikie świsty i głośny śmiech, krzyk i gwar, jak na jarmarku, wśród którego nie było można zrozumieć ani słowa.

1) Vörösmarty. *Dél sziget* (Wyspa południowa). *(Przyp. Aut.)*.

Pan profesor stanął, głowę pochylił i twarz jego to żółkła, to czerwieniała na przemian.—Tak! tak! mruczał do siebie — to głos Dimona.—Gdy dalej parę kroków postąpił, ucichnął nagle gwar, i słyszeć się dało, jak gdyby ktoś wygłaszał lekcye, to głos podnosząc, to go zniżając.

Wtedy to p. Kapornai nagłem poruszeniem klamki drzwi otworzył i wołając:—O, male feriati, pueri!—spłoszył całą gromadę chłopców, otaczających katedrę. W oka mgnieniu tłum małoletnich synów Muz zasiadł na drewnianych ławach, uciekłszy od katedry, tylko ten, którego Kapornai nazwał Dimonem, inicyator wszelkich nieporządków w szkole, stał na tem szanownym miejscu, z którego zazwyczaj Kapornai wykładał humaniora. Należy wiedzieć, że imci pan Kapornai obok innych chwalebnych przymiotów, posiadał ten jeszcze, że był bardzo dobrym gospodarzem i bardzo oszczędnym człowiekiem. Pozostawił więc w szkole swą starą długą opończę czyli togę, poplamioną i połataną, którą zazwyczaj kładł przed lekcyą na siebie i w tem odzieniu ukazywał się przed zebraną swą klasą.

Tę-to czcigodną suknię włożył na siebie nie szanujący nic świętego Dimon, i w tej, o łokieć za długiej dla niego szacie, miał przemowę do otaczających go towarzyszów.

— Ruszaj ztąd, niedobry chłopaku! były to pierwsze słowa, które w gniewnem oburzeniu mógł wyrzec czcigodny Kapornai. Chłopcy, przestraszone tym wspaniałym głosem, stały się naraz rzeszą tak cichą, jak żaby w stawie ukryte pod kamieniem; czy się nie wykrzywiali za plecami pana profesora to już było wiadomem im i Bogu. Tylko nieszczęsny Dimon znajdujący się wprost groźnego wzroku szanownego p. Kapornai, został za karę odesłanym na trzecią, albo inaczej mówiąc, oślą ławkę.

Teraz p. profesor zdawał się nad czemś namyślać. Wreszcie, surowo spoglądając na uczniów, zajął miejsce na katedrze, i rzekł głosem pełnym godności:

— O male feriatae coripheae! Dimonie, nie ujmę ja z twego powodu poświęconego nauce czasu, ale wiedz o tem zawczasu, że po ukończeniu lekcyi pójdziesz do karceresu!

— Nie dam sobie nic złego uczynić — odparł Dimon wyniośle.

Dimon był sierotą, i najlepszym uczniem w całej klasie, a zarazem najniesforniejszym i najśmielszym — najobrotniejszym. Nikt tak chytrze, jak on, nie potrafił się z rozmaitych przygód

wykręcać. Był to chłopak zawadjaka, zuchwały i ryzykowny, i mimo to, że uczył się bardzo dobrze, uważać go było można za prawdziwą zarazę szkoły. Miał już lat 17, co w owym czasie w wyższych już klasach nie stanowiło rzadkości.

Pochodzenie jego było nieznane. Kapornai wiedział tylko, że kilka lat temu przybyła do Kolosvaru jego matka piękna, lecz schorowana kobieta i oddała mu syna do szkoły. Po kilku tygodniach umarła, Kapornai przyjął chłopca do siebie na wikt i mieszkanie i zaopatrywał jego potrzeby, czerpiąc z małej schedy, jaka Dimonowi po matce została. Należy nadto pamiętać, że był on właśnie w tym wieku, kiedy wszystkie zdolności najsilniej się przejawiają, najsilniej wybijają się na wierzch. Między innemi jego zaletami mieściło się i to, że prześlicznie pisał, ozdabiając ówczesną modą pismo swoje kolorowemi rysunkami i złoconemi floresami. Drugą jego umiejętnością była zdolność naśladowania ruchów i głosu, fiziognomii znanych mu osób, czem umiał pobudzać ludzi do śmiechu, lecz ośmieszonych drażniło to nie pomału, gdy się ujrzeli przedstawionemi w karykaturze. W piersi jego młodej biło przytem wiele niedobrych uczuć, był zuchwały, lubił szkodzić innym i zemstę krył w sercu głęboko, maskując ją szyderstwem.

W tej chwili obraził on wielce opiekuna i nauczyciela swego.

— Taceas asine! — odrzekł Kapornai na zuchwałą odpowiedź Dimona i spojrzawszy w listę uczniów, zawołał gromko: Łukasz Pap! Na to wezwanie wstał z ostatniej już ławki wysoki, blady Wołoch, w czarnem ubraniu i roztworzywszy książkę, położył ją przed sobą, aby chwytać od czasu do czasu ustęp, jaki i czekał na pytanie.

— Co wiesz o Andrzeju Batorym? — zapytał p. Kapornai.

— Andrzej Batory — szybko począł mówić Łukasz Pap— potomek sławnego Oposa Batorego, który już w XI w. za króla Salomona i Gezy szczęśliwie wojował z królem czeskim Wratysławem, był synem....

— Czyim synem? — przerwał nauczyciel.

— Synem Andrzeja Batorego, brata znakomitego Króla Polskiego, Stefana,—recytował chłopak, lecz professor przerwał mu nagle i wskazując na obok siedzącego malca, rzekł:—Dalej...

W ten sposób chłopcy wyrecytowali przed nauczycielem

swoim całą historyą prześwietnego rodu książąt Siedmiogrodzkich, historyą Batorych, przyczem w miarę, jak udawało się młodemu mówcy wydawać tę lekcyą historyi ojczystej bez jąkań się i przestanków, lub patrząc na profesora przelękniętemi oczyma, bąkając coś pod nosem. Kapornai odzywał się z powagą:— Bene! praestanter... lub gromił przelękłego historyka od osłów i hebesów. Gniew jego wzrastał wtedy szczególniej, gdy Dimon podnosząc się nagle ze swej oślej ławki, stawał wyprostowany i dźwięcznym, śmiałym głosem, bez zająknięcia się i błędu wypowiadał jakąś część lekcyi, której kolega jego wykrztusić nie mógł.

Kapornai wydał mu nieraz surowy rozkaz, aby był cicho, ale Dimon nie lubił biernej roli, na jaką został skazany i jeżeli nie mówił głośno, to cicho podpowiadał kolegom, lub nagle z piekielną ironią w spojrzeniu zwracał się do szanownego Kapornai z zapytaniem, kryjącem w głębi taką zuchwałą krytykę, jakiegoś historycznego faktu, lub dostojnej osoby, że nauczyciel jak on to już naprzód wiedział, nie mógł mu jak się należy odpowiedzieć. Zdawało się, że czuł osobliwą przyjemność w drażnieniu swego starego opiekuna, który nieraz aż pąsowiał z gniewu i nakoniec stracił cały zapas posiadanej cierpliwości.

— Zbyt wiele pozwalasz sobie zuchwalcze! — krzyknął na niespokojnego chłopca. — Będziesz też za to ukarany tak, jak jeszcze nigdy.

Dimon nie poprosił o przebaczenie i tak szyderczym wzrokiem spoglądał na gromiącego go nauczyciela, że inni chłopcy, wszystko młodsi od niego, drżeli nad losem, jaki go spotkać musiał i razem podziwiali męztwo i odwagę Dimona, którą wyrastał im w oczach na bohatera. Kapornai czuł, że tak jest, i wściekły gniew burzył mu się w sercu.—Poczekaj ty nicponiu... mówił w duszy, przyrzekając sobie, że słabym nie będzie i po końcu lekcyi ukarze zuchwalca, w czem też nie zmienił zdania, gdy bijąca godzina czwarta zapowiedziała koniec lekcyi.

— No... rzekł, zestępując z katedry—teraz nadeszła chwila wymiaru sprawiedliwości...

Czy w piersiach Dimona nie uderzyło silniej serce? To przecież nie ulegało wątpliwości, że wszyscy jego towarzysze zadrżeli, ogarnięci niespokojnością.

— Wstawaj z miejsca niedobry, niekarny chłopcze — mówił dalej Kapornai, zwracając się do Dimona. — Darowałbym ci

może obrazę własną, ale psujesz towarzyszy swoich, zatruwasz młode ich dusze jadem swego zuchwalstwa.

Dimon patrzył trochę niespokojnie ku drzwiom i oknu, jak gdyby szukał sobie drogi, którą mógłby salwować osobę swoją. Ale z oślej ławki nie było blizko ani tu, ani tam, a wezwany przez Kapornai profos, czyli kat szkolny, stał już wyprostowany, jak przepowiednia ciężkiego końca wesołej komedyi, którą młody zuchwalec odgrywał przed towarzyszami, bladymi teraz z przerażenia.—Wstawaj!—powtórzył Karponai i Dimon usłuchał go teraz. Wstał, ale nie po to, aby się wydostać na otwartą przestrzeń szkolnej sali. Wskoczył na ławkę, szukając sobie oparcia dla pleców, to jest muru ściany. Blady był, ale oczy mu się świeciły.

— Słuchaj — rzekł Kapornai. — Zuchwalstwo twoje nic ci nie pomoże, bo siła nie jest po twojej stronie. Żywy, czy umarły dostaniesz się do karceresu, z którego niezaraz wyjrzysz na świat Boży, jeżeli upór zwiększy twoją poprzednią winę. Wzywam cię po raz ostatni, chodź mi tu zaraz...

Dimon ani drgnął, ale był bledszy coraz i Kapornai trząsł się z gniewu.

— Wszystka moja cierpliwość już się wyczerpała—zakrzyczał i obracając się w stronę profosa, krzyknął:—Bierz go Kanya i wiąż go...

— Mnie wiązać, mnie... — zawołał dziko, milczący dotąd chłopak—mnie brać!... Towarzysze! czyż pozwolicie na to?

Młoda rzesza uczuła się zelektryzowaną. Dimon był zawsze dobrym kolegą i czyż go mieli opuścić w nieszczęściu? Dzieciaki, bo po większej części były to dzieciaki, uczuły coś poruszającego im się w piersi i uderzającego w sercach. Spoglądali po sobie, trzeba przyznać, że nieśmiało, ale to jeden, to drugi posunął się krokiem dalej i wkrótce cała gromadka znalazła się przed ławką Dimona, tworząc jak gdyby wał obronny. Chcąc go brać, trzeba było pierwej ich odtrącić, a teraz niejeden już podniósł głowę i patrzył śmiało; choć kilku było zmieszanych i przestraszonych, inni widocznie postanowili bronić towarzysza i było coś heroicznego w tem postanowieniu malców, a Kapornai, który to czuł, rozgorzał tym większym gniewem na twórcę tej rewolucyi. — Bierz go, Kanya! — krzyknął. — Bierz i wiąż... Masz łyko...

Dimon zaśmiał się, chłopcom serca biły, a Kanya, vulgo

kociak, jak go zwali chłopcy, posunął się naprzód, a plan bitwy jaki sobie ułożył, był prawdziwie koci. Podsunął się jakoś bokiem ku zgromadzonym obrońcom Dimona, i wiedząc, gdzie może być słabe miejsce tej żywej fortecy, przemknął się między dwoma młodszemi i tchórzliwie, zakłopotanie wyglądającemi chłopcami, a Wołoch Pap, lizus i donosiciel, któremu koledzy przyznali zaszczyt długich uszów, czyli szpiega, sam mu miejsce zrobił przyciskając się niby ze strachu do innych i wykonawca sprawiedliwości wyciągnął swe długie, chude ręce. Można się było domyśleć, że postanowił Dimona porwać za nogi i w ten sposób przewrócić, ale koncept był źle obrachowany, bo zmiarkował to winowajca i jednym potężnym susem z ławki zeskoczył.

Dimon był barczysty i silnie zbudowany, czarny wąsik już mu się sypał nad górną wargą ust, które trzeba dodać, były wcale niebrzydkie i jakby prawdziwie koralowe. Rysy jego nie były regularne, ani delikatne, lecz nie pozbawione szlachetności; oczy miał duże i błyszczące, nos może za wielki, lecz greckiego kształtu, przytem był na swój wiek wysoki i jakaś bystra śmiałość patrzyła mu z oczu, z których wyglądał też spryt nielada i pojętność. Zrozumiał on podstęp przeciwnika i od razu ułożył sobie, jak się z nim rozprawi; ponieważ wierzył w przysłowie, że śmiały wygrywa, nie czekał na atak, ale go uprzedził. Jak ryś z wysokiego drzewa skacze nagle na grzbiet nie domyślającej się tego sarny, tak Dimon równemi nogami skoczył na nieszczęsnego Kanya, który przewrócił się na ziemię, padając jak długi i scena stała się naraz komiczną. Wszystkie chłopaki wybuchnęły też głośnym i wesołym śmiechem i rozsuwając się na boki, zrobili miejsce zwycięzcy, który postawił nogę na piersi powalonego.
—Zostawił bym ci piękną pamiątkę po sobie—zawołał ustami drżącemi od namiętnego gniewu — zdeptałbym cię jak robaka, złamał ci piersi—ale nie chcę tego...

Zanim Kapornai mógł oprzytomnieć i przyjść do siebie w tem niespodziewanie wytworzonem położeniu, zuchwały chłopiec szybciej od błyskawicy ku oknu skoczył, i roztworzywszy je, stanął na gzymsie, trzymając się lewą ręką jednego ze skrzydeł okna. Z oczu jego patrzyła dzikość i stanowczość, a w ręku zabłysnął długi nóż, który z zanadrza wyjął.

— Per amorem Dei et patria!—wykrzyknął Kapornai, przerażony niebezpieczeństwem Dimona. Okno szkoły było umiesz-

czone wysoko, znajdowało się na wiele sążni po nad ziemią, a na dole był bruk kamienny. Życie Dimona wisiało na włosku.

— Zejdź ztamtąd czarcie! — wołał przerażonym i gniewnym głosem nauczyciel.

— Nie zejdę — odpowiedział Dimon, wysadzając jedną nogę w powietrze — dopóki nie otrzymam przebaczenia, domine humanissime! Na karcer, głód, pragnienie, na co się panu spodoba, zgodzę się, ale tylko jedno sobie zastrzegam—bić się nie pozwolę... i znów zuchwale jedną tylko nogą trzymał się jeszcze stałego gruntu gzymsu, a połowa ciała była już w powietrzu i Kapornai czuł, że włosy na głowie mu powstały.

— Stój, szatańskie dziecko! — krzyczał — Kanya! trzymaj go!... nie puszczaj...

Wezwany poruszył się nieśmiało, leniwie, ale cała gromada poczęła krzyczeć:

— Nie chodź tam! nie tykaj go... zeskoczy zaraz! Nie da się tknąć....

— Pierwszy, co się do mnie zbliży—rzekł Dimon wyniośle—zginie od mego noża, jak mi Dimon na imię i jak od trzech lat jestem primus eminens! Towarzysze, bracia, krwi moja rodna! czyż pozwolicie, aby wasz primus eminens był tak znieważany? To też wam przysięgam, że śmierć jest mi milszą od wstydu, a wiem, coby mnie czekało, gdybym się zdał na łaskę. Związano by mnie i zhańbiono!

Kapornai miał szum w uszach i krwawe błyski przed oczyma. Ten szaleniec—myślał z rozpaczą—gotów cóś strasznego uczynić: albo nożem kogo pchnie, albo z okna zeskoczy i zabije się na kamieniach.

Zadrżał na tę myśl ostatnią, która przedstawiła mu straszny obraz roztrzaskanej głowy Dimona. Ach! nie może on przecież stać tak długo na gzymsie, wyniesionym o trzy sążnie po nad ziemią. Choćby nie skoczył, a zdolnym jest to uczynić, to mur może się oberwać. A przytem jedno poruszenie... Straszny obraz skrwawionego ciała na bruku, znów mu stanął przed oczyma.

— Dobrze! — jęknął raczej, niż wypowiedział, jakkolwiek silił się na powagę — ostatni raz ci przebaczam. Schowaj nóż i schodź z okna. Ale przyrzecz uroczyście, że nie będziesz czynił więcej nieporządków w klasie.

— Nie robiłem ich dotąd — rzekł Dimon wyniośle. — Czasem lubiłem się zabawić, gdy było nudno w szkole.

— Nie zaprzeczaj słowom moim, zły chłopcze... Przyrzecz czego wymagam od ciebie i co jest uczciwem z mej strony żądaniem. Psujesz innych, dzieci młodsze od ciebie...

— Nie, nie psuję... Nie daję im tylko być zmokłemi kurami...

— Trzymaj się framugi! — zawołał Kapornai z nagłym przestrachem, bo znów Dimon zaczął probować gimnastyki wiszenia w powietrzu. — Trzymaj się framugi!!

— Przebaczenie zupełne, domine humanissime, albo skaczę.

— Stój! — zawołał biedny professor takim głosem, jak gdyby zuchwały chłopak już się ciskał z góry na dół. — Dobrze, na ten ostatni i jedyny raz ci przebaczam, — dodał wysilając się na sztuczną powagę — schodź ztamtąd zaraz...

— Czy przebaczasz naprawdę, domine clarissime?...

— Naprawdę, schodź prędzej...

— A jak zejdę, to co?

— Ach! lichy chłopcze, czyż ci nie dość słów moich! — wykrzyknął Kapornai.

— Skaczę, jeśli nie odpowiesz mi wyraźnie domine humanissime — rzekł Dimon chłodno. Czuł się już teraz panem położenia i puścił znów framugę okna.

— Przyrzekam ci, że nie tknie cię ręka niczyja, — rzekł Kapornai pełen żalu, bo chłopak wydał mu się w tej chwili złym naprawdę. Czuł, że rachuje na położenie, które sobie zuchwale wytworzył.

— Dziękuję, domine clarissime! Teraz wierzę. Ale naprzód wyjdźcie ze szkoły wy wszyscy — ty Kanya pierwszy.

Kapornai postanowił należeć do tych „wszystkich;“ pewno Dimon chciał mu podziękować, gdy będą sami, otóż pragnął tego uniknąć. Powiedział sobie, że to powinno być karą krnąbrnego chłopca. — Wie on dobrze, w jakiem położeniu mnie postawił i jeżeli ma sumienie, niech go to dręczy — rzekł sobie i wyszedł na czele gromady żaków, która na pożegnanie całowała mu ręce. I oni czuli, że biedny Kapornai został pokrzywdzonym.

Wtedy dopiero Dimon zeszedł z gzymsu okna, gdy w sali nie było już nikogo, gdy ucichły nawet w korytarzu odgłosy kroków. Chwilę jeszcze kręcił się po klasie wesoło, można było powiedzieć że oddychał i wypoczywał po przebytej walce, ale

potem stanął na środku sali chmurny i zamyślony. — Psie życie... mruknął — czego ja się tu nauczę?...

Skierował się ku drzwiom, ale przed ujęciem klamki zatrzymał się i znów do okna powrócił. Patrzył na niebo i szeroki przestwór widnokręgu, który mu się przed oczyma otwierał i wyglądał w tej chwili to bardzo posępnie, to bardzo wesoło. W końcu to ostatnie uczucie widocznie w nim przeważyło, bo przegarnął sobie włosy z pewną fantazyą, a za chwilę błysnęło mu w oczach coś, jak gdy zamierzał jakiś nowy figiel wypłatać. Obrócił się ku drzwiom, gdzie obok wisiała na gwoździu owa szara opończa Kapornai, która stała się dziś mimowolną przyczyną awantury.

Dimon spojrzał na nią z uśmiechem szyderczym, ale nie bardzo złym, i więcej drwiącym. — Domine clarissime! — szepnął i ukłonił się starej sukni swego opiekuna — powiesz sobie pewno, że mnie porwał mój kamrat, dyabeł! Tamta zgraja głuptasów dopiero będzie otwierać żółte dzióbki... — dodał i wreszcie po niejakim rozmyśle, stanowczym ruchem skoczył znów na okno; poczem spuścił się powoli na dół, trzymając się tylko kamiennego gzymsu. Okno wychodziło na bezludne podwórze i nikt nie był świadkiem tego śmiałego czynu. Dosięgnął w ten sposób nogami ziemi, trzymając się wciąż gzymsu, a należy nam dodać, że Dimon obmyślając ten swój śmiały plan, nie zastanowiał się szczegółowo nad przedsięwzięciem swojem i jego następnymi skutkami. Rzucił się w przepaść zuchwale. Gdy był już blizki gruntu, z zadziwiającą odwagą skoczył na podwórzec. Skok był prędki i krępe ciało chłopca stwierdziło prawo ciążenia Newtona. Ale Dimon ani na chwilę nie stracił przytomności umysłu.

* * *

Nazajutrz opowiadano sobie w Kolosvarze dziwną historyą, a mianowicie, że przeszłej nocy w sypialni p. Kapornaja zjawił się nagle jakiś człowiek pokryty skórą zwierzęcą i zamaskowany, który stanowczym, jakby podziemnym głosem, zażądał od niego pewnej summy pieniędzy, grożąc mu, że zabije jego i siebie, jeżeli żądaniu jego nie stanie się zadość. Mnóstwo ludzi utrzymywało, że to był zły duch, skoro miał na sobie skórę wilczą,

ale sam Kapornai niechętnie o tym wypadku wspominał, choć nie mógł się wstrzymać, aby komuś z przyjaciół nie zwierzyć się, i w ten to sposób tajemnica zapewne zmieniona co do akcesoryj, dostała się do wiadomości publicznej, jak wszystkie tajemnice, o których wie więcej, niż jedna osoba.

Dla czego oszczędny ten człowiek przystał tak łatwo na rabunek i nie stawiał mu oporu — dla czego nie krzyczał i nie oddał złodzieja w ręce pachołków miejskich? rozmaicie objaśniano to w Kolosvarze. Jedni mówili, że to wszystko bajka lub halucynacya; inni sądzili, że Kapornai stchórzył, a przez wzgląd na swoją powagę nauczyciela nie chciał się do tego przyznać; my przecież możemy zapewnić, że zupełnie inną była przyczyną, dla której Kapornai w cichości sprawę tę utrzymał, gdyż nocnym gościem nauczyciela był Dimon, który w szalony i zuchwały jak zawsze sposób przyszedł odebrać z rąk swego opiekuna spadek, jaki mu się został po matce. Prócz trochy pieniędzy, znajdowała się u niego szkatułka z zapieczętowanem pismem w środku, a które według woli matki powinno się było dostać synowi, kiedy dwudziestego roku dobiegnie. To tajemnicze pismo skłoniło głównie Dimona do nocnej wyprawy. Bał się okazać opiekunowi w inny sposób, aby według rozporządzenia matki nie chciał zatrzymać go w szkołach do lat dwudziestu. Że nocnym gościem profesora Kapornai był Dimon, o tem mieszkańcy Kolosvaru dowiedzieli się przecież nierychło, gdyż po śmiałym swym czynie zniknął on z miasta i możnaby było sądzić, że wprost ze szkół porwały go jakie duchy, gdyby nie gospodarz pewnego zajazdu, gdzie Dimon jadł wieczerzę, i miał spać w najętej na ten cel izdebce, co przecież było wątpliwą rzeczą, skoro przypuścić trzeba, że odwiedziny u starego opiekuna musiały mu zabrać coś czasu, a wstać musiał o świcie szarym, prędzej niż otworzono bramę gospody, bo wyniósł się z niej przez okno, z którego podróż nadpowietrzna łatwiejszą była jednak niż poprzednia, gdyż zajmowana przez niego izba była położona na dole. Tą drogą też zapewne wyszedł na swą wyprawę nocną, i tą drogą do gospody wrócił. Dodać należy, że zapłata za nocleg i to co zjadł, znajdowała się na stole.

ROZDZIAŁ II.

Uczony i awanturnik.

Imię, które na chrzcie mi dano, jest fałszywem.
Szekspir.

W kilka dni po opisanych wypadkach, młody wędrowiec dążył przez Barczasag do poblizkiego Köhalom (Kamienne wzgórze). Miało się ku wieczorowi. Słońce zachodziło czerwieniąc się ostatniemi promieniami. Na stokach gór dęby usypiały, sącząc krople rosy z liści. Cichy dźwięk dzwonu wiejskiego kościoła słychać było w oddali. Wędrowiec nasz był odziany w płaszcz podróżny, na plecach miał dość duży tłomoczek, ale stąpał wesoło. Młody był i dobrze zbudowany, więc mógł dźwigać ciężar większy nawet bez zmęczenia się i szkody na zdrowiu.

A znajdował się on w tej chwili pod cieniem lipy, i położywszy tłomoczek na ziemi, odpoczywał. Patrząc na góry, otoczone różową mgłą zachodu, uśmiechał się do siebie, jakby roił, a twarz jego wyrażała stanowczość i zadowolenie.

— Uszedłem szczęśliwie, — rzekł sam do siebie. — Zobaczmy, jakie są moje zasoby pieniężne i prowizye... — dodał, wyjmując małą torebkę z kieszeni, i począł ją przeglądać. — Kawałek czarnego chleba, to nie wiele! — mówił śmiejąc się, — a do tego 3 dukaty otrzymane od szanownego Nadany.

Nagle twarz jego stała się ponurą: — Tu jest węzeł tajemnicy! — zawołał — wszystko co pozostało mi po matce! Ach! w mózgu mi wre! Pocom się na świat ten rodził? Wiem teraz, czemu krew mi uderzała do głowy, ilekroć wymawiano przy mnie imię mego ojca i brata! Boże! niema na świecie takiego króla, którego bym synem chciał zostać...

Twarz wędrowca przybrała wyraz goryczy, a oczy dziko i bezmyślnie spoglądały na siatkę, wśród której stary pająk siedział w krzaku agrestowym.

— Po co dostał się tu między liście ten potwór? — zawołał

namiętnie. — Zniszczę go i wyzwolę krzew z jego obrzydliwej tkaniny!

Wyjął z zanadrza nóż i pochylił się ku gałęziom dzikiego agrestu, gdzie między liśćmi pająk rozpiął okrągłą, symetryczną rozokalającą się siatkę szarą, wyglądającą jak plama śród jasno-zielonych gałązek. Nagle wstał, twarz jego nabrała szatańskiego wyrazu, i cofnął nóż. — Mnie — mówił głosem bezdźwięcznym, — grzech wydał na świat! Szatan więc dał mi życie, a Bóg mu na to pozwolił! I ja, ja mam zabijać pająka truciciela? Nie, nie powinienem cię prześladować, bo i ty także jesteś dziełem szatana. A nie czyni on nic naprożno. Dla czegoż liście te nie mają zostać pokryte czarną, brzydką pajęczyną, czyż one jedne pod słońcem będą skalane i oszpecone? Ach! dla czego coś nie zamazało listu, który mi matka zostawiła? Nie bez przyczyny przecież taki los został mi zgotowany! Tak, tak! ty nędzna zżółkła kartko, zapisana wyrazami, które łzy moczyły, będziesz ty służyć mi jak żurawie Ibikusa — odkryjesz gdzie i jak mam się mścić mego wstydu? Może niejeden byłby rad temu, co mnie gryzącą wściekłość w piersi wlewa. Tego co wiem, już zapomnieć nie mogę nigdy i duszę moją napełnia razem duma i gniew. Ale się zemszczę! O! dlaczegożem nie umarł pierwej, nim poznałem imię mego ojca!

Wędrowiec zamilkł, twarz jego pobladła, pierś podnosiła się wzburzona.

— Nie będę tu bawił dłużej — rzekł sobie po długiem milczeniu — wrócę do obozu myśliwców. Mam jeszcze coś do powiedzenia Nadany'emu.

Ruszył w drogę. Po kwadransie usłyszał za sobą tętent konia; obrócił się i ujrzał jeźdzca, który znajdował się jeszcze w pewnej odległości od niego i wędrowiec patrząc jak się przybliżał, usmiechnął się mimowoli.

— Dalibóg! tej pary koni nie oddałbym za żadnego rumaka na ziemi, — rzekł uderzając się po nogach. — Jeżdżę na nich szybciej niż ten, co się tam wlecze.

Kiedy ów pieszy śmiał się, jeździec tamten zdziwił się szybkim krokiem pieszego, którego nie każdy koń mógł dognać.

Początkowo wędrowiec podawał się jeźdźcowi mało godnym uwagi. Później jednak przypatrzył mu się bliżej, i pod jego nędzną odzieżą, ujrzał twarz inteligentną i niepozbawioną szlachetności.

Spiąwszy konia ostrogami popędził szybko i w mgnieniu oka podróżni zrównali się ze sobą.

Wtedy wędrowiec przystanął i śmiałym wzrokiem obejrzał się, mierząc jeźdźca i konia od stóp do głów. Potem, wzruszywszy ramionami poszedł dalej.

— Stój, chłopcze! — zawołał jeździec. — Kto jesteś?

Ton był rozkazujący i było w nim coś, co zmusza do posłuszeństwa.

Wędrowiec stanął i położył tłómoczek na ziemi. Nie mówiąc nic, pogłaskał konia, lecz jeździec pochwą miecza jego rękę odepchnął, dając mu do poznania, że jest między nimi przedział. Mimo to wędrowiec miał w swojej twarzy coś wyniosłego i niezwyczajnego, co skłoniło jeźdźca, że długo patrzał na niego.

A i on był godnym tego, aby oczy ludzkie spoczęły na nim i przyjrzały się prawdziwie męzkiej postawie i rosłej, kształtnej kibici, pięknej twarzy. Była ona młodą i imponującą; oko patrzyło przenikliwie i mądrze; broda była czarna, bujna, włos krótko przycięty, wijący się z lekka, kruczej także barwy. Na ramionach miał rycerz płaszcz ciemno-purpurowy, futrem wydrzem okładany. Piękność i regularność rysów, które zdawały się być mieszaniną greckiego z rzymskim typu, uderzyły wędrowca.—Twarz rycerza dyszała też jakąś królewskością; była w niej pewność siebie i dobroć; była w niej wesołość młodych lat, pełnych siły i niezmąconych żadnemi troskami. Postać jego, o ile sądzić można było z tego, jak na koniu siedział, była postacią atlety, a każdy ruch jej był pełen wdzięku i godności. Nie mniej pięknem było ubranie rycerza; wyglądający z pod płaszcza, aż do kolan sięgający dolman jedwabny, tkany w złociste kwiaty, łosiowe krótkie spodnie, wpuszczone w wysokie palone buty, odznaczały dokładnie piękne linie ciała; nad dolmanem spływający ów płaszcz purpurowy z wylotami, spadał mu z bark okazale, a na głowie czapka bogata lśniła drogiemi kamieniami. Koń jego, ciemno-kasztanowaty, z wypukłemi, wesołemi oczami, rosły i silny, był tureckiego pochodzenia. Głowa jego sucha, nie tak cienka, jak u koni arabskich, była kształtną i piękną, jak do malowania. Nogi miał tęgie i mocne; ogon długi, grzywę bujną, czarną, która, gdy jeździec puścił się kłusem, jak gaza przezroczysta unosiła się w powietrzu.

U boku jeźdźca wisiał długi w bogatej, zdobnej pochwie miecz, a w olstrach mieściły się dwa pistolety, których rękojeść była z kości słoniowej, nabijanej perłami.

— Kto jesteś? — powtórzył jeździec wesołym, lecz rozkazującym tonem.

— Jestem wędrowny student — odrzekł zapytany, śmiejąc się.

— Student, stare księgi wertujesz! Rozumiem cię, lecz jeżeliś uczony, powiedz, czegoś się nauczył, co umiesz?

— Ho! ho! umiem ja nie mało! umiem pisać tak ładnie i wyraźnie, jak nikt w Siedmiogrodzie.

— Bardzo dobrze. Cóż dalej?

— Dalej: znam historyą Węgier i Siedmiogrodu od Daków aż do Gabryela Batorego.

— A cóż myślisz o tym księciu?

— Myślę tylko, że przyszłoby mu więcej ze mnie, niż z Imrefiego. Tylko, że ja nie mam żony.

Jeździec rozśmiał się, lecz dodał, patrząc mu w oczy.

— Książę, nie bardzo tęskni za mędrcami: pisać sam umie, a historyą Węgier i Siedmiogrodu zna, bo sam oto ją tworzy. Dla księcia by mu służyć, kochany panie uczony, trzeba być człowiekiem pokornym, roztropnym, użytecznym, mężnym i wiernym.

— Mężnym, jak lew—to dobrze, ale wiernym... Jak to rozumieć szlechetny panie—czy wiernym być trzeba jak pies?

— Nie sądzę. Można też być wiernym, jak lew t. j. być skórą księcia.

— Miły panie bracie — zabrzmiała odpowiedź wędrowca— gdyby i nasz Gabryś tak myślał, znalazłby we mnie człowieka, jakiego mu trzeba.

— Gabryel, mów śmiałku! — wykrzyknął rycerz gromko.

— Ciszej, ciszej, panie! — odparł z ironią wędrowiec. — Zygmunt do śmierci pozostał Zygusiem, a Elżbieta Erzsi, ale o niej nie mówmy lepiej.

Jeździec zagryzł wargi i jak się zdaje, wyraz jego twarzy powiedział wędrownikowi więcej, niż może jeździec sobie życzył.

— Jesteś więc odważny?

— Bardzo! Choćby z olbrzymem mogę bić się w każde chwili.

— Słuchaj! — zawołał rycerz. — Miło by mi było spróbować twojej siły i odwagi.

— Owszem! — odparł pieszy i odrzuciwszy kijem płaszcz, zakasał rękawy koszuli i pokazał silne, żylaste ręce, otoczone jędrnemi mięśniami.

Rycerz wyjął z kieszeni duży, pękaty zagarek, co w owym czasie było rzadkim sprzętem i spojrzał na niego.

— Nie mam czasu— rzekł—i chowając go znowu na piersi dodał:—Kiedy indziej spróbuje się z waszecią....

— Bardzo mi miło będzie służyć ci panie rycerzu — rzekł wędrowiec, przyglądając się bacznie jeźdźcowi. — Jeżeli o czas chodzi, to lepiej rozprawę odłożyć, bo zdaje mi się, że ciągnęłaby się długo nieroztrzygnięta.

— Przypuśćmy!—odparł jeździec ironicznie.—A tymczasem panie uczony, zachowaj tę kieskę talarów, jako zadatek owej przyszłej próby sił.

Chłopiec wziął podarek, bo były to czasy, w których rycerz mógł go bez ujmy dla obdarowanego czynić. Jednak oblicze biorącego młodzieńca nie wyraziło ani zbytecznej radości, ani nizkiej uniżoności żebraka.

— Teraz — ozwał się rycerz — objaśnij mnie, panie studencie, dokąd idziesz?

— Sam nie wiem, może się udam do imci pana Weinraucha, królewskiego sędziego w Kohalom, jeżeli jeszcze żyje. Idę tam na wieczerzę i nocleg.

— Do Weinraucha? Dążemy więc w jedną drogę. Ja jednak ani na wieczerzę, ani na noc tam nie jadę—rzekł jeździec z wesołym uśmiechem — jadę tam w bardzo ważnej sprawie.

— Słyszysz, chłopcze! podobałeś mi się — dodał potem — i jeżeli lubisz ruch, lubisz być na nogach w dzień i w nocy, to znalazłbym ci dobre miejsce przy dworze książęcym?... Cóż powiesz, gdybym ci obiecał to nawet, że książę przyjmie cię do osobistej swej służby?

— Cobym powiedział? — odrzekł student, a lica zabarwił mu rumieniec—powiem, że życie moje mu oddam! Na Pana Boga w Niebiosach! nie pożałowałby chyba nigdy, gdyby mnie wziął do swego boku!

— A w jaki to sposób mógłby książę skorzystać z twoich

zdolności, z twojej nauki, z twojej siły, którą się chlubisz i którą, jak sądzę, posiadasz?... Mów, słucham.

— Mógłby korzystać z tego bardzo wiele, szanowny panie. Umiem ja to, czego nie każdy dokona. Szybko załatwiać się z tem, co mam do uczynienia i spełniać wiernie poselstwa, a na polu bitwy płatać mieczem tych szczególniej, którzy najwięcej ufają w swą siłę.

— A czy umiałbyś naprzykład wcisnąć się do miasta pełnego wrogów księcia? Czy umiałbyś zrachować, ilu ich tam jest tych, którzy na księcia sztylety ostrzą i uczynić to wszystko w cichości i tajemnicy?

Chłopiec myślał chwilkę.—Dlaczego nie? — odparł w końcu. — Możemy spróbować. Serce moje jest tu oto w piersi nie zimne, nie zdradliwe, alem go jeszcze dotąd nie oddał nikomu, więc ważąc życie, nie oglądałbym się w tył za nikim, a szperać lubię i nawet jest to moją namiętnością.

— Bardzo dobrze!—zawołał jeździec, zwracając się w stronę Köhalom. Czy widzisz dymy unoszące się tam w końcu doliny?

— Widzę. Tam jest obóz myśliwski Gabryela Batorego; jest tam Gabryel Betlen, Baltazar Kornis, Stefan Kamuti, Farkas Kamuti, Imrefi i wielu innych, razem jest myśliwych koło trzydziestu. Książę ma pięć koni; między innemi jest tam Ali, którego książę dostał w zeszłym roku od sułtana. Wczoraj wieczorem książę dostał adres od Sasów Siedmiogrodzkich, na adresie podpisany był Weisz oraz Albinus.

— Stój, szatanie! Skąd wiesz to wszystko? Czyś widział księcia?

— Księcia! Gdybym go znał, nie powiedziałbym tego. Sądzę, że i łaskawemu panu wiadomem to jest, że w obozie nie wolno księcia po imieniu nazywać! Czyż trzeba wszystko widzieć, o czem wiemy?

Jeździec coraz bardziej zadziwiony, szybko zwrócił konia ku piersiom wędrowca.

— Jeżeli nie będę miał z ciebie sługi—krzyknął, trzymając w ręku pistolet—wyprawię cię wprost do Lucyfera. To będzie pierwsze twoje poselstwo, których umiejętnością chlubiłeś się przed chwilą.

— Panie! jesteśmy tutaj we dwóch tylko! — rzekł dumnie pieszy wędrowiec.

— Do szatana! — krzyknął jeździec, a krew mu do głowy uderzyła.

— Czekaj panie! Gniew zawsze szkodzi zdrowiu. Ja idę tam do jaśnie wielmożnego sędziego na kawałek pieczeni i szklankę piwa, jest mi to zatem wszystko jedno, co ktoś o tem powie. Ale pan?....

Jeździec, zdawało się, że poczuł jakiś zabobonny strach przed tym wszystkowidzącym wyrostkiem.

— Dosyć! — rzekł ostro. — Zostajemy razem. Powiedz mi twe imię.

— Dimon, odrzekł zapytany.

— Dimon? Cóż to za imię? ani węgierskie, ani szeklerskie, ani saskie, ani wołoskie nawet?

— Nijakie, panie, nijakie, jak i jego właściciel — odrzekł chłopiec i dodał nie bez celu—krewnym moim jest Demon—duch który też bywa zły i dobry.

— Imię, znaczy nie wiele—rzekł jeździec, śmiejąc się mimowoli. Niechże ci będzie *Dimon*. Słuchaj Dimonie, pośpiesz przeto do obozu. Przedstaw się Imrefiemu, powiedz tylko, że cię Ecsedi przysyła. Jeszcze dzisiaj. choć późno, zobaczę cię. Śpiesz, chłopcze! Może księciu więcej jeszcze się podobasz, niż mnie. Niech ci się szczęści. A jeżeli początek wypadnie dobrze na twoją stronę, wtedy....

— Wtedy?—pytał Dimon.

— Wtedy los twój zapewniony na zawsze; może szczęście tak ci będzie sprzyjać, że znajdą się tacy, którzy zazdrościć ci będą tego, jak to zwykle się dzieje. Idź więc. Ja śpieszyć muszę; boję się, zalim się nie spóźnił więcej, niżbym chciał. Dziś jeszcze się zobaczemy.

Ecsedi spiął konia ostrogą i wkrótce potem dojechał do miasta Kőhalom, którego dachy ciemniały na wysokiem płaskowzgórzu.

Dimon żegnał go ręką zdaleka.

— W imię Boga, pędź dzielny zuchu! Na koniu, z mieczem i przy ostrogach jest ci bardzo pięknie!

— Idę zatem w górę! Któż mi w tem pomaga? Syn Ste-

fana Batorego z Ecsedu! Ha, ha! na wargach Dimona błysnął jakiś uśmiech demoniczny. Zobaczymy, czy który z Batorych znajdzie we mnie wiernego i poświęconego mu przyjaciela. Nie będę się już wahać. Los mój musi się prędko rozstrzygnąć.... tak! tak! Ale nie za małą cenę uczynię się czartem. W górę, wysoko w górę, Dimonie czy Demonie!

ROZDZIAŁ III.

Celesta Albina.

Dziewiętnaście lat miałam, dusza moja śniła,
I nadzieje śpiewały mi ułudy złote,
I gwiazda mi błyszczała. I byłam ci bóstwem,
O serce me jedyne!

Wiktor Hugo

Köhalom jest schludnem i ładnem miasteczkiem; obszerne, jakgdyby wiejskie, zagrody i porządne domki, odznaczają go jak wszystkie szwabskie miejscowości na Węgrzech. W epoce naszego opowiadania mało się on różnił od innych miast siedmiogrodzkich. Zamieszkiwała go ludność mieszana: Szeklerów i czystych Węgrów, Wołochów i Sasów. Ci ostatni górowali tu już wtedy i nadawali miejscowości pewien rodzimy swój charakter.

Köhalom leży na skalistem wzgórzu i panowała nad nim, dziś już w gruzach leżąca, lecz piękna jeszcze twierdza, na którą patrząc, żałujesz, że już nie ma ludzi, co takie twierdze zdobywali.

Wzgórze, na którem wznosiło się i wznosi jeszcze miasto, było otoczone gęstym lasem. U wrót miasta kwitnęła stara lipa, której mieszkańcy dawali tysiąc lat życia, gdyż obwód jej miał dwadzieścia cztery łokcie; jeszcze dziś pień jej stary imponuje patrzącemu.

Wieczorem tego dnia, kiedy Ecsedi spotkał się z Dimonem na drodze köhalomskiej, za miastem pod macierzyńskim cieniem

starej tej lipy siedziały dwie kobiety. W ręku starszej jest książka, przed młodszą stoi kołowrotek. Pierwsza czyta pocicha pisma Lutra, który już wówczas rozszerzył swą naukę, druga przędzie, ciągnąc nitki i poruszając pedał kółka prześliczną, maleńką nóżką.

Starsza z dwóch kobiet była odziana w ciemną suknią, nie podług węgierskiej mody uszytą; nie miała ona szamerowań, pętlic ozdobnych i była to suknia gładka, taka jaką w uroczyste dni nosiły saksonki, — ciemna, ale w rzut barwisty kwiatów, chrząszczów i motyli. Na głowie miała biały, jak śnieg czepeczek. Twarz jej była świeża i zdrowa, jasne gęste włosy spadały na ramiona, miała ładne niebieskie oczy, pełne życia i wesołości; rysy nie tyle regularne ile wdzięczne; na różowych ustach ciągle spoczywał uśmiech, i całe oblicze wyrażało jakieś wewnętrzne zadowolenie.

W rysach drugiej, w jej postaci, zarówno jak odzieży, znać było osobę wyższego stanu. Wysoka i wysmukła, kibić miała kształtną i dziwnie udatną a cała postać przywodziła na myśl kreacye Rafaela, tak była niepowszednia, tak czysta i urocza, Ręce miała białe, jak marmurowe posągi, a nóżki tak maleńkie. że dziwiłeś się, jakim sposobem takie nożęta unieść ją mogą.

Włosy wolno spuszczone, miękkie i gęste spadały jej do ramion; w ciemnych oczach świeciła niepospolita inteligencya i wyglądał silny charakter. Była pogodna razem i poważna; czoło miała gładkie i bez chmurki, razem to dziewicze oblicze odbijało na sobie i zdradzało myśl każdą, jak zwierciadło.—Teraz jestem wzruszoną, teraz cierpię, teraz się unoszę.... mówiła jej twarz śliczna i kto ją widział, nie wątpił o takiej potędze oczu, których jeden promień do zapalenia miłości wystarcza. Usta pełne i malutkie jakgdyby czekające pocałunku—usta z białemi ząbkami, niby płatkami śniegu śród listków róży, stanowiły może największy powab tej prawdziwie anielskiej dziewicy. O niej to można było powiedzieć, że zwyciężała, gdy przybyła gdzieś, bo te usta ciągnęły do siebie, a cóż dopiero, gdy się uśmiechnęła! Bo też uśmiech pięknej kobiety to posłaniec z krain szczęścia i rozkoszy. Gdy pierwsza dziewica ziemi, Ewa, w Edenie do róż się uśmiechała, mówiąc:—Jestem! mówiła zarazem: kocham! i wszystko w koło stawało się wtedy bezchmurne i beztroskie, wszystko rozradowane i czyste, wszystko wdzięczne i jasne.

Niejeden z tych, co delikatną piękność kobiety uważają za

obraz jej wewnętrznej słabości, sądzićby z tego mógł, że dziewica saksońska musiała być czemś słabem i o własnej mocy stać nie mogącem, ale mylnym to był sąd i silny charakter jej pięknej choć łagodnej i cichej istoty, od dzieciństwa zwracał na siebie uwagę. Myślała długo w tajemnicy nad rzeczą niejedną, lecz gdy zdanie, jakieś wytworzyła sobie, gdy uznała je za prawdę, nic jej nie mogło z drogi sprowadzić. Odczuwała mocno cierpienie bliźnich. i słynęła też z dobroczynności dla biednych, karmiła głodnych, leczyła słabych. To też gdy pokocha, to kochać będzie gorąco i stale, ale rozumnie. Tak przynajmniej mówili o niej ci, którzy ją znali i dodawali jeszcze, że w pięknem tem ciele i dusza była piękna — że prócz rzadkiego uczucia miała ta panna i umysł niepospolity i to, co umiała. czyniło ją na owe czasy uczoną. Miłowała książki tak, że dziwiono się temu.

Na głowie miała rodzaj kapturka, podobny do kapelusików dziecinnych, a który był ówczesną modą ozdobiony wstążkami. Takie kapturki sprzedawano w saskich sklepach miasta i nosiły je kobiety, bo mówiono, że je zdobią wielce i nawet w starych kronikach węgierskich zostało o nich wspomnienie. Piękna panna nosiła na głowie taki kapturek czerwony, suknia szeroka i fałdzista, ciemnego koloru, miała dołem drobne, pięknie szyte falbanki, a gdy dodamy do tego czarne trzewiczki z czerwonemi wstążeczkami i pas czerwony, przetykany złotem, który rozjaśniał ciemno-brunatną barwę jej sukni, gdy dołożemy do tego płaszczyk brunatny, także ozdobnym haftem szyty, z jakim po dziś dzień, spotkać się można w Siedmiogrodzie, będziemy mieli obraz zamożnej panny miejskiego stanu z owych czasów. obraz dostojny i miły, powabny, choć nie płochy. Kobieta starsza taką też była, a trzeba już objaśnić czytelnika, że należała ona do pierwszych osób w mieście, bo była małżonką sędziego królewskiego Weinraucha. Z młodą siostrzenicą swoją wyszła na przechadzkę i siadły teraz pod cieniem starej lipy, bo też było to bardzo miłe miejscea; piękny i rozległy widok roztaczał się w około. Złociste pola, małe domki czyściutkie, a na końcu horyzontu ciemne lasy tworzyły razem spokojny i wdzięczny krajobraz. Starsza, pani Ida Weinrauchowa, czytała, panna przędła; ale wkrótce księga została odłożoną na bok.—Jakże długo mąż mój rozmawia z Sewerem—rzekła kobieta.—Co on przywiózł ze sobą za wieści? Myslę, że dobre i proszę Boga aby tak było. Czy sądzisz, że tak jest?

— Tak, zapewne, tak — odparła piękna panna, widocznie aby coś odpowiedzieć. Wargi jej były ściśnięte, a oczy patrzały w dal; w spojrzeniu ich był niepokój.

— Sewer zdaje się być bardzo wesoły — dodała po chwili kobieta.—Z tego sądzę, że poszło wszystko dobrze....

— Jest on zawsze wesoły....

— Znak czystej duszy, ale jak ci się zdaje, Celesto czy twój ojciec nie lubi go więcej nad innych? A ty, co o nim myślisz? Godny to młodzian....

— O, bardzo! bardzo godny, poważny, uczciwy.... wiem to i nie przeczę ci, ciotko, w pochwałach, oddawanych Sewerowi.

Znów nastało milczenie. Na ustach p. Idy widniał nieznaczny uśmiech. Dziewczyna, jakby unikając jej wzroku, spoglądała w inną stronę. Nagle nitki jej przędzy poplątały się, zmęczona noga przestała poruszać kółko.—Ach! — westchnęła w duszy.—Nie wytrzymam dłużej....

Miała wyraz twarzy smutny, a czasem posępny. Towarzyszka jej nie uważała tego.—Patrz—rzekła—słońce już zachodzi, spuszcza się poza dolinę, a tarcza jego rumieni się, jak twarz dziewicy, czekającej lubego.

— O, mylisz się ciotko — rzekła dziewczyna, którą starsza kobieta nazwała Celestą—mylisz się.—Ja się nie rumienię dlatego, abym była zakochana w kimś, lub niespokojna.... O nie.... to tak, tak tylko....

Celesta źle słuchała słów towarzyszki i nie odpowiedziała też stosownie. Widocznie ucho schwyciło kilka wyrazów, gdy myśl była gdzieś daleko.

— Czas na to przyjdzie — odparła p. Ida z uśmiechem. Roztargniona odpowiedź Celesty bawiła ją.

— Ach! odpowiedziała dziewczyna tęsknoty pełnym głosem—skoro raz powiem sobie stanowczo iż kocham.... wiedzieć musi ten, kogo wybiorę, że to już na zawsze Komu oddam serce, temu oddam życie!

— Ja wybrałabym ci takiego rycerza, którego już znamy. Ecsadi jest przybocznym księcia i ma piękną drogę przed sobą. Jeżeli nie jest już panem, to może nim zostać niedługo.

Dziewczyna milczała. W kilka chwil potem ten, o którym rozmawiające wspomniały, Sewer, wyszedł z bramy miejskiej i zbliżył się ku nim.

— Życz mi szczęścia, Celesto!—rzekł wesoło, zwracając się do dziewczyny.

— Z całego serca zawsze ci go życzę—odrzekła Celesta, szybko zmieniając wyraz twarzy, z której zniknął niepokój, w oczach błysnęła serdeczność ; widać było, że miłym jej jest ten, do kogo mówi.—Czy przecież wolno mi wiedzieć, z jakiej przyczyny żądasz odemnie tego życzenia?—dodała.

— Zostałem mianowany komendantem Hermanstadtu. O! Celesto! może niedługo otworzy mi się droga pokazania ci, jak kocham mój naród i jak wdzięczny jestem tym, którzy mnie, tak młodego, na takie stanowisko wynieśli!

Celesta uśmiechnęła się słodko i zwróciła oczy na młodzieńca. Sewer miał lat 23—24, był średniego wzrostu, mocnej, męzkiej budowy ciała, postawę miał szlachetną, znać było po nim że jest silny, a zdrowie tryskało mu z oblicza. Jasno-bląd włosy wiły się w lekkie pierścienie na kształtnej głowie, duże i żywe oczy były błękitne, a piękne blond wąsy nadawały jego twarzy wyraz męzki i energiczny.

— Ojciec mój—mówiła z uśmiechem Celesta, będzie bardzo zadowolony. Tak cię pieści, że aż psuje.

— Prawdziwie kocham tego szanownego męża—mówił Sewer z powagą.—Lecz nie należę do tych, którzy łaskawość innych względem siebie uważają za swoją zasługę. Wiem, że twój ojciec, Celesto, kocha mnie, a to dlatego, że zna on gorącą mą miłość dla dobra ogółu—i oto cała moja zaleta !

— Dobry Sewerze!—rzekła Celesta—jest to uczucie, które przynosi ci zaszczyt i szacunek wszystkich serc szlachetnych.

— Wiem — mówił dalej wzruszony Sewer, komu stanowisko otrzymane zawdzięczam.—Celesto! ojciec twój jest szlachetnym człowiekiem, a lepiej jeszcze poznają go ludzie, gdy zostanie ich głową, ich wodzem. Myślę, że zbliża się chwila, w której go poznają.

— Tak sądzisz? — z rumieńcem na twarzy zapytała Celesta.

— Mówiłam już ojcu o tem w czasie buntu wojewody Raduly'go. Mało ja cenię tego, co narusza pokój. Przenoszę tego, co wojnę kończy.

— Słusznie—dodał Sewer.—Wojnę, gdy nie jest konieczną

dla dobra kraju, nazwać można rzezią ludzi i barbarzyństwem.

Gdyby kto był słyszał rozmowę Sewera z Celestą, a nie widział ich, sądziłby, że to nie młodzieniec w pierwszym kwiecie wieku rozmawia z piękną dziewicą, lecz dwaj mężowie postarzeli w krwawych przejściach wojennych i niebezpieczeństwach zachwianego losu ich ojczyzny.

Weinrauchowa zamknęła książkę i spoglądala w milczeniu to na Celestę, to na Sewera, czekając, czy z ich ust nie wyjdzie jakie słowo czulsze.

— Raduly—ozwał się Sewer — przyrzekł księciu wypłacić 8,000 fl., ale dotychczas nie oddał ich i jak sądzę długo trzeba będzie czekać na uregulowanie tego rachunku. Sakwy biednego wojewody są próżne.

— O!—przerwała p. Ida—ma on dosyć pieniędzy, tylko ich oddać nie chce.

— I ja tak sądzę—dodała Celesta—lecz nawet ten postępek nierzetelny nie jest dostateczną przyczyną zerwania pokoju. Ach! Boże, jakże to ciężko pomyśleć o wojnie, która tyle ofiar za sobą pociąga.

— Polegajmy na Albinie pośle, któregośmy wysłali—rzekł Sewer—ułoży on rzeczy najlepiej, jak będzie można.

— Już odchodzisz — ozwała się Celesta, widząc że Sewer sięga po czapkę, którą zdjął był z głowy—już nas opuszczasz!

— Muszę — odparł Sewer, tłumiąc lekkie westchnienie, a spojrzenie jego spoczęło na Celeście z niewymowną tkliwością najlepszego brata.

— Jeżeli musisz—odparła mu dziewica poważnie — to iść powinieneś. Jesteś w tej chwili na drodze do spełnienia wielkiego dzieła, masz w ręku obronę pierwszego miasta prowincyi i biednej ludności, którą wojna zawsze w nędzę spycha.

Sewer spojrzał na nią okiem pełnym blasku.

— Tobie, Celesto, zawdzięczam, że duch mój podniósł się i uszlachetnił, tyś mi go budziła w piersi—rzekł.—Ty to byłaś mojem natchnieniem w pojęciu prawdziwej miłości ojczyzny. Oh! nie sami tylko rycerze i panowie, siedzący po pysznych zamkach stanowią naród. Jest jego częścią żywotną ten, kto pracuje, czy to kmieć, pracowity rolnik, czy mieszczanin, który kuje młotem i zalewa się znojem u warsztatu — ci także go stanowią i

o nich też myśleć należy. Ty Celesto, pierwszaś mi to rzekła, odgadując tę wielką prawdę przez dobroć twego serca.

— Rada jestem temu, jeżeli coś dobrego przyszło ci przezemnie, Sewerze, bo cenię cię jak brata. Stanowisko, jakie się przed tobą otwiera, niech ważnością swego zadania przejmie całą twą duszę, tak, aby imię twe rosło w chwale i szacunku u wszystkich ludzi. I Celesta będzie między niemi: będzie pierwszym głosem, który cię uwielbi, jako dobrego syna swej ziemi.

Sewer czuł co dziewczyna powiedzieć mu chciała: mówiła jak siostra i mówiła mu tylko o uczuciu wdzięczności, jeżeli będzie pożytecznym ludu opiekunem, lecz potężny czar ogarnął jego serce; koń, który stał poza nim, spoglądał ku miejskiej bramie, grzebał ziemię kopytem i rżał niecierpliwie.

— Koń—rzekła z uśmiechem Celesta—wzywa cię już, Sewerze, w drogę. Komendant Hermanstadtu — dodała po chwili z tkliwością siostrzaną—zabawia rozmową swoją kobiety, ale kto wie czy wkrótce nie spotka się gdzie w wąwozach z zastępami Wołochów, aby zwalczyć Raduly'ego. jak bohater.

— Nie tak to prędko takie rzeczy się dzieją, Celesto — rzekł Sewer. — Ale czas mi już w drogę rzeczywiście i przypominasz mi o tem.

— Ach! Boże—dodał z westchnieniem — odjazd mój smuci mnie jednak z jednego powodu. Nie będę mógł być spokojnym.

— Dlaczego? — zapytała Celesta prawie wyniośle, a głos jej stał się nagle chłodnym.

— Oby najpiękniejszu kobieta na świecie nie została zawiedzioną w nadziejach swoich—to będzie modlitwa moja do Boga. Celesto! wiem, że w tej chwili czekasz na kogoś, że wyglądasz go niecierpliwie, oby tylko ten człowiek był godnym skarbów, jakie twoje serce, twoja czysta dusza zawiera! Wtedy dopiero będę spokojny, gdy się o tem przekonam....

— Dość, dość—przerwałe Celesta, z twarzą zarumienioną od wzruszenia.

— Ach! przebacz mi, Celesto, to, com może nie powinien był mówić, ale mi się to wszystko z pod serca wyrwało. Lecz jakżeż ufać mogę temu, który jest tak bliskim boku Gabryela Batorego?

Celesta niespokojnie patrzała przed siebie i nie odpowiedziała ani słowa.

— Czy nie znasz księcia? p. Sewerze—zapytała Weinrauchowa, nagle powstając.

— Z czynów aż nadto dobrze, choć osobiście nie mam tego zaszczytu.

— Nic złego, o ile wiem, nie zrobił dotychczas—rzekła kobieta, jakgdyby gromiąco.

— A cóż uczynił dobrego? Nic nie robić, tylko hałasować i wszczynać awantury, to chyba nie zasługa? Zeszłego roku, gdy był w Kronsztadzie, a z nim żołdacka świta jego, ludzie poważni byli pełni smutku. Może kobietom mało dał powodów do skargi, bo tańczył, szalał, wydawał uczty. Ale ojcowie ojczyzny nie uważają Gabryela za władcę, któryby zapewnił szczęście narodu. Oh! nie... i nadejdą może niedługie złe czasy.

Celesta wciąż się rumieniła.

— Wybacz, Sewerze, że ci powiem prawdę — rzekła naraz.—Są chwile, w których człowiek widzi wszystko w barwach czarnych, które czynią go posępnym. Nie było tu mowy o księciu, i ja go nie znam. Byłam właśnie z ciotką w Kronsztadzie roku zeszłego, lecz nie widziałam w czynach księcia tyle złego, ile mówią ludzie. Może ma on błędy, ale ztąd wyprowadzać wnioski, stanowczo go potępiające, jest jeszcze większym błędem, przeciw któremu powstaję.

— Przebaczenia, Celesto!—rzekł smutnie Sewer. — Uraziły cię moje słowa. O na Boga! nie chciałem ja tego! Niebo mi świadkiem, że życiebym oddał za twój pokój! Jeżeli mówiłem to wszystko, to dlatego, żem uważał za rzecz konieczną, abyś znała prawdę, choć bolesną. Pragnąłem otworzyć ci oczy i pokazać, czem to jest książę i ci, co go otaczają.

Pani Ida z niezadowoleniem słuchała tej rozmowy i po chwili też odezwała się dość szorstko.

— Mylisz się pan, p. Sewerze w swoim sądzie o księciu; jest on młody i ognisty, pełen siły mąż, który błądzi może w skutek zbytku szlachetnych przymiotów męzkich. Rycerz to jest przedewszystkiem, więc butny, trochę rozrzutny burzy się w nim niekiedy krew gorąca, przecież prócz tego nic tak złego o nim nie wiemy. Lecz jeszcze większą jest omylka pańska co do Ecsediego, nie znasz go wcale p. Sewerze, bo właśnie zeszłego roku nie było go w Kronsztadzie albo w Brosso jak każą nam mówić ci, którzy widzą w tem ujmę dla Węgier, że Sasi, w prowincyi,

którą żaludniają, dają miejscom zamieszkiwanym przez siebie nazwiska, brane z rodowitego ich języka.

Sewer nie zdawał się słuchać tego co p. Ida mówiła gorzko.

— A jakże usprawiedliwić grabież 25.000 fl. które książe wycisnął na ludności tej prowincyi?—zapytał Sewer gorzko.

— To był podarunek—przerwała Celesta namiętnie.—Ofiarowaliśmy sami te pieniądze władcy Siedmiogrodu, który i nam panuje. Nie możemy tu żyć na wyłącznych jakichś prawach, skoro przybyilśmy tu, obierając sobie tę ziemię za nową ojczyznę naszą.

Celesta zaczęła naglić ciotkę, aby powróciły do domu Słońce ostatniemi blednącemi promieniami zachodziło za góry, zimny wieczorny wietrzyk wiał między gałęziami lipy. Obecność Sewera widocznie zaczęła ciężyć pięknej dziewczynie, której serce widać uraził—dotknął ją w to miejsce tego serca, które było snadź drażliwem, więc zabolało teraz. Sewer to czuł.—Czemuż ja tu stoję, jak wrosły w ziemię? pytał młodzian sam siebie z żalem wielkim. Chciał iść, lecz nie mógł, nie miał siły, a czuł, że pozostać też nie może.

Podobny był do tych gości nudziarzy, którzy wstają z krzesła, biorą czapkę i żegnają się, przecież pozostają jeszcze godzinę całą, nudząc gospodarzy domu.

— Ciotko — rzekła Celesta — zaczyna być zimno, i proszę cię chodźmy już do domu.

— Jeszcze nie pora na to, aby dusić się w domu—odparła p. Ida, która miała widocznie cel ukryty pozostania tu dłużej.—Słońce dopiero zachodzi—dodała.

— Szczęścia i powodzenia z całego serca życzę ci Sewerze!—rzekła w tej chwili Celesta poważnie i już z dawną dobrocią, ale żegnając go stanowczo.

— Zrozumiał też, że przedłużanie smutnej dla niego chwili, nie prowadziło do niczego, że trzeba mu pożegnać się i odjechać samotnie. Dziękując za życzenia siadł na koń i ruszył w drogę.

Pani Ida patrzyła za nim.

— Patrz, Celesto — zawołała nagle — patrz i przyznaj się, żem to ja a nie ty miała słuszność! Patrz....

Twarz dziewczyny nagle zajaśniała radością, lecz prędko spoważniała i ozwała się spokojnie: — Pół godziny później niż

obiecał, przybywa. Lecz skoro już jest tak blisko, to zostańmy tu. Patrz ciotko, spotkał się z Sewerem i Sewer mu się kłania.

— Ecsedi nie oddaje mu przecież ukłonu—mówiła p. Ida, patrząc na drogę.

— Ach! Sewer musiał go może kiedyś obrazić—rzekła żywo Celesta.—Stają oto, patrz ciotko, jak ich ruch jest surowy.

— Nie sądzę, aby Sewer coś niestosownego uczynił, bo młodzieniec to rozumny i stateczny. Ecsedi to raczej w gniewie mógł coś takiego powiedzieć, co obraziło Sewera. Ecsedi jest jak płomień, nie mogę inaczej się wyrazić.

— Tak, o! tak! przerwała Celesta z żalem który drżał jej w głosie — pewno tak było jak to ciotko mówisz słusznie. Ecsedi jest dumny. Nie zna Sewera i on musiał wywołać zatarg.

— Gdyby go znał, szanowałby go niewątpliwie — dodała i umilkła, aby przecież zawołać zaraz ze wzruszeniem:

— Rozłączają się! Ecsedi galopem śpieszy do nas. Wnet dowiemy się o wszystkiem.

ROZDZIAŁ IV.

Czekająca i oczekiwany.

Jak listki wierzby chwiejne, powiewne,
Srebrzystem światłem księżyca płoną:
Tak się kołyszą sny nasze rzewne,
Wiążąc nam duszę wstęgą złoconą.
K. Kisfaludy.

W kilka chwil potem Ecsedi, zatrzymawszy się w bliskości bramy miejskiej, zesiadł z konia, dał go do pilnowania stojącemu obok strażnikowi i zwrócił się ku starej lipie. Stanął wkrótce przed temi, które go czekały. P. Ida szybko powstała z siedzenia, i rzec można z uszanowaniem schyliła się przed przybyłym, witając go z uśmiechniętem obliczem.

Celesta skinęła głową przyjaźnie, lecz poważnie. Ecsediego twarz pałała, spodziewał się widać czulszego powitania. Stał też długo przed piękną dziewczyną w milczeniu, lecz wreszcie zdjąwszy kapelusz, położył go na ławce koło Celesty i poprawił włosy. Chwilę trwało milczenie.

— Celesto!—wyrzekł wreszcie—tyś smutna, cóż ci się stało złego? Liczę minuty, nim wybije godzina, w której się z tobą obaczę: godzina, w której jedynie jestem prawdziwie szczęśliwy, widząc blask twoich oczu niebieskich, słysząc dźwięk twego srebrnego głosu — godzina, w której jestem szczęśliwy, że mogę ci powiedzieć, jak cię kocham. A ty stoisz przedemną smutna i z wyrazem goryczy w spojrzeniu. Powiedz o ty duszo moja, dlaczego cierpisz?

Celesta nie bez wzruszenia słuchając tej mowy, podniosła oczy na rycerza, który swoją wyniosłą postacią robił wrażenie kolumny, stojącej obok delikatnej. drobnej, marmurowej statuy—Celesty.

— I ty milczysz? Ach, jam się spóźnił! Może dlatego usta twe zamknięte są i miłość twa milczy Celesto, aniele mój? Może ty nie dlatego cierpisz, żem przybył, ale dlatego, żem się spóźnił?

Pani Ida z nieznacznym uśmiechem skinęła głowę.

Ecsedi, siedząc obok Celesty, pochwycił silnie jej rękę.

— Czym zgadł? — mówił — a twarz zapłonęła mu, a oczy zabłyszczały.

— O najdroższa, jam nie dostał dotąd od ciebie ani jednego pocałunku! O, to grzech śmiertelny, przeciw miłości naszej. Nie masz chyba kobiety tak surowej, jak ty. Możnaby pomyśleć, że nie kochasz. O, niech pierwszy ten pocałunek będzie pocałunkiem pokoju—słodki i wonny, płomienny i radosny. O, Celi moja, dopokiś nie dała i nie wzięła pocałunku—nie żyłaś!

Celesta zdawała się być teraz spokojniejszą, a przecież od czasu do czasu na jej gładkiem czole pokazywały się zmarszczki i chmurki.

— Więcej niż godzinę, siedzę tu i czekam na ciebie—rzekła. — A wiedz, że czekać wypada raczej mężczyźnie, niżeli kobiecie kochającej. kazać mi czekać na siebie.

— Na drodze miałem przygodę, dobry mój aniele, przygodę niespodzianą! Gdyby jej nie było, byłbym tu o pół godziny wcześniej.

— W takim razie—rzekła z uśmiechem Celesta—chcę być łaskawszą, niż surowemu sędziemu wypada i przebaczam.

— A pocałunek pokoju?

— Pozostanie na przyszłość.

— Myślałam żeś jest mniej surową—rzekła do niej Weinrauchowa.

— I pani też uważa za konieczne utrwalić zgodę zwykłym między zakochanymi sposobem. Błagam, przemów pani za mną.

— Dość—rzekła Celesta—odsuwając się od Ecsediego, aby ten się do niej zbyt nie zbliżył.

— Któż to był ten młodzian, którego na drodze spotkałem? Ztąd właśnie wracał?

— Był to Sewer — rzekła Celesta — komendant twierdzy hermansztadzkiej. Dzielny, uczciwy i rycerski człowiek.

— Nie widziałem w nim tego — rzekł lekceważąco Ecsedi.—Sądziłem, że to jaki oficerek pachołków miejskich.

Celesta znów spoważniała.

— Nie—rzekła krótko.—Tyś tak nie sądził....

Ecsedi uśmiechnął się leciutko. Sądzisz, że tak bardzo szanownie wygląda? Od kiedyż znajduje się w Hermansztadzie?

— Został komendantem od kilku dni dopiero,

— A, więc to świeży komendancik. Rozumiem. Z tego powodu tak dumny.

— Młodzieniec ten to nie zły człowiek— wtrąciła Weinrauchowa — trochę niepozorny, ale po bliższem poznaniu dochodzi się do przekonania, że jest to uczciwy człowiek.

Ecsedi milczał.

— Ty coś kryjesz przedemną—rzekła Celesta. — Tajemnica! Ty wiesz, że między nami być jej nie powinno. Wyście spotkali się i mówiliście coś ze sobą. Widziałyśmy to dobrze.

— Bardzo krótko było między nami rozmowa—odparł dumnie Ecsedi — nawet nie wiem, o czem mógłbym dużo mówić z tym panem Sewerem.

— Ręce jego poruszały się groźnie.

— Może muchy odganiał, Celi moja — mówił Ecsedi śmiejąc się. Młodzieniec odważny wszędzie znajdzie pole do popisu.

— Nawet wobec much? — spytała śmiejąc się Weinrauchowa.

— Właśnie wobec muchy—odparł Ecsedi.

Celesta teraz bardziej pochmurniała.

— Gabryelu—rzekła z powagą, lecz i z niezrównaną słodyczą—tyś mi nie powiedział prawdy i to mnie martwi. Lecz ja znam cię lepiej, niż mi się chcesz przedstawić. Wiem, że mężny, rycerski Ecsedi nie będzie nienawidził innego rycerza, który jest równie mężny, również dzielny. Nie mylę się jak sądzę, co do ciebie, Gabryelu! Powiedz mi więc, co znaczy ten wyraz goryczy na twojej twarzy, który ja nie chciałabym widzieć.

Ecsedi milczał, usta jego szyderczo zadrżały.

— Celesto moja—odrzekł — nikt się nie zawiódł na mnie, otwierając mi swe serce.

— Więc z Sewerem pokój, prawda?

— Ja się nie gniewam na niego. Na to trzeba czasu, aby nieco podrósł. Jest on obecnie z tych ludzi, co stoją poza granicami mego gniewu.

— To duma! — rzekła Celesta, — lecz uczuciu temu mógłbyś tylko wtedy pozwolić na wydostanie się z serca, gdyby to był jaki nędznik, niegodny szacunku ludzkiego; —Sewer przecież jest człowiekiem zacnym, o którym nic złego słyszeć nie chcę.

Rumieniąc się, Celesta dodała po chwili: — Tak, powinien on być poza granicami twego gniewu, bo nie mogę przypuścić, abyś chciał przykro dotknąć mego krewnego.

— Krewny twój! Nie wiedziałem o tem ukochana — odparł Ecsedi, marszcząc czoło.

— Jest on mym krewnym. Ojciec mój wziął go do swego domu, jako biednego sierotę; wychowywaliśmy się razem i jest między nami pokrewieństwo serc.

— W każdym razie ma on przywilej, że o nim wspomnieć źle nie można. Przestańmy zatem mówić o nim.

Weinrauchowa niespokojnie siedziała na krześle, a oczy jej spoglądały raz po raz na Ecsediego. Zdawało się, że takie zakończenie dyskusyi, nie było dla niej dostatecznem. Co zaszło między Gabryelem a Sewerem, nie było rzeczą dla niej wyjaśnioną. Że przecież coś było, o tem nie wątpiła. Dowodziły tego namiętne ruchy obydwóch młodzieńców, gdy przemówili do siebie. Na twarzy Ecsediego była wciąż jakaś gorycz, a każde jego słowo, tyczące się Sewera, pełne było nieprzyjaznego usposobienia. Widocznie kryła się poza tem jakaś tajemnica, a Weinrauchowa nie była zwolenniczką tajemnic. Zapytała więc rycerza:

— Sewer powiedział coś, co się wam, panie, miłem nie wydało. Tak, jest to rzecz pewna i myśmy to widziały zdaleka.

— Nic mi nie powiedział—odrzekł Ecsedi, udając spokój, albo coś, co równało się niczemu.

— A więc przyznajecie mi panie, że powiedział coś — pytała dalej badawczo p. Ida.

Celesta miała niespokojny wyraz twarzy.—Przestańmy już mówić o tem—rzekła—i zmieniając tok rozmowy, znpytała:

— Czy prawda, Gabryelu, że książę jutro odjeżdża?

Weinrauchowa miała na twarzy wyraz zamyślenia i zdawało się, że nie słucha tego, co rycerz i siostrzenica jej mówią ze sobą.

— Tak—odrzekł Ecsedi.—Polujemy teraz na sarny i jelenie i mieszkamy w namiotach myśliwskich, jak nasi ojcowie, gdy ziemię tę zdobyli. Lecz wszystko ma swój koniec, Celi moja! Księcia w Tebeswarze ważne sprawy czekają. Raduly w cichości się zbroi i nam należy być w pogotowiu. W tych dniach książę objawił radzie, że pragnie Wołoszczyznę do Siedmiogrodu przyłączyć, aby zgnieść gniazdo wiecznego niepokoju. Sądzę, że plan ten jakkolwiek wykonalny, nie jest łatwym do osiągnięcia i że mieczom naszym trzeba będzie silnych rąk do ujęcia.

— Siedmiogród powinien raczej wewnątrz się przetwarzać niźli rozszerzać przez wyprawy wojenne—rzekła Celesta.—Siedmiogród rozrywają walczące ze sobą stronnictwa, równie potężne i sprzeczne we wszystkiem, a tęskniące za pokojem, naprzykład jak Sasi.

— Ale nie Szeklery—wtrącił Ecsedi. — Lecz jedni i drudzy znoszą tylko nieszczęśliwe skutki swoich grzechów przeszłości.

— Skutki grzechów? — zawołała gorąco Celesta. — Czyż Sasi nie przyjmowali udziału w każdej ofierze na rzecz kraju? Czy nie otwierali swych skarbów, gdy pieniędzy było potrzeba? A gdyby ich nie było, cóżby począł Siedmiogród bez najpracowitszej i najużyteczniejszej ludności?

— Nie przeczę—przerwał Ecsedi, lekko zaciskając usta. Są oni bardzo użyteczni; — ale nie przedstawiają dostatecznej rękojmi co do swej wierności dla wspólnej naszej ojczyzny. Zygmunt ich się nie lękał, ale późniejsi Batorowie nie mogli się zanadto pochwalić dobrem rządzeniem tą ludnością. Wciąż oni

3*

tęsknią i marzą o niemieckiej swej ojczyznie. Chociaż dotąd pomiędzy nami cicho, ale o ile wiem, jest wśród nich wielkie stronnictwo, które przeciw księciu knuje intrygi i czeka tylko sposobności do jawnego buntu.

— Te słowa w twych ustach, Gabryelu! Tyś oskarżycielem, a nawet wrogiem moich współrodaków! Cóż to się stało, że dziś wszystko ci się wydaje tak ponurem? Kto ci powiedział o Sasach tyle złego? Czyż nie została zawartą przysięga między trzema narodami? A komuż bardziej leży na sercu jej zachowanie, jak nam, najświeższym w kraju tym przybyszom? Przebóg! Geza i Andrzej wezwali nas, abyśmy opuścili nasze równiny i przyszli zamieszkać tu z wami! Stulecie nie minęło, a waszą ziemię, nieuprawną i dziką, ojcowie nasi w prawdziwy raj zamienili.

— To prawda! lecz zostało tu jeszcze dość lasów, gdzie mogą spiski urządzać.

— Ach! rzekła Celesta.—Ty, ty tak mówisz. Narada ludzi, którzy mają wspólne pragnienia, nie jest spiskiem. Oh! nie niewierność to Sasów sprowadza na Siedmiogród ciągłe klęski, ale rządy, które książęta siedmiogrodzcy źle nad tym krajem sprawują. Mieszka w nich jakiś duch dziki, nie liczą się wcale ze krwią i znojem ludu, wiecznie z ręką u rękojeści miecza prowadzą wojny, które służą tylko ich ambicyi i są polem ich rycerskich zapasów;— a kraj cierpi i ludy jego są nieszczęśliwe, prócz może rycerskiego stanu. Gdyby nie ta wieczna żądza boju, która w nich wre, nie potrzebniby byli strażnicy na murach miejskich, nie lękalibyśmy się, aby głodne wilki wołoskie napadały na nasze siedziby i krwawe kopyta ich koni nie tratowałyby naszych złotych kłosów. Każdy zbiera to, co sieje i to już jest pewnością, że ludzie nie są tu szczęśliwi.

— O! — zawołał Ecsedi — jak gorąco bronisz tych ludzi. Obraz ich przedstawia ci się w barwach jasnych i czystych, a tymczasem my znamy inne jego strony: wiemy, że Sasi nie zlali się dotąd z narodem, że utrzymują stosunki z cesarzem, z Wołoszczyzną, że trzymają z wrogą nam szlachtą węgierską.

Celesta pochyliła głowę w zamyśleniu, Weinrauchowa milcząc, spoglądała, jak ta najpiękniejsza z kobiet, której usta stworzone były do pocałunków, a uszy do słuchania wyznań miłosnych, mówi o zatargach frakcyi politycznych, o wojnie i pokoju.

— I wszystkiemu podług ciebie winni Sasi — mówiła dalej Celesta; lecz nie znajdujeż się i między Węgrami dość takich, którym jest źle i którzy poczynają się z tem odzywać. Czyż przeznaczeniem człowieka jest wieczna walka i czy nie ma innej rozkoszy nad szczęk broni i tryumf wojskowy? Nie tem stoją narody i buta to jest tylko, od której ciężko cierpi ludzkość.

— Ucichł na chwilę szczęk mieczów, lecz znów, jak to już czuję, nanowo zabrzmi oręż, nanowo zapłoną chaty, nanowo zapłaczą matki! Któż nie tęskni za pokojem? Książę powinien o tem pamiętać, że naród to nie garść wojennych jego towarzyszy, którzy pragną tylko harcować na koniach i oddychać dymem wojennym.

— Lecz — przerwał jej Ecsedi — potęga narodu polega jednak na tych, którzy, jak widzę miłymi ci nie są. Lud dołem zbity, cóż to jest? Czy zastawi on piersiami swojemi kraj, czy daje mu blask i sławę u postronnych? Musi więc słuchać i być pokorny.

— Nie! — zawołała Celesta żywo. — Pracuje on na chleb swego narodu, co nie jest małą rzeczą, co nawet nazwałabym rzeczą wielką! Dzieła pokoju ważniejsze są od dzieł wojny, i lud....

Umilkła, może aby nie dotykać rycerza zbyt silnem przedstawieniem tego, co nie dążyło do wywyższenia go, a raczej zniżało jego stanowisko społeczne.

— Cóż lud? — zapytał Ecsedi.

— Lud ma swoje prawa bytu, których książę nic nie waży. Do czego ta nowa wojna z Radulym, której nie chce nikt, prócz niego, a której skutki spadną na kraj przecież i zaciężą na nim okrutnie. Książę jest despotą, książę nie waży sobie cierpień ludzkich, jest srogi w rządach swoich.

— Celo — zawołała p. Ida, łamiąc ręce — Mówisz z nazbyt małym szacunkiem o księciu Siedmiogrodzkim. Jesteś w twej miłości biednych i ubogich zbyt gorąca, a nadto nie mówisz prawdy, bo wiem, że inaczej myślisz o księciu i dziś czyś nie odpierała zarzutów, które mu czyniono?

— Niech szanowna pani pozwoli jej mówić swobodnie — rzekł Ecsedi. Nie jest to teraz Celesta, łagodna gołąbka, anielska dziewica, w której oczach niebo się odbija, a w głosie słodycz się rozlega! Ona teraz jest córką swego rodu, Saksonką!

— Nie! — odparła żywo Celesta. — Jestem córką tej ziemi

i nie o samych Sasów mi chodzi. Wszyscy cierpią w całym Siedmiogrodzie.

— Że nie siedzą przy ciepłym piecu!—odparł Ecsedi też żywo.— Nie, nie.... to tylko Sasi burzą się i zatruwają buntem umysły, co jednak na nic im się nie przyda, bo książę wie, co powinien czynić i spiski unicestwiać, rozkazywać. nie prosić, to jest jego prawo. Nasz teraźniejszy władca wie, co mu przystoi dla jego i kraju godności. Nie ustąpi cudzej woli, nie zwróci uwagi na szmery, które się z dołu wznoszą, na nizkie dążenia, myśli, żądania! Czynić będzie to, co sam uzna za dobre!

— Ależ to tyrania! — zawołała Celesta.—Gabryel Batory powinien być wykonawcą praw i stróżem paktów zawartych między nim i narodem. Samowola, to pierwsze stopnie jego upadku.

Ecsedi zamilkł i sposępniał. Zdawało się, że jakieś surowe słowo drży na jego wargach, ale wnet się uspokoił. Oko jego tęsknie spoglądało na surową mówczynię. Celesta była też dziwnie piękną w tej chwili, jak zwykle, gdy z głębi jej serca wydostające się uczucie, rzucało swój blask na piękne jej lice. Dusza jej była niepowszednia i takiej to towarzyszki życia byłby potrzebował ów książę, którego nazywała okrutnym a inni szalonym. Był on przedewszystkiem namiętny i gwałtowny, samowolny a nie miał obok siebie nikogo, któryby umiał pokierować go, powstrzymywać w chwilach fantazyi i uniesienia.

Ecsedi lubił patrzyć na Celestę w chwilach takiego zapału i widać było z jego oczu, że miłość potęguje mu się w sercu, gdy szlachetność jej uczuć, podnosi ją nad zwykłą płci jej sferę. Ale obecnie czuł się jakgdyby dotknięty jej sądem o księciu, którego był przecież przybocznym rycerzem.

Zdawało mu się, że jest za surową, że nie rozumie położenia osoby panującej, i oto znać uczuł do niej taki żal, że aż wyraził się on we wzroku pełnym głębokiego smutku i wyrzutu, z którym patrzył na Celestę.—I ty przeciwko niemu.... zdawały się mówić jej oczy młodzieńca.

Widać było, że skarży mu się na to serce w piersi. Był snadź powiernikiem Batorego i wiedział, że książe miał inne zamiary i cele, jak sądzono o nim w narodzie.

Weinrauchowa milcząca siedziała na ławce, spoglądając od czasu do czasu na Ecsediego. Kręciła głową, aby pokazać, że jest innego zdania, niż Celesta.

W kilka chwil potem, Ecsedi dał jakiś znak tajemny Weinrauchowej, która wnet, zamknąwszy książkę, wstała z miejsca i cicho oddaliła się do miasta.

— Dokąd idziesz ciotko?—zapytała Celesta.

— Natychmiast powrócę — odrzekła p. Ida, dając jednak oczyma znaki Ecsediemu.

— Zimny wieczór — rzekła Celesta z obliczem, które płomieniło jeszcze wzruszeniem gorącej rozprawy.—Nie pójdziemyż, Gabryelu do domu? Sędzia królewski skończył już pewnie urzędowe swe zajęcia i czeka niespokojny na nasz powrót.

— Pozostań!—rzekł Ecsedi tak krótko, jakgdyby rozkazywał.—Ton był taki, jakiego dotąd nie użył do niej nigdy.

Celesta, która mówiąc ostatnie słowa powstała, siadła znowu prawie mimowoli.

Młodzieniec teraz się rozpogodził.—Czyż ci to nie jest rzeczą miłą, że będziemy sami—zapytał łagodnie. — Czyż ci dałem powód, abyś się mnie lękała, Celi moja?

— Abym się lękała?— zapytała Celesta, z dumnem podziwieniem.—Dlaczegóż miałabym się lękać ciebie?

— Jesteśmy przyjaciółmi, choć się sprzeczamy czasem — dodała już bardzo słodko, lecz zaraz wkrótce twarz jej zaszła jakoby chmurą.—Postępowanie ciotki jest dziwne—rzekła.

— Jakto?

— Odchodzi jakgdyby umyślnie, abyśmy pozostali we dwoje tylko. Wiem że jest twoją przyjaciółką, ale nie lubię tego.

— Cóż w tem złego jest jednak? Przyznam ci, że mnie najmilej jest wtedy przy twym boku, gdy nikt trzeci nie stoi między nami. Gdy jest ten ktoś, niepożądany nigdy dla mnie, nieraz sprzeczamy się ze sobą, gdy jesteśmy sami jesteśmy w zgodzie.

— To dlatego — rzekła Celesta z uśmiechem — że przedmiot o którym mówimy wtedy, miłość serc naszych dla siebie, nie daje nam powodów do sporu. Ale postępowanie ciotki daje do myślenia, jakby... — tu Celesta zamilkła spłoniona.

— Jakby chciała uczynić stosunek nasz bliższym? Cóż w tem złego ukochana? Słowa miłości płyną goręcej, gdy ich nie słucha nikt trzeci—trzeci jest zawsze zbyteczny i przeszkadza tym, którzy się kochają. Ciotka twoja to wie—wie, jak serce moje jest przepełnione miłością, więcej może, niż ty sama.

— Niż ja — zawołała dziewica—to nie prawda Gabryelu!

Kochałabym cię może, gdybym ci nie ufała nawet, bo miłość jest nieświadoma, lecz wtedy nie powiedziałabym ci tego; a patrz, ja mówię z radością: kocham ciebie!... ciebie, któryś jest szlachetnym!

— I zawsze będziesz mnie kochać?

— Zawsze, do ostatniego tchu mego na ziemi.

— I zawsze tak zimno, jak dotąd?

— Zimno? — spytała urażona Celesta. — Czegóż chcesz, abym ci przez to miłości mej dowiodła? Ach! gdybyś w serce moje mógł spojrzeć.

— Jakież dowody miłości dałaś mi dotychczas? Ja goreję, ja pragnę twego widoku, jak zbawienia, a ty przyjmujesz mnie, jak wszystkich innych. Jeden pocałunek, jeden uścisk uniósłby mnie w niebo, a ty!

— Ja — rzekła Celesta — czuję miłość mą w sercu. A przytem ty wiesz, kiedy dziewicy wolno jest dać i przyjąć pocałunek!...

— Ach! Celi, ty jednak zimną jesteś... Miłość twoja nie porywa cię tak i nie unosi, jak mnie—namiętnie, gorąco, po za granicę suchych rozumowań! Przyjaciołki, ojciec, każde dziecko ma do pocałunku twego prawo, ja tylko jeden jestem wyklęty, nie mogę ust zbliżyć do ust twoich...

— Ach! bo... — rzekła Celesta, rumieniąc się, i zamilkła.

— Bo?

— Ach, po cóż się pytasz? Dziecko, krewnych, przyjaciółkę całują usta, a ciebie Celesta, kochająca kobieta, pocałowałaby inaczej... Dusza cała spłynęłaby mi na usta i rozkosz pocałunku przecięłaby mi życie na dwoje.

— Celesto! — zawołał Ecsedi, — najczystsza i najszlachetniejsza ze wszystkich cór ziemi, czyż się lękasz, aby życie twoje nie spłynęło się z mojem? Ach to właśnie jest tą rozkoszą, tym upajającym szałem pocałunku! Przestają już być dwie istoty; staje się z nich jedna! O Celi...

Posunął się, wyciągnął ramiona, ale ona cofnęła się poważnie w tył.

— Gabryelu —zapytała—czyż dobrze jest tak tracić siebie w istnieniu drugiem, gdy życia nie są jeszcze połączone ze sobą? Ach! i tak nie jestem ja już tą samą, co niegdyś... Moja swoboda dawna, mój spokój słodki, odbiegły duszy mojej, w której była niegdyś cisza głęboka. Teraz, gdy serce me oddałam tobie, niepokój ciągły tkwi we mnie Minuty liczę, nim nadejdziesz;

godziny mkną jak chwile, gdym jest z tobą; dni są dla mnie teraz, jak ptaki skrzydlate i wtedy tylko zdają mi się nieskończone, gdy czekam cię, a ty nie przybywasz... I jeżeli miłość twa dla mnie jest prawdziwą i taką, jak moja dla ciebie, nie chciej nic takiego, aby dusza moja jeszcze więcej pokoju utraciła.

Ecsedi uśmiechał się poważnie i łagodnie do lubego dziewczęcia, które czyniło z nim co chciało. Może być, że on, który znał już siły uścisków i ognie pocałunków, nie widział w nich tyle niebezpieczeństw, co Celesta. W biegu życia tracimy wiele z pierwszych wzruszeń serdecznych, a on pewno już nieraz wyznawał miłość swą kobiecie; nieraz już może powtarzał te same prośby i słyszał te same odpowiedzi i dla tego wydawało mu się że to jest trochę ceregieli dziewczęcych, za które przecież nie obrażał się, a przeciwnie Cella jego wydawała mu się tak uroczą w tej chwili, że czuł do niej za to wdzięczność jakoby jakąś.

Nieraz już w płomiennym uścisku ramion niewieścich długie pragnienie serca uspakajał pocałunkami i serce to mu biło wtedy gwałtownie, krew płynęła falą gorętszą, oczy błyszczały. Lecz dusza jego wkrótce na nowo zaczynała tęsknić, jakgdy za utraconym edenem, który gdzieś się ukrył, zginął wśród labiryntu dróg życia. Ecsedi był w pierwszych latach wieku mężkiego, był jednym z najpiękniejszych ludzi Węgier i Siedmiogrodu. Nowym swym znajomym mówił, że przybył z Węgier za księciem, wesołym myśliwym, zręcznym łowcem zwierzyny i rozkoszy życia, Gabryelem Batorym, którego dwór był wspaniale urządzony i świecił kwiatem pierwszych pań z całego Siedmiogrodu.

Ecsedi silnie, ale ruchem poważnym pochwycił obie ręce dziewicy i pociągnął ją cokolwiek ku sobie. Twarz Celesty pałała. Było coś tęsknego, coś marzycielskiego w wyrazie jej oczu i tak samo patrzyły oczy Ecsediego, gdy spojrzenia ich spotkały się ze sobą i utonęły w sobie. Był to pocałunek dusz i biedna dziewczyna nic nie wiedziała, że nie był on więcej bezpiecz ym dla jej spokoju, jak pocałunek ust.

— Gabryelu — rzekła jakby ze snu zbudzona. — Czas już powracać do domu. Czy odjeżdżasz czy zostaniesz u nas na wieczerzy?

— Mogę dziś zostać i długo. Dostałem od księcia pozwolenie. Jeżeli chcesz, zrobimy wycieczkę naokoło miasta, albo

może na harfie mi zagrasz, zaśpiewasz jaką pieśń lecz nie niemiecką ale węgierską, która tak słodko dźwięczy w twoich ustach. O północy dopiero odjadę,

— Na prawdę? — zawołała wesoło Celesta. — Jakżem kontenta, o jak kontenta!

Jak dziecko radośnie klaskała w ręce i oparłszy się na silnem ramieniu Gabryela, skierowała się z nim razem ku ciemnym murom miasta.

Nim oni zajdą do domu królewskiego sędziego w Koholom, objaśniemy czytelników, że mąż pani Idy z równemi jak i żona jego honorami przyjmował u siebie Ecsediego.

Celesta tłómaczyła sobie to w sposób bardzo prosty. Weinrauch był już wysokim urzędnikiem, był więc rad temu, że przyjmuje w swym domu Ecsediego, który był przybocznym dworzaninem księcia, więc starał się okazywać mu przyjaźń i życzliwość. Tą drogą, jak może sądził, zdobędzie wyższe stanowisko; tembardziej, że młodzieniec szczycił się przyjaźnią księcia i znał wiele jego tajemnic.

Ecsedi poznał Celestę przypadkiem, gdy przejeżdżał raz przez miasto i od pierwszej chwili owładnął jej sercem. Silny, wesoły nieco imponujący, ale odważny i piękny rycerz, wywarł na młodej siedmnastoletniej dziewczynie silne wrażenie. Była to pierwsza postać męzka, obca, którą napotkała w życiu. Miłość ją oczarowała.

ROZDZIAŁ IV.

Dawne piękne czasy.

..... walczą dwaj bohaterowie
Już nacierają na siebie w galopie,
Już lecą iskry od ich groźnych mieczów.
Vörösmarty.

Wrzawa dnia i odgłosy wieczoru umilkły powoli. Sina, ciemna mgła osiada na sennych lasach i zroszonych równinach.

Potoki górskie, niby srebro żywe, promienieją dyamentowemi błyskami księżycowego światła, wytwarzając śród uroczystej ciszy fantastyczne obrazy i budząc w duszy mary nadziemskie, unoszące w krainę czarów, do której ludzie tęsknią zawsze i wszędzie, i w której malujemy sobie szczęście bezchmurne, spokój nienaruszony, z którego nikt już do trosk i cierpień nas nie zbudzi.

Wszędzie cisza, cisza tak głęboka, że zrachować można kroki pełzającego za zdobyczą lisa i ruch skrzydeł nocnego ptaka, lecącego za łupem. Zdala dochodzi jednostajna muzyka świerszczów i krakanie mieszkańców trzcin nadwodnych.

Droga Kohalomska była pusta i wiła się w koło gór ciemną wstęgą. Zdala błyszczące ognie iskrzyły się czerwono i wśród mroku gęstwin leśnych wydawały się jak latarnie na dachach ciemnych domów. Baczniej się przyjrzawszy, poznalibyśmy, że te płomienie oświetlają obóz książęcy, że te czerwone łuny pochodzą od ognisk które się palą w namiotach myśliwskich.

Naraz uroczyste milczenie nocy przerwały dźwięki muzyki, ale nie były to miękie dźwięki harfy eolskiej, lecz z wesołem rżeniem rumaków złączone granie myśliwskich rogów, drażniący wrzask kobzy i pieściwe tony cymbałów. Panowie w obozie weselili się widać, choć już się północ zbliżała.

Ówczesne życie księcia nie może być porównane z dzisiejszem życiem panujących monarchów. Dziś mieszkają oni w wielkich pałacach, marmurowe schody prowadzą do ich komnat; gdy dźwięczy im muzyka, jest ona artystycznie piękna i poważna. Twarze, ruchy, kroki, wszystko jest przepisane i obrachowane. Szczerość, swobodna wesołość, głośny śmiech—zostały usunięte po za granicę tego wyniosłego istnienia na szczytach społecznych. Wszystko bierze tam postać uroczystą, godności pełną, wspaniałą i wytwarza w koło siebie niedostępność. Książęta dzisiejsi są jak bogowie ziemscy, a ich pałace, jak wyspy nieznane dla tłumów.

W epoce naszego opowiadania działo się inaczej. Była jakaś wrzawa, bił jakiś blask wspaniały od życia ówczesnych wielkości.

Książę Gabryel Batory przemieszkiwał najwięcej w Teheswarze, komnaty jego pałacu lśniały rzęsistemi blaski. Przy stole nigdy nie był sam, liczni goście w przepysznych strojach na pół wschodnich, przesiadywali naokoło niego. Książęta zwykle dzielili stół i uciechy życia z tymi. którym panowali. Dni

i tygodnie całe bawili na dworach znaczniejszych panów, przyjmując udział w ich zabawach i zajęciach. Kobiety jak kwiaty wiosenne, zdobiły promieniami swych oczu ten korowód świetny, pełny szczerej wesołości, śmiechu. wrzawy i blasku. Książęta siedmiogrodzcy nie oddzielali się chińskim murem od narodu, ale zbliżali się do niego, dzieląc jego radości i troski, poznając się ze sobą wzajemnie.

Lecz co najbardziej odróżniało życie dworskie ówczesne od dzisiejszego, to ciągłe obozowanie, ciągłe łowy, współubieganie się w dziełach męztwa, siły i rycerskich zręczności. Śród gąszczy ciemnych lasów bukowych, na zielonych równinach, na malowniczych szczytach gór skalistych—upływało życie rycerzy z orszaku Gabryela Batorego, a przebywanie pod namiotami, silniejsze budziło życie, niż pod purpurowemi oponami pałaców, niż w blaskach złoconych żyrandoli.

Pod cieniem wiejących swobodnie śród lasu chorągwi, swobodna gromada myśliwców zmieniała się często w pełne wrzawy zebranie, wesołe i zdrowym ruchem urozmaicone.

Naokoło księcia w niewiele mniejszych i niewiele mniej zbytkownych namiotach, mieszkali inni rycerze. Jakkolwiek blisko siebie stały namioty, było między niemi więcej przestrzeni, niż między pokojami, jakie nowoczesnym bogaczom dają ściany ich kamienic i pałaców.

Na malowniczych słupach dębów i buków lśniły przed namiotami czapraki, siodła, trenzle i oręż, we dnie migotały w nich złote promienie słońca, w nocy czerwone blaski ognisk leśnych.

A jak wesoło życie wrzało naokół! Rycerze byli odziani w żywe, świetne barwy, a każdy miecz miał u boku. Niezliczona służba znajdowała się w ciągłym ruchu, zawsze gotowa na rozkazy.

Znajdowały się tu i wozy pokryte dachem płóciennym—ale to bardzo rzadko i dla kobiet tylko. Piękne, rącze konie, arabskie lub tureckie we wspaniałych rzędach rżały wesoło, galopując śród lasów wonnych i świeżych, choć mrocznych, lub stojąc nad żłobami pełnemi pożądanego obroku.

Wszystko wyglądało żywo, zdrowo, wesoło, wszystko miało cechy rycerskie. Wszędzie dźwięczała muzyka, nogi harmonijnie uderzały ziemię w takt, a z rąk do rąk krążyły złote puchary.

Tylko w czasie wojen i klęsk, obozy przyjmowały charakter poważniejszy; lecz i wtedy były one bardziej ożywione, głośne, dzielnie spokojne wobec niebezpieczeństw każdej chwili. Dziś w obozach żołnierza, idącego na bój z wrogiem, mieszka cisza i nieruchoma powaga; w tamtych czasach był tam ruch i ciągła muzyka, ciągła wrzawa.

Nieraz książęta w czasie wojny, odkładając na bok ciężkie sprawy, oddawali się łowom po lasach i trzęsawiskach.

Otoczenie Batorych, jak na ówczas, było wspaniałe. Imponujące zamki, których ruiny dziś jeszcze zdumiewają, dowodzą, że Baterowie byli nietylko dzielnymi rycerzami, ale także posiadali wykształcony smak i zamiłowanie w wytwornej architekturze. Sród błotnistych łąk zbudowali oni wspaniały zamek Ecsed — którego kamienne ściany tworzyły jakgdyby wyspę, wśród otaczających go trzęsawisk.

Gabryel Batory, ostatni potomek znakomitego i starożytnego rodu, niemniej lubił ów blask i wspaniałość, którą później jeden tylko Gabryel Betlen starał się wśród szlachty Siedmiogrodu jeżeli nie naśladować, to przynajmniej coś z niego zachować. Młody władca, ostatni ze swego rodu, trzymał liczny dwór i kogo lubił, tego bogato darzył dobrami i zamki, a że mimo tego, coby mu zarzucić było można, sympatycznym był dla ludzi, cała magnaterya cisnęła się do niego. Że przytem młody książę był dziarski i pełen rycerskości, zrobił on towarzyską zabawą—polowanie. W czasie, od zajęć państwowych wolnym, namiętnie oddawał się łowom coraz w innej stronie Siedmiogrodu.

Że chował się i wyrósł na rycerza przy boku ojcowskim w Węgrzech, ze słyszenia tylko znano go w Siedmiogrodzie, dlatego też, gdy go na księcia wybrano, objechał on naokoło powierzone rządom swym ziemie, ale młody i romantycznej natury, co nie było rzadkością między rycerzami owego czasu, chciał objechać kraj pod zmienionem nazwiskiem, co jednak trudnem było do pewnego stopnia, bo szlachta niemal cała, poznała go już w stolicy. Chciał przecież jechać swobodnie, bez owacyj, poznać bliżej ludność miejscową, może wreszcie miał jakie jeszcze powody do zatajenia nazwiska—może chciał się dowiedzić o nadużyciach i zbadać stosunki, ukrywane przed nim? Przytem godność książęca ciążyła mu. Gdy znalazł się w towarzystwie, gdzie nie miał potrzeby kłaść na twarz maski książęcej powagi, wtedy pokazywał całą swoją istotę: był wesoły, żartobliwy,

lubił wino, uczty, toasty. Niezmącona, szczera, swobodna radość tryskała wtedy z jego zdrowej, silnej twarzy i kto wie, czy młody Gabryel był wdzięcznym losowi, że go uczynił księciem, gdy jemu byłoby dość być magnatem i rycerzem — młodym, silnym, pięknym mężczyzną, takim naprzykład jak ten, który około północy galopował drogą wiodącą od Köhalom. Zbrojny był ostro ów rycerz; u boku jego lśnił miecz trójkątny, jakiego w owym czasie używano do pojedynków i lżejszej walki przygodnej, a w olstrach mieściły się dwa pistolety. Rycerz przystanął chwilę i spojrzał wokoło. Księżyc jasno świecił. Rycerz wyjął pistolety i obejrzał je, poczem wyciągnął jak długi miecz, który od światła księżycowego błyszczał srebrnemi promieniami.

— Dumny wrogu! — szeptał półgłosem — spóźniasz się jak widzę! Pono łatwiej jest mówić wyniośle, niż się bić.... Widzę ja, że do tych bohaterów należysz, mój bracie.

Rycerz oglądał się do koła, i mimo tego co o wrogu myślał, czekał go jednak.—Kto on jest? Kto on jest?— łamał sobie głowę myślami. — Czy to nie *on*? Tak, *on* to niewątpliwie *on*.... Ecsedi.

— Będę czekać choćby do świtu— dodał młodzieniec i zeskoczył z konia, przywiązał go do drzewa i począł chodzić po łące, a czytelnik pewno już odgadł, że to jest Sewer, zatrzymany w początku swej podróży przez spotkanie z Ecsedim, którego się też domyślał w wyniosłym rycerzu, spotkanym w pobliżu bram miasta. Sewer jeszcze nie zdążył pomyśleć kto to być może, gdy machinalnym niemal ruchem ukłonił mu się, choć nieznajomemu, bo taki był obyczaj ówczesny. Drogi nie były jeszcze wtedy tak pełne podróżnych, jak obecnie i spotykający się na nich ludzi pozdrawiali się wzajem, jeżeli nie słowem to ukłonem, którego jednak dumny rycerz oddać mu zapomniał. — Hola!—zawołał wtedy Sewer — czyżbyś miał rycerzu być dotkniętym ślepotą?

— Widzę ja to przynajmniej, że jesteś mój panie podróżny, Szwab — odparł mu Ecsedi. — Ustąp mi z drogi, bo nie mam żadnego interesu do ciebie?

— Ale ja go mam zawsze do tych, którzy są zuchwali!— wykrzyknął już teraz w uniesieniu namiętnem Sewer i wkrótce przyszło do wyzwania. Że się domyślał w spotkanym Ecsedi'ego, poburzyło mu to krew goręcej i uczyniło impetyczniejszym. Ry-

cerz przecież odmówił walki w tej chwili, i dał do niej termin o północy na drodze tej samej, gdzie nastąpiło wyzwanie. Sewer stawił się na słowie, ale wyzwany przez niego opóźniał się i już niecierpliwość zaczęła ogarniać młodego Sasa, gdy nareszcie dał się słyszeć w oddali głuchy tentent konia.

— A! jest przecież!—mruknął Sewer i rzeczywiście Ecsedi ukazał się wkrótce. Jechał tak spokojnie i tak powoli, jakby wybrał się na spacer przy księżycu. Ale ujrzawszy Sewera i on się poruszył.

— A! — krzyknął zdaleka. — Toś to zatem ty, waleczny i mądry, jak Salomon, komendant hermansztadzki! Podoba mi się to, żem cię tu już zastał.... Teraz też kłaniam się i ja waszmość panu.

Sewer milczał, tylko położył rękę na głowicy miecza.

— Poczekaj waść chwilę — rzekł Ecsedi, zdejmę tylko płaszcz, aby mi było lżej rąbać się z tobą. Możebyśmy próbę zrobili, bijąc się najpierw z konia. Ale jak widzę, panie komendancie, przypasałeś sobie do boku miecz, a ja mam tylko coś jak rożenek....

Śmiejąc się rycerz węgierski, wydobył z pochwy długi pałasz i podjechał koniem wprost na Sewera.

— Jak się podoba! — odparł Sewer, któremu dworskość słów Ecsediego wydawała się ironią i impertynencyą.

— Zatem na koń, łaskawy panie!—zawołał wesoło Ecsedi, zdejmując płaszcz i odrzucając go daleko.

Sewer szybko też skoczył na konia.

— Oręż — rzekł wyciągając swój miecz trójkątny, mamy jednakowy.—W chwili naszego spotkania, spojrzałem na twoją szablę, rycerzu, i poszukałem sobie takiej samej.

— Wszystko mi to jedno—przerwał Ecsedi i ściągnął konia uzdą tak, że ten w jednej sekundzie znalazł się naprzeciw Sewera.

— Jeszcze jedno słowo—zawołał ten dumnie.— Przed walką odwołaj obelgę, jaka się kryła w głosie twym rycerzu, gdyś mnie nazwał Szwabem. Jest to zwyczajem rycerzy tak czynić.

— Bardzo dobrze!—odrzekł Ecsedi.—Słowo które mi z ust wybiegło, było mimowolnym wykrzykiem. Już to każdy Węgier, chcąc niechcąc, choć szepnie je sobie, ujrzawszy Sasa.

— Bez objaśnień! — przerwał Sewer i spiął ostrogą konia tak, iż skoczył on ku Ecsediemu. Ten cofnął się nieco w bok.

— Słyszysz waszmość, jak tam w obozie weselą się panowie myśliwi—rzekła.—Wolałbym był i ja wypić u Weinraucha jeszcze jeden kielich słodkiego wina, niż tu z waszmością się rozprawiać. Ale jest tu nam za ciasno. Może znajdziemy nieco dalej szersze pole do walki.

— Owszem!—odrzekł Sewer—i konie się zrównały ze sobą, a dwaj młodzieńcy, jak najlepsi przyjaciele, jechali obok siebie, póki nie natrafili na obszerną łąkę.

— Oto właśnie czego nam trzeba—rzekł Ecsedi.

Zjechali w bok i stanęli naprzeciw siebie. Długie ich miecze błyszczały w srebrnych promieniach księżyca. Z rzadką zręcznością i szybkością skoczyli ku sobie, zadając razy i odbijając je. Szło to żywo i obie strony były w grze tej równe sobie. Krzyżujące się miecze szczękały, tworząc śród tej nocy jasnej, śród ciszy głębokiej muzykę dziwną i przenikającą.

Walka przeciągnęła się dość długo bez żadnego rezultatu.

— Nie mamy szczęścia—rzekł Sewer—dla którego byłoby może rzeczywistem szczęściem utopić miecz w piersi Ecsediego.

— Pieszo się spróbujemy? — dodał. — Czyż nie jesteś zgoła rannym rycerzu?

— Nie—odpowiedział dumnie Ecsedi — i mam nadzieję, że tego nie będzie. Zatem pieszo?

Więc ściągnęli uzdy, i obaj szybko zeskoczywszy z koni, przywiązali ich do drzew i stanęli naprzeciw siebie.

— Spocznij waszmość chwilę—rzekł Ecsedi!

— Nie! nie jestem zmęczony—odparł Sewer.—I rozpoczęła się walka z podwójnym zapałem. Po ręce Ecsediego spływała krew, ale miecz ani na chwilę w niej nie drgnął.

Nagle Sewer, nieostrożnie pierś odsłoniwszy, uczuł w niej zimno stali przeciwnika i raniony upadł na ziemię.

Ecsedi szybko pochylił się ku niemu.—No!—rzekł—czy żyjesz jeszcze?—zapytał nie bez drżenia w głosie.

Sewer otworzył oczy.

— Tak—rzekł po chwili — ale wiem, że miecz wasz zadał mi raz niebezpieczny. Oddycham z trudnością, chwile moje są policzone.

Ecsedi, miecz oczyściwszy cokolwiek z krwi, rozciął suknie Sewera i szeroką jego szarfą zatamował upływ krwi.

— Czy mógłbyś wasze dojechać do Kohalom? — zapytał Ecsedi łagodnie. Ja ci dopomogę, będę przytrzymywać....

— Nie wiem!—szepnął Sewer słabo.

W tej samej chwili dał się słyszeć w pobliżu szelest gałęzi i gwiznięcie dziwne, jakgdyby jakiegoś nieznanego ptaka.

— Cóż to jest?—pomyślał Ecsedi, pochylony nad Sewerem. Ale nie odwrócił głowy i nie badał, zapomniał on zupełnie o sobie, troskliwie zajęty Sewerem, którego głowę dźwigał, podłożywszy mu rękę pod plecy. Czynił to delikatnie, uważnie, jak brat lub przyjaciel.

W tej chwili też wysmukła postać szczupłego chłopca znalazła się obok niego. —Jestem ci do pomocy rycerzu—rzekł nowo przybyły.

— A, to ty Dimonie! Coś tu robił i czego chcesz? Możeś szpiegował?

— Może być—odparł chłopak.—To jest może być, że mając dobre oczy, widziałem z mego noclegu, vulgo tego tam drzewa, co się działo w okolicy.

— Łotrze!—zawołał Ecsedi, ale urwał, bo podniósł o tyle Sewera, że ten siadł.

— Wasza wysokość pozwoli....

— Coś rzekł i do kogo tak mówisz?—krzyknął Ecsedi.

— Do szatana—odparł Dimon—do szatana, panie, bo on to przyprowadził mnie drogą złych duchów, inaczej mówiąc po wierzchołkach dębów na tę tu łączkę.

— Pomóż mi wszystkowiedzu. Może wiesz jak się zawiązują rany? Przewiąż szarfą, którą tu oto masz, tego rannego wojownika.

Dimon nie bez zręczności zabrał się do roboty. Rana Sewera była ciężka, lecz nie niebezpieczna. Miecz nie naruszył szlachetnych części ciała, tylko bok przebił. Kiedy Dimon przewiązywał Sewera szarfą, jak bandażem, Ecsedi jedwabną swą chustką ocierał delikatnie krew spływającą z rany.

— Dlaczego siedziałeś na drzewie?—zapytał po chwili Dimona—czego tu chciałeś?

— Znudziłem się w obozie, pan jego nie przybywał, zapóźniając się dłużej, niż zwykle. To pozwoliło myśliwym weselić się ochotniej. Więc wypróżnili wiele pucharów za jego zdrowie i powodzenie w miłości!

— Milcz!—zawołał gniewnie Ecsedi.

Po śmiertelnie bladej twarzy Sewera, przeszedł różowy płomień.

— Celesto! — jęknął — jakież to usta mówią tak lekko o tobie....

— Cicho bądź, waszmość, nakazał z nagłą powagą Ecsedi. To co się dziś stało między nami, powinno zostać zapomnianem. Rana nie jest niebezpieczną: wnet przewieziemy waszmość do miasta, wyzdrowiejesz wkrótce.

— Czyś tu tylko jest sam jeden?—zapytał chłopca. Nikogo z tobą niema? Mów tylko prawdę i nie kłam.

— Panowie—rzekł Dimon—byli trochę niespokojni. Przypuszczali, że może jaka przygoda spotkała was, panie. Ale nie było nikogo, coby mógł iść na zwiady. Nogi ich chwiały się a głowy ciążyły jak ołów. Musiałem więc ja się wybrać.

— A dlaczego siedziałeś na drzewie?

— Usłyszałem tentent kopyt końskich, lecz zdaleka nie poznałem waszego płaszcza, panie, weszłem więc na to, przez naturę zbudowane obserwatoryum....

— Aby mnie podglądać.... Na ten jeden raz ci przebaczam. Ale jeżeli raz jeszcze będziesz kroki moje śledził, powieszę cię na pierwszem obserwatoryum, zbudowanem przez naturę. Książę dowie się też o tem—dodał po chwili milczenia.

Dimon uśmiechnął się. — Książę, który jest w Siedmiogrodzie zastępcą Pana Boga, a zatem wszechwiedzącym *już to wie*— rzekł.

W duszy jego walczyły rozmaite myśli, duma Ecsedie'go nic go nie obrażała. W oczach jego błyszczał jakiś ogień rzeczywiście piekielny. Jakiego był on rodzaju? może nie wiedział dowodnie i on sam, ale w każdym razie należało mu milczeć. Przecież strachu, obawy, natura jego nie znała.

— Dziękuję wam panie, za mieszkanie tak wysokie — dodał też. Gdybyście jednak panie przychylili się do moich życzeń, to wolałbym pozostać na dzisiejszą noc na ziemi. Ale cóż poczniemy z tym kawalerem? Rana dostatecznie zawiązana, chłód nocny jej nie dosięga, krew już nie płynie. Konno przewieziemy rannego do miasta; tam łatwiej i prędzej się wyleczy.

— Trzymaj rycerza — odparł gromko Ecsedi, i podawszy rękę Sewerowi—rzekł:—Muszę wracać do obozu, bo tam czekają na mnie, a potem zaraz zwrócił się znowu do Dimona.

— Zawieziesz rannego do Köhalom, lecz nie do miasta, tylko do wioski i oddasz go hanowi, to jest sędziemu królewskiemu w imieniu księcia, pozdrów od niego sędziego i wszyst-

kich w tym domu. Już ja powiem o tem księciu, a ten zapewne zgodzi się na to, com zrobił.

Dimon milczał i trzymał za wędzidło konia Sewera, na którym ranny został umieszczony przez Ecsedi'ego, który teraz siadł na swego rumaka.

— Jeszcze jedno — zawołał na Dimona — skoro skończysz robotę, czekam cię w obozie, będziesz mi potrzebny. — Żegnam was panie—dodał zwracając się do Sewera.

I spiąwszy konia ostrogą, popędził naprzód przez ciemne gęstwiny, zarosłe berberysem i dzikim agrestem.

Ucichł odgłos kopyt oddalającego się konia; Dimon zaś powoli prowadził chorego, którego koń uderzał ziemię nogą, jakby cieszył się z powrotu do domu.

Na twarzy Dimona znać było niepokój. Jak mu się zdawało, trudno było ukryć tajemnicę w tym lesie, dość uczęszczanym.

— Jak się mamy?—rzekł w końcu Dimon, który nie lubił milczeć, i którego krótka, ale męcząca droga do Köhalom zaczynała już nudzić.

— Słabym jest—odparł Sewer.

— Możemy jednak rozmawiać, a właśnie chciałem was panie o coś zapytać.

— Chętnie odpowiem.

— Powiedz mi waszmość, kiedy spodziewają się powrotu Weissa od wojewody Raduli.

— W końcu tego miesiąca powróci.

— Jesteś panie Sasem, jak mi się zdaje.

— Tak.

— Dobrze. Ja też powiem panu o sobie. Los mną rzuca na wszystkie strony, jak piłką. Gdyby Weiss potrzebował kiedy takiej piłki, znajdzie ją we mnie.

Sewer uważnie przyjrzał się mówiącemu; jakaś myśl przyszła mu do głowy. Dość długo milcząc, przypatrywał się Dimonowi, wreszcie niechcąc się z czemś wymówić—rzekł:

— Weiss nigdy usług nie zapomina.

— Ja—rzekł Dimon — jestem obecnie w orszaku księcia, a raczej będę, mogę jednak uważać to już za fakt. W jakim stosunku jesteście rycerzu z Weissem?

— W bardzo ścisłym, w takim, jaki komendanta Hermansztadu może wiązać z najznakomitszym wśród obywateli kon-

4*

sztadzkich, który prędzej czy później zostanie burmistrzem tego miasta.

— A! więc mam honor rozmawiać z komendantem Hermansztadu, imci panem Sewerem, jak go zwią ogólnie.

— Tak. A cóż to może obchodzić dworzanina książęcego?

— Nic. Zatem Weisz powraca w końcu tego miesiąca. Czy nie mógłbyś mi panie komendancie wyświadczyć łaski zapoznania mnie z dzielnym Weissem.

— Dlaczego nie? Cieszę się zaufaniem Weisza; możesz waszmość mówić ze mną swobodnie.

— Czy mogę mówić o czemś, co interesuje Sasów?

— O Kronsztadzie i Burzenlandzie?

— O tem, że Weiss staje się coraz popularniejszy w całym kraju. Co przecież, według was panie, myśli o tem książę?

— Książę? Szczególne pytanie w ustach książęcego sługi?

— Sługi? — zawołał dumnie Dimon — lepiej się wyrażałeś rycerzu poprzednio zowiąc mnie dworzaninem. Mogę być powiernikiem, jeżeli ta rzecz się stać może, a nawet zdrajcą, ale nigdy sługą. Do czarta. Nie byłbym posłał do piekła Belzebubowi cyrografu na moją duszę, gdybym się miał sługą uczynić.

— Nie znałem tak dobrze waszmości. Ale chcę wiedzieć, o co idzie ci ostatecznie?

— Rozumiem! — rzekł chytrze Dimon — jesteś rycerzu po sasku ostrożnym i mądrym. Dlatego mowa wasza jest ostrożną. Piękny to przymiot, ale nie można się nim rządzić zawsze. Mówmy więc otwarcie, ja zacznę.—Książę nie bardzo mi się podoba. Młody jest, prawda, może z niego być człowiek dzielny, jak Stefan, ale może być również taki okrutnik i awanturnik razem jak Zygmunt. Ma on jedną wielką wadę: nie umie ludzi dobierać.

— To żart. Mówisz sam przeciw sobie.

— To się nie pisze w regestr, szanowny panie. Jestem dziś na dworze księcia kurczakiem, ale mogę stać się orłem, gdy się wypierzę ostatecznie. A wzrok już dziś mam orli, lub blisko tego, umiem patrzyć i wszystko widzę — wszystko. Znam już tak dobrze wszystkie stosunki i sprawy dworu, jakbym tam się urodził i wyrósł; ledwie 4—5 godzin jestem w obozie, a już doskonale znam się ze wszystkimi panami.

Sewer słuchał samochwalstwa chłopaka, lecz nagle cierpienie skrzywiło mu usta.

— Rana mi się jątrzy, febra zaczyna mnie trząść, a oczy się kleją do snu. Czy długą jeszcze drogę mamy przed sobą?

— Średnio, średnio długą zacny panie.

— Powinienem co prędzej spocząć, bo może przyjść gorączka.

— Jest w Köhalomie stara lekarka, która wam pomoże panie. Tylko chwila cierpliwości. Skracajmy jej długość, jak można, to jest rozmową, którą chcę was panie bawić. — Otóż jest tam przy dworze niejaki pan Imrefi dumniejszy od księcia, choć ten każe wszystkim klękać przed sobą. Drugi, nazwiskiem Kamuli, to wszędobylski i ręce jego długie, sięgają wszędzie. Obaj ci ludzie to moje wrogi: pyszniejsi od tatarskiego chana, mają minę tak butną, że nie powstrzymam się, aby im kiedy głupstwa nie powiedzieć. Tych dwóch ludzi poznałem odrazu lepiej od księcia.

— Rzeczywiście dużoś Wasze postąpił w znajomości ludzi i rzeczy książęcego dworu przez czas kilku godzin, ale odkryłeś to, co jest wszystkim znane. Ale cóż Gabryel Betlen?

— Gabryel Betlen bardzo zacny, bardzo bogaty pan, i jako taki, ma prawo i nadzieję iść coraz wyżej w górę. Mnie osobiście nie podoba się on zbytecznie — nawet mniej, niż tamci dwaj.

— Nie? a dlaczego? Zdaje mi się, że i on nie jest przyjacielem tamtych.

— Nie zaprzeczam temu, ale jest on bardzo mądry, a na świecie, zwłaszcza zaś na dworze książęcym, niema nic nudniejszego nad człowieka bardzo mądrego.

— A jak Wasze sądzisz, czy to uczciwy człowiek?

— Uczciwy.... różnieby mówić o tem można, ale to już jest pewnością, że ostrożny. Uważ rycerzu, że gdyby tu w Burzenlandzie ktoś ośmielił się mówić, iż Weisz nie jest człowiekiem uczciwym, zabiłbym go na miejscu ja, lub wy panie.

— I słusznie — odrzekł Sewer, którego gorączka poczęła ożywiać.

— To znaczy — ciągnął Dimon — że miara cnót ludzkich jest zmienna, jak powietrze wiosenne. Powiedzcie mi panie szczerze, czy Weiss chciałby, aby książę wiedział o wszystkiem, co robi on i inni uczciwi ludzie w Burzenlandzie? A.... zadziwiliście się panie. ale to tak bywa przy zawieraniu znajomości i na nowo pytam, czy Weiss by chciał, aby książę wiedział o wszystkiem.

Zrozumiejcie mnie tylko panie, co ja nazywam „wszystko" bo i wszystkość bywa rozmaitą. Otóż zacznijmy ją rozbierać. Do do tego co jest „wszystkiem", należy i ta okoliczność, iż na dworze Batorego jest pewien mąż, nazwiskiem Nadanyi, bardzo dobry pisarz.

— Do szatana! — wykrzyknął Sewer.— Czart przez ciebie mówi chłopczei

— Spokojnie panie, spokojnie.... Mówmy tedy dalej. Ale oto pierwsze domostwa. Tu jest dom hana; jak myślę, bo stoi przed nim szubienica i pręgierz.

Dimon potężnie walnął we wrota domu hana. Po chwili, trzeba dodać, nie krótkiej, usłyszano głos, który krzyknął posasku: — Bogdaj cię dyabli wzięli.... Sam han, to jest sędzia otworzył drzwi i z gniewem odmówił gościnności. Ale gdy usłyszał od Dimona, że przybywają tu na mocy rozkazu księcia, i gdy Sewer w narzeczu saskim przedstawił mu swoją godność; wnet han we dwoje zgięty, przyjął Sewera na nocleg. Sam nawet pośpieszył na wieś poszukać starej saksonki, która praktykowała czarodziejską sztukę Eskulapa.

ROZDZIAŁ VI.

Gywla Feyerwar,

Gdzie dawna wrzawa?
Gzie dawna świetność?
Niema już tego nic. ..
Kazinczy.

Nazajutrz rano ledwie jakie takie ślady mogły świadczyć wśród lasu, że był tu wczoraj książęcy obóz. Namioty zniknęły, nie rżały konie, nie dźwięczała muzyka. O świcie oddaliła się porządnym truchtem kawalerya, a za nią szły ciężko naładowane wozy. Na małym zwinnym kucu jechał Dimon. Choć

po bezsennej nocy był tak wesoły, tak rozmowny, tak żartobliwy, jakby przespał ją na miękkim puchu.

Książę skierował pochód do Fehérváru, gdzie szczególniej lubił przebywać.

Fehérvár (Weissenburg) wielce się różnił od dzisiejszego Karolyfehervaru i od starożytnego Apulium. Otaczały go szańce, zawsze gotowe odpierać nieprzyjaciela. Niezdobytą fortecę otaczały bastyony i wieżyce. Dwie bramy główne prowadziły do miasta bramy: Ś-go Marcina i Ś go Jerzego.

W epoce naszej historyi, miasto było bardzo duże. Niektórzy utrzymują, że Féhervár zajmował całą kwadratową milę niemiecką.

Obszerne, rozkoszne ługi okoliczne uwydatniały przed wzrokiem dumnie wznoszący się szczyt wzgórza, na którym zbudowano miasto. Pod miastem siną, szeroką wstęgą płynęła rzeka Maros, niosąc na swych falach łodzie i statki ładowne. Zdala ciemniały góry, a wśród pięknych dolin widniały ciche wioski i piękne szlacheckie dwory.

Już w epoce Daków znajdowało się na tem miejscu miasto, z którego później Rzymianie kolonią zrobili. Znali ją oni pod nazwą Apulium. Rzymskie nagrobki, napisy i inne ślady przeszłości zdają się niewątpliwie świadczyć o kwitnącym stanie tego rzymskiego miasta. Później występuje ono jako Alba Julia, w chwili naszego opowiadania to wedle starej ortografii Gywla Feyerwar. A był to w owe czasy gród bogaty, dobrze zabudowany i liczył wiele wspaniałych budowli. Wśród bogatych domów kupieckich, lśniły pałace rodzin magnackich, dla których był to główny punkt spotykania się ze sobą i zwłaszcza w zimie, w zapusty roiło się tu od konnych i pieszych orszaków pańskich. Kolebki z herbami na drzwiczkach, pysznie zaprzęgnięte, z hajdukami i forysiami nie były tu rzadkością, a przechodnie nosili po większej części malownicze szaty, nierzadko tureckie lub mołdawskie, co razem składało się na obraz pełen świetności. Ale w pobliżu pysznych pałaców szlachty i domów bogatych mieszczan, znajdowały się nędzne lepianki, a nawet i drewniane domki ze słomianemi dachami stanowiły większą część Fehérváru. Przecież podobne sprzeczności powtarzały się w rozmaitych stosunkach ówczesnego życia Pańskie dwory roztaczały przepych i zbytek, ale głównie w chwilach raczenia dostojnych im gości, lub przebywając w miastach, lecz to

szczególniej dotyczyło mężczyzn, niewiasty węgierskie cicho wzrastały w domu, a potem głównie żyły w rodzinie i dla rodziny, tam to miały one świat swój, ograniczony i zamknięty, niemniej jednak uczucia ich były gorące a myśl sięgała szeroko i daleko, umiały też ogarniać nią całą węgierską ojczyznę. Miały one przytem radości swe spokojne, zajęcia kobiece, którem z cichem zamiłowaniem poświęcały się. Córy Betlenów, Banfich, Wesselenyich, Kornisów, Danielów i innych znakomitych rodzin przędły i tkały w krosnach cienkie płótno, które potem bieliły się na wonnej murawie sadów, chowały dzieci, gospodarowały, a prócz książki pobożnej, każda znała kronikę dziejów ojczystych i dziejów swego rycerskiego rodu, którego czyny dawała poznać dzieciom, synom zwłaszcza. Ale jak i dziś się dzieje, w niejednem sercu kobiety rozegrał się dramat gorących uczuć i wzburzonych namiętności, bo i wtedy, jak było od początku świata i będzie po jego koniec, wywoływały one w sercach męzkich burze miłości, które porywały i je za sobą. Piękność kobiety zawsze i wszędzie wynosiła się na piedestal, czyniła się bóstwem, lub ofiarą i stanowiła przedmiot czci i hołdów.

Podniosłym był stosunek ówczesnych kobiet węgierskich do ich mężów. Były one przyjaciółkami ich i towarzyszkami, słowa ich były szanowane i wśród tych niewiast na pozór cichych i domowych, znajdziemy wiele przykładów spartańskiej cnoty i wielkości ducha.

A były to przymioty samorodniejsze, niżeli są dziś, bo kobiety nie bywały oddawane na naukę do żadnych szkół i akademii, aby mistrze, temu oddani, kształcili ich umysły i rozszerzali ich pojęcia. Matka i otoczenie rodzinne, z pomocą co najwięcej kapelana, a niekiedy jaki nauczyciel braci—oto wszystko co dziewczę nawet najpierwszych rodów miało sobie danem, aby rozwinęła się jej inteligencya i wyrobiły poglądy na życie. I sztuka tak im przychodziła; gry na harfie i śpiewu uczyły się tylko od domowych muzyków: talent się wydobywał na wierzch gdzie był, tak jak wszelka szlachetniejsza iskra poezyi i wyższości myśli. A jednak nie mało było niewiast dostojnych i podniosłego natchnienia. Małżonki rycerzów i mężów stanu czasem lata całe samotne, a obok tego wdowy, które nieraz ślubowały dozgonną wierność zmarłemu mężowi, dawały przykład tej mocy charakteru, tej męzkości duszy, przez które musiały być razem dla rodu i domu swego matką, ojcem, rządcą, go-

spodarzem, prawnikiem. Pamiętniki rodzin węgierskich pokazują, ile rzadkiego rozumu, rozsądku i umiejętności życia, ile skarbów podniosłej myśli mieści się w umyśle kobiecym.

Gdy książę Gabryel po swojej fantastycznej podróży po kraju, zawitał do Fehérvaru, znajdowało się w tem mieście wiele znakomitych rodzin.

Między mężczyznami bezwątpienia najdzielniejszym i najpiękniejszym był sam młody książę, ale pięknych kobiet było tu niemało i to niepospolitych. W pańskich rodzinach Siedmio grodu, kwitnęło dużo kwiatów cudniejszych od róż i lilii. A książę był wielkim wielbicielem tych wdzięcznych tworów bożego ogrodnictwa, wydawał zatem wspaniałe uczty i urządzał romantyczne festyny. Kobiety uwielbiały też księcia. Gdyby którejkolwiek z nich powiedział, że jej pragnie na towarzyszkę życia, każda bez namysłu i z radością zgodziłaby się na to. Dotychczas jednak żadna z dziewic nie zwróciła jego uwagi.

Mówiono trochę że się kocha w pięknej kasztelanowej Imreficwej, z której uporem miał długo walczyć, aż podobno w końcu pozyskał sobie to harde dotąd serce niewieście. Mówiono przecież, że on już chłodnie teraz, bo go zachwycać zaczyna Farkasowa Kamuli. Gabryel Batory był tak dla kobiet uprze dzająco miły, jak dla mężczyzn dumny i nad miarę wyniosły i dotąd nie wyróżniał nikogo z pomiędzy panów Siedmiogrodu i nie uczynił sobie z nikogo przyjaciela. Przecież dwór jego był i tak zawsze liczny. Gabryel Betlen długo przebywał na dworze, a był to jeden z najbardziej zasłużonych, mężów Siedmiogrodu.

Średniego wzrostu, postawy silnej, nie był on takim, aby go nazwać było można pięknym mężczyzną. Ale jego ruch, chód i zachowanie się, imponowało; oczy miał żywe, niebieskie, rysy nieeregularne, lecz miłe.. Po księciu uważano go za najwybitniejszego człowieka w Siedmiogrodzie. Lecz o ile książę górował nad Betlenem królewskością postawy i pięknością twarzy, o tyle ten potomek starego rodu dzielnych ludzi i mężnych rycerzy, przewyższał Batorego nauką i doświadczeniem. Wszystko, co dotyczyło spraw i zarządu kraju, znał on gruntownie, a nadto posiadał wysoki rozum prawdziwego męża stanu. Umiał obok tego dobrze mówić o wszystkiem; był więc w towarzystwie nader miły, choć niezbyt ożywiony. Na ustach jego igrał zawsze uśmiech ironiczny.

Batory go nie lubił i bacznie go pilnował, gdyż był on po osobie księcia najbliższym siedmiogrodzkiego tronu, jako blisko po kądzieli spokrewniony z domem Batorych.

Istniała jakgdyby ukryta rywalizacya pomiędzy Betlenem a Gabryelem Batorym. Książę lękał się surowego i bezwzględnego zdania przeciwnika o sobie; podejrzywał go o chęci i zamiary nieprawe i w cichości go nie lubił. Betlen przeciwnie, lubił Batorego. On to pierwszy podał myśl powołania Gabryela na księztwo siedmiogrodzkie. Widział w nim wiele zalet i cnót właściwych rodowi Batorych, ale znał też i wielkie jego przywary. Z dwóch powodów miał też Betlen żal do Batorego: naprzód, że omylił się, co do jego zdolności rządzenia krajem, a powtóre, że książę odsuwał od siebie ludzi rozsądnych, umiarkowanych i uczciwych, a dawał posłuch małodusznym nędznikom, którzy kierować go chcieli na takiego tyrana, jakim był Zygmunt. A było ich dwóch takich niebezpiecznych ludzi na dworze Batorego: pierwszy z nich, Farkas Kamuli, bogaty pan rozległych włości, gracz szczęśliwy, który wszelkiemi sposoby starał się w łaski księcia wkupić. Wobec wyższych pokorny, dla maluczkich pełen pogardy, zdzierca i despota, stawał się obok słabości charakteru, lekkości i młodego wieku księcia, osobą niebezpieczną, mogącą na szali losów Batorego i Siedmiogrodu nieszczęśliwie zaciężyć.

Powierzchowność jego była tak niemiłą, jak dusza mało szlachetną; był wysoki, otyły, twarz miał wiecznie czerwoną i nędznie napuszoną. Drugim, nielepszym od pierwszego, faworytem księcia był Imrefi. Ten należał do tych ludzi, o których wiemy na pewno, że wobec własnego interesu, nie cofną się przed żadną nikczemnością, że na ich wierność liczyć nie można; że ich słowu wierzyć nie wolno; ludźmy tego pokroju pogardzamy tak, że nienawidzieć nawet ich nie możemy, ale Imrefi umiał oszukiwać tych, których chciał sobie pozyskać; był przystojny, twarz jego była zawsze wesoła, postawa piękna, zachowanie się miłe. Mówić umiał dobrze, słowa z ust jego płynęły lekko i obficie jak woda, w sporach na słowa był niezwyciężony, za to w sercu tchórz to był i gnuśnik. Rozprawiał zawsze głośno i wesoło: gdzie Imrefi wchodził, znikała ztamtąd powaga, bo umiał on w każdej rzeczy wynaleść strony śmieszne i najpoważniejsze kwestye w żart obrócić.

Księcia zdawał się ubóstwiać; był jego powiernikiem i sto-

łowmikiem ciągłym. Umiał mu zawsze dogodzić, przypochlebić się mu, ośmieszyć innych, skaptować sobie serce ufnego młodzieńca i kierować nim, w którą chciał stronę.

Ale więcej, niż jego, lubił książę jego piękną żonę, drobną, wesołą kobietę, która charakter swój kształciła na wzór męża i pod rozkosznym uśmiechem kryła złe i nizkie instynkta.

Było w owym czasie wiele dostojnych pań w Fehérvarze, ale na pierwszem miejscu stawiano i słusznie, Baltazarowę Kornis, która choć nie była piękną, w zwykłem znaczeniu tego wyrazu, lecz tak miłą, tak miłą bardzo, że przywiązywała do siebie ludzi w sposób rzadki, bo razem było to wielkie uszanowanie, i wielkie umiłowanie dla kobiety niewypowiedzianie pociągającej. Szczupła, wysoka, twarzy śniadej, oko miała czarne i jak aksamitne, nóżki maleńkie jak u dziecka i było w niej coś kreolki z Filadelfii lub Mendozy, choć ród jej należał do czysto węgierskich. Talizmanem jej piękności były jej wielkie, czarne, melancholijne, ogniste oczy, które najpierw uderzały w jej twarzy i zmieniały się ciągle i nadając obliczu coraz inny wyraz tak, że patrzącemu twarz ta wydawała się coraz inną, coraz innych wdzięków pełną.

A nie była ona posępną, na ustach jej spoczywał zawsze niewypowiedzianie miły uśmiech; gdy milczała, półotwarte usta do półuśmiechu złożone, pokazywały szereg białych perłowych ząbków. Nie było mężczyzny, któremuby krew nie popłynęła szybciej na jej widok. Z całej jej postaci promieniało szczęście i spokój.

Książę wyróżniał ją wśród innych i chętnie przestawał w jej towarzystwie, nietylko u dworu, ale nawet u niej w domu; i nie tylko teraz, ale i przedtem, gdy przebywała u brata, Stefana Kendiego. Jadwiga Kornisowa hołdy te przyjmowała nie tak, jak to czyniły inne kobiety; Kornis sam, bardzo miły i wesoły człowiek, należał do gorących stronników księcia, a żona ubóstwiała męża i wierzyła w niego jak w bóstwo jakie i jak mówiono, że pożycie ich małżeńskie było prawdziwym romansem, gdyż Baltazar Kornis nie łatwo zdobył jej rękę, zwyciężywszy wielu rywalów, między innemi Imrefiego, który od tej chwili taił przeciw niemu głuchą ale silną nienawiść.

Drugą kobietą, która jaśniała na dworze książęcym jako gwiazda pierwszej świetności, była Stefanowa Kendi. W Fehérvarze, a nawet w całym Siedmiogrodzie, uważano ją za naj-

piękniejszą kobietę. choć nie tak dostojną, jak p. Jadwiga Kornisowa. Był to jakgdyby ożywiony posąg greckiego dłuta—posąg Junony. Rysy twarzy były doskonale czystych linii i regularne jak mało. Oczy jej błyszczały wyniośle i mimo wielkiej piękności, Stefanowa Kendi podobała się nie tyle mężczyznom, jak kobietom, które się nią zachwycały, Uważały ją za najpiękniejszą pomiędzy sobą, tylko sercu jej odmawiały uczucia. Mówiono, że to marmur biały, szklisty, lecz twardy i zimny.

Jak Jadwiga Kornisowa była śniada i oczy miała czarne; tak ona biała, z oczyma złotawo ciemnemi. Kornisowej każdy ruch, każde spojrzenie było pełne wdzięku, swobody, szczerości. U Kendiowej wszystko było jakgdyby nakazane z góry, a obok dumy, w twarzy jej czytać było można cichą tęsknotę i jakgdyby tajone niezadowolenie. Kornisowa była czysta i nieposzlakowana, ale nie mówiła o tem wcale, uważając to za rzecz zupełnie naturalną. Była dobra i rozsądna, sama o tem nie wiedząc, dlatego nigdy nie pedejrzywała o złe nikogo i tylko względem siebie była surowa. Przebaczała innym lekkomyślność, nie okazując im pogardy. Była tak dobrą, jak Kendiowa dumną: ta pragnęła w odzieży, w klejnotach, we wszystkiem co ją otaczało, blasku i świetności, dążyła zawsze do tego, aby budzić uwielbienie i nie cierpiała też opozycyi. W sporze była gorącą i nie ustępowała nigdy od swego zdania, choćby się w przekonaniu zachwiała. Była surową i wyniosłą, ceniła głównie siłę i godność, słabymi gardziła, niższym dawała uczuć, że stoi wyżej.

Kendi kochał i szanował żonę, choć go raziła w niej pycha, ona również kochała męża i była szczęśliwa, gdyż stanowisko jego było wysokie jako rycerza i obywatela.

Kendiowa była w duszy zazdrosna. Kornisowa uznawała ją za najpiękniejszą kobietę, spokojnie i bez złej myśli, Kendiowa zaś nigdy nie oddała siostrze swojego męża należytej sprawiedliwości. Nie lubiła ludzi, którzy wielbili Kornisową za wdzięk duszy i ciała.

Trzecią osobą, ważną na dworze księcia, była Janowa Imrefi. Nie było pewnie wówczas w całym Siedmiogrodzie drugiej kobiety, o którejby tyle co o niej mówiono; że chciała w siecie swe ułowić Batorego, to było pewnością. Należała ona do tych kobiet, których słowom i oczom nigdy wierzyć nie można.

Namiętność i obłuda, wesołość i tęsknota łączyły się w niej razem. Czy pozwoliła księciu kochać się w sobie—nie wiedziano. Piękna Helena, jak ją zwano, miała złote włosy i jasne zielone oko. Rysy jej były szlachetne i regularne, ale wyraz twarzy mało miał delikatności. Przy pierwszem spojrzeniu można w niej było poznać jedną z tych osób, które gotowe się kompromitować, byle głoszono o ich tryumfach i zwycięztwach. Posiadała ona tę pychę, która wszystko co jest szlachetnem z piersi ludzkiej usuwa. Wolała się wydać gorszą, niżeli była, byle stała w pierwszym rzędzie i zwracała oczy na siebie. Chęć wyniesienia się w górę, zabijała w niej wszystko co było dobrem w jej sercu. Byłaby łatwo poświęciła wszystko dla nędznej próżności.

Poświęciła już dobre imię swoje i zaczęła się lękać, czy nie nadaremno, bo spostrzegła, że książę raczej unika jej teraz niżeli szuka, że wyżej ceni inne kobiety, że ma dla nich widocznie cześć wyższą. Ale nie dawała za wygraną i pysznie cisnęła się na widownią dworu książęcego.

Podczas gdy tańczyła, gdy bawiła się, Imrefi ucztował wesoło, wśród kielichów i toastów. Nigdy on jednak miary nie przebrał i pilnie baczył na to, co robi ta próżna kobieta.

ROZDZIAŁ VII.

Sznur pereł.

W kilka dni po przybyciu księcia do Fehérváru, Jadwiga Kornisowa ubierała się. Miała na sobie wedle mody ówczesnej i gustu swego, białą suknię z ciężkiego jedwabiu, haftowaną w kwiaty. Węgierki lubują się w szatach białych, które uwydatniają ich śniadą cerę i blask oczu. zwykle pięknych i dużych.

I tak też było z piękną Jadwigą, piękniejszą jeszcze stała się w tej pysznej bieli drogich jedwabi, na bogate sploty włosów miała zarzucony także biały, złotem szyty welon, z białej gazy. Sama go sobie haftowała w czasie nieobecności mę-

ża, który musiał jechać za księciem i myślała z przyjemnością, czy mu się w nim podoba, czy jej powie że jest ładną?

Pokojowa jej, Marta Szynleyowa, zaczęła ją pierwsza chwalić.—Ach jak pani jest piękna w tej gazie błyszczącej!—zawołała. Nad czołem ułożyła się niby książęca korona, a draperya, która dołem spływa to jak płaszcz książęcy! Piękność pani tego też godna: monarszego stroju!

Piękna Jadwiga rozśmiała się.—Zaczynasz być podchlebnicą, Marto. Na kogo innego gniewałabym się o takie słowa, ale ty jesteś tylko nieroztropna i mogłabyś takiemi komplementami zawrócić głowę—komu innemu, niżeli mnie.....

— O! pani jest tak skromna, za skromna nawet; nie tak jak inne panie, które umieją wyszukaną sztuką podnieść swą urodę. Ale pani i tak pięknie we wszystkiem i doprawdy żal pomyśleć, że połowa czasu upływa pani na wsi, gdzie nikt nie widzi tej urody....

— Jak to nikt? A mąż mój....

Marta się zmieszała.—I pan tak często wyjeżdża — wybąkała.—Oto teraz nie było go tak długo i pani pędziła dni smutne w samotności.

— Nie jest mi nigdy wesoło tam, gdzie męża mego niema zemną ale nie byłam znów tak wielce smutną. Wiedziałam, że Baltazar wkrótce powróci i myślałam o nim, czekałam go. A to także jest przyjemnością wyglądać ukochanej osoby. Serce wyrywa się naprzód i leci już witać, zanim to się stanie w rzeczywistości.

Pokojówka podniosła oczy na mówiącą i miała pewne zmieszanie w twarzy. Zamilkła na chwilę, jakgdyby nie wiedząc co ma mówić dalej, ale odważyła się znów wrócić do przedmiotu. — Drugiej takiej żony jak pani — nie ma chyba na świecie. Nic pani nie liczysz tego, że nie używasz młodości, piękności twojej tak, jak inne, które mniej na to zasługują, bo nie są tak piękne i w dziesiątej części.

— Marto! proszę cię przestań.... Zkąd ci się to wzięło? Prawdziwie, zdaje się, że mówisz jak podmówiona.

Kobieta zaczerwieniła się.—Oh! któżby mnie miał podmówić?—zawołała — mówię co czuję i co czują inni. Toż na wsi niema i połowy tych przyjemności, co w mieście, przy dworze zwłaszcza. Książę nasz jest pan młody i umie się bawić.

— Daj Boże aby nie zanadto....

— Jakto zanadto! Człowiek dwa razy nie żyje i dwa razy młodym nie jest. Na wsi wciąż jedno i to samo.... Pan powinienby wziąść jaki urząd przy dworze i wiem, że gdyby tylko zechciał, otrzymałby godność najwyższą.

— Mąż mój nie uważa urzędów dworskich za godności najwyższe. Najwyższa godność to wtedy, gdy się służy ojczyznie orężem czy radą.

— To też w radzie księcia.

P. Jadwiga się śmiała. — Wyszłaś na polityczkę Marto, i jestem pewna, że to ktoś nakładł ci te wszystkie słowa w uszy, a ty je powtarzasz.

— Ach! ja panią tak kocham i dlatego takbym pragnęła....

— Abym brylowała na dworze. Nie, to nie należy do gustów moich, a zwłaszcza Baltazara. Mężowi memu trudno być radą księcia, bo inaczej on patrzy na wiele rzeczy. Przypnij mi ten fałd, Marto.

— Złotą szpilką?

— Dobrze, może być złota, to odpowiada haftowi. Widzę, że rzeczywiście dobrze mi w tej gazie.

— Ślicznie! ach jak ślicznie! Dla tej to piękności, która jest iście anielską, tak ludzie się dziwią pani odosobnianiu się, kryciu się na wsi. Poznałam właśnie jednego młodzieńca.....

— A widzisz, żem odgadła. Ktoś ci zamącił głowę i czy to nie ten wysmukły kawaler, którego widziałam, gdy wychodził z bramy i kłaniał ci się jeszcze bardzo układnie. Kto to jest?

— Dworzanin księcia. Zowie się Dimon.

— Szczególne nazwisko, tak jak i człowiek. Nie jest brzydki, ani pospolity, a jednak prawie się go zlękłam, gdy się wpatrzył we mnie. Ma dziwne oczy. Czy znasz jego rodzinę? Zdaje się że jest z jakiegoś wyższego rodu.

— O nie.... bo jest ród jego jest niewiadomy i nie wiedzieć nawet czy jest szlachcic. Poznałam go niezbyt dawno i przypadkiem, sama nie wiem nawet, jak się to stało, żeśmy się zaznajomili. Ale jest to chłopiec dowcipny i mądry, był w szkołach i umie więcej niż inni, wyżej położeni od niego. Na dworze księcia jest nie dawno, ale pewno wydobędzie się z czasem na wierzch, bo książę go lubi.

— Mnie ten młodzieniec mało się podobał. Ma wzrok zuchwały i ognisty, patrzy nim tak śmiało....

— Piękność pani rozpala wzrok wszystkich młodzieńców, wszystkich mężów, którym dano jest panią ujrzeć. Dimon uczynił to tylko wyraźniej niżeli inni i może miał do tego przyczynę.

— Przyczynę.... Jakąż mógł mieć przyczynę, prócz zuchwalstwa, że wlepił we mnie źrenice, palące jąk węgle.

— Ach! gdybym śmiała pani coś powiedzieć?

— Gdybyś śmiała? Toż przecież rozmawiasz ze mną.... I cóż to jest takiego, co potrzebuje szczególnej śmiałości. Może ten twój znajomy ma prośbę do mnie o jakie wstawienie się zanim do męża?

— O nie.... gdybym śmiała, to powiedziałabym coś....

— Jesteś dziś dziwną, Marto. Pewna jestem, że to w gruncie rzeczy będzie jednak prosba, że ten Dimon czegoś chce! No mów, o cóż to chodzi?

— O tajemnicę.... i wielką tajemnicę....

— O tajemnicę.... którą mi chcesz powierzyć...

— Tak.... pragnę tego, ale nieśmiem. Boję się gniewu pani, która jest tak....

— Tak zła....

— Nie! pani jesteś dobrą jak anioł, ale są rzeczy, w których zbyt drażliwa jesteś, nie znasz pani do siebie tego, co widzą wszyscy.—czarującej swej urody!

— W jaki soosób uroda moja może się mieszać z tem, co nazywasz tajemnicą i w co ów sługa Gabryela Batorego zdaje się być wmieszany? Mówże, już powiedziałaś tyle, że teraz chce wiedzieć wszystko.

Marta bladła i czerwieniła się. Posunęła się krokiem do swej pani i głosem trochę zalęknionym, opowiedziała jej że Dimon jest u księcia w wielkich łaskach i wie dużo więcej, niż kto inny.

— Wie jakąś tajemnicę?

— Tak pani, wie....

Urwała, pochyliła się i cichym a szybkim szeptem dodała:— Dimon wie, że książę uwielbia panią, że....

— Marto!....

— Że płonie dla niej, że gotów byłby na wszystkie ofiary...

— Cicho kobieto! Ten Dimon jest Demonem, a ty zuchwałą.

— O pani. Książę byłby gotów podnieść cię najwyżej, aż do tronu swego i gdybyś rozwiodła się....

— Cicho!—powtórzyła Jadwiga Kornisowa z mocą.—Przy pierwszych słowach pokojowej zarumieniła się silnie, ale teraz pobladła już, a nawet była bardzo bladą.—Och to będzie więc taki drugi Batory, jak Zygmunt!—jęknęła.

Potem obróciła wzrok na kobietę przestraszoną głosem i wzrokiem tej, zwykle łagodnej pani. —Marto—rzekła już spokojniej, ale zawsze ze wzruszeniem wielkiem — musisz opuścić mój dom.... zaraz, dziś jeszcze!

Kobieta przestraszona, jakgdyby usłyszała nagle wydany na nią wyrok śmierci, najpierw wpatrzyła się w panią swoją okiem osłupiałem, potem padła jej do nóg:—O pani!—zawołała—cóżeś wyrzekła? Ja mam z twego domu iść, od twego boku, od ciebie się oddalić....

Jeszcze nie dowierzała, choć trwoga wielka brzmiała w jej głosie, ale przekonała się zaraz, że wyrok wydany na nią był nieodwołalny.—Musisz—odparła jej pani głosem, który był smutny, ale brzmiał stanowczością niewzruszoną —Musisz....

— O przebacz, przebacz pani mnie nieszczęśliwej—jęczała sługa, padając jej do nóg. Winna jestem, czuję to teraz dopiero, ale przebacz.... bo jesteś dobrą. Jak anioł ratujesz ludzi ubogich, błagasz o darowanie winy przestępców, jak to nieraz widziałam, gdyś się wstawiała za winowajcami do męża twego—wybacz i mnie.... wybacz i niech to usta twoje wygłoszą zaraz, bo czuję, że nie wyżyłabym godziny z niepewnością.

Jadwiga Kornisowa uczuła, że oczy jej wilgotnieją, ale usta nie wymówiły słów pożądanych przez nieszczęśliwą która klęczała przed nią.—Nie—rzekła—przebaczyć ci nie mogę... Gdyby wierność twoja zachwiała się dla mnie, uczyniłabym to, ale tyś zdradziła męża mego i przebaczenia na tę winę niema u mnie....

— Nie ma—powtórzyła, a wtedy kobieta uczuła przestrach niewymowny.—Cóż ja poczunę, co uczynię?—jęczała.—Czyż zabić się mam?

— Ja cię nie opuszczę i na nędzę nie wskażę — odpowiedziała pani łagodnie. — Do śmierci mojej i twojej będę opatrywać potrzeby twoje, tylko nie możesz już żyć pod jednym ze mną dachem.

— O pani! to jest właśnie wyrok, który mnie zabija. Ja cię czczę, ja cię kocham i nie płaczę po straconym losie moim

ale po straconej dla mnie twej obecności, po straconej twej łasce. Umrę, gdy mnie oddalisz.

— Oddalę cię jednak, niebogo, stało się! serce moje ściska się także, ale uczyniłabym to samo, postąpiłabym tak zupełnie, gdybyś była moją siostrą... nie! gdybyś była nawet matką moją! Tyś jest w oczach moich zdradą męża mego, a wiesz, że kobieta przysięga u ołtarza wiarę, temu, komu ślubuje.

— Namówiono mnie nieszczęśliwą. Podszeptano mi to, powiedziano żeś ty, pani, warta najwyższego losu, dostojeństwa korony książęcej i nieroznmna uległam tej namowie.

— Dimon! ach! zły duch. to jest.... zły duch...,

— Zły duch.... tak.... zły duch, który otwiera wrota zgubie ojczyzny naszej.

— Marto—dodała poważnym głosem Kornisowa—trzeba mi cię pożegnać w tej chwili, bo już widzieć się nie mamy ze sobą więcej. Patrz, ta kieska, którą ci oto daję, zawiera złoto. Jedź do nas na wieś, powiedz ludziom, żeś chora i nie możesz dłużej pełnić przy mnie służby. Masz moją rękę do ucałowania, abyś wiedziała, że ci przebaczoną została wina w sercu mojem, ale nie może być innego jej zmazania, jak przez rozdzielenie się twoje ze mną, odsunięcie twoje od mego boku. Jeżeli jesteś tak przywiązaną do mnie, jak wierzę w to, uczyń to z dobrej woli i chętnie, bo widok twój jużby mi był torturą ciągłą. Przypominałby mi obrazę i zniewagę, jaka mnie dotknęła i serce moje przepełniłoby się żółcią. Musimy się więc rozstać....

Przy śniadaniu, gdzie oprócz męża była i Helena Imrefiowa, wzruszona silnie kobieta potrafiła nic po sobie nie pokazać, była tylko poważną, choć nie ponurą.

Tylko mąż, który znał ją dobrze, czuł, że jej coś dolega.

— Pewno mi powie potem—mówił do siebie i nie pytał się żony o przyczynę smutku.

Helena Imrefiowa, która zwykle wiedziała jakieś nowinki, wspomniała, że książę w tych dniach czeka powrotu obywateli kronsztadzkich Weissa i Benknera. że jest na wojewodę Radulego mocno zagniewany, że to może złe skutki pociągnąć za sobą.—Posprzeczali się o bułanego konia — dodała ze śmiechem Helena– mówiłam Batoremu że to drobnostka, nie warta gniewu.

— O bułanego konia! Jest to pozór tylko, ale w każdym razie mam coś na myśli—rzekł Kornis. — Droga moja — dodał,

zwracając się do żony — jak sądzisz? Chcę dać księciu mego Hozdala?.... Nie gorszy od Harnyika wojewody.

— Zgadzam się na to, zrób jak pomyślałeś.... Książę nieraz mu się przyglądał.

Imrefiowa trochę oczy spuściła.

— Batory—rzekła—chętnie przyjmuje podarunki, szczególnie od ładnych kobiet—dodała złośliwie,—radzę, abyś ty, moja przyjaciółko, ofiarowała mu tego konia od siebie.

— Ale cóż za myśl!

— Bardzo dobra! Batory jest naturą wdzięczną. Czy pamiętasz, że gdy Kamuli dał mu miecz turecki, który też księciu się spodobał, zrobił to przez żonę, a nazajutrz na szyi Kamulowej widzieliśmy sznur najpiękniejszych pereł, jakie kto posiadał kiedykolwiek w Siedmiogrodzie.

— Gdybym nie wierzyła że żartujesz—rzekła na to trochę wyniośle gospodyni domu, mogłabym rozgniewać się na ciebie.

Kornis wyjął z zanadrza piękny woreczek i dał go żonie.

— Zajrzyjno tutaj—rzekł — sądzę że te perły nie są gorsze od pereł Kamulowej. Szczęśliwy jestem, że mogę ci z nich zrobić podarunek,

Żona jego otworzyła woreczek i wyjęła sznur cudnych pereł wschodnich: wielkich, równych, czystych i w których, jak w wodzie, łamało się światło słoneczne we wszystkie barwy tęczy. Imrefiowa z zazdrością przyglądała się bogatemu darowi.

— Cudowne!—zawołała Jadwiga z tą żywą radością, jaką każda kobieta czuje na widok pięknych klejnotów..

— Rzadkiej piękności perły—mówiła piękna Helena, uważnie im się przyglądając. Lecz zdaje mi się, żem je już gdzieś widziała. O, tak! ten wielki szmaragd śród pereł, nie pozwoli zapomnieć o tym skarbie temu, kto go raz widział.

Twarz jej zarumieniła się, a wargi drżały dziwnie.

— Kupiłem to u handlującego klejnotami — rzekł obojętnie Kornis.—Zapewnie też nie jestem pierwszy, któremu je pokazywał.

— I jakaż cena? — pytała Imrefiowa z dwuznacznym, badawczym uśmiechem.

— Rzeczywiście nie wielka, daleko mniejsza niż sądziłem, że handlarz będzie żądał i że są one warte. Ale to mniejsza ile kosztują, gdy dar mój podoba ci się—rzekł Kornis zwracając się z wesołą twarzą ku żonie.

— Od handlarza i tak bardzo tanio ocenione — przerwała Imrefiowa.—Żałuję bardzo, ale muszę przyjaciółce mojej zaćmić niewinną radość i tobie, panie Baltazarze, zniszczyć przyjemność. Ale musicie prawdę wiedzieć, aby uniknąć większych nieprzyjemności.

Kornis uważnie przyglądał się oczom Imrefiowej, lecz jego piękna żona, która z rozkoszą przyglądała się przecudnym perłom, odsunęła je nagle od siebie.

— Radość mą zaćmić? — zawołała żywo — co to znaczy?

— Perły te, — rzekła Helena z trudno ukrywaną złośliwą radością, są skradzione,

— Skradzione? — zawołał osłupiały Kornis Ależ p. kasztelanowa się myli, z pewnością się myli.

— Nie, o nie!—odparła żywo Imrefiowa—te perły widziałam w zamku Ecsedzie, w skarbcu Batorych. Należały one kiedyś do Elżbiety Batorowej. Pamiętam dobrze tę ich czystość, ę piękną, cudną ich wodę. Jedno słowo mogłam rzec, a byłaym je posiadała.

Jadwiga była blada, jak lilia.

— Mężu—zawołała namiętnie, ileś zapłacił za to handlazowi?

— Rzeczywiście, bardzo mało — rzekł mąż. — Dałem mój stary pas lity, ten, który ci się tak nie podobał i 150 weneckich dukatów.

— 150 dukatów i stary pas! ho! ho! ho! zaśmiała się Helena—za książęcy klejnot! Upewniam pana—dodała szyderczo—że na żadnym jarmarku tak tanio nie dostanie.

Smutne spojrzenie Jadwigi pokazywało, że ten wypadek był dla niej daleko cięższym, niż Imrefiowa przypuszczała.

Kornis przerwał krótkie milczenie.

— Dzieciństwo — rzekł. — Nie smuć się tem, moja droga. Sprawa wnet się wyjaśni. Pokojowa mej żony wie gdzie mieszka ten handlarz i zaraz ją tam poślę — dodał, zwracając się do Imrefiowej.

— Ona Marta! wie to—zawołała dziwnym dźwiękiem głou Jadwiga, ale wnet zamilkła, jakby żałując tego wykrzyku.

Imrefiowa uśmiechnęła się ironicznie.

— O!—rzekła dwuznacznie —jeżeli Marta wie jego mieszanie, to już sprawa rozjaśniona. Ja jednak radzę, zamilczeć ;piej o tem wszystkiem.

— W żadnym wypadku!—zawołał Kornis namiętnie.

— Może być—ciągnęła dalej Imrefiowa—żem się omyliła. Ale bardzo życzyłabym sobie, aby imię moje w całem tem śledztwie zostało zupełnie zamilczane.

— Jak pani sobie życzy—rzekł Kornis—ale w ten sposób nie będziemy mogli sprawy zbadać.

— O!—odrzekła Imrefiowa — bardzo łatwo. Dziś wieczorem na balu u Batorego, niech Jadwiga ma ten sznur pereł Jeżeli Batory go pozna, rzecz pewna że skradzione są. Jeżeli nie tom się omyliła. A może Batory wie o całej sprawie.... to jest źle się wyraziłam: może Gabryel sam ten klejnot sprzedał, gdy go na księcia obierano: potrzebował dużo pieniędzy.

Biło to w oczy, że piękna Helena nazywała zawsze księcia to po imieniu, to po nazwisku, poufale. nie tak jak o panującym się mówi, ani nawet jak o obcym mężczyznie wyrażać się powinna młoda kobieta, to też każdy mógł śmiało przypuszczać jakiś bardzo bliski stosunek. Czy to mimowoli? Ludzie mówili że nie.... Helena tak ceniła tryumf swej piękności w podbiciu księcia, że pragnęła to pokazać, zapominając iż się plami sama.

Ostatnie jej słowa ubodły gospodynią domu, a i Kornis sam, przeczuwając jakieś chytre zamiary pod słowami mniemanej przyjaciółki, gniewny już—rzekł surowo i dumnie.

— Moja żona nigdy nie włoży na siebie rzeczy, o której powiedziano mylnie choćby, że jest ukradziona. Ja zaś sam postaram się zbadać tę sprawę.

Jadwiga była pogrążona w myślach, sprzeczne uczucia walczyły w jej piersi. Marta, ta kobieta, którą ona dobrodziejstwami obsypywała, którą nazywała przyjaciółką, przekupiona, uczyniła jej podłą propozycyę. Teraz zaś tajemniczym sposobem do rąk jej męża dostał się sznur pereł od handlarza, którego znała tylko ta Marta — i perły te pochodziły ze skarbca książęcego! Była chwila, w której boleść tak przepełniła serce biednej kobiety, że w zwątpieniu zawołała:—Boże mój, za jakież grzechy każesz mi pić z tej czary goryczy?

Należała ona do tego rodzaju kobiet tkliwych, które cierpienie przenika do głębi. Była przytem względem siebie surową i nieubłaganą. Badała zawsze, czy w tem, co jej boleść przynosiło, nie ma własnej jej winy.

Dzień nie najweselej się zaczął. Sam fakt kupienia pereł ukradzionych, okraszony jeszcze przez Imrefiową złośliwemi, dwuznacznemi przycinkami, coraz to bardziej i bardziej ją ranił. W końcu gdy fałszywa przyjaciółka pożegnała się i oddaliła z Kornisem, który ją odprowadził, ona nieboga ukrywszy się w ostatnim pokoju, pogrążyła się w myślach. Doznawała uczucia, jakoby ją otoczyły złe duchy.

Tajemnica powierzona jej słudze przez książęcego dworzanina, jego zaprzyjaźnienie się z jej domownikami, sznur pereł z Ecsedu—żyd, którego pewnie Dimon nauczył, grać komedyą i rzeczywiście wielka taniość drogocennego klejnotu, wszystko to zdawało się jej powiązanem w jeden węzeł intrygi. Biedna kobieta przypominając sobie słowa, a więcej jeszcze gorące spojrzenia księcia, nie wątpiła, że to wszystko jest niezręcznie ułożonym sposobem wyznania miłosnego.

Ogarnął ją najpierw wielki gniew. Pierwszą myślą jej było wszystko powiedzieć mężowi. Ale zaniechała tego, znała ona dobrze dumę i szlachetność swego Baltazara i mściwość księcia. Gdyby mąż jej wiedział prawdę, między nim a księciem nastąpiłoby coś okropnego. Jeżeli zaś zamilczy, książę może to na swoją korzyść tłómaczyć. Żal jej też było Marty, bo gdyby dowiedział się Baltazar, jaką rolę przyjęła na siebie, niewątpliwie ukarałby ją surowo.

Była niewątpliwie winna, ale kobieta prosta słysząc, że jej pani, do której była prawdziwie przywiązaną, może zasiąść na książęcym tronie—uległa zawrotowi głowy. Najwięcej jednak lękała się biedna Jadwiga złej przyjaciołki, która częstokroć mieszała się w rzeczy, które kobieta z godnością odtrąca od siebie. Gorzej nie sądziła jej Jadwiga, sama dobra i uczciwa. Nie myślała, jak próżność kobieca, podsycając zalotność, może doprowadzić nad brzeg przepaści, a nawet zepchnąć w nią. Ale to wiedziała, że Helena lubiła intrygować, że uważała to za dumę swoją, że wszystko wie i w każdej sprawie macza ręce. Teraz do tego przekonania o lekkiej kobiecie, Jadwiga dodała sobie to jeszcze, że była ona nietylko lekkomyślna, ale i serce miała niedobre. Zazdrość dla innej pięknej kobiety mogła ją łatwo doprowadzić do nikczemnego czynu zniesławienia niewinnej, byle tylko za tę cenę wziętego na duszę grzechu oddaliła z drogi swojej rywalkę. To już Jadwiga poznała teraz jasno,

jakkolwiek sama uczciwa i dobrego serca z trudnością przypuszczała taką nikczemność w drugich.

Jak miała przecież postąpić? Nie można było powiedzieć mężowi o tem, co ją spotkało rano, jak przecież wytłómaczyć oddalenie dawnej i zaufanej sługi? Trzeba będzie w połowie tylko prawdę odkryć. Ach! nie, lepiej wszystko zamilczeć.

Tak jedna myśl spychała drugą. Wreszcie przyszło ostatnie postanowienie, co ma uczynić! Sądziła, że gdy Martę ze służby swej wydali, książę, który niewątpliwie o tem się dowie, zrozumie, jaką daje mu odpowiedź.

Sama zaś postara się męża nakłonić, aby wyjechali, opuścili dwór i miasta, jego uciech, zapomnieli w cichej, wiejskiej samotności o intrygach, nie żałując ludzi nizkich, ani zazdroszcząc pysze wielkich, którym się zdaje, że prawa ogólne ludzkiej uczciwosci nie mają mocy nad niemi.

Wkrótce potem mąż przybył, na twarzy jego znać było gniew i niepokój.

— Marta odjeżdża, droga moja! — rzekł zbliżając się do żony. — Powiedz mi szczerze, czy z twojej woli się to dzieje?

— Tak jest — odparła żona.

— Czy mogę wiedzieć przyczynę?

— Jest już spracowana długą służbą, chcę jej dać kawałek ziemi, gdzie będzie wieść życie spokojne. Do śmierci będę o niej pamiętać. Nie lękaj się o jej los, będzie szczęśliwą nawet— dodała, rumieniąc się — ona sama kontenta, że odpocznie.

Twarz mówiącej zdradzała, że słowa jej były nieprawdą, i że to zdarzało jej się raz pierwszy w życiu. Ach, jak to ciężko kłamać— myślała. — Czemuż taję się z tem, czemu winną nie jestem? Czy nie lepiej powiedzieć wszystko? Zdawało się jej, że mąż wątpi o tem, co wmówić w niego chciała.

Kornis z boleścią patrzał na żonę.

— Tyś jest nieszczera, Jadwigo! Marta płacze, co nie jest do radości podobnem. Gdym się ją pytał o mieszkanie żyda, przeraziła się. Jadwigo! w tej sprawie jest jakaś tajemnica, której ja znieść nie mogę, i którą wiedzieć powinienem. Bóg wie tylko, co cierpię, jak niewypowiedzianie cierpię przez to, żem się zachwiał w przekonaniu, iż ty nigdy nic nie kryjesz przedemną, nigdy nie mijasz się z prawdą! Mów dobry mój aniele! nie znajdziesz pobłażliwszego sędziego nad twego męża. Wiem, żeś ty

jest samą dobrocią i niewinnością, ale rozwiej tę mgłę, która się między nami roztacza.

— Mężu! Baltazarze mój drogi — zawołała Jadwiga, ośmielona spokojem i miłością słów męża — poprzestań spokojnie na tej myśli, że jeżeli teraz milczę, jeżeli nic nie mówię, to dla tego tylko, że gdybym mogła cokolwiek powiedzieć, byłyby to tylko przypuszczenia.

— Dotychczas przypuszczenia twe nie były dla mnie tajemnicą. Twoja czysta, piękna dusza była dla mnie otwartą, jak święta księga, w której aniołowie zapisywali same szlachetne myśli.

— Jak była otwartą, tak i nie będzie nigdy księga ta zamkniętą dla ciebie, Baltazarze! lecz może to być wtedy tylko, gdy będą tam zapisane sprawy, które mnie się tylko dotyczą; skoro jednak dotykają one i innych, w takim razie przypuszczenia nie są już dostateczną rzeczą, abyśmy na nich opierali jakie stanowcze wnioski. Dla tego pozwól mi milczeć do czasu.

— Czy dla tego oddaliłaś Martę—dla przypuszczeń?...

— Tak.

— Musiałaś mieć w każdym razie ważną jakąś poszlakę.

— Tak, Baltazarze. Ważną miałam przyczynę tak postąpić, jak postąpiłam. Czekajmy przecież, a wszystko się rozjaśni.

Baltazar rzucił się w krzesło, i pogrążony w myślach, przypatrywał się żonie. Boleść okrutna gryzła jego serce.

— Więc ciemna mgła staje pomiędzy nami! Więc nasze dusze oddalają się od siebie, więc nasze myśli nie płyną razem! Jest w życiu mej ubóstwianej małżonki coś, czego mnie wiedzieć nie wolno: to pierwsza tajemnica między nami! Pierwszy cień nieufności!

— Nieufności! Żona objęła gorącym uściskiem męża.

— Nie, nie! — zawołała — tak być nie może długo. Nadejdzie chwila, może wkrótce, że ci wszystko objaśnię.

Żona znała dobrze męża. Należał on do tego gatunku ludzi porywczych, u których gniew i namiętność prędko znikają, ustępując miejsca nowym wrażeniom.

Kornis milczał, lecz ze spokoju jego widać było, że coś planuje. Wkrótce przybył hajduk w barwach Kornisów.

— No — zapytał pan — sam przychodzisz?

— Żyd przed godziną odjechał, mieszkanie jego jest puste.

— A dokąd się oddalił? — krzyknął, zrywając się z krzesła Kornis, a twarz jego pałała gniewem.

— Łaski waszej błagam, panie — odrzekł hajduk — ale tego nie wiem, nie pytałem.

— Bałwan jesteś! Wywiedz się o wszystkiem, wynajdź tego handlarza pod ziemią.

Hajduk szybko się oddalił.

— Sprawa — mówił niespokojnie Kornis — zaczyna się wikłać. Nic pojąć nie mogę. Czy on te perły sprzedał z umysłu tak tanio, czy też perły skradzione są rzeczywiście? Muszę tego dojść... muszę...

— Mów! — dźwięczał w sercu Jadwigi jakiś głos tajemny. O! nie... jeszcze milcz — radziła rozwaga. — Baltazarze! nie przywiązuj zbytniej wagi do tej sprawy — rzekła tylko cichym, zmienionym głosem. — Dostawią tu wkrótce tego żyda! A jeżeli nie, dowiemy się o wszystkiem od księcia.

— Ale jak? O pośrednictwie Imrefiowej pomyśleć nam nawet nie wolno.

— Poczekajmy trochę, mój drogi. Rozważmy ten wypadek, nie śpieszmy zanadto. Może być, że książę naprawdę sprzedał perły, jak mówiła Helena. Gdyby to Szilasiego można było wybadać? On jest zawsze blisko księcia i wie dużo. Ale i ten sposób nie zupełnie mi się podoba — dodała po namyśle biedna kobieta, która silnie podejrzywała, że Batory umyślnie przez kupca wsunął w ręce jej męża za tak niską cenę drogie perły.

— Czy nie byłoby dobrze do Imrefiego napisać?

— Nie, nie — zawołała porywczo Jadwiga — tylko nie do niego.

— Dla czego tak sądzisz? Mnie się zdaje, że w tym wypadku najlepiej od niego możnaby się o wszystkiem dowiedzieć, zostawiając zupełnie jego żonę na stronie. Jedno tylko widzę tu zło, mianowicie, że ty Jadwigo, nie mówisz ze mną szczerze.

— Imrefi — zawołała gniewnie kobieta, sama przestraszając się własnej gwałtowności,—jest nędznikiem! Gdyby go książę znał dobrze! Nigdy o nikim tak nie mówiłam. Baltazarze! ale o nim mogę to powiedzieć, zatem jego nie mieszajmy do niczego. Nie mogę ci nic więcej dodać, póki czas nie nadejdzie, w którym się dowiesz o wszystkiem.

— Imrefi — rzekł Kornis — jest to człowiek ani zły, ani

dobry. Nie ma on żadnych zasad i okoliczność może go popchnąć na złą lub dobrą drogę.

— Ty go nie znasz. Czyś zapomniał?

— Wiem wszystko, Jadwigo! wiem przecież, że cię kochał kiedyś, wiem, jak się o twą rękę starał, wiem, jak burzył przeciw mniego twego ojca. Ale ja, który tyle cię kocham, mam-że go oskarżać za to, że dopuścił się wszystkiego, aby cię posiąść?

— Nawet oszczerstwa?

— Dla namiętnego człowieka nie ma nic świętego. Jeżeli potwarz może przynieść szkodę jego wrogowi, użyje jej.

— Więc zostawmy Imrefiego na stronie—błagam cię.

— Jak chcesz! Chciałbym sam pomówić z księciem i przy tej to sposobności ofiarować mu mego bułanka.

– Czyń, co uważasz za odpowiednie. Najkrótsza droga jest najprostsza. Ale proszę cię zaniechaj myśli ofiarowania księciu twego wierzchowca. Dzisiejsza historya wyrodziła we mnie strach przed podarunkami, i nie chciałabym, aby księciu przyszła myśl wynagrodzenia cię podarkiem za podarek!

— Czy sądzisz—zapytał Baltazar urażony—że dla tego nie mówiłbym tak swobodnie, jak pierwej.

— O, nie! Ale porzućmy już ten przedmiot. Mówimy do siebie tak jakieśmy dotąd jeszcze nie mówili nigdy.—Taki ton jaki zabrzmiał przy tych ostatnich twych słowach, nie istniał dotąd dla nas, niechże nie będzie go i nadal. Baltazarze przytul mnie do piersi twej ukochanej. Czyż nie jestem twoją wierną, kochającą Jadwigą? Ta mała chmurka rozwieje się i znów nasze niebo będzie czystym błękitem, jak przedtem.

Kornis przycisnął żonę do serca

— Tak, Jadwigo — rzekł, wzruszony. — Pomówię z księciem i zwrócę jego skarbowi perły, jeżeli zostały skradzione, a ty zamiast sznura pereł. miej zapewnienie twego męża, że jesteś dla niego klejnotem nad klejnotami, najwyższem bogactwem jego życia.

ROZDZIAŁ VIII.

Młody lew i jego plany.

Inni też książęta pysznić się przed nim chcieli cnotą rycerską, życia surowością, siłą swych bark i pięści ponieważ i on był mężem silnym.
Jan Kemény.

Książę Gabryel Batory był, podług zdania wszystkich współczesnych mu pisarzy, młodzieńcem pięknym, obdarzonym wielkiemi zaletami ducha i ciała. Ojciec jego Stefan, wychował go z wielką troskliwością, choć, niestety! nie zawsze w wyborze mistrzów był szczęśliwy. Książę szybko postępował w naukach. Mówił znakomicie po łacinie, znał i inne języki europejskie i w dyskursie według ówczesnego zwyczaju przeplatał je łacińskiemi zdaniami. Ci, co go nie znali, słysząc, gdy mówił po włosku, francuzku lub niemiecku, gotowi byli sądzić, że stoi przed nimi rodowity Włoch, Francuz, Niemiec.

Wszyscy mistrze uczeni, którzy pracowali nad rozwojem umysłowym Batorych, zostawali później w ścisłych stosunkach z ich domem, byli bogatemi dary obsypywani, otoczeni szacunkiem i honorami. Z rodu Batorych wyszło wiele umysłów podniosłych i myślicieli szlachetnych. Na pierwszem miejscu stawiają kroniki tego rodu Stefana Batorego, Króla Polskiego, który był między wszystkimi niby słońce śród gwiazd. Tych więc szlachetnych rycerzy stawiano za przykład dorastającym potomkom możnego tego rodu, lecz niestety, pochlebcy znajdują się zawsze i wszędzie, więc i mistrze młodego księcia zaczęli dużo mówić dobrego i o tych, co na to nie zasługiwali. Młodemu Gabryelowi od dzieciństwa za wzór przedstawiano Zygmunta. Jego okrucieństwa przedstawiano, jako rycerskie dzieło, jego błędy, jako rozum polityczny, jego klęski, jako skutki knowań niezadowolonych. I młody Gabryel, mimo starań ojca miał za czasów swojej młodości już w około siebie niecnych zauszników. Gnuśność, okrucieństwo, namiętność tłómaczono mu sofistycznie i psuto go przez to, wykrzywiając szlachetne dary jego natury. Nie dziw zatem, że w piersi młodzieńca wcześnie zrodziła się pycha

i samowola, że opierał swą wielkość na zasługach przodków, że skrzydła jego ducha, tego ducha, który dałby się był łatwo skierować na najpiękniejszą, najszczęśliwszą drogę, zostały podcięte—że wykolejono go, by zyskiwać sobie zamłodu jego łaski i potem korzystać z jego słabości.

Gabryel Batory, przywykł nietyle cnoty swych przodków podziwiać, ile ich wady fałszywie tłómaczyć. Dzieje ojczyzny swej znał niewątpliwie, lecz znał je jednostronnie, i w tem było niebzpieczeństwo, jakie mu przyszłość dawała.

Jak młody lew z poczuciem wielkiej swej siły, z duszą pełną szerokich planów, wstąpił na tron Siedmiogrodzki. Mocną ręką uchwycił ster rządu, ale, niestety! nie gasił sobie w duszy pożarów złego, jak ten, który kocha dobro, ale tylko przeciw błędom ludu postawił swoje własne błędy, dawniejszym książętom nieznane.

W tem sercu, z natury wielkiem, było dość materyału na wielkość prawdziwą, było dążenie ku wszystkiemu, co wysokie i dobre. Gdyby był miał naokoło siebie innych ludzi, gdyby mu drogi prawdy wskazywano, zostałby był zapewnie wielkim człowiekiem.

Lecz, niestety brakło takich ludzi w otoczeniu Gabryela, prócz jednego może Betlena, którego wpływom jednak książę nie podlegał. Żądza sławy bez granic i bez wyboru środków, zbytek i przepych, rodzący zazdrość wokoło były to niby drobne wady w dumnym mężu, któremu równego, od Macieja Hunyadego Siedmiogród nie wydał.

Kiedy Gabryel wstąpił na tron, przedstawił się ludowi z najlepszej strony i zdawał się być godnym miłości, nawet podziwu.

Losy chciały, że tuż obok książęcego tronu, najbliżej młodego księcia stali dwaj ludzie nikczemni: Farkas Kamuli i Jan Imrefi, a ci nie cofnęli się przed najpodlejszemi środkami dla pozyskania łaski książęcej i podniesienia swego stanowiska. I lekkomyślne, płoche kobiety, pociągały go na złą drogę zbytku i wiekuistego używania. Serce Batorego nie przywiązywało może żadnej wagi do lekkich i przechodnich miłostek, ale cierpiała na tem jego powaga wobec narodu, a choć go nieraz nazywano w historyi uwodzicielem, był on raczej uwodzonym. Dla celów pychy swojej dwie kobiety ambitne i władzy chciwe, zarzuciły na niego sieć swych zalotnych uśmiechów, torując w sobie w ten

sposób drogę do najwyższych w kraju stanowisk, na którychby błyszczeć mogły i po takich to stopniach Kamuli i Imrefi dostali się wysoko, strasząc nieopatrznego księcia złudnemi niebezpieczeństwami. Może i oni nie chcieli gubić ojczyzny, ale namiętności zaślepiają, pycha zaś i chęć władzy gubi nieraz nawet szlachetne dusze. Złą drogą dochodzi się do znaczenia, kryjąc na dnie duszy jakieś lepsze, dla dobra kraju marzone zamiary. Ale szatan nie daje nic darmo i poddając w ręce ludzi pysznych i przewrotnych ziarno złego posiewu, zmusza ich potem, aby plon ten zbierali.

Byli jednak w Siedmiogrodzie i w tych czasach uczciwi mężowie, były takie kobiety, jak Baltazarowa Kornis i Stefanowa Kendi, ale szlachetni trzymają się zawsze na stronie tam, gdzie podłość potrafi się wypchnąć naprzód, a wtedy nawa kierowana słabą ręką nieopatrznego sternika tonie, lub grzęźnie na niebezpiecznej mieliźnie.

Nieszczęście ścigające Gabryela Batorego sprawiło, że ci nawet, którzy chcieli uczynić go mężem wielkiego serca, mylili się w środkach. Pragnąc wyrobić w nim zimną krew w bitwach i niebezpieczeństwach,, pragnąc nauczyć go, aby nie tracił nigdy przytomności umysłu, uczynili go twardym i odebrali jego sercu wszelką tkliwość. Dzieckiem wiedziono go na pole takich bitew, gdzie nieprzyjaciel był mordowany okrutnie. Kazano mu też bywać świadkiem wyroków wydawanych na zbrodniarzy. Na kolanach błagał, aby mu pozwolono okropności tych nie oglądać, ale napróżno! Musiał iść patrzyć na sceny tracenia winnych w ten sposób dawniejszy, który był srogim, choć pragnął nazywać się wymiarem sprawiedliwości. Historycy ówcześni piszą też, że doszedł do tego już stopnia nieczułości, iż najstraszliwsze i najkrwawsze widoki tortur najmniejszego wrażenia na nim nie robiły. Spoglądał na wszystko spokojnie i bez odrazy—jak głaz!

Gdy siadł na tronie Siedmiogrodu, pokazało się przecież że ta spartańska, jakoby nauka cnoty nie wydała innych owoców, prócz zabicia w nim serca. Charakter jego pozostał, jak był niegdyś, słabym i chwiejnym, a zatracony zmysł moralny wydał go tylko na łup najgorszych doradców.

Dumę miał w gruncie szlachetną, ale nie umiał się kierować mądrze w polityce swojej i rwał się do czynu tam nieraz, gdzie rzecz nie była tego warta, lub środki obrane do przeprowadzenia powziętych zamiarów, nie doprowadzały do celu.

Zaraz po wstąpieniu na tron Siedmiogrodu, tak zdołał ukorzyć zuchwałego wojewodę wołoskiego Serbana Raduly, że zawarł on z Siedmiogrodem pożądany dla kraju traktat, zapewniający pokój, a prócz tego tytułem nagrodzenia strat z powodu wojny przez Siedmiogród poniesionych, zobowiązał się wypłacić, niepospolitą na owe czasy summę, 8,000 florenów, dodając do tego jakoby dar dla księcia, pysznego wierzchowca czystej bułanej maści. Koń ten zwał się: Harnyik, co po wołosku znaczy: śmiały. Traktat ten zawierali w imieniu księcia, trzej jego pełnomocnicy: Weiss, Sas rodem, członek rady Hermansztadu, Imrefi i Zygmunt Sarmasagy, ale wszystko co zostało wtedy przyrzeczone, dokonania nie otrzymało. że przecież książę miał się najwięcej obrażać i gniewać, że nie posiada dotąd owego śmiałego wierzchowca, nieprzyjaciele jego żartując dodawali, że Siedmiogród wyda wojnę Wołochom o bułanego konia.

Gabryel, jak niejeden młody książę, przeceniał swoją siłę i swoje zdolności. Były chwile, w których wyobrażał sobie, że jest niemal królem węgierskim i chciał cesarstwo tureckie podbić, Mołdawię i Wołoszczyznę sholdować, co miało być początkiem wykonania jego wielkich planów. Był więc zadowolony i pełen dobrej otuchy, śnił o czynach, mających go unieśmiertelnić, lecz kraj który był wyczerpany przez rządy Zygmunta, nie radował się wcale z tych planów młodego księcia.

Ale pyszny duch Gabryela nazwałby mizernym tchórzem tego, ktoby zwrócił mu na to uwagę.

Mówił głośno, że dumę swą na tem zakłada, aby widział Siedmiogród spokojnym, że prawdziwie szczęśliwy jest wtedy jedynie, gdy widzi pracowite ręce rolników zbierające złociste kłosy zboża, wśród pięknych, żyznych dolin, albo gdy oskardy górników wydobywają z łona dziko zpiętrzonych wyżyn ukryte skarby. Ale to wszystko niechaj wtedy dopiero się stanie—dodawał — gdy panowanie swe tak rozszerzy, że Siedmiogród będzie jaśniał wśród największych mocarstw europejskich, równy im w chwale i potędze.

Takie i tym podobne rzeczy roił młody i dumny książę, a fałszywi jego powiernicy podniecali go jeszcze, bo w takich tylko czasach niepokoju i wojny, można łowić grube ryby w wodzie zmąconej krwią i łzami ludu. Snuto też nici intryg, aby rozumniejsi i godniejsi tego, nie stanęli w rzędzie radców księcia, przeważając szalę jego rządów na inną, bezpieczniejszą dla kraju stronę.

W chwili, gdy Baltazar Kornis przytulał sobie do wzruszonej piersi swą piękną, cnotliwą i gorąco kochającą żonę, młody książę oddawał się jakoby sprawom publicznym w pysznej pałacu swego komnacie. Ściany błyszczały od malowideł świetnego włoskiego pędzla z epoki Jana Zygmunta Zapolskiego. W koło ścian stały szeregiem bogato rzeźbione krzesła dębowe, błyszczały piękne, weneckie zwierciadła, wzrok pociągały marmurowe stoły o bronzowych, złoconych nogach; dwa zegary jeden ścienny, a drugi stołowy, wreszcie ozdobne chińskie szafy, dopełniały wielkiego, jak na owe czasy, wykwintu.

Batory stał we framudze wązkiego wysokiego okna, z rękami na krzyż złożonemi. Jego atletyczną postać czysto węgierskiego typu, łagodziła cokolwiek szeroka suknia domowa, z najdelikatniejszej purpurowej tkaniny uszyta. Tuż obok pana znajdował się jego zausznik Imrefi z papierem w ręku i czytał:

„Condentio Generosi Joannis Nadânyi, pro officio stabuli nostri Praefecti supremi".

— Per annum dostaje on z łaski waszej książęcej mości 500 fl.

— Napisz mu 600—rzekł książę—żeby niebyło skargi.

Imrefi zrobił znaczek i czytał dalej:

— Na barwę dworską przeznaczono mu 10 łokci szkarłatu, łokieć po 10 florenów.

Atłasu albo kamlotu 9 łokci.

— Napisz mu 10.

Imrefi ciągnął:

— Na stół. Wina per diem 2 wiadra.

Białego chleba 24 bochenki!

Czarnego chleba 24 bochenki.

Obroku dla koni miar 400.

Siano 10 stogów.

Datum in civitate nostra Gywla Feyerwar, die 29 July 1610."

Batory przebiegł wzrokiem pismo i położywszy je na pobliskim stole, podpisał.

— Myślę—rzekł —że imci pan Nadânyi będzie zadowolony z płacy, i jak mi się zdaje, nie niechętnie on przebywa na naszym dworze.

— O, ma on już dosyć — rzekł Imrefi. Zygmunt Batory

płacił mastalerzom nie więcej nad 100 fl. — Imrefi skłonił się i chciał się oddalić.

— Jedno jeszcze słowo—rzekł Batory.—Słyszałem, że piękna Jadwigu Kornisowa wyjechała z miasta.

— Mąż jest zazdrosny—rzekł krótko Imrefi

— Dimon głupio sprawę załatwił....

— Po co było kazać handlarzowi, aby uciekał. Sam chciałem później powiedzieć pięknej pani, że to podarek odemnie

— Ośmielę się przypomnieć waszej książęcej mości, żem przepowiedział jaki będzie skutek tej rzeczy. Dimon może być nie raz użytecznym, ale w takich delikatnych sprawach lepiej działać samemu.

Batory spojrzał na mówiącego.

— Więc ty, Imrefi, chciałbyś mi w tem służyć za przewodnika.

— Owszem—rzekł po chwili namysłu—największy magnat i pan z rodu, dla waszej cześci wszystko zrobić może.

— Jeżeli potrafisz skłonić piękną Jadwigę aby była łaskawszą na mnie, daruję ci rynek Fehervaru! — zawołał młody książę gorąco.

— Wasza książęca mość zapomina, że rynek, to jest dochody z niego, są już obiecane Kamuly. On już na to liczy.

— Prawda, prawda, ale i ty, ty mój najlepszy przyjacielu, nie będziesz skrzywdzony.

— Łaska wasza panie, zawstydza mnie...

— Jesteś przywiązany do mnie i nie pragniesz, ąbym się stał martwym i zimnym jak głaz, dlatego że siedzę na tronie. Czyż serca panujących są z kamieni?. Czuję ja w tej chwili, że nie...

— O!—odparł pochlebca podły—młodość jest porą miłości i kiedyż to wasza wielkość masz kochać?

Batory zasępił się. — Ludzie prześladują mnie i wiążą gorzej, niż powrozami.... Co chwila słyszę za uszami: obowiązek... obowiązek panującego.

— Wasza książęca mość jest już mężem pełnym ducha i rozumu. Siedmiogród jest szczęśliwy że dostał go na w adzcę. Nie wierz też panie tym, którzy chcą każdą uciechę serca, każdą radość przed nim zamknąć: są to ludzie złej woli.

— Otwarcie mów Imrefi! Ci, którym ten zarzut robisz, mówiliby ze mną szczerzej, niż ty. Powiedz, kogo masz na myśli.

— Wasza książęca mość ich zna, ale nie zwraca uwagi na

ich matactwa: Gdybyście panie zajrzeli do serca Betlena, Hallera, Sarmassagiego: odkryłyby się tam straszne tajemnice.

— Co?—wykrzyknął żywo książę.—Betlen także?

— On także, on najwięcej jest dwulicowym i pod maską łagodności kryje zazdrość i nienawiść. Ale ja już nic mówić nie chcę. Czas odkryje wszystko,

— Mów, mów wyraźnie!

— Pewnego nic nie wiem, gdyż inaczej czyżbym czekał zapytania? Ale mnie, sługę waszej książęcej mości, razi to zachowanie się dziwne, ten ton mentorski i protekcyjny, jakiego względem księcia pozwala sobie Betlen używać. Ludzie to widzą i mówią, że to rządzi on, nie wy panie.

— A jednak jest to mąż dobrej, rozumnej rady—rzekł Batory z takim wyrazem twarzy, jakby zaprzeczał Imrefiemu.

— O nieba! — wykrzyknęł Imrefi—w sercu waszem panie, jest tyle szlachetności, że zuchwalstwo, chytrość, fałszywość tego człowieka, tłómaczysz sobie jako cnotę szczerości i przywiązania do ojczyzny. Ja, o! ja wymiótłbym ztąd precz Betlena, gdybym był—Batorym!

— I ja może takbym uczynił, gdybym był Imrefim — odrzekł książę dumnie.

Imrefi przysunął się do księcia. Ja jednak wiem — rzekł zcicha—coby robił ten radca dobry, gdyby sam na tronie książęcym siedział. O, wie on, jak myślę—że to rzecz przyjemna...

— Czyż on może o tem myśleć? Wie aż nadto dobrze że spiski i intrygi prowadzą zuchwalca pod miecz katowski

Nastała chwila milczenia, którą przerwał nagle książę.

— Jak słyszę, staje się on bardzo popularnym w kraju—rzekł ponuro.

— I dlatego ostrzegam waszą książęcą mość — dlatego o usunięciu go mówię.

— Jego usunąć.... ale jak?.... Lud go kocha.... to wiem, używa wielkiego poważania.

— Niechętnie mieszam się do tych spraw, ale gdy panie mój, pozwalacie na to, przemówię otwarcie. Betlena głównem zajęciem i staraniem jest, aby sobie jaknajwiększą przychylność jednał w Siedmiogrodzie. Czyż był kontent, gdy was panie na książęcym tronie posadzono?

— Betlen! Ale to on, mogę powiedzieć, głównie to uczynił. Jego głos rozbrzmiewał tylko tego pragnienia wyrazem.

— O wiem ja, jak on to czynił! Wtedy będę szczęśliwy — mówił—gdy Siedmiogród dostanie z rąk moich najlepszego księcia — zawołał Imrefi, jakgdyby z wybuchem gniewu. — Z jego rąk... i on to mówił o młodym lwie, w którym nowy Stefan Batory się odradza! Ja — dodawał — będę go wspierać ramieniem, radą, duszą całą aby mu wskazać drogę uszczęśliwienia narodu! Bezczelny.... on ma wskazywać drogę Wam, o panie mój! Gabryel Betlen, ma wskazywać drogę perle rodu Batorych—on, faryzeusz?...

— Dość—zawołał Batory lekko marszcząc czoło, bo wtedy jeszcze tkwił w nim ton wyższości, która pochlebstw nie znosi. — Zbyt wysoko podnosisz moje zasługi, mój zacny kasztelanie. Jestto skutkiem twej miłosci dla mego rodu, wiernego zawsze krajowi... Skoro plany moje zostaną spełnione, wtedy dopiero słowa twoje będą prawdą. Kiedy rozszerzę granice Siedmiogrodu tak, jak o tem marzę, niczyja zazdrość ani nikczemnosć mię nie dosięgnie.

— Panie—rzekł Imrefi—ja jednak powtórzę, że tobą będąc, oddaliłbym Betlena! Jest tysiąc sposobów do uczynienia tego gładko.

— Ja nie widzę żadnego...

— Wysłać go jako posła, naprzykład do Wiednia.

Batory zamyslił się i po chwili potarł sobie czoło.

— Ach — rzekł — nie wiem czy panować jest szczęściem? Ja naprzykład, czy użyć mogę młodości mojej? Kiedy myślę o tej cudnej istocie, o tej słodkiej Jadwidze, krew bije mi do serca i głowy. Gdybym był jak każdy inny, swobodny młodzieniec, powiedziałbym jej:— Porwę cię, uwiozę, rozwód dostanę drogą prawą, czy nieprawą, ale moją być musisz.

Imrefi podniósł głowę.

— Piękną jest— rzekł—tak piękną jak Celesta...

— Celesta!—rzekł Batory z tęsknotą.—Wy jej nie znacie! tam dusza kocha. Celesta moja o, to zupełnie co innego! —dodał poważnie, z okiem wpatrzonem w dal.—I nie wiem, żali tej nie kocham więcej i nawet, czy nie kocham jedynie?...

— W sercu ludzkiem więcej jest miłości, niż jedna— rzekł Imrefi. — Kochamy rodziców, przyjaciół, piękność kobiety...

— Wasza książęca Mość chwieje się między dwoma i to tylko w sercu jego niepokój wytwarza.

Batory podniósł oczy.

— Uważasz mnie za płochego... — rzekł krótko. Widać było, że jest niezadowolony.

— Nie... panie mój... uważam cię tylko za młodego i wiem, co to jest, bo przecież nie jestem starcem zgrzybiałym. Kobiety nasze, tak są piękne, że trudno wybierać. I gdyby ich mężowie byli tak rozumni, jak one urodziwe, cała Europa należałaby do nas.

W tej samej chwili wszedł Betlen, w bogatym, wspaniałym stroju węgierskim z wydrzym kołnierzem o bogatej spince, i z wydrzą czapką w ręku. Z pewną dumą minął Imrefiego, który odchodził, a skłoniwszy głowę przed księcem, rzekł:

— Zanim się oddalę, chciałem ze czcią należną pożegnać Waszą książęcą Mość...

— Jakto, Betlenie! oddalasz się?... Co się stało? Co zaszło takiego...

— Nic, cobym mógł powtórzyć Waszej Książęcej Mości, chyba zwracając się do sprawy publicznej. Ze wszystkiego co tu naokoło widzę i przeczuwam, sądzę, że pokój Siedmiogrodu nie jest trwałym... Będzie to wielką Waszej Książęcej Mości i jego otoczenia zasługą, jeżeli zechce szczędzić ludzi i oręża.

— Panie, bracie! — zawołał Batory niby rubasznie, lecz w gruncie rzeczy lekceważąco — jeszcze wojna nie jest otrąbioną.

Betlen uczuł się bardzo urażony tym tonem księcia. Zimny głos wskazywał, że pod poufałością jego nie ma przecież przychylności Widział jak na dłoni, że książe rad jest jego odjazdowi.

— Raduje mię, że są w otoczeniu pana mego i księcia tacy mężowie, których umysł i siła poświęcenia pozwala im zająć miejsca wśród narodu wysokie i służby moje zbytecznemi czyni. Lecz gdyby przyszła kiedy potrzeba, w której moje ramie, moja wierność, moje zdania, mogłyby się zdać na co Waszej Książęcej Mości, znajdzie ona we mnie zawsze najgodniejszego ufności Jej sługę.

W postaci, głosie i męskim wyrazie twarzy Betlena było coś tak szlachetnego, że Batory zmienił mimowoli ton, jakim przemawiał a nawet uczuł, coś jak wzruszenie.

— Więc nie odjeżdżaj mnie bracie! — rzekł, wyciągając rękę do niego.—Nie odjeżdżaj...

Ale słowa Imrefiego nagle się w pamięci jego odezwały i znowu przyszła inna jeszcze zmiana.

— Przyrzecz mi Betlenie, że jeżeli potrzebnem by było kiedy twoje ramię, przypomnę ci daną teraz obietnicę. Kto wie jak może to prędko nastąpić?...

Betlena twarz była poważna.

— Panie...—rzekł spokojnie. — Przodkowie twoi byli wielkimi mężami; w potomku ich widzę wszystkie piękno i szlachetne te przymioty, które rodowi Batorych przyniosły chwałę w ojczyznie i zjednały ją w Europie. Mężowi przystoi szczerość, a kto księcia swego kocha nieobłudnie, mówi mu prawdę, choćby nawet to, co chce powiedzieć, było gorzkiem. Widzę koło Waszej Książęcej Mości ludzi, którzy są dla jego duszy, dla jego losu i chwały niebezpiecznymi!

— Ah! — rzekł żartobliwie Batory — nie lubisz Betlenie mego dworu, ale to rzecz poboczna. Bądź przekonany, że w gruncie serca nigdy o twej wierności nie wątpiłem a więc i o tem, że potrafisz mówić mi prawdę — że potrafisz mi radzić, gdy sądzisz że jest tego potrzeba: ale zostawmy to do właściwej chwili. Czy wiesz, że wielkie łowy zapowiedziane? Rozporządzenia już wydano. Szilasi zajmie się wszystkiem.

— Z największą radością przyjąłbym udział w tej zabawie — odrzekł Betlen, ukrywając o ile możności niezodowolenie, które się wzmogło z powodu, że książe przerwał mu poprzednio mowę — ale sprawy moje, dla których wyjeżdżam nie cierpią zwłoki. O jedno tylko Waszą Książęcą Mość błagam, aby nie sądził nikogo zbyt prędko. Powietrze dworskiem jest niebezpieczne, a są koło was, panie, ludzie, którzy na twej młodości i szczodrobliwośsi ośmielają się nie najczystsze nadzieje budować. Błagam cię, książe, abyś ufał więcej własnemu rozumowi i sercu, niżeli tym, którzy w łaskę pańską się wdarłszy, wyzyskują ją na swoją korzyść.

Książę zagryzł wargi.

— Zatem, nie masz już do powiedzenia mi nic więcej, p. bracie! — rzekł z przymusowym uśmiechem — więc do widzenia....

— Chwała Bogu!—mówił do siebie książę—żem się tak łatwo pozbył tego twardego, s[illegible]wnego człowieka. — Poczem zadzwonił i wszedł młody chłopiec służebny.

— Imrefi, kasztelan mój, niech tu przybędzie natychmiast·

Sługa się oddalił.

Baltazara Betlena książę wysłał później do Wiednia, dla wzmocnienia z Rudolfem II pokoju, jaki zawarty został z cesarstwem niemieckiem, gdy Batory na tron wstępował. Ten pokój był bardzo użyteczny; ale Betlen przeczuwając, jak widzieliśmy, że pokój Siedmiogrodu nie będzie trwałym, wczas począł tworzyć pułki, ćwiczyć i wprawiać ich do służby, myśląc że Siedmiogród zawsze potrzebuje karnego i dobrze wymustrowanego żołnierza.

Skoro przecież oddalił się on od boku księcia, skoro innych też zacnych mężów Gabryel Batory pożegnał, jak Pankracego Senyiego, Stefana Basę, Jana Borbelyego i innych: pozostał on sam z temi tylko, którzy jego namiętności podsycać, jego zarozumiałość podniecać, jego awanturnicze plany podziwiać się starali.

ROZDZIAŁ IX.

J a r m a r k.

Szeroka przestrzeń, która od bramy miejskiej Kronsztadtu prowadzi do Vidombaku, przedstawiała bardzo ożywiony obraz. Na wysokich murach twierdzy stali gęsto rozstawieni strażnicy, patrząc uważnie na plac podmiejski. Mieli oni na sobie płaszcze do kolan długie, w pasie barwnemi sznurami związane; głowy ich podkrywały żelazne szyszaki, a w rękach trzymali szerokie włócznie.

Z pobliskich wiosek zebrał się lud na jarmark. Kupcy nie przed straganami siedzieli, jak dzisiaj, ale były to obszerne stoły bez żadnych nad sobą dachów, puste deski, na których

rozłożyli towary. Promienie słońca dopiekały gorąco, mimo to jednak jarmark był bardzo świetny, gdyż takich kramów były całe szeregi na placu, a nawet i na innych szerokich ulicach miasta.

Sasi, Węgrzy, Wołosi, Mołdawianie, Szeklery w barwnych, różnolitych narodowych strojach, nadawali jarmarkowi malowniczy bardzo wygląd.

Lecz mimo to jarmark był jakiś głuchy, panowało na nim szczególne milczenie; lud nie hałasował, nie śmiał się, nie kłócił się, ani godził, nie turkotały wozy i mnóstwo ludzi kierowało się głównie na wały miasta, gdzie stopniowo ustawili się w dwa szeregi, a każdy w tym tłumie miał w ręku gałąź zieloną. Nagle między te dwa szeregi ludzi wjechał rycerz zbrojny w otoczeniu kilkunastu włóczników i wszyscy witali go zielonemi gałęźmi swemi.

Blizko bramy miejskiej siedziały handlarki owoców, rozłożywszy towar na ławkach i małych wózkach.

Rycerz, w którym łatwo poznać było Sewera, jechał przez miasto. Był teraz bledszy niż niegdyś i wyglądał na człowieka który wstał niedawno z ciężkiej choroby.

— Dla czego zasiadłyście z waszemi towarami w najniewygodniejszem miejscu—zawołał na przekupki. — Zejść ztąd, co prędzej! dodał surowo podnosząc w górę szpadę.

— Ba... ba... zawołała na to głosem grubym i mocnym wysoka przekupka, młoda jeszcze, ale z męzkim, surowym wyrazem twarzy.

Odzież jej była w największym nieładzie; miała fartuch podarty i suknię zabłoconą, tylko czepek ciemnej barwy jasnemi wstążkami związany i trochę na bakier wykręcony, był nieposzlakowanej czystości. Kramarka zaśmiała się, spoglądając na Sewera; lecz nie ruszając się z miejsca, podczas, gdy inne wnet kosze swoje gdzieindziej przeniosły.

— Ruszaj precz, babo! krzyknął jeden ze straży, otaczający Sewera—albo twój cały kram pójdzie w błoto...

— Zapłaciłam za to miejsce, mój mospanku— krzyknęła kobieta basem. Niech-no kto ruszy mi to, co mam... Popamięta mnie długo.

— Zbieraj się, zawołał jednak Sewer rozgniewany zuchwalstwem przekupki.—Jeżeli nie chcesz sama tego zrobić, moi ludzie to uczynią.

— I ty mój mości Sewerze, synu Hansa Sewera, wnuku Michała Sewera, sławetnego księgowiąza, świeży komendancie Hermansztadtu, słuchaj mie! Znam całą przezacną radę Kronsztadu i, gdyby Weiss był tutaj, stanąłby po mojej stronie.

— Od pięciu lat sprzedaję w tem miejscu jabłka moje i nieraz piękna Celesta zatrzymuje się przed mym kramem i kosztuje moich smakowitych owoców.

— Czy nie prawda, siostruniu? dodała zwracając się do starej przekupki, która z podziwem słuchała jej zuchwałej mowy.

— Niech wielmożni panowie nie wierzą nic tej przybłędzie—odrzekła w końcu. Nigdy nie handlowała w tem miejscu, i już nam dziś wszystkim za skórę zalazła. Nie zna żadnej z nas, bo my jesteśmy tutejsze.

— Cicho, babo Jago... krzyknęła tamta, podnosząc w górę pięść wcale potężną i niekobiecą. — Liche ty jesteś stworzenie, tchórzem podszyta kobieto, niegodna nosić nazwiska przekupki. Gdy mówić nie umiesz do rzeczy—milcz lepiej! Ja się nie ruszę—dodała, poprawiając czepka,—dopóki mię włócznik miejski sam nie zepchnie!

Na krzyk przekupki począł się zbierać na około niej tłum, potakujący i zadowolony z jej śmiałości, którą wciąż chwalił, urągając żołnierzom.

— Chcesz tego poczęstunku!—zawołał żołnierz, podrażniony szyderstwem tłumu i podnosząc dzidę. Zaraz dostaniesz, czego chcesz.

Przekupka zeskoczyła w okamgnieniu z małego stołka, na którem stała, odbiła kijem wyciągniętą ku niej dzidę, jabłka przeniosła na stołek a sama stanęła na stole.

— Posłuchajcie mnie, towarzyszki moje—zawołała, wy przekupki kronsztadzkie! i wy, które przybywacie z Wołoch, Harasalföldu i z Poganyosu, i wy, coście się urodziły nad małym Egespalakiem! Stare i młode! handlarki jabłek i śliwek! wy które sprzedajecie kury i gęsi i wy, co rozwozicie kukurydzowe bułki—wy, i wszystkie inne słuchajcie! To miejsce jest nasze, do nas należy. Sklepienie niebios—to nasz namiot, a za ziemią zapłaciłyśmy. Za cóż to więc te nędzne pachołki miejskie wdają się do nas? A czy to jeden pokosztował naszego towaru i tego, czego nie mamy na sprzedaż — chciał kosztować smaku ust naszych, czy słodkie?...

Ale nie doczekanie ich w tej słodyczy smakować.... Nie jesteśmy nic innego, jak szlachetne panie z zamków i dworów—więc wara od nas... wara...

— Ale cóż to, czyście wszystkie oniemiały? Stołkami się zagrodzić, postawić na około siebie barykadę! Nie ruszacie się... dobrze, dobrze... Jesteście przekupkami podłej krwi, nie czujecie co to jest kobieta! My takie dobre jak księżniczki i kasztelanki.

Całej tej gadaniny celem było zebranie naokoło siebie tłumu ciekawych, czego też dokonała. Gdy krzyczała, stojąc na stole i machając rękami, wykręcając czepek coraz na inną stronę, i ujmując pod bok, lud zbiegał się z różnych ulic i placów, potakiwał jej śmiechem i okrzykami.

— Czart wcielony—zawołał w końcu Sewer—trzeba jednak skończyć tę komedyę. Bierzcie ją, choćby kąsała. Zakneblujemy jej usta potem, gdy zwiążemy wpierw ręce.

Widząc, że pachołkowie miejscy z długiemi halabardami przypuszczają prawdziwy szturm, przekupki zabrały się do odwrotu, prócz tej jednej, która była przyczyną wszystkiego, bo ona to podmówiła towarzyszki, aby się tu roztasowały.

Bohaterka została na miejscu swego tryumfu sama jedna. Śmiało patrzyła przed siebie, a gdy już nie było nikogo prócz niej, straży miejskiej i Sewera, rozgniewanego, że musiał wieść tę wojnę kokoszą, ona rozśmiała się do niego.—Mościwy a mnie wielce miły panie! krzyknęła — nie trudź pachołków twoich braniem mnie do ratusza. Pójdę tam sama, ale nie w tej chwili, ty zaś panie przystąp do mnie... Niech mam szczęście—nie pocałować cię, ale szepnąć ci coś do ucha.

— Słodki panie, luby panie... kończyła zeskoczywszy ze stołu i przepychając się między pachołkami, którzy nie wiedzieli co robić z tą kobietą, przybliżyła się do Sewera i szeptała mu coś do ucha.

Ten osłupiał, ale się i rozgniewał.

— Co to znaczy? zapytał.—Do czego to prowadzi?

— Do spotkania się mego z tobą przezacny panie komendancie, ale mieliśmy świadków, nie było to żadnem sam na sam, zatem nie rumienię się, nie boję o moje dobre imię...

— Lecz spotkamy się jeszcze, jak mam nadzieję... spotkamy się...

Lud, zebrany naokoło, milczał zdziwiony. Od czasu do czasu tylko przebiegały w tłumie jakieś szepty, rozmaicie objaśniające to zdarzenie. Wszystkie oczy zwrócone były na przekupkę, której już nikt nie imał. Sewer powiedział pachołkom, że zna tę kobietę.

W tej chwlli zabrzmiał zdala odgłos trąb, i tłum wnet rozbiegł się w prawo i w lewo, spodziewając się nowego widowiska. Mała kupk aludu została na miejscu i ta przystanęła cicho.

Z bram Kronsztadu poważnie i spokojnie wychodzili rejcy miejscy. Na przodzie był sędzia, zanim panowie—rada: Trausch, Misz, Ilnttern. bracia Closius i iani. Wszyscy byli w szerokich dolmanach, długich bogatych płaszczach i w litych pasach, na których zawisły miecze w złoconych pochwach. Na głowach mieli nizkie, lecz szerokie czapki z niedźwiedziego futra, a w rękach laski z rączkami ze złota lub słoniowej kości.

Towarzyszył im kwiat niewiast kronsztadzkich, w białych jak śnieg sukniach, w purpurowych aksamitnych kapelusikach, z długiemi do ziemi welonami. Całe to zgromadzenie najzacniejszych obywateli i obywatelek miasta wyszło na powitanie wracających z Wołoszczyzny dygnitarzy saskich, Weissa i Benknera. Siedzieli oni na wysokich rumakach z pysznemi rzędami, były to dary wojewody Serbana Raduly. Koło nich jechał stępa poseł mołdawski w tureckim stroju. w zielonym turbanie, z damasceńską szablą w ręku. Wszystko to było uroczyste i pełne powagi.

Po krótkiem pozdrowieniu sędziego, na co Weiss również krótko odpowiedział, cały orszak wraz z całym gronem pięknych kobiet z kwiatami w ręku, ruszył w miasto, gdzie okrzyki:— Niech żyją! rozległy się w powietrzu.

Skoro Weiss odprowadził posła mołdawskiego do przeznaczonej mu siedziby, skierował konia ku swemu domowi. Lud biegł na około niego, z okrzykami pełnemi miłości i zaufania w jego rozum i odprowadził go do mieszkania.

U drzwi domu czekał go sędzia królewski Weinrauch, Weissowa i Celesta, ciotka jej siedziała w oknie.

Sewer powstrzymawszy tłum, który się tłoczył koło Weissa, pomógł mu zejść z konia.

Na pięknej twarzy Celesty błyszczała szlachetna duma i

wesoły zapał. Ściskając ojca, słodko z nim rozmawiała, i śród pytań i odpowiedzi, szła z nim na górę. Sewer wolniej postępował za niemi, gdyż rana jego nie była jeszcze zagojona.

Weiss był poważniejszy, niż zwykle, pewien czas zabawił sam na sam z Sewerem. który go o ważnych w kraju sprawach uwiadomił. Gdy się oddalił wreszcie, ojciec zwrócił się do córki i, głaszcząc jej lica. ze słodyczą rozpytywał ją: co się działo tutaj w czasie jego nieobecności?

— Drogie dziecko! gdy z Fechervaru powrócę do domu, co wkrótce nastąpi, zabiorę cię do siebie. Ciotka nie łatwo na to przystanie, ale jam jest ojciec przecież i musi mi ustąpić — oddać ciebie.

Celesta dziękowała o:cu i opowiadała, jak ciotka i wuj byli w jego nieobecności dobremi dla niej. Okazywali jej miłość i starali się, aby jej dobrze było w ich domu.

Z zachowania się tego widać było, że ojciec nietylko kocha, ale i szanuje córkę. Dlatego też uważał on za rzecz stosowną mówić z nią o wszystkiem, co dotykało jego myśli, czynów i zajęć urzędowych i nic co się łączyło ze sprawami kraju. nie było dla niej tajemnicą. Była ona z tych kobiet, na których rozumie i sercu mężczyzna polegać może.

Weiss był człowiekiem uwielbianym przez wszystkich Sasów. Uważano go za słup podpierający gmach ich interessów i swobód, otaczano go też czcią i miłością, nie było na jego charakterze żadnej skazy i tak Węgrzy, jak ci, z któremi go łączył węzeł plemienny, jednako go szanowali. Taką też miłością otaczał lud jego córkę i widział w niej odblask talentów i cnót ojca. Spartański duch mieszkał w tem delikatnem ciele kobiety i taką odznaczała się ona przytomnością umysłu, że nigdy strachu, tego czysto niewieściego uczucia, gdy działać trzeba było, nie znała. Umysł jej był tak inteligentnym, że każdy kto z nią mówił, czuł że go rozumie, że pojmuje myśli jego i zamiary, choćby najwyżej sięgające. Tak właśnie było z ojcem: były to dwie dusze. które się rozumiały.

Celesta kochała gorąco. Miłość jej była tak silną, że cała jej dusza należała do tego, który serce jej umiał zdobyć, bo też tak tylko mogła ona kochać. Ojciec jej wiedział, że w domu Weinrauchów bywał Ecsedi. Celesta donosiła mu o tem listownie; nie wiedział, że dziewczyna kocha, nawet nie przypuszczał nic podobnego. Jakkolwiek nie miał on zamiaru sprze-

ciwiać się skłonności serca córki, jednak dawno już istniało w niem życzenie, aby serce to posiadał młodzieniec, którego wysoce szanował, którego sam kształcił—Sewer. A długo on pokutował za gorące to uniesienie, które mu kazało skrzyżować miecz z Ecsedim; rana leczona przez lekarkę Köhalom, długo się nie goiła i dopiero po trzech tygodniach mógł on na swe stanowisko do Hermansztadu powrócić.

Przed Celestą spotkanie Sewera z Ecsedim nie mogło pozostać tajemnicą, a skoro tylko wieść ją o tem doszła, zażądała od wuja, aby młodzieńca do domu sprowadził. Natychmiast uczyniono żądaniu jej zadość i Sewer przepędził najszczęśliwsze może dni życia w pobliżu Celesty, która była dla niego tak tkliwa, tak dbała o jego zdrowie, jak siostra rodzona i zrodził się też teraz między niemi jakiś stosunek braterski. Mówili sobie już i dawniej po imieniu, bo od dzieciństwa przywykli do tego wśród cicho i szczęśliwie pędzonych lat młodych pod jednym dachem, ale teraz zniknął między niemi wszelki przymus, który począł krępować Sewera, gdy wyrosłszy na młodzieńca uczuł, że kocha tę, która dotąd jak siostrą dla niego była. Obecnie przecież usta jego rozwiązały się w połowie. Nic nie żądał, ale odkrył uczucia swoje, snadź, aby Celesta wiedziała, że ma obok poświęcone sobie i gorąco przywiązane do niej serce. Lecz gdy czasem rzucił jakie słowo o Ecsedim. Celesta milczała, nie chcąc słyszeć tego, coby Sewer mógł mówić o nim mniej przychylnie i w ten sposób zamykała rozmowę o przedmiocie, który ją bolał.

Na wiadomość o powrocie Weissa, Celesta wraz z wujostwem pośpieszyła do Kronsztadu, dokąd też i Sewer o jeden dzień wcześniej przybył.

Ciężko mu było opuścić Köhalom, gdzie był w cichy, łagodny sposób szczęśliwym. Przez dumę i szlachetne rycerskości uczucie ukryły, że bił się z Ecsedim i prócz Celesty wszyscy i nni wierzyli, że rozbójnicy go napadli i, że Ecsedi go od nich oswobodził i nikogo z błędu tego nie wyprowadzał. Nie chciał podstępnie walczyć z nieprzyjacielem, nie chciał zadać Celeście tej boleści, aby wiedziała, że Ecsedi postawił niemal nad grobem tego, który był jej miłym, jak brat. A postanowiła ona przypuścić ojca do najskrytszych tajników swej duszy. Z niecierpliwą radością oczekiwała sposobności do tego wyzna-

7*

nia. i gdy tylko ojciec został z nią sam i rozmawiać poufnie zaczął, ona wyciągnęła ze wzruszeniem rękę do niego.

— Drogi ojcze!—rzekła, ale usta jej, zadrzawszy, nie domówiły reszty.

— Cóż ci na sercu leży, dziecko ukochane. powiedz mi—zawołał Weiss. — Najlepszy przyjaciel, twój ojciec, stoi przed tobą.

Celesta otwarcie i szczerze opowiedziała mu wszystko o nowej znajomości i odkryła jak kocha Ecsediego. odmalowała ojcu jego postać, jego cnoty i wady—jego charakter. Wreszcie usta jej dopowiedziały, że na związku z nim polega jej szczęście....

Na czoło Weissa wystąpiła zmarszczka, bo wszystkie jego marzenia zostały obalone. On tak przywykł widzieć w myślach swoich mężem Celesty Sewera, że nie przypuszczał nawet, aby inna miłość mogła się w piersi jej zapalić.

Celesto!—rzekł poważnie i spokojnie—ty wiesz, że nietylko kocham cię, jak córkę. ale też szanuję, jak przyjaciółkę. Wiesz, żem nigdy sercu twojemu przymusu nie czynił. Przecież zamiary me były inne, skoro jednak wybrałaś. pewnie wybrałaś dobrze. Jeżeli kochasz, kochasz pewnie człowieka godnego twego serca. Ecsediego nigdym nie widział, i co szczególne, imię jego od ciebie usłyszałem poraz pierwszy; lecz nie wątpię, że ten, którego ty pokochałaś, musi być młodzieńcem wielkich zalet i człowiekiem honoru. Ale, dziecię drogie! i serce jest omylne, widzisz twego ukochanego tak, jak go miłość twa przedstawia, lecz pozwolisz ojcu, aby spojrzał nań oczami rozsądku.

Kochająca dziewczyna zaczęła dokładniej jeszcze opisywać ojcu drogiego jej młodzieńca, głos jej nigdy nie był tak dźwięczny i słodki, wyraz jej twarzy nie był nigdy tak anielsko tkliwy i opisywała Ecsediego takiemi barwami, jakie tylko miłość w swej skarbnicy znaleść może. Ecsedi był w tym opisie tylko zwierciadłem, w którem Celesta swoją własną duszę widziała: był podniosły, szlachetny, cnotliwy, mężny, łagodny, czuły—kochał gorąco!....

Weiss z uwagą słuchał mowy córki. Lecz z męzkiego jego czoła nie ustępowały zmarszczki, twarz mu pobladła i wargi drżały. Zdawało mu się, że zna kogoś, co był podobny do tego opisu i myśl ta ogromną siłą ciążyła mu na sercu.

Lecz dziewczyna mówiła z coraz większym zapałem, z coraz większą miłością, z coraz większem upojeniem.

— Może się mylę—mówił do siebie Weiss — może widmo jakieś przeszkadza mi cieszyć się szczęściem dziecka mego. Czemuż mam jej szczęście niszczyć niepewnem podejrzeniem?

Lecz wkrótce z ukrywanym niepokojem zapytał:

— Po oddaleniu się z okolic Köhalom, czy dał ci o sobie wiadomość?

— O tak ojcze — odparła Celesta z promieniejącem obliczem—niedawno miałam list od niego, a dziś właśnie drugi odebrałam.

— Dzisiaj?

— Tak, na kilka godzin przed przybyciem twem ojcze, Dziwna to tylko rzecz, że jakaś kobieta oddała ten list jednemu z naszej czeladzi i odeszła zaraz.

— Nie rozumiem tego sposobu korespondencyi — rzekł Weiss posępnie. — Czyś żądała, aby listy jego były przesyłane w tajemnicy?

— Nie.... o nie! — odparła Celesta żywo i rumieniąc się— nie chcę kryć się z memi uczuciami.

— A w jaki sposób dostałaś list pierwszy?

— Umyślny posłaniec przyniósł go do Köhalom z Feherdaru.

— Czyś odpowiedziała na niego?

— Na pierwszy list — tak — i oddałam go temu samemu posłańcowi, przez którego otrzymałam list Ecsediego.

— Czy masz te listy—pytał w zamyśleniu ojciec.

— Oto jest dzisiejszy—odrzekła Celesta, zapłonąwszy, bo były tu słowa pełne namiętnej tęsknoty rozkochanego młodzieńca.

— Niedługi to jest list jednak—rzekł Weiss, przypatrując się pismu z uwagą. Charakter był zupełnie mu nieznajomy. List zawierał tylko kilka wierszy.

— On zawsze tak pisze—rzekła. List jego jest gorący, lecz krótki i widzę w tem dowód męzkiej miłości. Pyta, czy kocham go jeszcze? Mówi, że on kocha zawsze. Donosi, że w tych dniach go zobaczę. Czyż to nie dosyć?

— Zatem po trzech tygodniach macie się zobaczyć w Köhalom, Dlaczego nie tutaj?

— Nie mógł on wiedzieć, że tu jestem, żem pospieszyła do ciebie ojcze!

— Masz słuszność, dziecko drogie, Niech ci Bóg da szczęście. Pamiętaj jednak, że mało znasz tego, którego kochasz.

— Wiem, że ojcu się podoba. O, napewno się podoba!— zawołała Celesta z żywością młodej, szczęśliwej dziewczyny.

— Córko moja! zdaje ci się, że wszyscy powinni nań patrzeć twemi oczami.

Zastukano do drzwi i wszedł Sewer.—Rada zebrała się— oznajmił, a Weiss pocałował córkę w czoło.

— Bóg z tobą! dziecko kochane—teraz spieszyć muszę na ratusz, abym jutro raukiem mógł odjechać. Czy wszyscy już się zebrali? dodał zwracając się do Sewera.

— Wszyscy—brzmiała odpowiedź.

Weiss i Sewer oddalili się, lecz idąc rozmawiali, a była to poufna rozmowa.

— Będę miał dużo kłopotu z ludźmi, i sprawami, które już nie mogą być odwleczone—rzekł Albinus Weiss, jak gdyby z troską na czole.

— Może wcześniej trzeba było zacząć?—dokończył.

— Czy nasz nowy szpieg jest rzeczywiście użyteczny? Co o nim myślisz Sewerze?

— Od kiedy używam ludzi tego rodzaju, nie zdarzyło mi się widzieć równego mu, umie w tysiąc postaci się przedziergnąć- Gdybyś go widział dzisiaj przebranego za przekupkę!

— Taki człowiek właśnie nam potrzebny.—Czy ma list od Nadanyego?

— Nie. Powiada, że pisać jest w takich razach nierozsądkiem. Jego pamięć istotnie zadziwiajaca, i słowa jego więcej mogą objaśnić niż sto listów. Chłopak bardzo oryginalny. Miał od Nadanyego wiadomość.

— Czy jest w bliskiem otoczeniu księcia?

— O, w bardzo bliskiem! książę sam go używa.

— Jak każdy szpieg, jest to zawsze łotr, który na dwie strony działa. Trzeba go tylko w części do tajemnic naszych przypuszczać. Czy lubi pieniądze?

— Jak sądzę jest bardzo chciwy.

— To dobrze. Na nieszczęście w obecnych okolicznościach

tylko takiego łotra użyć możemy, bo potrzebujemy go koniecznie. Czy jest bardzo nieprzyjazny księciu?

— Księcia, zdaje się że, nie lubi, bo jest na niego obrażony; dumny to człowiek, a książę obchodzi się z nim lekceważąco. Imrefiego, Hamuli nienawidzi, jest to żywa kronika ich zbrodni. Będziesz go podziwać, panie.

— Chciałbym tylko wiedzieć to, co dotyczy Sasów — rzekł Weiss poważnie. Plotki dworskie nie obchodzą mnie. Pragnę też przyzwyczaić tego człowieka, aby donosił mi tylko rzeczy ważne i konieczne, i nie mieszał do tego nowinek.

Właśnie weszli do bramy radnego domu i milcząco wstępowali na schody.

— Tam wszystko, o czem mowiliśmy—rzekł Weiss, zazachowaj w tajemnicy nawet dla najbardziej zaufanych. Mamy powody ukrywania się.

Sewer podał mu rękę i dwaj ci ludzie zrozumieli się: weszli razem do izby radnej, gdzie miejsca swoje zajęli i, gdzie rozpoczęły się rozprawy. Nie wyobrażajmy sobie ówczesnego Siedmiogrodu, takim, jak jest dzisiaj Siedmiogród jest dziś obszerną prowincyą Węgier, interesa jego łączą się ściśle z interesami państwa, bo w naszem stuleciu zniknęły po największej części te interesa pojedynczych rodów i miast, które niegdyś były powodem ciągłych rozruchów.

Mały kraik był podzielony na nieskończoną liczbę partyj. Jak zawsze, byli i wówczas ludzie wysokich ambicyj i wielkich zdolności, którzy musieli stanąć na czele tej lub tamtej partji i zebrać naokoło siebie drużynę wierną im i interesowi ich oddaną. Niemniej byli i tacy, którzy chcieli spokojnie używać życia na własny tylko rachunek, i takich zdaje się było najwięcej. Trzymali się oni zdala od wszelkich stronnictw i oczekiwali, które zwycięży. Byli pomiędzy niemi i inni jeszcze, ambitni niższego ducha, i ci na zawołanie partyi, mającej widoki powodzenia, gotowi byli iść i walczyć, ujęci obietnicami, podarunkami: wiedzeni pragnieniem wyniesienia się. Wszystko im było jedno, czy wiążą się z Turkiem czy Niemcem. Wczasie obioru księcia, głosowali za tym, który najwięcej obiecywał i miał najwięcej do rozdania.

Do tych osobistych nieprzyjaźni. i interesów dołączyć na-

leży uprzedzenia i ambicye narodowe.—Węgrzy, Szeklery, Sasi stali jedni przeciw drugim wrogo i zazdrośnie, i w każdej chwili gotowi byli zmierzyć się już to mieczem, już słowami.

Twierdze, miasta, pojedyncze domy nawet zdawały się być uzbrojone, w każdej chwili gotowe do walki odpierania nieprzyjaciół, bo przywileje, posiadane przez jednych, naruszały prawa drugich, i gdy jedni uginali się pod ciężarem obowiązków, drudzy byli wcale od nich wolnymi: bez trudu korzystali ze wszystkich owoców pracy innych.

W takim samym stosunku jak miasta i prowincye znajdowały się rody możne. Jeden zazdrościł drugiemu: patrzono na siebie nieprzyjaźnie i nieufnie, i starano się wzajemnie drogi wyniesienia się zagrodzić między sobą.

Sasi, jakkolwiek posiadali wszystkie prawa obywatele Siedmiogrodu, mieli nawet wielkie przywileje przy obiorze książąt, nie zleli się jednak z narodem węgierskim i tęsknili zawsze za Cesarstwem niemieckiem, nieraz nawet pragnęli czynnie oderwać się od przybranej ojczyzny. Charaktery Niemców i Węgrów niezgadzały się ze sobą i trudno im było wyżyć razem, szczególnie też w Kronsztadzie wrzało, bo poczęto się domyślać, że Weiss ma jakieś myśli tajemne; wkrótce też zebrała się w koło niego partya niezadowolonych. Separatyzm owych czasów nie widział w tem zdrady kraju, jakkolwiek zdrada to była i cząstki pojedyncze chciały żyć życiem własnem, co potęgować się tu musiało, gdzie jedność plemienna nie zaciskała węzłów, a wyższe pojęcie jedności narodu nienakazywało obowiązków nierozerwanej spójni. Wejss nie długo przebywał w izbie radnej: krótko, bez kwiatów retorycznych, wypowiedział swe zdanie i poglądy — i powrócił do domu. Późno jeszcze wieczorem w jego oknie widać było światło, a strażnik nocny upewniał, że widział zaraz z wieczora Sewera, wchodzącego do domu Weissa z jakimś mnichem. Kto mnichem był? łatwo się domyśleć.

Nazajutrz o świcie Weiss z mołdawskim posłem skierował się w stronę Fehervaru.

ROZDZIAŁ X.

Okropności nocy.

Droga moja! gdybym był królem oddałbym państwo,
I tron mój, i berło, i lud co klęczy przedemną,
I purpurowe pałace, i moją złotą koronę,
I okręty wojenne, co po morzu płyną
Za jedno twe spojrzenie!
Gdybym był Bogiem! powietrze dałbym i ziemię,
Chór demonów i aniołów, pochylonych przedemną,
Oddałbym wieczność, która nad chaosem stoi,
Oddałbym niebo i morze, i niebieskie światła
Za jeden twój pocałunek!

Viktor Hugo.

Weiss przybywszy do Fehervaru, znalazł tam wiele rzeczy nie w takim stanie, jak by to sobie życzył. Mówiono, że książę przyjął go bardzo łaskawie, lecz zimno.

Poseł mołdawski przywiózł prośby o pokój i bogate dary, ale nie przywiózł 8.000 florenów. Batory wbrew wszelkim prawom międzynarodowym posła w więzieniu osadził. Tylko Weiss i Gabryel Betlen, który na krótki czas do Siedmiogrodu z Węgier powrócił, błagali go, aby tego nieczynił. Stało się to wskutek rad Imrefiego, który twierdził, że, gdy Raduly pozwala sobie lekceważyć swe zobowiązania względem księcia, tedy słabością byłoby posła jego puścić swobodnie, dodając, że przy dworze tureckim, któremu Raduly podlegał nieraz już tak samo postępowano, zatem rzecz ta nie będzie dla mołdawskiego wojewody bezprzykładną.

Może jeszcze rok temu Batory nie uległby tak łatwo podszczeniom ludzi chytrych, ale teraz potrafili go już tak opleść siecią intryg, tak opanowali jego umysł, że pod ich wpływem gotów był on do czynów najbardziej samowolnych.

Weiss w Fehervarze dowiadywał się o Escediego, ale wię-

kszość obecnych mówiła mu, że nieznają tego rycerza, gdy inni ze szczególnym wyrazem twarzy odpowiadali pytającemu, że Escedi gdzieś pojechał, że go nie ma obecnie w Fehervarze i Weiss niezadowolony opuścił to miasto, uprosiwszy wpierw Batorego, aby zjechał na pewien czas do Kronstadtu. Może chciał go wyrwać ze szponów nędznych pochlebców, bo właśnie za bytności jego w Fehervarze zdarzył się wypadek bardzo smutny, który złe światło rzucał na młodego władcę. Mówiono że nie był zupełnie trzeźwy, gdy się go dopuścił, a przynajmniej, że mu dodano odwagi do szalonego kroku, podsuwając kielichy z ognistym tokajem, który dolał oliwy do ognia. Jednego dnia Batory pojechał w odwiedziny do Stefanowej Kendy, że właśnie nie było w domu jej męża, sama musiała księcia przyjąć i ugaszczać. Dwie godziny tam bawił i wieczór to.już był dość późny, gdy na wieży pałacu Kendich zabrzmiał nagle dzwon alarmu. W owej epoce każdy dom narażony był na różne,—prócz ognia niebezpieczeństwa i ztąd bywał zaopatrzony w dzwon. od którego długi i mocny sznur spuszczał się aż do dolnych komnat i w niespodzianych a groźnych wypadkach budzono jego dźwiękiem służbę w całym domu, bo rozbrzmiewał tak głośno, jak to było jego przeznaczeniem, otóż w czasie wizyty księcia dzwon taki zabrzmiał nagle i służba cała zbiegła się w okamgnieniu do pani.

Książę był tam jeszcze, blady i jak się zdawało ludziom zmieszany, gdy twarz Kendiowej była przeciwnie w płomieniach. Ale gdy stary marszałek dworu wszedł do izby bawialnej, gdzie znajdowała się pani wraz z dostojnym gościem i stanął na progu, zostawiając resztę sług za drzwiami, nie znalazł tam nic przestraszającego. Kobieta stała obok stołu wyprostowana i dumna, z podniesioną głową.

— Ambroży!—rzekła do wchodzącego.—Książe nasz i pan zwątpił, aby służba moja zawsze gotowa była na me rozkazy, gdy męża mego nie ma w domu. chciałam więc przekonać go o tem.

— Wasza książęca mości—widzi dodała, że Stefanowa Kendi ma dość siły ducha i dość ramion do obrony w razie jakiegokolwiek niebezpieczeńswa i nie jest bezbronną nawet podczas gdy jest samotną w domu...

— Rzeczywiście,—rzekł Batory nie bez pewnej ostrej goryczy w głosie.—Czeladź pani zna służbę, i nie wątpię, że na jej

wierności zawsze polegać można, jakkolwiek czasy są spokojne i nikomu z poddanych moich nic grozić nie może.

— Mości marszałku—dodał zwracając się do starca i dając mu garść dukatów—oto nagroda za twą wierność.

— Jego książęca mość chce się oddalić, ozwała się Kendiowa do marszałka — niech więc szpaler służby utworzy się na jego drodze, a mnie niech wolno będzie odprowadzić go do drzwi domu...

Jak rzekła, tak uczyniła, towarzyszyła księciu do drzwi ostatnich i pożegnała głębokim ukłonem. Służba cała, wyjąwszy może Ambrożego, uważała wypadek za zupełnie naturalny i cieszyła się, że książe wie, jak w domu Kendich sprężysto prowadzone są rządy. Ale byli tacy, którzy wierzyć temu nie chcieli. Szeptano, że książe miał się odezwać słowem bardzo śmiałem do pani domu, która przyjmowała go z należytym panującemu szacunkiem, ale bez słodkich uśmiechów i miłych słówek, co obraziło Batorego.

— Gdybym chciał, byłabyś pani każdej chwili w mocy mojej—miał się odezwać. Porwałbym cię i zawiózł gdziebym chciał, bo mąż twój nie może wiecznie być przy tobie...

Lecz ona miała potrząsnąć wyniośle głową.—Wasza książęca mość się myli—odparła. Na zawołanie waszej książęcej mości, na jej rozkaz wszystkie drzwi domu naszego są otwarte, ale nikt nie mógłby się dostać do mnie bez woli mojej, i mogę pokazać waszej książęcej mości jaką to twierdzą jest dom mego małżonka.

Wtedy to pociągnęła gruby sznur jedwabny. który się spuszczał od sufitu, a nazajutrz rano wyjechała z Fehervaru, skoro świt.

A nie było już tu i Kornisów, tak, jak nie było już Betlenów. Kornisowie pojechali do dóbr swoich już w ziemi Szeklerów, gdzie w wielkiej włości, w Hemorod-Szet-Pal zamieszkali wspaniały pałac Udwerhely. Ta część Siedmiogrodu, którą od dawien dawna zamieszkuje mężny, rosły i rozumny, turańskiego pochodzenia lud Szeklerów — jest nader bogatą w piękne okolice. Odwieczne lasy, gdzie w czasie naszego opowiadania żyły stada dzikich bawołów, wilków i niedźwiedzi. a które dziś tak rzadko napotkać tam można, pokrywały zielonym wieńcem ziemię Szeklerów. Iglaste gąszcze strzelały wysoko w górę. Nieraz upadający wicher chciał je od korzeni oderwać i łamać,

o ziemię rzucać—zabijać, ale mech i darń odwieczna, która je obrosła naokoło, była jakoby ich klamrą do matki ziemi przytwierdzającą, która im pozwalała walczyć zwycięzko z najwściekle|szym huraganem. Myśliwiec Szeklerski zowie to walką natury ze złym duchem—z dyabłem i gdy te nieczyste moce, jak to zwie, aby po nazwisku złego nie wyzwać, harce rozpoczną, uchodzi ze swych puszcz, pełnych wtedy niebezpieczeństw i grozy wspaniałej. W prowincyi Gyergyo i Csik-szeku wznosiły się szczyty gór, wiecznym sniegiem pokryte, oblane tysiącem strumieni, które noszą dziwne, ponure nazwy; podobnież ponure, najczęściej historyczne lub podaniowe, są nazwy różnych wierzchołków, jak Tatárhágo (droga Tatarów), Pagányos, Gyilkos (szczyt zbójecki), Lévész (przepaść koni), Apahavae (ojciec—śnieżyca), So-Solyomtar (szczyt sokołów), i inne. Gdzieindziej wielkie pieczary rozdzierały pierś góry, albo na ich nagim szczycie leżały ponure ruiny starego zamczyska.

Jednym z najznakomitszych zamków był Udvarhely, który w epoce naszego opowiadania był już starym i zębem czasu naruszonym gmachem, ale był po większej części mieszkalny. Fundamenta jego trzymały się mocno, a wieżyce zwracały się ku północy. Wojewoda Stefan Batory począł go budować w r. 1403, ale dopiero Zapolya go ukończył w r. 1562. Za czasów Krzysztofa Batorego nazwano go: Udvarhely.

Zamku udvarhelyskiego kasztelanem w czasie naszego opowiadania był Baltazar Kornis. Kroniki twierdzą, że Zygmunt Batory dał go w zastaw ojcu Kornisowej. Rzecz ta może być wiarogodną, gdyż Zygmunt znajdował sią często w potrzebie pieniężnej.

Tu przybyli Kornisowie z Fehervaru. O ile dostojną, dumną i czczoną była Kornisowa na dworze, o tyle miłą, szczerą i gościnną w domu. Rzadko była samą, ponieważ szlachta z okolicy, chętnie zjeżdżała, a w domu Kornisów panował dostatek, jakkolwiek nie był to zbytek, który rządzi się zasadą, że lej.... rozlej! jest dopiero cecha bogactwa i gościnności.

Tu śród rozkoszy życia domowego, zapomniane zostały smutne wypadki fehervarskie. Piękna Jadwiga była tak zawsze wesołą i na dawny sposób miłą, że mąż powoli o wszystkiem zapominał, a i ona sama patrzyła na obrazy tych smutnych wspomnień, jak na rzeczy dalekie, ukazujące się już tylko przez mgłę, w niepewnych, bladych kolorach. Kto wie, czy

książę nie chciał tylko żartować—mówiła sobie—lecz jeżeli rozsądek ostrzegał ją, że takich rzeczy nikt się żartem nie dopuszcza mówiła sobie, że kaprys to był chwili jednej, zapomniany, gdy minęła! Nieraz też zapytywała siebie, czy nie za surowo obeszła się z Martą?

Kornis, na krótko tylko dom opuszczając, po większej części obok żony przebywał. Nieraz siadywali wieczorem na górnej wieżycy starego zamku, lub przebywali w której ciepłej, obszernej komnacie dolnej, a serca ich otwierały się wtedy przed sobą, jak zwykle u ludzi, którzy się kochają głęboką a równą w obu sercach miłością. Kornis nie czując już księcia w pobliżu, spokojny był i szczęśliwy na dawny sposób, to jest wierzący, że jutro rano słońce wejdzie na niebo tak jak jasno i wesoło, jak teraz spokojnie i cicho zachodzi, a gdy usta jego dały ukochanej kobiecie pocałunek dobrej nocy, oczy jego zamykały się spokojnie. Tak bywało z dnia na dzień lecz nie tak było wieczorem dnia pewnego, który przyszedł orzeźwić i uśpić ziemię po dniu bardzo upalnym; ciemność zwolna zstępowała na ciche doliny, otaczające zamek Udvarhely. Słabe światła na murach tu i owdzie rozpędzają cienie, i tylko gwiazdy, te wieczorne lampy niebios lśnią srebrnemi blaskami nad uśpioną ziemią. Zdala na szczytach gór ciemnieją lasy dębów, buków. Naprzeciw nich wznosi się potężna twierdza zamkowa, z licznemi wieżycami i bastyonami. W niektórych oknach widać światło, odbijające się łuną złotą w błękitnych falach jeziora Kükülö, nad którego brzegami rozciągało się miasteczko. Wszystko już w około śpi, lecz bezludną ulicą miasta idzie jakiś człowiek wysoki. U bramy niektórych domów staje i uderza włócznią o ziemię. Na ten znak milkną wszelkie tam głosy, choćby to były dźwięki wesołych śpiewów i głośne w rodzinnych kołach rozmowy. Postępował tak spokojnie i regularnie, gdy z cieniów ulicy wystąpiła druga postać ludzka i w podobny sposób poczęła postępować—drugi jakiś dziwny stróż nocny szedł w kierunku przeciwnym na spotkanie pierwszego:

Gdy dwaj ci ludzie, cieniami nocy okryci, byli już blisko siebie, na wieżyczce kaplicy Udvarhetskiej, zabrzmiał dzwon i dały się słyszeć poważne dźwięki modlitwy.

De profundis clamavi ad te, domine!
Domine exaudi vocem meam!

Teraz ci dwaj stali już około siebie.

— Andorias!—zapytał jeden, przyciszony głosem.

— Słucham, kumie!—rzekł drugi.

— W kaplicy mnichy modlą się jeszcze. Patrz, w oknach Kornisowej. świeci się lampa.

Karczma była w pobliżu, i ztamtąd ozwał się nagle głos:

Wina! wina! wołano i jeden z rozweselonych biesiadników śpiewać począł zabawną piosenkę szeklerską:

Wpadł pan sędzia do strumienia,
I w piskorza się zamienia.
A gdy wyschło dno strumyka,
Złowili go do koszyka!

A z kaplicy zamkowej na nowo dał się słyszeć głos kapłański:

In te, domine, speravi,
Non confundar in aeternum¡

Dwaj strażnicy zdjęli czapki i przeżegnali się; ich proste serca były wzruszone, a ich usta poczęły szeptać modlitwę.

W karczmie wesoły śpiewak ciągnął dalej swoją szaloną piosenkę:

Bela wiódł na jarmark konia,
Lecz w bagniste zapadł błonia.
Z błota będzie twarda skała,
Z konia mydła góra cała!—...

Umilkło na moment tylko i znów ozwał się śpiew.

Świnia trawę gryzie w rowie,
Endre bije dziurę w głowie.
Endre pójdzie na Szeklera,
Kucharz świński smalec zbiera!...

W karczmie wzmogła się wrzawa głosów, gorętszych niż poprzednio. Krzyczano i klęto, bo kłócono się i była bójka. Nagle drzwi karczmy otworzyły się i wyleciał z nich, jak z pro-

cy, młody, zwinny chłopak z czapką w ręku, z zaciśniętą pięścią drugą i klął zapalczywie.

Uciekający, wymijając kałuże uliczne, spotkał się z dwoma strażnikami, którzy stali na miejscu, patrząc w stronę karczmy przybysz chwilę milczał, na twarz wystąpił mu pewien wyraz smiesznej dumy; czapkę otrząsnął z kurzu powoli, wreszcie zawołał:

— Te bestye nie szeklery nie umieją szanować uczciwego człowieka! Najładniejszą pieśń im śpiewałem! Myślę, że długo czekać będę znów na takiego drugiego, jak ja.

— Kto wasan za jeden?—krzyknął ze swego kąta Andorias.

— Człowiek. Cóż to za zuchwalstwo, pytać o to?

— Czego tu chcesz? Chodź do ratusza. U nas na włóczęgów są mocne stryki.

— Cicho bracie! Jestem posłany od jednego wielmożnego pana do jaśnie oświeconego Baltazara Kornisa. Powiedz mi bracie, którędy wiedzie najbliższa droga do zamku?

— Tam między domki idź wasan na lewo, tam dostaniesz się na najkrótszą, boczną drożynę. Widzisz, jak bieleje przez łąki!

— Warto jest dać na wino za taką radę dobrą, która oszczędza idącemu butów — ozwał się drugi strażnik ze swego stanowiska.

Odpowiedzi nie było, tylko nowe pytanie:

— Musi już być późno?

— W każdym razie wino pić jeszcze można,—rzekł Andodorias, upominając się znów o nagrodę za swoje objaśnienia. Widząc jednak, że to nieskutkuje—dodał:—Idź wasan z Bogiem! księża na zamku już nie śpiewają. Dziesiąta minęła.

Obcy chwilę myślał, szedł tuż za Andoriasem, lecz oglądał się wokoło, jak ktoś, co nie chce, żeby go widziano—i zniknął w ciemnościach.

Wkrótce potem z karczmy poczęli wychodzić zapóźnieni biesiadnicy—szli do domów jak kto mógł, nie jeden mocniej pijany, przespał się pod murem nie trafiwszy do domu.

Strażnicy pozostali sami i otoczyła ich cisza.

W kilka chwil potem dał się słyszeć tentent koni zjawili się nagle dwaj rycerze, odziani w fałdziste płaszcze; z cie-

mnego kąta ulicy wysunął się na ich spotkanie jakiś drab.—

— Jestem tu już nie mały czas—odrzekł.

— Trzeba jechać cicho bracie, lud jeszcze nie śpi.

* * *

Dla tego piękna pani zamku Udvarhelskiego była smutniejsza, niż zwykle, że mąż wezwany bardzo nagłym rozkazem księcia jechać musiał tego wieczora do Hermanstadtu, aby złamać opór Sasów i odebrać od nich podatki na wojnę przeciw wojewodzie wołoskiemu, a może też dziwne. tęskno przeczucie ściskało jej serce.—Prosiła męża, aby nazajutrz rano odjechał. Kornis sam był smutny i niespokojny. Czy rozkaz księcia jego pomięszanie spowodował, czy też inny list—gdyż Kornis tego dnia kilka listów z Fehervaru otrzymał—nie wiemy; ale nie można było zmienić postanowienia i o pierwszych gwiazdach oddalił się, pożegnawszy męża Kornisowa nie miała dziś chęci spać. Czytała więc ze starym księdzem z pięknie oprawnej, złotem i drogiemi kamieniami ozdobnej biblji.

Podniosłe, a proste wyrazy świętej księgi rozrzewniały i uspakajały duszę samotnej kobiety. Z cichą powagą spoglądała przed siebie, w oczach błysnęła łza a wargi szeptały modlitwę.

W końcu braciszek zakonny oddalił się.

Kornisowa włożywszy lekką szatę nocną, cicho przeszła do sypialni. Koło godziny pierwszej o północy sen począł zamykać jej źrenice. Zaraz w drugiej komnacie spała wierna służąca, lecz reszta służby była daleko. Nad łożem Jadwigi zwieszał się szeroki baldachim; w bliskości okna paliła się lampka nocna, zasnęła więc otulona ciszą i pół cieniem, tylko na murach zamkowych słychać było kroki nocnego stróża. Nagle koło godziny drugiej służąca się przebudziła. Zdawało jej się, że pod drzwiami słyszy jakieś kroki i szepty. Trochę przestraszona, wnet przyszła do siebie przypomniawszy sobie że nieraz już przybywali o tak późnej godzinie goście z sąsiedztwa lub ze stron dalszych. Mężnie więc ruszyła się z miejsca, zbliżyła się do drzwi i zawołała:

— Kto tam!

— Cicho, odpowiedział głos nieznany.—Nie lękaj się mości Klaro. W zamku jest pożar.

Kobieta się przestraszyła i krzyknęła.

— Cicho!—powtórzył głos. Otwórz drzwi, lecz spokojnie, aby się pani nasza nie przestraszyła.

Kobieta nie ruszyła się z miejsca, nie dla tego, aby lękała się drzwi otworzyć, ale że przestraszyła się okropnej wieści o pożarze w zamku.

— Czy nie lepiej obudzić panią?—zapytała cicho.

— Nie!—odpowiedziano ostro. Tylko prędzej drzwi otwórz. Ogień się rozszerza.

Drzwi zostały otwarte, przed osłupiałą kobietą stanęli dwaj nieznani ludzie. Jeden był wysoki, silny, drugi szczuplejszy i niższy. Za niemi stał sługa w domowych barwach, z otwartemi ustami, cały drżący.

— Sza... ani słowa! albo umrzesz...—rzekł wyższy z obcych, przybyszy, kierując ku wylęknionej lufę pistoletu.

— Wiąż ją i wyprowadź ztąd—rozkazywał dalej. zwracając się do towarzysza.—Ty zaś, rzekł do sługi, stój tam na straży i bacz, aby jaki nieprzewidziany wypadek nie miał miejsca.

I rzucił mu do ręki woreczek z pieniędzmi.

Nim to się stało i niższy z dwóch obcych związał sługę, Jadwiga Kornisowa zbudziła się i przestraszona—zawołała:

— Klaro!

W tej chwili oddalili się wszyscy. Wyższy, widocznie pan, co tu rozkazywał, zamknął za niemi drzwi i schował klucz w zanadrze. Jadwiga wydała okrzyk przerażenia, bo w migającem świetle nocnej lampki poznała Gabryela Batorego.

Dawno już zbudzona, słyszała szepty, rozmowę i otwieranie drzwi. Przestraszona, zeskoczyła z łoża i narzuciła długą ciemną suknię poranną: tak zastał piękną kobietę Batory, gdy wchodził do jej sypialni.

Żadne pióro nie zdoła opisać przestrachu nieszczęśliwej. Przedewszystkiem podniosła rękę i wchodzącemu drzwi wskazała: twarz jej wyraziła oburzenie i gniew obrażonej dumy niewieściej.

Batory miał na sobie lekki, kamlotowy zielony dolman z dyamentowemi guzikami; kołnierz był niezapięty i pokazywał piękną, białą szyję, na twarzy jego był wyraz pewnego podziwu i zawstydzenia w obec godności i imponującej postaci pani domu który naszedł.

Zbliżył się jednak do niej, a ona nieszczęsna szukała oczyma drogi ratunku.

W pierwszej chwili przerażona była tak, jak nigdy w życiu. Lecz wnet myśleć poczęła o sposobach ratunku. Ujrzawszy pistolety męża zawieszone na ścianie, chciała je porwać, lecz przypomniała sobie, że nie nabite; wtedy chciała dostać nóż, który leżał na stoliku w drugim końcu pokoju i skierowała się w tę stronę, jednocześnie wzywając służby.

Lecz Batory ją wstrzymał i silną ręką ujął.

— Jadwigo — zaszeptał. Pocóż te wołania, pocóż te bezpożyteczne wysiłki? Najczarowniejsza, najrozumniejsza, najsłodsza kobieto, co czynisz? Czy chcesz, abym u twych stóp przysięgał ci tę płomienną miłość, o której upewnić cię mogę najlepiej tem, że wszystkie zawady złamałem i tu doszedłem dokąd ledwie by kto wejść się ośmielił?

— Oddal się, wyjdź stąd, nędzniku! którego z całego serca nienawidzę! zawołała Jadwiga.

— Jadwigo! jedno słowo tylko! zawołał Batory prawie lękliwie.—To nie jest napad bezrozumny, jestem tu, aby ci wyznać moją miłość, która cię chce uczynić księżną i panią tej całej krainy. Błagam cię o jedno tylko słowo! Uspokój się na chwilę, na jedno oka mgnienie. Spojrzyj na mnie bez gniewu. Życie moje wraz z koroną składam u twych stóp i z tryumfalną radością uwiozę cię, jak przyszłą małżonkę moją. Rozwód — to już moja rzecz... Niechaj się kto ośmieli oderwać łagodną gołębicę od królewskiego orła! Jadwigo, powiedz, co masz przeciw mnie? Kocham, jak nie umie kochać tamten zimny człowiek, którego przebłagam potem. Uczynię go pierwszym po sobie i musi odstąpić mi ciebie! O, bądź moją, bądź moją, niebianko! O! pójdę ja walczyć z całym światem o ciebie!

Podczas, gdy Batory to mówił, ona cofała się zwolna w tył i w taki sposób doszli do stolika, na którym leżał nóż.

— Niech Wasza książęca Mość cofnie się, niech Wasza książęca Mość opuści tę komnatę, ten zamek, gdzie w nieobecności jego pana nie przyjmuje się gości.

Ale Batory nie cofnął się, coraz goręcej mówił o swojej miłości, o przyszłości, jaką ta miłość stworzy wybranej kobiecie. Mając ją przy boku swoim stanie się mężnym jak nikt

jeszcze na świecie i zwycięzkim, jak ci męże starożytni, którzy w proch rozburzyli mury Troi.

Mówił, mówił, potoki słów namiętnych płynęły mu z ust, lecz gdy kobieta, blada lecz z pałającemi oczyma milczała, jak posąg, jego zdjął razem gniew i żal. — Milczysz.... zawołał, nie masz dla mnie ani jednego słowa odpowiedzi!... Ale wiem co cię dotyka, co dumę twoją obraża, żem się tu wdarł wśród nocy, jak zbójca i łupieżca. Ale jam ci chciał ułatwić drogę, o ukochana. Serce twe dobre i tkliwe nie dałoby ci zerwać więzów, które cię dzielą odemnie, które cię przykuwają do człowieka nie dość cię godnego... Tron mój...

— Cicho panie! krzyknęła Jadwiga. — Tamtego, któremu przysięgałam przed ołtarzem Boga, którego wybrałam dobrowolnie, tamtego nie opuszczę nigdy.

— Musisz...

— Nic nie muszę. Jest węzeł, którego nikt i nic nie zrywa—to, że go kocham.

— Kocham męża tak, jak cię nie nawidzę panie, jak nienawidzić będę zawsze...

Kornisowa już wtedy trzymała w ręku nóż. Zbladła jeszcze silniej, niż poprzednio, ale oczy jej silniej świeciły.

— Boże! zawołała—pochwalonem niech będzie imię Twoje! Ciężka to próba, lecz taka jest wola Twoja...

Wtedy podniosła nóż w górę. Czy go miała skierować ku piersi swojej, czy wbić między fałdy dołmana Batorego?

W tej okropnej chwili otworzyły się drzwi boczne. Batory tego nie słyszał, bo chciał wydrzeć nóż z rąk kobiety. Nie widział że oto wszedł Baltazar Kornis i z nim kilku ludzi zbrojnych.

— Stań przy mnie, Jadwigo, zawołał wtedy Batory, podniósłszy z ziemi nóż, który puściła teraz Jadwiga — nie lękaj się! ja ciebie bronię. Słuchaj mnie, kasztelanie Udrazhelski i wy, co ośmielacie się wejść tu i nie wołani jawić się przed oblicze waszego księcia i słuchajcie... Nie Baltazarowa Kornis, ale Gabryelowa Batory stoi przed wami!

Tymczasem Kornisowa z wyciągniętemi rękami jak gołębica śpiesząca do swego gniazda, padła do nóg męża; z godnością obrażonych uczuć kobiecego wstydu, z boleścią i łkaniem,

wpatrzyła się w jego oblicze. Czyżby się lękała? Czyżby miała nie być pewną, że nie opuści on jej, nie sprzeda za godności żadne? W tej chwili była czarująco piękną.

— Jestem niewinna! zawołała, ten człowiek wszedł tu gwałtem.

— Nie u nóg mych twe miejsce—rzekł dumnie mąż. Stań przy mnie żono moja, moja wierna i uczciwa towarzyszko. Żadne słowo obrazy nie wyjdzie z ust moich. Tyś jest tak moją, jak moją byłaś dotąd—to już wszystko, com potrzebował ci powiedzieć. Przebóg! mówił dalej z sarkazmem—sługi mojej nie podejrzywałbym o miłość dla takiego człowieka.

Mówiąc to Kornis wyjął miecz z pochwy i przyglądał mu się uważnie, podczas gdy w piersi jego wrzała walka uczuć najdzikszych.

— Nędzny szpiegu! zawołał Batory — obrażasz majestat mój książęcy tak, że to się karze śmiercią tylko! Śledziłeś kroki moje milczkiem, niegodny spiskowcze! Kto ty jesteś, że śmiesz tak mówić, jak przed chwilą do Gabryela Batorego? Własnej twej służbie rozkażę cię związać — dodał z wściekłością w oczach, patrząc wokoło.—O chciałbym widzieć zuchwalca, któryby rozkazy moje pozwolił sobie lekceważyć!

— Sam jesteś spiskowcem przeciw godności księcia Siedmiogrodu, znikczemniały potomku tego dumnego rodu, który w Stefanie podniósł się do najwyższej sławy, a później tak się coraz niżej osuwał, aż w tobie zrodził chorego, nędznego awanturnika! Choćby nie słyszał słów żony, to i tak wiedziałbym prawdę. Nie jak książę wszedłeś do mego domu, gdzie gościnne, niepodejrzliwe serce Węgra znalazłoby miejsce dla ciebie; podkradłeś się, jak złodziej, jak zbójca, jak drugi Zygmunt, okrutnik i przeniewierca, który złamał złożone narodowi swemu przysięgi. Dom węgierski, to święta dla uczciwych ludzi twierdza a tyś tu wszedł w nocy podstępem, który wiodła zbrodnia. Ale czy wiesz, coś uczynił? Lecz idź wolny, puszczam cię, tylko oddal się prędko. Ale jeśli jest coś rycerskiej duszy w tobie, stańmy: mąż przeciw mężowi, miecz naprzeciwko miecza! Żądam sądu bożego—chcę się bić z tobą.

Batory gniewnem okiem poglądał wokoło. Nie znać było na jego twarzy ani śladu strachu, malował się na niej raczej wstyd z powodu dziwnej roli, jaką grać był zmuszony.—Gabryel

Batory, ten Batory, który w Köhalom walczył z synem mieszczańskim, który rycerskie życzenia tego młodzieńca tak chętnie wypełniał — zniknął: teraz pozostał rozgniewany tyran dla którego nie masz nic świętego.

— Milczeć! zawołał wyniośle. Miej książęcą koronę na głowie, a będę walczyć z tobą. Ale tyś jest majestatu bluźnierca, którego czeka szubienica.

— Nieba! krzyknęła Jadwiga.

— O, nie lękaj się, droga! Ten człowiek słowami swemi nie shańbi mię. On niechaj drży przed krwawą zemstą Siedmiogrodzian.

W tej chwili zasztukano w drzwi ostatnie, które Gabryel sam zamknął; Dimon i drugi towarzysz księcia chcieli je wyłamać, lecz Batory sam otworzył.

Gdy weszli, wskazał na Kornisa, zwracając się zarówno do nich, jak do służby, która też weszła teraz.

— Wiążcie tego zuchwalca! zawołał.—My, Gabryel Batory, książe Siedmiogrodu pan części Węgier, rozkazujemy wam wiązać tego człowieka, jako winnego głowy.

Dumna postawa i bezwzględny rozkaz księcia spowodowały ruch śród nędznej czeladzi. Jak się zdawało, gotowi oni byli rozkazu posłuchać.

— Głowy wasze spadną, jeżeli nie posłuchacie! zawołał jeszcze namiętniej Batory.

— Wiązać go! krzyknął i krokiem postąpił ku Kornisowi.

— Jadwigo! zawołał porywczo Baltazar, wyciągając rękę do żony i otwierając drzwi przed nią. — Śpiesz! koń stoi na dole. Ja z tobą jadę.

Ona przestraszona, cała drżąca, śpiesznie schodziła, oglądając się przecież poza siebie, czy mąż za nią idzie?

Kornis trzymał nad głową miecz. — Precz, nędznicy! wołał, wy, którzyście chleb mój jedli a teraz śmieliście słuchac rozkazów napastnika i wyciągaliście już rękę ku waszemu panu! Precz, komu życie miłe, — i mieczem torując sobie drogę śród przestraszonej gromady sług, która w duszy rada go była puścić i rozstępowała się teraz przed nim—wyszedł.

W miasteczku ludzie pobudzili się, niezwykłym wśród nocy hałasem i dziką wrzawą. Zakonnicy wybiegli ze swych celek i przez wązkie okno klasztorne na gościniec patrzeli. Czeladź i inni mieszkańcy zamku zbiegli się także.

Dwa konie stały u schodów. Przestraszone niezwykłym hałasem rżały niecierpliwie i biły ziemią kopytami.

Kornis i Jadwiga szybko wskoczyli im na grzbiet i oddalili się w towarzystwie jednego sługi, towarzysza podróży Baltazara Kornisa.

* * *

Aż pod zamek Udvarhely podsunęli się dwaj nocni strażnicy i zdumieni patrzeli na siebie.

— Andorias! zawołał jeden—czy widzisz?

— Gegö, i cóż to jest? odparł drugi.

— Słyszę tentent koni.

— I ja też słyszę. Niedobrzy to byli ludzie ci jeźdźcy, co weszli do zamku. Daję moją bułaną klacz, dwie kozy i moje babo [1]), że podłożyli ogień pod zamek.

Kumie! zawołał nagle Andorias zdumiony. Spojrzyj tam w górę.

Gegö spojrzał w górę, a twarz jego wyraziła przestrach i osłupienie.

— Kumie! zawołał, góra rośnie.

Rzeczywiście mgły otaczające wierzchołki kazały mniemać, że góra się podnosi.

Sine szczyty oświetlone blademi promieniami jutrzni porannej wyłaniały się z mroku ciche i nieruchome. Nagle od zachodu dał się słyszeć głuchy szum i niebo pokryły ciemne chmury, czarne. ciężkie, ołowiane, nieprzeniknioną mgłą pokryły

1) Płaszcz szeklerski.

śnieżne wierzchołki, szalony wicher wył wściekle, jakby chciał poderwać fundamenta gór, które jęczały głucho. Tego dnia nie widać było wschodu słońca, ani słychać śpiewu porannych ptasząt. Czarny tuman spadł na nie i przykrył wszystko, jak płaszcz jakiś okropny.

Lud miejski, zbudzony wcześniej niż zwykle i przerażony jakimś przeczuciem, biegł po ulicach, wołając, że nadchodzi dzień Sądu ostatecznego.—W tej to chwili Kornis wraz z żoną wpadli na spienionych rumakach w ulice miasta i przelecieli je jak wiatr.

Koniec Tomu I-go.

CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ I.

Żarty książęce.

... Wybuch iskier wesołość
Krew burzy w żyłach młodocianego wieku!
Szekspir [1]).

— Szarańcza! szarańcza! brzmiało ze wszech stron! Niezliczoną chmarą leciała ta straszliwa, niszcząca armia, niby morze huczące na wysokościach, i czarnym jak zaraza obłokiem zakrywając niebiosa. Ostry, przykry brzęk ich skrzydeł napełnił powietrze. Nagle czarny tuman począł się zniżać, i pojedyńcze swady osiadły na zielonych drzew gałęziach. Szarańcza opanowała góry, doliny, łąki, wioski, obłaziła ramiona ludzkie, zajęła dachy domostw, skacząc z jednego na drugi. W dwie godziny potem dolina Udvarhelska była podobną do pustyni Arabii. Nie zieleniła się trawa, bezlistne drzewa ponuro wyglądały, trzęsąc czarnemi gałęziami—wszystko było zniszczone!

Niby obłok śmierci, huczący głucho, przenosiły się z miejsca na miejsca zaspakajały żarłocznie swój głód zbrodniczy, te pełzające i skaczące szeregi.

1 Szekspir. Hamlet.

Śród tego szumu. przez stłoczony i osłupiały lud przerzynali się ludzie Batorego, którzy, jak się zdaje. byli ukryci niedaleko w zaułku. Dimon był ich przewodnikiem; lecz śród ogólnego zamieszania, nikt nie zdołał odkryć śladów Kornisa, bo ludność zbudzona niespodzianie ze snu, biegająca tu i owdzie dla ratowania dobytku swego, wydeptała wszystkie drogi i drożyny, stratowała je, jak przeciągająca armia.

Kornis wyjeżdżał pośpiesznie, pierwszą jego myślą było udać się do Homorod-Szent-Pal; lecz później zamiar zmienił i tak dobrze umiał ślad drogi swój zatrzeć, że książę mimo wszelkich starań. nie wiedział gdzie go szukać.

Zamożny ród Geczów posiadał na górach Lota zamek Letaivar, o cztery godziny drogi oddalony od Kolosvaru, leżał on w malowniczej dolinie, której kotlina dziś jeszcze jest jedną z najżyźniejszych miejsc Siedmiogrodu. Otaczają ją urwiste góry, pokryte ciemnym lasem wysokich drzew jodłowych, które niby olbrzymie mury, wznoszą się ku niebu. Wśród doliny na skalistem wzgórzu stał mały obronny zameczek, do którego prowadziła tylko kręta piesza droga, przez gęste gaje jodłowe. U stóp zameczku szumi ciche zwierciadło wód rzeki Jary, tak kryształowe, tak przezroczyste. że widać na dnie jej każdy kamyk i każdą muszelkę. Tysiące barwnych pstrągów i szczupaków igra w tych falach, a toń srebrzysta odbija czarownie zieloność trzcin i traw nadbrzeżnych.

Tu było pierwsze ukrycie się Kornisa, znane tylko Szilasiemu, Geczim i Kendim.

Kornis był mocno stroskany, wiedział, że jego czyn nie pozostanie bezkarnym. W sercu poczęła mu kiełkować myśl zemsty; on sam dość był silny, aby znieść skutki swego postępku i troskę swoją w sercu sobie zamknąć, ale niema boleść ukochanej żony, której piękne oblicze mroczyła okrutną żałością, rozdzierała mu duszę i pchała do czynów rozpaczy. Szczęśliwy mąż, pan bogaty, przywykły do wygody, naraz wyparty z kolei wiedzionego dotąd życia, jak wygnaniec zmuszony szukać u obcych pomocy i dachu, mógł sprawcę cierpień swych znienawidzić i nazwać go tyranem.

Plan za planem rodził się wśród wzburzonych myśli, a gdy żona, którą nieszczęście stokroć droższą mu uczyniło, lękliwie mu napomykała, aby się przenieśli na Węgry, gdzie sami ze

swą miłością, zapomniawszy o wszystkiem, żyć będą mogli, wzdychał tylko i dawał jej do poznania, że inne ma cele przed sobą.

Nieraz wśród walki wzburzonych uczuć, sam do siebie przemawiał:—Czyż Batory będzie bezkarnie dopuszczał się nieznanych w Siedmiogrodzie czynów samowoli i nikczemnego despotyzmu? Co godzina, co chwila rośnie jego wyuzdanie bezecne, jego dzikość tyrańska. Przebóg! niech ją znosi, kto chce i umie, ja nie! Niechaj słaby całuje żelazną rózgę, która go ćwiczy, silny się przed nią nie ugnie.

Jadwiga cicha, łagodna—perła między niewiastami swej krainy, obejmowała wtedy ramionami rozdrażnionego męża i pocieszała swym słodkim głosem. Baltazar się uspakajał, lecz wnet ukrywana długo łza żony, bolesne drżenie jej warg, nową w nim wściekłość budziły. Kornis miał w Siedmiogrodzie wielu przyjaciół i krewnych, których nie jeden raz przeliczał, snując w samotnych chwilach przymusowej bezczynności plany, układane na przyszłość. Kornis rozważał długo, lecz gdy coś postanowił, trudno go było sprowadzić z drogi obranej.

Nie długo mógł on pozostać w Lotaivarze, gdyż często liczne drużyny gości nawiedzały zamek, choć Gecziego w domu nie było. Cierpiącą Jadwigę należało co prędzej w pewniejsze miejsce zawieść.

Wśród tych smutnych zdarzeń, jesień otworzyła swój róg obfitości tam nawet, gdzie szarańcza spustoszyła okolice. Po błogosławieństwach jesieni, nastąpiła wcześnie chłodna, ostro zapowiadająca się zima, śniegiem i szronem pokrywając góry i doliny, a mroźny powiew północnych wichrów zmienił wszystko w skamieniałość lodowatą.

Smutno i głucho zrobiło się w górach, smutno i głucho na całym Bożym świecie Węgier i Siedmiogrodu. Dnia 15 Stycznia 1610 r. dwóch rycerzy jechało drogą hermansztadzką do Kronsztadu. Obszerne wilczury i niedźwiedzie czapki, nadawały im wygląd surowy. Ale twarze ich były łagodne i spokojne, a w jednym z nich poznać było można komendanta hermansztadzkiego Sewera, który choć miał policzki od mrozu zarumienione, nie wyglądał jednak ani zdrowo, ani wesoło. Obok niego jadący człowiek wydawał się być starszym, a u brody jego błyszczały sopelki lodowe; brwi bieliły się od szronu.

Dolina Burzenland, po węgiersku Burczasag, jest jedną

z najciekawszych w Siedmiogrodzie. Jest to obecnie ludna, kamiennemi domkami zabudowana, wiele ładnych i wesołych wiosek licząca miejscowość. W XVII wieku domki miały również kamienne ściany, ale dachy ich były drewniane, lub trzciną kryte! Jednak po większej części porządnie wyglądały wioski siedmiogrodzkie, a szczególnie wołoskie. Na ścianach domów bardzo często zdarzało się widzieć malowane sceny z Pisma Świętego, co jeszcze i dzisiaj się zdarza.

Romantyczna piękność tej doliny ma tę wyższość nad wielu innemi krajobrazami tej części kraju, że zmienia się urocza jej piękność pod kwitnącemi czarami wiosny, pod bogatą zielonością lata, pod różnobarwnością i obfitością owoców jesienią. Lecz najrozkoszniejszą, najwspanialszą ozdobą tej doliny jest praca ludzka, której ślady widać tu na każdym kroku.

W chwili opisywanej, chociaż zima już była i słońce zachodziło, okolica wyglądała wspaniale, łącząc w sobie grozę i piękność romantyczną.

Białą zasłoną śniegu pokryta cała, iskrzyła się dolina iskierkami. odbitemi w kryształikach lodu od promieni zachodzącego słońca. Smutne krakania wron i kruków, żałosne ćwierkanie szarych wróbli, smutkiem napełniały serce wędrowca.

Gdy rycerze zbliżali się do Vidombaku, słychać było zdala wycie głodnych wilków, które węszyły śród doliny około miejsc, gdzie znajdowali się pasterze ze stadami owiec.

Sewer to był, z towarzyszem przez Vidombak dążący do Kronsztadu. Rozmawiano smutno. Książę miał zjechać do Kronsztadu i tego obawiał się bardzo Sewer, bo wiedział, że książę nie lubił Sasów. Przyznawał to i towarzyszący mu Benkner. Póki Betlen był obok księcia, nie dopuszczał aby wpływ Imrefiego i Kamuly powodował Batorym. Ale teraz rzeczy stanęły gorzej: młody i namiętny książę, słabego charakteru, był całkowicie w rękach ludzi złych i tylko zysk swój mających na celu. Sewer objaśnił Benknera o zamiarach Weissa. Chciał on tak wspaniale przyjmować księcia, tak wyprawiać na jego cześć uczty i igrzyska rozmaite, aby zajęty zabawą, nie miał czasu na jakie okrutne akta ucisku, na jakie czyny gniotącej samowoli.

— Jest w tem dobra i zła strona, bracie Sewerze—odpowiadał smutnie Benkner. — Rozbawiony książe może w szalonej

9*

wesołości popełnić coś, co lud rozdraźni.—Ale patrzno! co za jasność w Kronsztadzie. Przysiągłbym, że miasto się pali.

— Rzeczywiście, wyglądało to, jak pożar. Jeźdźcy nasi szybciej popędzili konie. Im bliżej byli miasta, tem czarowniejszy blask widzieli naokoło. Nad bramą Kronsztadu unosił się łuk tryumfalny z czerwonych lamp chińskich, których płomienie malowały wszystko naokół barwą purpurową. Iluminacya to była i wspaniała. Wszystkie ulice przedmieścia oświecone zostały szeregami lamp wiszących, kolorowych, głównie czerwonych i zdawało się patrzącym zdaleka, że to jedna łuna, bijąca od ognistych płomieni pożaru, obejmuje całe miasto. Wywierało to wrażenie przykre, zwłaszcza na ludzi, których umysły nie były wesołe i nowo przybyli skierowali się prosto do domów swoich na przedmieście, lecz lud kupił się coraz gromadniej koło bramy miasta, bo z innej strony widowisko było rzeczywiście wspaniałe.

Na prawo od bramy stał dom radny, a tak jego okna w ostrołuki, jak i sąsiednich kamienic, gorzały światłem. Przed ratuszem wznosiła się przytem wysoka kolumna z zielonej jedliny z powiewającą na szczycie chorągwią Siedmiogrodu, a i to wszystko było oświetlone z wielkim gustem i sztuką, jak na owe czasy niepospolitą.

Na lewo wznosił się dom Weissa, a pięknie zielenią ubrana długa baryera, broniła od natłoku miejsce przeznaczone dla dostojnych gości właściciela kamienicy. Byli tam licznie zebrani panowie i panie — był tam książe z przybocznym swym orszakiem. Tuż obok niego stał Imrefi, ale za nim w pobliżu było niemało węgierskich magnatów i szeklerskich rycerzy. Rozmawiano, przyglądano się ludowi, który cisnął się ku bramie, gdy naraz z bocznej ulicy wyłoniła się gromada postaci w fantastycznych ubiorach. Maski, zakrywające im lica, były podobne tym, które na rzymskich malowidłach widzieć można, a szaty były barw najjaskrawszych. Co jednak miały maszkary te przedstawiać? poznać nie było można. Wyglądały potwornie Każda niosła w rękach zapaloną głownię.

Powoli stąpał ten dziwaczny orszak ulicą, a zbity tłum ludu, oczarowany, olśniony, rozstąpił się na dwa szeregi.

Za maszkarami szedł niesłychanie wysoki olbrzym, z ogromną głową na grubym karku; ten był odziany we wschodnie szaty i ludziom oczy wychodziły z głowy, gdy patrzyli na nie-

go. Nogi, któremi stąpał z góry, równały się niemal wielkości człowieka, co budziło największy podziw w patrzących.

Okrzykami zadowolenia i podziwu witano tego olbrzyma. Za nim, po śniegiem zasłanej ulicy sunęły się sanki, zaprzężone w siedmiu niedźwiedzi. Na grzbietach kudłatych zwierząt siedzieli mali rycerze szeklerscy, odziani także w skórę niedźwiedzią. Sanki ze wszech stron otaczały najrozmaitsze postacie: Saraceni, nimfy i Wołochy z Havasalföldu, a w sankach siedział król Saraceński z króluwą.

W drugich sankach był jakiś czcigodny starzec, mający perukę z konopi. Miał to być Jowisz, a obok niego Junona, w stroju wołoskim. Lud tłoczący się coraz bliżej okrzykiwał głośno że Jowisz, to Michał Huttern, a Junoną jest Fridelga Mondowa.

Gdy sanki te przejeżdżały, książe posunął się o ile mógł naprzód i ukłonił się. Zaczęto też powtarzać sobie na ucho, że książę za przeszłej bytności w Kronstadzie tańczył dużo z Fridelgą.—Czy ona, czy Celesta Weiss, jest najpiękniejszą kobietą między Saksonkami? toczyły się w tłumie spory. Pytano się, czy Celesta jest obecnie w Kronsztadzie i potrząsano na to głowami przecząco. Mówiono, że mądry Weiss nie sprowadziłby tu teraz córki, której książe nie zna zapewne. Gdzież by ją widział, skoro nigdy nie występowała w uroczystych, na cześć jego dawanych festynach?

Mnóstwo sanek jechało jeszcze, równie strojnych i dziwacznych. Można tam było widzieć cesarza chińskiego, tatarskiego chana, Eneasza, Achillesa, Odysseusza i wielu innych. Zakończyła się wreszcie uroczystość i pochód historyi starożytnej.

Książe był bardzo zadowolony z zabawy, ale Weiss chmurny, bo panowie węgierscy pozwalali sobie wesołych żarcików z pięknych mieszczanek saksońskich. Buta szlachecka szła tu w parze z narodową Węgier odrazą do Niemców.

Trwało to ze dwie godziny, aż powoli tłumy ludu na ulicach zaczęły się przerzedzać, a na wieżyczce ratusza zabrzmiał dzwon i różne grupy, przedniejszej już publiczności ruszyło w tę stronę. Po kwandransie w wielkiem oknie ratusza zabłysło światło i w izbie radnej na ławach zasiedli ojcowie miasta.

Kobiety i dziewice kronsztadzkie, przybrały się w najlepsze swe szaty, włożyły najpiękniejsze suknie, wstążki, klejnoty,—wystroiły się najparadniej, aby godnie przedstawić się na

radzie miejskiej i księciu pokazać, że i one, niemniej jak panie węgierskie, umieją dostojnie się prezentować.

Biła godzina dziewiąta, gdy wszedł do sali Batory ze swą świtą. Była to sala obszerna, sufit jej był z prostych belek drewnianych, ale rzeźbionych i malowanych, gdzieniegdzie nawet złoconych. Przy ścianach umocowane były wysokie na cztery stopy pochodnie, a między niemi wisiały portrety sławniejszych synów ludu saskiego, okrutnym pędzlem malowane. Wzdłuż ścian ciągnęły się ławy, a w jednym rogu sali wznosił się ozdobiony kobiercami ganek dla muzyki. Na ławach siedziała już publika z najprzedniejszych rodzin miejskich złożona. Była tu między innymi piękna Fridelga z mężem Damjanem Mondem, odziana w białą jedwabną suknię, na głowie miała kapturek noszony przez patrycyuszki saskie z długim srebrnym welonem. Piękna kobieta robiła wielkie wrażenie i była pierwszą, do której książe przemówił.

Imrefi, i z nim czerwony jak rak Kamuly, dwaj bracia Banfi, Sarmasagi, Kereszturi, Władysław Mikola i liczne jeszcze grono panów węgierskich i szeklerskich magnatów otaczało księcia w pysznych wschodnich ubiorach. Stanowili też silny kontrast z Sasami, którzy ani złotem ani srebrem nie świecili, w ciemnych dołmanach, ze swobodnie spuszczonym na ramiona, równo ściętym włosem—wyglądali poważnie i surowo.

Panowie węgierscy zaplatali włosy w warkocze, turecką modą strojąc głowę, co przy wschodniem ubraniu, nie było wcale śmiesznem, a nawet dobrze wyglądało. Księciu ten wieczór był szczególnie miły. Niektórzy Sasi twierdzili, że nie był zupełnie trzeźwy, co miało się teraz dość często zdarzać. Ogólna ochota rosła. Wkrótce potem ruszono się do tańca, Batory przy poważnym tańcu polskim biorąc piękne Saksonki i oddając je innym, umiał każdej z nich coś przyjemnego powiedzieć.

Przez pewien czas szło to statecznie, ale powoli rozweselali się biesiadnicy i zanadto. Książe zażądał, aby zagrano węgierskiego tańca, ale jeżeli umieli go tańczyć panowie, tancerki nie znały go nawet. Lecz książe nalegał. Na szczęście muzykanci mieli między sobą kilku takich, którzy go grać potrafili. Zaczęto probować, lecz to księcia drażnić mogło, więc panowie rajcy poprosili księcia na kolacyą do sali przyległej, na co chętnie przystał. Poszedł, ale nie pytając czy godność pięknej Frydelgi odpowiada temu zaszczytowi, czy nie ma wśród zebranych

kobiet wyższej stanem i poważniejszej wiekiem pani, jej podał rękę i poprowadził ze sobą.

Nie leżało to w programacie Weissa, który chciał, aby książe został otoczoczony przy stole samemi mężami; widziano wyraźnie, że już pił dość i Weiss pragnął nie dopuścić większej pijatyki, aby książe zanadto nie przebrał miarki. W jego orszaku już nie było mężów mądrych i dostojnych, otaczali go głównie burzliwe i hulaszcze żywioły, otóż Weiss zląkł się, aby uczta w ratuszu nie stała się szaloną i wstyd przynoszącą godności miasta.

W sali tymczasem nie chciało się węgierskim panom wyrzec czardasza, dysponowali muzykantom i zamawiano damy, lecz ton tych magnackich synów stawał się w obec mieszczanek saksońskich coraz śmielszy i zuchwały. Próżno proszono ich na wieczerzę, do sali położonej na innym piętrze, nie chcieli się ruszyć pierwej, aż przetańczą czardasza, wtedy pójdą—każdy z damą swoją.

Ale damy te zaczęły się czegoś niepokoić i skupiać w gromadki. Jedne bladły, drugie się rumieniły, bo wszystkie były silnie obrażone. Mówiono im takie komplementa, że byłyby rade uciec co prędzej do domów, że chciałyby uniknąć i czardasza i wieczerzy po nim.

Pięciu młodych Sasów stało w kącie sali.

Byli wzruszeni i byli gniewni. —To zniewaga—mówili do siebie—ci ludzie nie postępowali by tak, gdyby ich tancerki były z krwi szlacheckiej, gdyby były węgierskiemi paniami!...

— Tak—rzekł jeden, gorętszy od innych. Ja tu nie mam ani żony, ani siostry, ale krew mi się burzy w żyłach. Jak oni zuchwale patrzą, jak rwią niemi w tańcu...

— Dobrze, że się ociągają z wieczerzą—rzekł drugi.— Trzeba, aby kobiety wyszły, aby nie poszły do stołu, lecz cichaczem do domów się udały...

— Tak... trzeba odesłać kobiety do domów... przyświadczyli wszyscy. Gdy się popiją, będą zuchwalsi i więcej lekceważący. Nie umieją szanować kobiety, jeżeli nie jest córką rycerskiego rodu.

Obrażona duma młodych Sasów jątrzyła się coraz i przesadzała może rzeczy. Niedopuszczano ich wcale do tańca i z niemi to pozwalano sobie więcej, niż należało. Rycerze popychali

ich prawie łokciami i mimo nich brano do tańca kobiety, które odmawiać nie śmiały.

W tej chwili dało się słyszeć coś, jak okrzyk przelęknionej kobiety i zaraz potem Frydelga Mondowa ukazała się w drzwiach sali. Była blada, miała łzy w oczach, a gdy inne podbiegły do niej, rozpłakała się....

Kobiety uprowadziły ją szybko do drugiej pobocznej sali, a w głównej rozeszła się wieść, że Batory miał ją bez żadnej ceremonii pocałować. Od stołu książęcego rozchodził się jeszcze śmiech, a i tu węgierscy panowie śmieli się.—No i cóż tak wielkiego?—mówili - uszlachcił ją... Książę może całować tylko szlachcianki....

— Prawdziwi rycerze szanują kobiety — krzyknął ktoś z pomiędzy Sasów i to stało się hasłem zamieszania. Węgrzy się nasrożyli; Sasi zaczęli im wyrzucać grubijaństwo, w odpowiedzi na to tamci wybuchnęli klątwami i pogróżkami na niemieckich przybyszów, na wydrwigroszy i kramarzy. Słowa padały jak razy, bo były to ciężko raniące zniewagi i szczęście, że dworzanie księcia nie mieli oręża przy sobie. Wchodząc, odpinano od boku karabele, składając je w przybocznej izbie, która była w tej chwili z wewnątrz zamknięta. Tam to uciekły kobiety i zamknęły drzwi za sobą: zasunęły się na grube rygle.

Farkas Kamuli podsycał rozgniewanych i już ktoś zawołał, aby szukać oręży, gdy nagle światło w sali zagasło. Wyszło to z komendy Sasów. Gdy młodsi stawiali czoło Węgrom i na obelgi odpowiadali obelgami, starsi radcy skinęli na służbę. Tamci, uniesieni namiętnie, nie widzieli nic, jak kilkunastu ludzi, bo byli tu nawet i radcowie sami, podsunęło się do lamp i pochodni—w jednej chwili zapanowała ciemność.

Po chwilowym rozejmie, który sprowadziło zadziwienie, nietylko języki zaczęły znów się miotać i wyzywać. Porwano się do pięści, ale Sasi więcej obznajomieni z miejscowośćią i mając za sobą korpus pomocniczy, znaleźli się wkrótce poza zasieką obronną. Z ław i stołów zrobiono sobie barykadę i z poza niej broniono się połamanemi stołkami.

Dimon, który od początku tej sceny śmiał się śmiechem szatana, teraz zaczął klaskać w ręce. Znał po nazwisku rycerzy węgierskich i wywoływał ich teraz.—Brawo Batyani.... brawo Banfi.... brawo szlachetna krwi węgierska!

Nieszczęśliwe kobiety drżały tymczasem z trwogi i przerażenia. Co się stanie ostatecznie? Płakały, błagały Boga o litość, aż wreszcie jednej przyszła myśl okno otworzyć i wołać o pomoc.

W ten sposób miasto zostało wkrótce zawiadomionem, co się dzieje w ratuszu. Tłumy ludu zebrały się w koło zamkniętego gmachu, i poczęto radzić wśród gwałtownego wzburzenia, aż w końcu przystawiono do okien kilka drabin i kobiety kolejno schodziły na ulicę, śpiesząc się wśród wielkiej obawy, aby drzwi zbrojowni nie zostały siłą przez Węgrów otwarte.

Księcia już tymczasem tu nie było.

Przy pierwszym zgiełku, przy pierwszym podniesieniu namiętnych głosów, kazał się wyprowadzić bocznemi drzwiami i powrócił spokojnie do zajmowanego przez siebie mieszkania. Położył się zaraz spać i byłby spał najwyborniej, gdyby nie jakiś niefortunny pokojowiec, który w chwilę po położeniu się księcia, wszedł do jego sypialni.—O panie! zawołał—tam w ratuszu mordują się....

— Kpy się biją z kramarzami—odpowiedział Batory i zgromił tego, co mu przeszkodził zasnąć właśnie!

W podobny sposób oddalił się też z balu. Gdy po ucieczce Frydelgi jeszcze się śmiał, a otaczających go kilku Sasów było pogrążonych w chmurnej zadumie, ktoś przybiegł z sali balowej. prosząc aby ukazaniem się swojem uśmierzył rozdrażnienie, które ogarnęło obie strony, lecz on chłodnem okiem zmierzył niewczesnego mówcę.—Od czegóż są gospodarze balu?—zapytał gniewnie. — Moi rycerze nie baranki, nie dadzą się łatwo zjeść....

Zrobiono mu uwagę, że tu nietylko chodzi o jego orszak; ale Batory zmarszczył się tylko i zwrócił się do radców, pełniących przy nim jakoby szambelańską służbę, z żądaniem, że chce już wracać i położyć się spać.

Weiss, który wcześniej jeszcze powrócił do domu, już niezadowolony z lekkomyślnego obejścia się Batorego, z jego hulaszczego tańca i lekceważącego sposobu postępowania z tańczącemi kobietami, wrócił przecież natychmiast, gdy mu dano znać. że przyszło do walki między Węgrami i Sasami. Gdy stanął przed bramą ratusza, którą już otworzono, pierwszem jego słowem było:— Gdzie książę? — Niepokój jego był wielki i serce mu biło na myśl, aby Batory nie wmieszał się do walki,

ale potem, gdy się dowiedział, jak książę postąpił sobie, ogarnęło go dziwne uczucie smutku i prawie pogardy. — Ach! — myślał—to już nie szalony młodzieniec, ale dusza dzika i sroga....

ROZDZIAŁ II.

Ciemność sieje przerażenie i nawet silne duchy drżą z trwogi w ciemności, gdyż Bóg stworzył ludzi do życia wśród jasności słonecznej.

Shelley.

Weiss, którego trzeba uważać za naczelnika Sasów Siedmiogrodu, liczył w epoce naszego opowiadania blisko lat pięćdziesiąt. Wysoki, muszkularny człowiek, rysy twarzy miał regularne, a wyraz ich był zwykle łagodny, przecież nakazywał on uszanowanie, którem też był zawsze otoczony przez swoich i obcych. Ród jego nie był ani wysokim, ani zbyt nizkim, pochodził ze stanu średniego i można go było nazywać synem czynów własnych, bo głównie samemu sobie zawdzięczał stanowisko swe między współziomkami. Żonę miał cichą i słodkiego charakteru, syna mu brakowało, aby przelał mu w pierś wszystkie uczucia swe i zamiary, ale córka jedynaczka zastąpiła mu zwolna jego miejsce. Kochał ją namiętnie, a gdy owdowiał, sam zajmował się jej wychowaniem i uczynił z młodej dziewicy istotę niepospolitą, z umysłem oświeconym i otwartym dla każdej myśli wyższej i szlachetnej. Sewer, sierota, był wychowany przez Weissa tak troskliwie, jakgdyby mu był rodzonym synem. Chciał go nim mieć, czyniąc go mężem Celesty, lecz los rozrządził inaczej i choć Weiss uczuł to boleśnie, nie zapragnął jednak łamać serca córki gwałtem, bo wedle przekonań jego, nic się szczęśliwie nie otrzymuje w ten sposób.

I w polityce rządził się tem samem przekonaniem. Wiedział, że siła, gdy chce być bezwzględną, staje się dla rządzą-

cego narzędziem czynu tak szkodliwem, jak słabość miękka, która się wszystkiemu poddaje. Będąc dla współrodaków swoich takim niemal wodzem i kierownikiem, jakgdyby godność tę dały mu wybory jakieś, nigdy nie odstępował od tej zasady, która też dała mu miłość i wielki szacunek jego ogółu.

Książę podbił go zrazu rycerskiemi swemi przymiotami i bystrym, wyniosłym umysłem; sądził, że potrafi on być dla ludu swego, skołatanego poprzedniemi rządami, mądrym i dobrym władzcą, ale złudzenia te zaczęły teraz pierzchać. Weiss przekonał się teraz, że Gabryel Batory nie będzie lepszym od Zygmunta i od tej chwili począł się troszczyć o los Sasów, których Węgrzy nie chcieli dotąd uznać rzeczywiście za swoich, dopuścić do jedności narodowej. Zatem trzeba im było przewodnika, któryby czuwał nad niemi i prowadził ich w takim kierunku, aby nie spotkał ich ucisk i rozbicie swobód, obiecanych im w chwili, gdy Siedmiogród, potrzebując pracowitej i przemyślnej ludności, zawezwał ich do siebie. Weiss obrał się za takiego przewodnika ziomków swoich, nie pragnąc przecież nigdy oddzielać ich interesu od ogółu, z którym już tworzyli teraz całość jedną.

Wierność jego dla księcia i narodu węgierskiego, była nieposzlakowaną aż dotąd, Pragnął pozyskać zaufanie Batorego, ale tylko dla dobra wspólnej mu już z Węgrami ojczyzny, rzecz przecież była trudną, bo z jednej strony dumna szalchta Siedmiogrodu gardziła nierycerskim ludem, jak to w owych czasach było rzeczą powszechną, a Batory niezbyt lubił Weissa. Widział w nim surowego sędzię czynów swych i postępków, przenosząc towarzystwo pochlebców lub małodusznych ludzi, nad mężów szlachetnych, więc często prawdomównych wtedy nawet, gdy chciał, aby milczeli.

Wypadki zaszłe w dzień przyjęcia księcia w Kronsztadzie, dotknęły bardzo Weissa. Reszta żywionej w sercu nadziei, że Batory ma w sobie szlachetne, jakkolwiek tłumione instynkta, zaczęła go opuszczać. Czuł, że i Sasi byli tu winni, czuł, że nie umiano postawić się z należytą godnością w obec buty dworu książęcego, ale to go bolało najwięcej, że książę z szyderstwem na ustach, zostawił przypadkowi rozstrzygnięcie sprawy. A gdyby oręż dostał się rozszalałym do ręki, krew byłaby popłynęła, a potem musianoby karać winnych!!

I Batory się śmiał, a potem poszedł spać....

W chwili tej smutnej jego zadumy, weszła Celesta z twarzą przerażoną. — Ojcze, objaśnij mnie, co zaszło wczoraj?—zawołała. — Nie była ona na balu i dopiero dziś rano doszły ją wieści o jego smutnem zakończeniu. Była jednak nad miarę wzruszoną i boleści pełną.

Ojciec to dostrzegł.—Dziecko drogie—rzekł—uspokój się. Złe mogło być wielkiem, ale Opatrzność ustrzegła nas przedtem.

— O! tak—zawołała—tylko Opatrzność...

I teraz łzy trysnęły jej z oczu strumieniem, łkanie podniosło pierś i ojciec wziął rękę córki.—Mów mi wszystko dziecko drogie — rzekł prosząco. — Czyżbyś.... czyżbyś widziała dziś Ecsediego?

— Ojcze! nie wymawiaj tego nazwiska—jęknęła.—Ty już wiesz wszystko i nie mów mi o nim.

— Celesto! tak jest.... Przeczuwałem najpierw coś złego, teraz już wiem, że rzecz jest okrutna....

— O ojcze! W jakich ja strasznych rękach byłam, nieszczęśliwa i nieświadoma doli mojej! Otoczono mnie intrygą i ci, co powinni byli być mi opiekunami, zdradzili mnie, czy przez bojaźń, czy przez chęć zysku, przez pragnienie dostojeństw i zaszczytów! Ciotka jest głównie winną—ciotka. Wuj był zajękniony i nie wiedzący co czynić? teraz to wszystko widzę jasno, teraz rozumiem wiele rzeczy, dotąd ciemnych dla mnie biednej.

— Ach! jęknął Weiss, a córka uchwyciła go za rękę. —Lecz teraz ojcze, już tu jesteś—zawołała—teraz bezpiecznem jest dziecko twoje. Pożegnałam tych zawodnych i niepewnych ludzi na zawsze, choć w chwili ostatniego rozstania mój żal do nich stopniał. Ciotka przysięgała mi na Boga, że myślała tylko o losie moim i marzyła o wyniesieniu najwyższem....

— I ja mam to przekonanie.... kochała cię ślepo, uwielbiała zawsze urodę twoją i ambicya zawróciła jej głowę. O Celo moja! dziękuj ty Bogu, żeś wyższą jest nad próżność taką.

— Tak—odparła dziewczyna, przyciskając ręką bolące czoło—mam za co dziękować Bogu....

W głosie jej brzmiała bolesna ironia, ale potok łez zmył ją niejako z jej serca. — O! dobrze mówisz, ojcze—zawołała—dziękuję Bogu, że w piersi mojej jest dość mocy i silnej woli, abym się uratować mogła z przepaści, która rozwierała się

przedemną. Tobie tom winna ojcze, córka twoja nie może być słabą.

— Jak myślisz postąpić dziecko drogie?

— Żadnego już z nim widzenia, żadnego już listu — nic! Ecsedi umarł! Nie ma go, nie ma go dla mnie na świecie....

Płakała, łzy lały się jej z oczu potokiem, a zaciśnione ręce wykazywały, jak silna jest walka, która toczyła się w jej piersiach.

Ojciec ujął te biedne ręce, aby je tkliwie uścisnąć.—Słuchaj—rzekł. — Musisz być teraz baczna i roztropna, czuwająca wciąż nad sobą. Nie oddalaj się ani kroku poza dom, i dziś w nocy potrzeba ci wyjechać ztąd.

— Gdzie ojcze? Dokąd? Chcę pozostać przy tobie i nigdy już nie rozdzielać się z tobą.

— Biedaczko..., twój ojciec przecież nie może cię przytulić w domu swoim, bo nie może on być teraz dla ciebie dachem dobrze słoniącym. Rzeczy poplątały się od wczoraj okrutnie. Pragnę abyś jechala z wujem i ciotką i to zaraz, bez zwłoki. Już mówiłem o tem z nimi i teraz już jestem pewny, że postępowanie ich będzie uczciwe. Poprzednio nie znali człowieka i widzieli tylko wyniesienie swojego rodu, ale dziś.... o dziś.... i ich zdania są zmienione...

— Ojcze!....

— Na kilka tylko dni rozłączymy się ze sobą, córko droga. Skoro tylko książę opuści Kronsztad, sam po ciebie przyjadę, abyśmy już nie rozdzielali się nigdy.... nigdy....

— Nie, ojcze, nie, nie pojadę.... trzeba mi, ach trzeba mi zostać przy tobie. Czyż lękasz się z mojej strony słabości? Choć serce moje rozdarte jest, choć cierpię więcej niż słowa ludzkie wyrazić mogą, ale ufaj mi, że będę mocną i nie ulegnę pokusie ujrzenia tego.... tego zdrajcy.... Ja jestem dumna ojcze. oh! dumna ja jestem i miłość, która poniża, nie jest ogniem, którयby mógł palić mi teraz serce.

— Ale on, Celesto!.... on! Dowie się prędko że tu jesteś, bo ma przy boku swoim nikczemnych dworaków, którzy go psują, aby nim rządzić. Oni wszystko wyszpiegują i doniosą mu, żeś jest w jego pobliżu.

— I unikając go, mam jechać do Köhalom?.... Ojcze, mam jeden jeszcze list jego i czytaj go.

Podała ojcu papier, który on rozwinął z dziwnem uczu-

ciem wstrętu i żalu. I znowu było tam tak, jak w poprzednich, tylko kilka. szybko nakreślonych wyrazów:—Celesto, kochanko duszy mojej! Za dni kilka ujrzę cię, zobaczę lica twoje cudne, usłyszę głos twój słodki.... Serce moje drży z miłości i niecierpliwości razem za tą chwilą.

Twój na zawsze Gabryel....

— To nie jest pismo księcia — rzekł Weiss smutnie.—Pisząc do ciebie używa ręki cudzej.... Obłudnik!

Celesta zakryła twarz.,..

Ojciec ujął ją za rękę.—Dziecko moje—zapytał—powiedz mi to, co jako ojciec powinienem wiedzieć: czy ty nie kochasz jeszcze?

Celesta zbladła jak trup, lecz zaraz potem lica jej oblał gwałtowny rumieniec dziewiczego wstydu. Dusza jej walczyła w sobie. Czyż ona nie powiedziała przed chwilą, że Ecsediego już nie było—umarł. Już nie istniał na świecie ten piękny rycerski młodzian, którego duma, wyniosłość i szlachetność, złączona z tkliwą i gorącą miłością, podbiły jej niewinne dziewicze serce całą siłą pierwszego uczucia i teraz też na zapytanie ojca, uczuła jakoby grom w nią uderzył. Dlaczego ją pytają jeszcze? Ecsedi nie istnieje, a Batorego nienawidzi przecież. Jest złym, okrutnym, dzikim panem Siedmiogrodu, ale dla Sasów jest najgorszym, najbardziej ciemiężącym!

I dlaczego ojciec zapytał o to nieszczęśliwą? Wraz z zapytaniem jego, jakaś furya targnęła jej sercem, oh! jak targnęła straszliwie i wszystka krew zbiegła jej do tego nieszczęsnego serca: ciężar okropny legł na nim.

— Ojcze! — zawołała po długiem milczeniu, goryczy pełnym głosem—jakże nędznem stworzeniem jest kobieta! Ojcze, nienawidzę ja duszą całą ciemięzcę mego ludu, Batorego, i chciałabym go widzieć przykutym do łańcuchów w podziemiach tego domu nienawidzę go.... Tu spojrzała smutnie wzrokiem zroszonym łzami, bo śmiertelny wyrok wydała na siebie.—Ale Ecsediego kocham—zawołała namiętnie. O nie mów ty ojcze, że sama się oszukuję. Tak, na zawsze będzie istnieć dla mnie dwóch ludzi, może się to zmieni z czasem, ale jeszcze kocham Ecsedego więcej, niż kiedy. O, gdybyś mógł zajrzeć w me serce, gdybyś wiedział, jak chciałabym oderwać, oddzielić Ecsediego od Batorego, gdybyś wiedział, jak chciałabym wmówić w siebie, że Ecsedi to nie Batory. Nieba! gdyby to było tylko snem okropnym, gdybym

się obudziła i ujrzała przed sobą dwóch ludzi, z których jeden jest Ecsedim a drugi Batorym, gdybym się przekonała, że jest ich dwóch, a nie jeden: umarłabym z radości!

— A lud twój poniewierany, Saksonko! a ojciec twój, Celesto?—zawołał Weiss ze zgrozą. Więc i ty jesteś słaba! Więc i tyś małoduszna, jak wszystkie, o ile teraz widzę, kobiety! Więc nie jesteś tą rzadką perłą, której żaden cień nie kazi! Więc jesteś szaloną, która dla krótkotrwałej miłości, poświęca szczęście całego życia i godność, i obowiązek, i cnotę—wszystko!

Celesta podniosła głowę: niewypowiedziana walka odzwierciadlała się na jej twarzy.

— Tak, tak!—mówiła— nie masz na świecie istoty nędzniejszej nad kobietę. Serce nasze słabe, wiecznie tęskniące za słodkiem uczuciem miłości, a ze wszech stron otaczają nas głazy i lody!

Twarz jej przybrała wyraz niespokojny i gorzkie szyderstwo czuć się dawało w głosie, gdy rzekła:—Ja, Celesta, córka mądrego, przez cały swój lud uwielbianego ojca, ja Batorego igraszką? O hańbo, ja cię nie zniosę! Ja w jednym szeregu z Imrefiową i temi lekkomyślnemi kobietami, o których ludzie mówią szydząco lub gardzą..... Ja, której serce pokochało tak słodko i spokojnie, pokochało tak dumnie miłością jedyną, której ukochany przysięgał na kolanach, że jestem pierwszą i ostatnią jego miłością. Czyżbym ja śniła jego słowa, wzrok, tę jego tkliwość delikatną? O poradź mi ojcze, jak postąpić i poczuj zarazem, co w mej duszy się dzieje....

Weiss, poruszony do głębi serca, wyciągnął rękę do córki.

— Celesto—rzekł smutno— znam ja cię lepiej, niż ty sama siebie. Dusza twoja jest czysta! Ona będzie twą tarczą na przyszłość tak, jak nią była dotąd. Tyś niewinna! Świadectwem twej niewinności to będzie przed ludźmi, żeś, nieświadoma prawdy, kochała tam, gdzie inne tylko rachowały!

— Czyż zamilkną mi przeto głosy uczucia, które jęczą we mnie? Czemże ja lepszą jestem od innych, gdy wiadomość prawdy nie zabiła miłości? Kocham nieszczęśliwa! jeszcze teraz go kocham!

Weiss ze współczuciem patrzał na nią.

— Dziecko drogie, pierwsze starcie miłości z boleścią, wywołuje w tobie tę rozpacz, którą zwracasz przeciw sobie samej, ale ja cię znam! Będziesz ty wkrótce znów dawną Celestą.

Piękna twoja dusza nie obłąka się nigdy pod siłą namiętnego szału. Celi moja, ja twą słabość pojmuję, pojmuję walkę, która w twem sercu się toczy. Tak, córko ma biedna, szanuję ja twoje uczucie. Pozostań wierną twej nieszczęsnej miłości.... Kochaj Ecsediego, kochaj ten piękny obraz młodzieńca, jakiego sama sobie stworzyłaś. On cię obroni przeciw Batoremu, jako oblubienicę Ecsediego, który ujechał kędyś i nie wróci już do ciebie, niebogo.

— Czcij jego pamięć i bądź silna — bądź wierną miłości twej minionej.

— Ojcze!—zawołała Celesta, rzucając się mu w objęcia—ty mię rozumiesz!

W tej chwili brzęk szabli i bliskie kroki słyszeć się dały. Weiss szybko otworzył drzwi sąsiedniego pokoju i ukrył tam Celestę, przeczuwał obcego, a niechciał dać wiedzieć nikomu o jej obecności u siebie.

Imrefi to był, otworzył drzwi i wszedł wesoło, jak zwykle, lecz dumnie.

— Dzień dobry, mości Weiss — rzekł poufale. — Jak się waszmość miewasz po wczorajszym wieczorze.

— Bardzo dobrze—odparł Weiss z przymuszonym uśmiechem—a pan, panie kasztelanie książęcy jak się czujesz?

— Jak najlepiej, panie rajco, Czy wiecie że książę nie może się odchwalić dobrego wina, jakiem uraczyliście go wczoraj. Macie widać dobre piwnice....

— Zawsze—rzekł Weiss dworsko—będzie to dla nas szczęściem podejmować gościnnie jego książęcą mość.

— Dobre to jest uczucie— rzekł Imrefi chytrze. — Książę życzyłby sobie aby cały dzielny lud saski przemawiał przez usta waszmości. Dlatego bez długich wstępów przystąpię do rzeczy. Książę niedługo odjeżdża.

— Wiem, za cztery dni. Rada już otrzymała rozkazy co do koni i wozów,

— Ale mości Albinusie, dodać mi jeszcze trzeba, że książę część świty jutro już odsyła i bagaże podróżne są już spakowane, więc i pokoje książęce stoją już próżne.

— Wnet rozkażę urządzić komnaty księcia pana tak, aby nic do jego osobistych potrzeb nie brakło. Nie wątpię, że będę w stanie odpowiednio jego książęcej mości usłużyć.

— Jest sposób prostszy, a nawet powiem otwarcie prawdę. to jest, że książę życzy sobie aby użytym został. Byłoby mu jednak rzeczą bardzo przyjemną, gdyby przedstawienie tego środka wyszło z ust waszmości.

— Z radością to uczynię—rzekł Weiss z pewnem zakłopotaniem, że zobowiązuje się do niewiadomej mu rzeczy.

— Masz waszmość dom obszerny i jest tu kilka pięknych komnat z widokiem bardzo wesołym na góry i doliny. Batory chętnieby w domu waszmości tę parę dni zabawił.

Weiss uczuł się mocno zmieszanym, lecz nie pokazywał tego po sobie, bo nazbyt dobrze wiedział, o co rzecz idzie; Imrefi z wielką uwagą patrzał mu w oczy.

— To pragnienie księcia mego i pana — rzekł też zaraz Weiss — jest dla mnie najwyższym zaszczytem. Wykonanie życzeń jego książęcej mości i zaspokojenie najdrobniejszych jego chęci, będzie mi zawsze nagrodą, choćby za najcięższe trudy, a tu nie poniosę ich nawet. Żałuję tylko, że dom mój jest za ciasny, aby książę pan znalazł tu to, do czego w pałacach swych przywykł.

Zdawało się, że Imrefi tem odrazu przyjętem a szczerem na oko zgodzeniem się Weissa na propozycye księcia, sam z początku się zmieszał.

— Jesteś waszmość całkiem wylany na usługi księcia, jak widzę—rzekł jednak.—Nim się tu przeniesiemy do waszmości, ja zapraszam do mojej kwatery na wieczór dzisiejszy. Trzeba mi objaśnić wam, mości rajco, powody wczorajszego niepokoju. Tam w mieście bajki plotą, a waszmość nie byłeś przy całej tej sprawie obecnym.

Weiss uśmiechnął się. Po kilku chwilach Imrefi odszedł, a Weiss natychmiast otworzył drzwi boczne, poza któremi znajdowała się Celesta. Wyszła z nich, a była blada jak liść rośliny, wyrosłej w ciemnościach, lecz twarz jej nie wyrażała niepokoju a przeciwnie, widniało na niej szlachetne jakieś postanowienie i zamknięta już w sobie boleść.

— Czy słyszałaś—zapytał Weiss—książę chce....

— Słyszałam — przerwała Celesta spokojnie — i mam do ciebie ojcze prośbę.

— Mów biedne dziecię.

— Do Kōhalom nie powrócę więcej: jest to moja wola stanowcza. Ty, ojcze, rozumiesz to. Książę zabawi tu tylko dni parę Mam sposób, aby na pewno uniknąć spotkania się z nim tak tu, jak w Kōhalom, a ty przyrzecz mi ojcze, że mię nie zdradzisz.

— Zdradzić?—zapytał Weiss zadziwionym i prawie surowym głosem.—Ja, zdradzić—ciebie!....

— Spokojnie, drogi ojcze! nie gniewaj się na mnie, jeżeli życzę sobie, abyś przysiągł, że w żadnym wypadku mnie nie zdradzisz.

— Pocóż taka przysięga? Czynię zawsze to, co za obowiązek mój uważam. a myśl o zdradzeniu ciebie przezemnie, jest szczególną. Zkąd ci przyszła do głowy, biedne dziecko?

— Ojcze, jestem ja może szalona, bo pognębiona przez boleść, ale czuję, że dusza moja będzie zupełnie spokojną, jeżeli moje ukrycie upewni mi przysięga ojcowska.

— To rzeczywiście jest szał.... Lękam się, że uczucia twe wzburzone wprawiają cię w gorączkowy niepokój.

— Nie nazywaj, ojcze, tego szałem. Wiem, że mnie nie zdradzisz, ale przysięga twoja mię pokrzepi.

— Nie przysięgam na to, czego nie znam. Jakże chcesz ukryć się przed księciem?

— Tak, aby się zemną nie spotkał.

— Celesto!—rzekł Weiss.—Jakaż to myśl pracuje w twej głowie? Czy chcesz wejść do klasztoru? Ale nie jesteś katoliczką i czy zechcą dać ci tam chwilowe tylko schronienie? Co myślisz, powiedz mi. Bóg ci dał życie; czyż chcesz je przerwać?

— Samobójstwo? o nie — odparła spokojnie Celesta. Nie, ojcze, dopóki niebo pozwala, żyć będę. Będę żyła i jak myślę, długo jeszcze— dodała ze smętnością dziwnie bolesną dla tego, który ją słuchał.—A także nie uczynię nic przeciwnego zasadom lub religii mojej. Proszę cię tylko ojcze, upewnij mnie, że w żadnym razie nie zdradzisz mnie i ukrycia mego nie wydasz.

— O dziecko, jakże dziwnie do mnie przemawiasz! Ale niech będzie, jak chcesz. Upewniam cię, że schronienia twego nie wydam.

— Przysięgnij.

Weiss niespokojnie patrzył na córkę, ale zdecydował się wkrótce i podniósł rękę do góry, tak, jak się czyni zwykle przy akcie przysięgi u luteranów.—Jako chcę, aby Bóg dopomógł mi w życiu, tak przysięgam, że nie zdradzę cię i miejsca pobytu tego nie wydam nikomu.

— Dość—rzekła Celesta łagodnie.— Teraz ojcze posłuchaj mnie. Pod domem naszym, głębiej niżeli piwnice, są, jak wiesz, lochy ciągnące się daleko i nieznane prawie nikomu. Za dawnych czasów tak się ludzie kryli przed rabującymi i mordującym wrogiem i ja się tak ukryję. Trzy dni przesiedzieć tam, nie jest trudno i lżej, łatwiej to, niż błąkać się między obcymi ludźmi, drżeć co chwila że mogę zdradzoną zostać, lub odkrytą....

— W tem ciemnem, zimnem, samotnem podziemiu, w tej okropnej, głuchej jak mogiła samotności chcesz się ukryć, Celesto! Na Boga, nie pozwolę! A jeżeli książę ten właśnie pokój wybierze, z którego do ciebie dostać się można i jeżeli dłużej pozostanie, toż ja nieszczęśliwy nie będę miał przystępu do ciebie?

— Jeden, dwa dni dłużej nie znaczy tu nic wielkiego. Zresztą, w razie koniecznym, odszukam drugie wyjście z ukrycia.

— Wrazie koniecznym, Celesto! O! ja nie będę czekał ostateczności.

— Liczę na twą przysięgę, ojcze, że tego nie uczynisz. Gdybyś lękał się o me życie i zdrowie, zdradziłbyś mnie! Bądź spokojny. Ja tylko nie chcę widzieć na oczy Batorego.... Ojcze, patrz na mnie, patrz uważnie w twarz moją, gdy wymawiam te wyrazy, które są prawdą. Nie chcę za żadną cenę widzić Batorego, choćbyś miał to nazwać słabością. Chcę wierzyć i wiem, że spojrzenie jego zniosłabym bez niebezpieczeństwa, ale na długo potem spokój mej duszy zostałby zburzonym i to, cobym przecierpiała, odpychając go odemnie, możeby złamało mnie na życie całe, a nie chcę tego ojcze, bo i to jest słabością. Ale, ach! kobietą jestem....

— Rozumiem cię—rzekł Weiss, ściskając córkę.—Celesto! nie dziwię się twej słabości, która mi każe tylko twoje męztwo podziwiać. Pamiętam moją przysięgę. Bądź spokojna....

Turkot powozu dał się słyszeć.

— Książę—zawołał Weiss przerażony.

— Nic, nic, ojcze! nie troszcz się.... W sąsiednim pokoju

jest kosz chleba i dzbanek wody, więcej jest tego, niż potrzeba na trzy dni. Bóg z tobą, ojcze!

Słowa te były powiedziane jednym tchem i Celesta zniknęła za drzwiami pobocznej komnaty. Była ona długa i wązka, miała jedno tylko okno, wychodzące na ulicę. Na lewo ode drzwi blisko okna, stało łóżko gościnne, na prawo w samym kącie izby był miedziany posąg, wydobyty ze starych kopalni soli, wyobrażający Pana, a który Weiss cenił bardzo wysoko. Sprzętów nie było tu wiele: stół, kilka krzeseł i szafa z księgami, oto wszystko, czem przebywający tu gość zadawalniać się musiał i co na owe czasy starczyło. Weiss w tym pokoju pomieszczał zwykle przybywających doń w gościnę mężczyzn, co się jednak nie często zdarzało, bo miasto miało kilka gospód i zwykle też pustą izbę gospodyni Weissa czyniła śpiżarnią. Nieraz składano tam kosze z zapasami pożywienia, sprzęty gospodarskie i bieliznę stołową.

Celesta szybko zbliżyła się do łóżka, pochwyciła zeń poduszkę i kołdrę i pośpiesznie zwróciła się w kierunku posągu, za którym znajdowały się drzwi skryte we framudze, cichuteńko otworzyła je i rzuciła w przejście tajemne to wszystko. Równie szybko wróciła napowrót i pochwyciwszy ze stołu kosz, świeżo od piekarza przyniesionego chleba i cynowy dzban z wodą, także tylko co zaczerpaną ze zdroju w ogrodzie, gdzie woda lepszą była niż w studni; wreszcie lampę i hubkę—zniknęła za drzwiami. Lekka, jakgdyby niosły ją duchy i nie czyniąc prawie szmeru za sobą, biegła w ciemności po schodach. Wszystko to było dziełem jednej minuty.

Mrok ją otoczył, wilgoć napełniająca powietrze czuć się dawała, niemniej odważna dziewczyna biegła szybko, aż wreszcie znalazła się na gładkim gruncie ziemi. Tu postawiła kosz i dzban blisko siebie i siadła na ostatnim stopniu schodów. Przestrach, jakim zawsze napełnia samotność i ciemność, zdrętwił jej nerwy śród tej ciszy grobowej i grobowych mroków. Celesta jednak krzepiła się na duchu, bo chciała być mężną.

— Nikt się tu mnie nie domyśli—mówiła do siebie.—Czyż jestem dzieckiem, aby się lękać ciemności?

Po chwili wydostała z kieszeni hubkę i krzesiwo, wkrótce zapaliła lampę. W tych czasach wszyscy umieli się obchodzić z tym jedynym sposobem niecenia ognia i światło wróciło

jej słabnącą w piersi odwagę. Ukryciem jej był obszerny loch, jakie podówczas znajdowały się nie pod jednym domem. Ściany zbiegały się ku górze łukami kamiennemi, niemniej dany tam był pułap drewniany. Ściany pokrywała zielona pleśń i panowała tu chłodna wilgoć, od ulicy znajdowało się maleńkie, żelazną siatką opatrzone okienko. Podłogą była już ziemia, gdzieniegdzie deskami pokryta. Celesta spojrzała wokoło.

— Więzienie!—mówiła do siebie.—O, szczęśliwy kto w promieniach słońca może żyć, jeżeli życie jego nie jest walką sprzecznych uczuć, nie jest szamotaniem się z okrutnym losem i ludźmi, często okrutniejszymi od zwierząt....

Myśl jej błąkała się w kole smutnych wspomnień i smutniejszych jeszcze przypuszczeń, co będzie z nią, z ojcem, z Sasami? Czyż Batory nie rozsroży się, gdy jej nie znajdzie już nigdy i nigdzie? Zapłakała może i nad sobą, ale pierś drżała jej głównie trwogą o los jej ludu i w tej chwili własne jej cierpienie, własne rozczarowanie traciło głos.

Na deskach położyła poduszkę i urządziła sobie posłanie. To będzie moje łoże — rzekła z uśmiechem — trzeba mi będzie doń przywyknąć.

Lampa paliła się dobrze, sądziła jednak Celesta, że należy ją zgasić, choć strach jej było w ciemności pozostać. Wreszcie zwyciężyła bojaźń i jeszcze raz uważnie rozejrzawszy się w około, zadmuchnęła płomień i zmęczona legła na posłaniu, bo było to jedyne miejsce spoczynku. Noc ciemna otoczyła ją, a gdy świat zewnętrzny zniknął jej z przed oczu, otoczyły ją mary wspomnień i ciągnący się za niemi szereg bolesnych rojeń i przypuszczeń. Że była zmęczona, że w samotności człowiek zawsze upada na duchu, musiała się bronić silnie przed niepokojącą myślą, że to są przeczucia, mających spaść na nią i jej lud okropności.

ROZDZIAŁ III.

Szpieg i tyran.

Często słowo obrazy rani silniej, niż czyn, i zadaje razy cięższe, niż pchnięcie szpady lub sztyletu. Niech więc umie strzedz słów swoich ten, który ma ważne sprawy do spełnienia.

Juliusz Lacroix.

Dusza Batorego od wypadków w Udrahelskim zamku, była jakoby nową duszą. Nieuczciwi doradcy pchali go do złego, przecież aż do chwili starcia się z Kornisem, nie popełnił on jeszcze nic takiego, coby go głośno i jawnie oskarżało o gwałcenie praw i tyranią; z drugiej strony nikt dotychczas nie rzucił mu w oczy takich słów, jakie wyszły z ust Kornisa, słów, które rozżarzyły mu w piersi ogień, iście piekielny. Wiedział niewątpliwie, że i inni znać będą te słowa, więc gniew, uczucie upokorzenia, pragnienie zemsty, złączone z chęcią okazania władzy swojej i możności czynienia co zachce, w szalony sposób zagnieździło mu się w sercu. Można było powiedzieć na prawdę, że ten Ecsedi, którego znała i kochała Celesta, już nie żył.

O zamężciu z Celestą nie myślał on nigdy poważnie, choć kochał ją silniej i inaczej, niż wszystkie inne kobiety— tak, że miłość ta wpłynęła znacząco na całe jego życie. Że jako książę Siedmiogrodu, powinien był zawrzeć inne małżeństwo i wziąć żonę z innego domu, niżeli z pomiędzy mieszczaństwa saskiego. czuł on aż nadto dobrze. Jakkolwiek Albinus Weiss był już uszlachcony i zajmował w kraju miejsce wybitne przez swoje stanowisko między Sasami, nie stanowiło to wielkiej różnicy w obec pojęć ówczesnych i dumy węgierskich magnatów Siedmiogrodu. Książę, który był najwyższym pomiędzy niemi, nie mógł się poniżyć do córki mądrego Weissa, gdy w ich oczach najuboższy szlachetka szeklerski — taki, który miał w ciasnym parowie górskim zameczek, podobny do ptasiego gniazda, a po

za tem jaką lichą poletkę jałowego gruntu i kawał dzikiego lasu, nie przynoszącego mu nic ponad ubitą w jego kniejach zwierzynę i potężne kłody drzewa, palącego się dniem i nocą na olbrzymich kominach — był nieskończenie wyższym od mądrego dyplomaty, którego rozum przyniósł krajowi korzyść niejedną.

Wostateczności wolanoby prostą chłopkę węgierską, a poza miłością dla Celesty pojęcia te i uczucia podzielał i Batory. Ale miłość bywa mistrzynią w kazuistyce. Kiedy Gabryel Batory ujrzawszy piękną Saksonkę, rozkochał się szalenie w jej spokojnej i słodkiej piękności, przyszła mu poetyczna chęć powtórzenia starej legendy i ukrycia swej książęcej godności pod nazwiskiem prostego rycerza, ale zbliżenie się do Celesty sprowadziło na niego rzecz bynajmniej nie przewidywaną. Szlachetna dziewczyna obudziła w nim miłość nieznaną dotąd: prawdziwą i głęboką, złączoną z uczuciem czci dla jej charakteru, dla tej czystej duszy dziewiczej, która nie ukrywając wzajemności, pozostała dla niego istotą anielską i jakgdyby otoczoną świetlanym jakimś obłokiem. Miłość ta trwała w nim a nawet wzrastała obok wszystkiego, czego się dopuszczał, może głównie przez poszepty Imrefiego i Kamuli. pod złym, psującym go wpływem uczucia, że jemu wszystko uchodzi, że jemu wszystko wolno. W pewnych chwilach przesytu i znużenia, ogarniało go bolesne uczucie próżni i wtedy myśl o pięknej i czystej Celeście, rozbudzała mu w piersi miłość i tęsknotę, której pokonać nie mógł i czyż Celesta miała być dla niego straconą? Wszakże go kochała i mieliż oboje pozostać nieszczęśliwemi przez to właśnie, co szczęściem ich było?

Ecsedim nie mógł on pozostać na zawsze, a jednak nie mógł się rozstać z tą postacią. która dała mu zakosztować słodyczy nieznanych dotąd, aż dusza jego rozdarta na dwoje, poczęła w nim pragnąć wytworzenia podwójnego żywota. Jan angielski i król polski, Kazimierz Wielki, nastręczali mu przykład, takich dwóch różnych istnień. Sielanka miłosna urządzona w ustroniu, dalekiem od spraw księcia Siedmiogrodu, mogłaby mu dać niezakłócone szczęście słodkiego, rodzinnego życia. Celesta kochała.... Ecsedi może przeciągnąć dla niej istnienie swoje aż do śmierci....

Miłość, która bywa nazywana ślepą, kładła mu bielmo na oczy. Liczył, że i Weiss powoli przystanie na to, czemu oprzeć się nie będzie miał siły. Celesta, najsłodsza, najtkliwsza z ko-

biet, czyż go odepchnie dlatego, że los postawił pomiędzy niemi tron—czyż skaże siebie i jego na śmiertelną boleść rozłączenia?

Gdy pożegnawszy Celestę, wracał do siebie i z Ecsediego stawał się znowu Batorym, Imrefiowa, Farkasowa Kamuli, stawały mu się nieznośne ze swemi zalotnemi uśmiechami, ze swoją ambicyą bogiń piękności. Rywalizacya ich wzajemna, walcząca skrycie i jawnie o wydarcie jedna drugiej jabłka Parysowego, śmieszyła go, obrzydzała mu je zwolna i wtedy to wzrok jego obracał się w inną stronę, a jeżeli Stefanowa Kandi drażniła go swoją wyniosłą obojętnością—piękna Jadwiga Kornisowa pociągała ku sobie łagodnością, słodyczą i tą spokojną powagą, która ją czyniła w jego oczach, podobną do Celesty. Patrzył nieraz na nią z tą myślą i — rzecz dziwna, ale zdarzająca się nieraz, pokochał ją dlatego, że mu przypominała tamtą daleką i nieprzebytą przegrodą oddaloną od niego kochankę!

Że zaś wyszedł już z jego głębi ukryty tam smok despotyzmu, miłość jego nie mogła być tęsknotą w sercu smutnem i łamać, choćby najświętsze zapory, stało się już dla niego rzeczą prostą. Jak Kandiowej za brak wesołego uśmiechu i rozradowanej jego widokiem twarzy, rzucił brutalną groźbę, na którą wyniosła kobieta odpowiedziała dumnie, tak wyjazd Kornisa z żoną wzburzył mu wszystką krew w żyłach. A stało się to wkrótce po oddaleniu się Betlena i spostrzegł, że opuszcza dwór jego wyższa, dostojniejsza szlachta, a jakkolwiek pozbywał się przez to surowych postępowania jego krytyków, miłość własna cierpiała na tem. Kornis zaraz tego samego dnia po ucieczce z Fehervaru kupca pereł, zwrócił się wprost do Batorego z zapytaniem, co może być prawdą w historyi, którą usłyszał z ust Imrefiowej? Kornis mówił to spokojnie, ale bardzo poważnie i książę mimowoli się zarumienił i zmieszał tak, że poniżył się do kłamstwa. Odpowiedział, że perły zostały przez niego zastawione i kupiec chciał widać otrzymać wcześniej swoje pieniądze, więc je zbył przy zdarzonej sposobności.... Chciał dodać, że nie uważa tego za stratę, skoro się dostały osobie wartej, aby je nosiła, ale Kornis nie dał mu dokończyć. Ani on, ani jego żona nie mogą korzystać z wybiegu chciwego handlarza i pozbawiać skarb księcia drogocennego klejnotu—rzekł, a że perły miał przy sobie, zwrócił je natychmiast Batoremu,

który był blady z gniewu. Kazał zaraz sekretarzowi wypłacić summę, za jaką Kornis kupił perły i rzecz została skonczoną, ale nie pozostała w tajemnicy. Mówiono o niej głośno w całem mieście i nazajutrz rano Kornisowie wyjechali.

Na porannem posłuchaniu Kornis pożegnał księcia w imieniu swojem i żony, a tłumacząc się nagle otrzymaną wiadomością z dóbr swoich, która nakazywała mu tam wrócić pośpiesznie; wyjechał natychmiast po wyjściu z pałacu.

Książę kipiał z gniewu, a oddalenie wzmogło jego uczucia dla Jadwigi. Rozwód musi nastąpić i ona musi być jego... Aby rzecz przyśpieszyć i ułatwić, postanowił ją porwać. Że dziki ten czyn dokonanym nie został, stało się to przypadkiem jedynie. Wśród panów, którzy pozostali jeszcze na dworze Batorego, dla wypełniania piastowanych urzędów, był Szylasi, człowiek zacny i przyjaciel Kornisa od ławy szkolnej Doszedł go posłuch cichy, że Kornis dostał rozkaz książęcy jechania do Kolosvaru, jakoby dla spraw odbywających się tam sądów. z których relacyą chciał książę mieć od niego, przecież Szylasi usłyszał przytem doszeptany mu do ucha sekret, że Batory zamierza w nieobecności męża odwiedzić żonę.

Rzecz wydała się Szylasiemu niebezpieczną, bo mówiono przytem, że książę gniewny jest na Kornisa, jakoby za to, że jakkolwiek zamek Udrahelski dostał mu się ze szczodrobliwości poprzedniego księcia Zygmunta, jako dar za przystojnie odbyte poselstwo przy dworze polskim, jednak Kornis niewdzięcznie się wyraża o nim i pamięci jego uwłacza surowym sądem postępków, już w grobie spoczywającego. Że rzecz ta wyszła z ust Imrefiego, Szylasi się zląkł o przyjaciela, bo widział że się coś knuje przeciw niemu i że mowy te są zdradnem oddziaływaniem na opinią publiczną.

Więc co prędzej wysłał zaufanego sługę, aby Kornis pod pozorem choroby odwlekł wyjazd i był przygotowany na jakąś grożącą mu awanturę.

Na nieszczęście posłaniec spotkał Kornisa już w drodze o kilka mil od zamku. Choć Baltazar zawrócił się natychmiast, nie zdążył już przybyć tam przed księciem, i katastrofa tylko w połowie została zażegnaną, bo Kornis musiał uciekać i został gorzej niżeli wygnańcem, bo nie mogąc dopaść dość prędko granicy, musiał się kryć wraz z żoną jak zbójca nikczemny.

I dla Batorego byłoby lepiej, gdyby był na progu domu,

do którego wkradł się chytrze pod osłoną zdrady i ciemności, zastał gospodarza, wychodzącego na jego powitanie z pochodniami i kornie stojącego wśród ustawionej w szpaler służby. Ale stało się.... kość losu padła i w piersi księcia pracowały teraz dzikie potęgi nienawiści i pragnienia zemsty, które jednak umiał ukryć zręcznie i nawet w Kronsztadzie chciał zachować powagę monarszą, ale posiew złego ziarna, rzuconego mu w pierś ręką zdradliwą, wypuścił i tu niespodziewany swój kiełek. Nie umiał już być biesiadnikiem spokojnie dostojnym: wino, taniec, przytomność pięknych kobiet uderzyły mu do głowy siłą złego narkotyku. Pijany wyszedł z uczty i niewytrzeźwiony dostatecznie, obudził się rano. Majaczyły mu też rojenia dzikie, a że podła zgraja, którą był otoczony, lękała się jego posępności, bo stawał się wtedy złowrogo podejrzliwym i mógł w każdej chwili rozpędzić na cztery wiatry jak nędzarzy tych, którzy wczoraj byli jego powiernikami, usiłowano go zająć podstępnie.

Dimon był teraz najprzebieglejszym służalcem złych namiętności Batorego—był jego kusicielem, jego szatanem. Może, gdyby był znalazł w księciu duszę wyższą i serce szlachetne, byłby się uczynił sam cnotliwym, byłby się zrobił wiernym i przywiązanym razem sługą i bratem, bo stał on jakoby na rozstajnych drogach życia i powiedzieć można, że piekło i niebo walczyło o jego duszę. Ale gdy u tego, który był namaszczony na władzcę i pana tysięcy ludzi, znalazł tylko pychę i namiętności, kipiące chęcią użycia, piekielne uczucie zawiści opanowało mu serce, a szyderstwo i pogarda ludzi zatruła mu duszę do głębi.

Czasem też czynił sobie z tego demoniczną igraszkę, że on najniższy podnóżek wśród tego książęcego dworu — coś między błaznem a pachołkiem, mógł tak grać na namiętnościach Batorego, jak na harfie dobrze nastrojonej. Wiedział w którą strunę uderzyć, aby odezwała się muzyka, którą pragnął usłyszeć. I on to pierwszy podszepnął Batoremu, aby jeszcze dni kilka pozostał w Kronsztadzie. Ponieważ Imrefi, który był z natury tchórzem, byłby rad po wczorajszych awanturach w ratuszu, wyjechać precz z pomiędzy Sasów, on złośliwie poszepnął w ucho księcia imię Celesty i zamigotał mu nadzieją, że ją tu ujrzeć może.

To on był tym szpiegiem, który zdradzał księcia, odkrywając Sasom tajemnice jego polityki, tak jak byłby gotów w ka-

żdej chwili wydać Sasów zemście Batorego. Ta dzika i złośliwa natura czuła pewną rozkosz w szkodzeniu ludziom, i nie miał też żadnego osobistego planu w tem, czego się dopuszczał. Coś dzikiej żartobliwości niedorostka, chęć płatania figli przez mieszanie nici długo obmyślanych zamiarów, łączyła się w nim z nienawiścią do tej ludzkości, wśród której on się znalazł wydziedziczony: bez ojca, matki, bez jednej istoty, którąby się przyznawała, że mu jest krewną.

Jeżeli wypłynął nieco na wierzch, to sobie tylko był to winien. Jak młody kot, zwinny i zręczny, wydrapał się za pomocą własnych pazurów na drzewo, gdzie znajdowało się parę gniazd ptasich i bawił się myślą, że może w każdej chwili sprawić w którémkolwiek z nich pisk i wrzask trwogi.

Teraz zagrała w nim chęć udręczenia Sasów, dłuższą między niemi bytnością księcia i zarazem takich tchórzów jak Imrefi, który mimo chciwości swojej byłby dał niejednego dukata za to, aby znalazł się co najprędzej poza rogatkami Kronsztadu. I nawet z jego to podmowy kasztelan książęcy został wysłany do Weissa z poselstwem, że książę raczy stanąć gospodą w jego domu.

Bawił się też myślą. jak twarz szanownego obywatela przedłuży się, usłyszawszy o spotykającym go zaszczycie. A jeżeliby rzeczywiście Celesta znajdowała się dotąd w mieście, czego zupełnie pewnym być nie mógł, bo z ciotką odjechać już mogła, co za komplikacya! Wszystkie inne Saksonki, pochowały się dziś w kąty, jak wystraszone przez jastrzębia kury, ale najważniejsza między niemi osobistość wystąpiłaby teraz na scenę.

I ledwo też książę przestąpił próg domu Weissa, już oczy jego zaczęły z pewną tęsknotą rozglądać się do koła. Zanim przemówił, już Dimon wiedział, co mu jest. Tak był pewnym swej sztuki wyciągania z piersi ludzkich tego, co chciał, że wprost od rozmowy z Weissem rozpoczął swój rekonesans. Że to Dimon był ową burzliwą przekupką, która ku uciesze tłumów jarmarcznych wyprawiła taką tragikomedyę z komendantem Kronsztadu, czytelnik już się domyślił zapewne, więc też domyślać się może, z jaką przykrością uczciwy Weiss spotykał się z nim teraz, jako z pokojowcem księcia. I Dimon to czuł również, co przecież nie szkodziło mu wcale, a raczej pomagało w rozmowie, przez którą ten dziki chłopak zaczął go sondować.— Panie—rzekł z miną tajemniczo smutną—książę wchodząc tu, my-

ślał przedewszystkiem o córce waszej. Pragnie ją ujrzeć, zwłoka uczyni go tylko niecierpliwszym i oburzy więcej....

— Lecz córka moja odjechała dziś rano z ciotką i daremneby były nawet rozkazy księcia, aby stanęła przed nim.

— Panie.... czyż to do mnie tak mówisz? Na nieszczęście sanki, któremi jechać mogła, stoją jeszcze w podwórzu domu. Ta nieostrożność zdradza wszystko.,..

Poważne oblicze Weissa przeszedł lekki rumieniec, przecież się nie zdradził.—Córka moja poszła pieszo, aż na przedmieście do domu, gdzie przebywała jej ciotka—odparł krótko.

Dimon podsunął się ku niemu jak kot.—Ach! panie.... chciałbym, aby książę uwierzył, ale....

— W żadnym razie nie znajdzie Celesty — odparł Weiss żywo i zdradził się tem przed Dimonem, który już zaczynał wątpić w to, czego dowodził Weissowi.

— Ukryła się więc tak dobrze—szepnął pół głosem, przychylając się ku Weissowi, ale ten cofnął się i odpowiedział jeszcze raz głośno i dumnie—że Celesty nie ma w mieście i Dimon zrobił ruch zakłopotany. — Nie wiem zali to dobrze? odparł.— Batory będzie zły....

— Córka moja niemniej wyjechała.

— Ależ dlaczego panie? Wszak książe nie mógłby jej zrobić przykrości żadnej pod bokiem waszym.

— Skończmy rozmowę mości dworzanie książęcy—zawołał Albinus niecierpliwie. — Przestał być dyplomatą, gdy chodziło o rzecz najdroższą mu na świecie. Że podejrzywał w fałszywej korespondencyi Ecsediego rękę Dimona, nienawidził go dwukrotnie i nie mógł się wstrzymać, aby zachować z nim krew zimną.—Córka moja wyjechała do Köhalom—powtórzył dobitnie jakgdyby chciał położyć koniec rozmowie, ale przebiegły chłopak wiedział, że to nieprawda i tylko czując dla siebie wzgardę w duszy Weissa, przejął się dlań mściwą nienawiścią.—Szwabie.... pomyślał, kłaniając się Weissowi układnie — nie zawsze będziesz ty tak dumnie mówił do mnie, nie zawsze będziesz tak wysoko nosił głowę....

ROZDZIAŁ IV.

Pod ziemią i nad ziemią.

Opatrzność czuwa w dzień i w nocy. Opiekuje się tworem wszelkim na ziemi i w ziemi.
Lessing.

Celesta przebyła w podziemnej swej kryjówce wszystkie te stopnie od radości do rozpaczy, o których mówi Dante. Najpierw była to trwoga ciemności, naturalna w każdym człowieku, lecz większa jeszcze w kobiecie niż w mężczyznie, bo istota jej delikatna, jest więcej nerwową i mniej na takie próby zahartowaną od silnej natury męzkiej. Ale zwolna oswoiła się z położeniem, lecz nie widząc nic, zaczęła mimowoli wytężać słuch i wkrótce usłyszała głosy na górze.—Ach!—drgnęła—czyż *on* tu już jest.... *on?*....

Długo, długo walczyła ze sobą, aby pozostać na miejscu, nie narażając się na próbę przekonania się, zali usłyszy Ecsediego.... Zrazu, gdy pierwsze odgłosy na górze dały jej się domyślać, iż książę już przybył, ogarnęła ją taka trwoga, że lękała się poruszyć na łożu swojem, aby się nie zdradzić, ale to, niestety! był stan, który nie trwał długo. Gdy minęło pierwsze wrażenie, jakoby instynktu zachowawczego istoty, potrzebującej ukrywać się przed nieprzyjacielem i niebezpieczeństwem, które niesie on ze sobą, zaczęło ją ogarniać uczucie inne—zgoła, zgoła przeciwne pierwszemu! Wsłuchując się mimowoli w dolatujące ją dźwięki, i usiłując je rozpoznawać, poczęła uczuwać się coraz więcej wzruszoną. Nie niepokój już to był, ale raczej tęsknota: to *on* tam jest!... Kilkanaście kroków, kilkanaście przebytych schodów i znalazłaby się nagle przed nim....

Ogarnęła ją jak halucynacya. Wyobraźnia przedstawiała jej różne sceny, któreby były następstwem tego kroku.—Jakby on wykrzyknął!.... jakby wyciągnął ręce do niej....

Widziała jego całą postać, oczy i ich spojrzenie—widziała go, uniesionego radością. tak prawie, jakgdyby przed nią stał.

Ale słychać było zarazem głosów kilka i to ją wytrzeźwiło. Ach! niestety.... Ecsedi zniknąć musiał wobec księcia i Batory otoczony swoim dworem, dygnitarzami państwa, czyżby całował jej ręce, czyżby ją nazywał swoją, swoją na śmierć i życie?

Łzy polały jej się z oczu—wszystko, wszystko inne zniknęło dla niej w tej chwili i pozostała tylko nieszczęśliwa, opuszczona kochanka!

Po ciężkiem, bolesnem rozpamiętywaniu niedoli swojej, zaczęła znowu marzyć, przypominając sobie przeszłość. Gdzie i jakie słowa mówili sobie, co było wtedy na świecie: słońce czy gwiazdy, a łzy zrazu płynące, powoli osychały i przebyła chwilę prawie rozkoszną, zapominając, że ją otacza ciemność, że jest jakoby zbrodniarką wtrąconą w loch podziemny, oddzieloną od towarzystwa ludzi i kryjąca się tak ze strachu i zgrozy przed tym, którego nie godziło jej się już nazywać ukochanym.

Wspomnienie ostatniego z nim widzenia, przywiodło jej to wszystko na myśl i jęknęła, ściskając biedną, ciężko bolącą głowę. Zaczęła też uczuwać pragnienie i po razy kilka przykładała usta do dzbanka z wodą. Lękała się przewrócić go, bo myśl powrotu między ludzi, wydała jej się teraz straszną.... Za nic.... za nic.... gdyby brakło jej i wody i chleba, gdyby przechodziła przez najcięższe cierpienia głodu i pragnienia, nie weszłaby tam, gdzieby go spotkać mogła.

Czy to była taka silna nienawiść dla Batorego, jaką usiłowała uczuć i okazać ojcu?

Tak, czy nie, zaciskając kurczowo ręce, mówiła sobie z głuchą rozpaczą:—Nigdy.... nigdy....

Gdy, jak sądziła, na świecie Bożym słońce już musiało pochylać się ku zachodowi, uczuła nagle jakąś mdłość, której się przelękła, ale przypomniała sobie prędko, że musi to być słabnięcie z braku pożywienia, skutek głodu i smutnie odłamała sobie część jakąś bułki chleba, uniesionego w koszu. Jedząc go, zalewała się łzami, nieszczęśliwa! Ponieważ przypomniała sobie słowa psalmisty, ogarnęła myślą dolę swą przyszłą. Choć wróci na świat podsłoneczny, choć wróci między ludzi, będzie już ona na zawsze tą, która spożywać musi chleb swój, łzami polany....

Gdy głosy w górze przestały się odzywać, ona wtedy lę-

kliwie przeszła schody, przysunęła się ku drzwiom i przyłożyła ucho do drzwi. Słuchała milczenia tych miejsc, gdzie *on* był przed chwilą. Gdy po czasie jakimś wróciła na miejsce, usiłując trafić do swojej pościeli, położyła się na niej zmęczona i usnęła wkrótce.

Spała zapewnie twardo i spała długo. Natura wyświadczyła wyczerpniętej tę łaskę, że ją oddała w opiekuńcze ramiona tego stanu, w którym istota ludzka żyje w nieświadomości tego życia i zasila się u źródła tajemnych sił istoty swojej. Za to przebudzenie nastąpiło nagle i niosąc ze sobą przestrach. Znowu to były głosy ludzkie, ale nie od tamtej strony—nie od schodów, wiodących w stronę jej domu. O wiele dalej, poza przepierzeniem drewnianem, które zamykało loch od strony wyjścia, jak sądziła usłyszała hałas rozmowy wielu ludzi.

Mówiono bez obawy podsłuchania przez czyjeś uszy—głośno. Mówiono po niemiecku i po wołosku.

Słuchała drżąc, słowa niektóre pochwyciła nawet wyraźnie: słyszała, jak wymówiono kilkakrotnie:—książę.... Batory....

Leżała jednak jak zdrętwiała: teraz jej trwoga nie była działaniem nerwów, nie była urojeniem.... Jacyś ludzie byli blisko, lecz co za jedni?

— Coby się z nią stało, gdyby tu zachcieli wejść? gdyby ją odkryto? Wpatrując się z trwogą w głąb' korytarza, zkąd dochodziły ją głosy, dostrzegła że dołem desek przepierzenia przeciska się czerwony promień światła. Poczuła następnie dym i wiedziała już teraz, że ludzie tam zebrani napalili ogień.

Zatem nie prędko ztąd odejdą? Że to były czasy, w których bandy zbójeckie nie były rzadkością, ani bajką legendową, przeniknęła ją ogromna trwoga—uczuła, jak włosy powstają jej na głowie, jak trzęsie nią febra strachu. Wiedziała z wieści ogólnej, że podziemia, do których można było zejść z jej domu, miały nie jedno takie wejście, były rozgałęzione i można było tymi podziemnymi kurytarzami wydostać się aż gdzieś na pole, gdzieś w dolinę górską. Słyszała znów, że przed kilku laty ktoś w tych podziemiach zabłądził i zginął w nich. Poprzednio nie myślała o tem wcale i teraz dopiero, te słyszane niegdyś i jak bajki fantastyczne słuchane rzeczy, zaczęły zajmować jej uwagę. Będzie mogła podsłuchać, kto to są ci, nocni mieszkańcy podziemia. Choćby można było otworzyć ztamtej strony to grube, dębowe przepierzenie, choćby znajdowały się w niem

drzwi, to ona wtedy ukryłaby się najlepiej właśnie w kąt poza temi drzwiami. Przyciśnie się do muru....

Nikt nie wie, że jest tu ukrytą, zatem szukać jej nie będą.

Wśród tych myśli uczuła nagle wielką radość: poznała w sobie przymiot bardzo cenny: poznała, że może mieć zimną krew!

Nie krzyknie, gdy ci ludzie tu wejdą... Wyjdzie naprzeciw niebezpieczeństwa, aby je zmylić i nie krzyknie....

Umocniona na duchu tem przekonaniem, stawała się odważniejszą co chwila. Lękając się aby nie zabrakło jej siły w razie jakiej niespodziewanej rzeczy i przypominając sobie, że w ciągu ubiegłego dnia nie jadła prawie, wstała napiła się znowu wody i zjadła kawałek chleba. Czyniła to wszystko bardzo cichutko, jak prawdziwa myszka w norze. Wrażenie, które wstrząsnęło nią, odjęło jej ból głowy: te nerwy kobiece, na które tak gorzko skarżyła się, zstąpiwszy w to państwo cieniów i samotności, teraz przyszły jej z pomocą i uleczyły ją z cierpienia w chwili, gdy potrzebowała być zdrową i mocną.

Wśród tego przygotowania na spotkanie z niewiadomymi wrogami, znów wróciła do myśli: kto oni jednak są? Ucho jej, podobnie jak oczy do patrzenia w ciemności, zaczęło się przyzwyczajać do słuchania w tym zcieśnionym, głucho dźwięki odbijającym lochu. Cichutko, jak duch, stąpając po miękkiej, wilgotnej ziemi, szła odważnie ku przepierzeniu, kierując się za światłem, które teraz przedzierało się mocniej przez wszystkie szczeliny przepierzenia. Widac ogień gorzał tam teraz silniej i rozmawiano też coraz żywiej, czasem głosy podnosiły się namiętnie, groźno, gwałtownie, jak wśród sporu jakiegoś, i ona znów zaczęła doznawać trwogi. Myśl o zbójcach znowu wróciła biednej.

Aż wśród tego wszystkiego podniósł się jeden głos, przed którym ucichły inne. Mówił po niemiecku i dźwięki rodzinnej mowy wlały jej teraz w piersi dziwne uspokojenie. Zdawało jej się, że tam są jej bracia, jej krewni. Uczucie braterstwa narodowego nigdy nie dało się uczuć jej sercu mocniej, wyraźniej. Trwoga znikła też znowu, a przeciwnie, szła ku przepierzeniu z jakiemś uczuciem tęsknoty, z pragnieniem zbliżenia się tych istot ludzkich, które tam były.

Naraz doznała wrażenia, którego nie umiała sobie określić. Ona znała ten głos....

Znała go dobrze, ale nie mogła wierzyć uszom swoiem. To złudzenie, to podobieństwo jakieś zwodnicze....

I przyciśnięta do desek. z uchem przy szczelinie. zatrzymała dech w piersi, a cała jej istota zdawała się wcielać w jeden zmysł słuchu. A była chwila, że owa zimna krew. którą się już chlubiła przed sobą, opuściła ją nagle i omało, omało co krzyk zgrozy i boleści nie rozdarł wilgotnego, ciężkiego powietrza podziemi. Teraz gorące łzy lały jej się z oczu, ręce jej były zaciśnięte tak, że paznogcie wpiły się w ciało.

Tak! ona znała głos mówcy! poznała wkrótce i głosy inne, które mu odpowiadały. Teraz namiętne uniesienia sprzeczek nie miały już miejsca, teraz nastąpiła zgoda—okrutna!

Mówcą był Johan Dixel, syn jednego z radców miasta, młodzieniec poważny i szanowany, którego znała od dziecka—znała go jako łagodnego, dobrego, tkliwych uczuć człowieka i przemawia on oto za zabiciem. za skrytobójczym mordem księcia!

Nieszczęśliwa odkryła spisek młodzieży saskiej! Postępowanie księcia i Węgrów na uczcie w ratuszu, dolało oliwy na ogień, który już tlał nie od dzisiaj. Deptano po nich niejako, szlachta urągała im dumnie, z kobietami postępowano w sposób zuchwały—upokarzano ich, ztrącano w proch jak robaków nędznych i młódź saska uczuła wzburzony w piersiach gniew. Oni tu przyszli na ziemię węgierską z zaufaniem spokojnem, że ich narodowość uznaną i uszanowaną zostanie. Przez interes wspólnej ojczyzny czuli się współobywatelami Węgier i czego chciano od nich? Buta, buta szlachecka urągała im, że są pracowici i przemysłowi, choć ten przemysł i ta praca wytrwała i spokojna, pomagała do rozwoju pomyślności w całej krainie Siedmiogrodu i Węgier....

Tak mówił Dixel, współtowarzysz młodych lat Celesty, aż wymówił nakoniec słowo przerażające: — Precz z Batorym!... precz z okrutnikiem i szaleńcem, z zuchwałym ciemiężycielem swobody Sasów!.... Ojciec Johana był radcą i syn wiedział, jak rozporządzenia księcia coraz to więcej podkopują stare prawa Sasów, jak coraz tu więcej uchylają dawne ich przywileje.— Niech zginie! — zawołał namiętnie, a siedm głosów młodych i gorących powtórzyło za nim:—Niech zginie!

— Niech zginie! — dodał jeden jeszcze głos, wydając ten okrzyk po wołosku. Tym dziewiątym wśród spiskowców był

suchy, silny mężczyzna, Nosił na sobie płaszcz mołdawski, a na głowie czerwony turban turecki. Był to Ivor z Hadasalfoldu— horambasza Ivor, czyli herszt bandy zbójeckiej, żyjący z łupieztwa i gwałtu. Zaczajony w górskich przesmykach spadał na podróżnych, na kupców głównie, jak jastrząb, i odzierał, brał do niewoli za wykupem, który musiał być mu wypłacany zawsze złotem najlepszem, choćby ofiara prosiła o łaskę ze łzami, choćby to było ruiną całego istnienia nieszczęsnego, który dostał mu się w ręce. Węgrzy dawali takim nikczemnym opryszkom nazwę: harambaszy; Słowaki zwali ich wojewodami i było to, coś pośredniego między rycerzem a łupiezcą i złodziejem. Poezya ludu, którego byli nieraz mścicielami, otaczała tych śmiałych rozbójników nimbą swoją i śpiewała o nich piosenki a nawet szlachta, zwłaszcza drobniejsza, którą nieraz uciskał bezkarnie magnat, czuła dla nich pewną sympatyą skrytą i nieraz pozwoliła im bratać się ze sobą. Harambasza wołoski z Hadaselfölda w takim to niby charakterze stronnika uciśnionych, których prawa pogwałciła przemoc, zawołał za młodzieżą saską —Niech zginie Batory!....

— Ecsedi.... Ecsedi ma ginąć... jęknęło w piersi serce Celesty.

Tam przy ognisku wzburzone namiętności nie dopuszczały uczuć litości, ani ludzkości nawet. Celesta usłyszała teraz głos drugi, także jej znany. Mond, młodszy brat tego, którego nazwisko stało się od wczoraj pośmiewiskiem ludzi przez pocałunek, który pijane usta Batorego wycisnęły na ustach jego żony: Fryderyk Mond, zimno i ostro uciszał roznamiętnionych. Niemiano czasu do stracenia, bo Batory wyjeżdża pojutrze rano, akt zemsty musi zatem zostać spełniony dnia tego, albo nigdy. Harambasza z bandą swoją musi czekać w wąwozie, którym książę jechać będzie. Orszak jego liczy stu jeźdźców, ale to nic.... Miejsce jest wązkie i przebywać je trzeba sznurem. Spiskowi pierwsi napadną na przednich jeźdźców, to jest na księcia. Zastąpią im drogę i tak się rozpocznie spór, wypalą z pistoletów i wtedy to ludzie harambaszy wystąpią z poza bocznych ścian wąwozu i rzucą się na orszak. Inni jednocześnie wpadną na jego tyły, ale on sam, on, Mond przebije pierś Batorego. To jego dział roboty, to jego część, która mu odjętą nie będzie.

Gwałtowna namiętność tłumiła głos młodzieńca, ale nie-

szczęśliwa Celesta słyszała wszystko—każde słowo. Gdy tamten mówił, ona czuła jakgdyby jej własną pierś przenikło ostre żelazo i niosło tam śmierć.

Nie zemglała przecież. Ujęła się za żelazną sztabę, która zasuwała dębowe deski przepierzenia i utrzymując się tak na nogach, dosłuchała wszystkiego do końca. Gdy Batory zginie, gdy zginie Imrefi i jeden z Banfich, który wczoraj najzuchwalej lżył Sasów, spiskowcy wycofują się z walki. Banda harambaszy dokona reszty: składało ją pięćdziesięciu opryszków wprawnych w te rzeczy i choć orszak Batorego był dwakroć liczniejszy, nie obawiano się tego. Zaraz pierwsze strzały z poza skał zrzucą z koni najpierwszych, najdzielniejszych—rycerzy. Reszta, rajtary gwardyi książęcej, to już sprawa mniejszej wagi—gdy głowa spada, tułów nic nie znaczy.

Harambasza miał sobie oddany cały łup, jaki dostanie się w ręce jego bandy; były w tem dwa wozy z taborem książęcym i wszystko z czego jego zbiry obedrą rycerzy, a co było niemałą rzeczą Zbroje i oręże były bogate, bogate były rzędy na koniach, a klejnoty w postaci spinek u dołmanów i kit u czapek warte były na każdym rycerzu tysiące.

Banda harambaszy uchodziła zaraz w lasy i góry wołoskie, a może nawet aż w Turecczyznę. Tam mogli być spokojni przed pogonią i zemstą, której przecież czy Siedmiogród będzie poszukiwał gorąco?

Okrutnik i szaleniec, który groził ponowieniem rządów Zygmunta, nie zostawi żalu ani łez po sobie. Zapłacze po nim chyba podła tłuszcza jego zauszników, która tuczyła się krzywdą kraju—łzami i potem ludu.

Współudział zbójców usuwał wszelkie podejrzenie od tych, którzy tu byli ręką kierującą, Wszyscy oni byli związani przysięgą na dochowanie tajemnicy. Ten, na któregoby padło podejrzenie, zabijał się natychmiast sam, aby zeznaniem, wymuszonem przez tortury, nie zdradził innych i nie wydał swego ludu na pastwę zemsty węgierskich, szeklerskich poddanych księcia, mogących się w każdym razie rzucić na Sasów, przez nienawiść plemienną.

I ona to wszystko słyszała—nieszczęśliwa! Cały straszliwy obraz, ukartowany mądrze i przebiegle, wydanym jej został. Trzymała w ręku wszystkie nici tej zbrodni, której ofiarą miał się stać Ecsedi!

11*

Boleść jej zapomniała już dawać księciu innego miana. Uciekła tu w te podziemia przed Batorym, ale teraz w strasznej godzinie rozpaczy i trwogi o jego życie, Ecsedi to był tylko, Ecsedi....

Poza przepierzeniem wszystko ucichło, podziemia były znow puste i tlejące jeszcze ognisko świadczyło, że ona nie śniła tych okropności, pod któremi jej silna natura uginała się tak, że złamać się mogła.

Ciężar tego, co spadło na nią, mógł przygnieść, mógł zabić, bo co ona nieszczęsna ma uczynić? Czy pozwoli zbrodni się spełnić i weźmie na duszę swoją, na serce swoje krew ofiary—krew, za którą pozwoliłaby chętnie wytoczyć swoją własną?

Więc pójdzie tym ciemnym kurytarzem, naciśnie sprężynę tajemną i stanąwszy nagle przed Batorym, ostrzeże go—wyda mu spisek i spiskowców, zdradzi swój naród?....

Była chwila, że zmysły jej zdawały się mieszać. Gdyby nie wykazała Batoremu ludzi imiennie, nie wydała Dixla i Fryderyka Monda—branoby i więziono setki...

A jednak ona nie może dopuścić spełnienia mordu! Siedziała na posłaniu swojem długą chwilę, potem klękła, modliła się do Boga gorąco, wreszcie podniosła się, bo już był czas na jedyne działanie, jakie jej zostało. Lękała się, że poranek już musi być niedaleke, że zatem odwłóczyć nie może.

Zdeterminowaną była już teraz, zatem spokojną. Skrzesała ogień i zapaliła lampę, napiła się zimnej wody i umoczywszy róg chustki, obtarła nią pałające skronie, potem włożyła na siebie ciemny sukienny płaszczyk, który tu uniosła ze sobą jako ochronę przed zimnem i wilgocią. Szata to była podróżna, długa aż do stóp i luźno okrywająca, więc kryjąca kibić i jej kształty, a kapturek, który spadał na plecy, mógł zostać zarzucony na głowę i okryć ją również.

Kapturek był wyłożony fałdowaniem z gęstej czarnej gazy i miał przeciągnięty przez fałdy sznur jedwabny, zakończony ozdobnie chwastami. Kapturek zarzucony głęboko na głowę, jeżeli został przez ten sznur ściągnięty, zakrywał twarz całą jak maska. Czarna gaza pozwalała oczom przeglądać przez siebie, ale czyniła niewidzialnem dla wzroku innych oblicze osoby zakrytej. Płaszczyki takie były w owym czasie powszechnie noszone, zwłaszcza w podróży. Moda ich pochodziła z Włoch i były też one podobne do płaszczy florenckiego bractwa Miłosier-

dzia i innych bractw miłosiernych pielgrzymich lub pokutniczych. U niektórych jeżeli były całkiem sukienne, bywały w kapturze otwory na oczy i wtedy błyskały one z tych dziur tajemniczo i przerażająco jak u ducha. Opona z gazy, gładko obciągającej się na twarzy, w inny sposób mogła straszyć, ukazując czarne oblicze jakoby mary. Wśród średniowiecznych strojów, których to była pozostałość, fantastyczność podobna okazywała się zewsząd, kroje szat były charakterystyczne. Lubowano się w tem i suknia podróżna miała w sobie cechę tajemniczości, osłaniała nietylko przed chłodem lub gorącem, ale i przed wzrokiem spotykanych ludzi, co zresztą bywało potrzebnem w czasach, gdy nierzadko trzeba się było kryć, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo i ujść przed gwałtem przemocy. Kobiety w czasie podróży ukrywały się pod noszoną szatą.

Celesta dokonała uważnie tualety swojej. Kapturek został zarzucony na piękne jej włosy, sznur ściągnięty i zawiązany starannie na węzeł. Nie mógł opaść, choćby nawet ruch jej kroków był śpiesznym, choćby sięgnęła ku niemu ręka zuchwała i musianoby użyć już niegodnego gwałtu, aby twarz dziewicy ukazała się ciekawemu wzrokowi.

Gdy skończyła, przystanęła na chwilę, jakgdyby zbierając siły i odwagę. Szła na niebezpieczeństwo większe, niż rycerz wjeżdżający w szranki zaciętej walki z wrogiem nienawistnym. Siła jej wroga była w tem, że był jak Proteusz, mogący się mienić dowolnie. Batory i Ecsedi!.... ach! jakiż czarownik zdołał sprządz razem takie dwa widma jednego kształtu istoty ludzkiej? Poszła jednak. Cicho, jak pod dotknięciem ducha ustąpiła sprężyna i znalazła się za posągiem Pana. Nad światem panowała jeszcze noc zupełna, w pokoju gorzała tylko jedna kolorowa lampa nocna, wisząca u sufitu oblewała pokój łagodnem błękitnawem światłem. Dla innych byłby to mrok, lecz oczy Celesty tak długo patrzące w ciemność, radowały się tej jasności wdzięcznej i widziały w niej wszystko. Lękliwe, obiegły wzrokiem komnatę całą i zatrzymały się na łożu księcia, którego spokojny oddech słyszeć się dawał z pod kotary, osłaniającej teraz nie to już łoże proste, jakie Celesta widziała uchodząc. I łoże i kotara były wspaniałe, kotara naśladowała namiot turecki; purpurowy ze złotem przetykaniem tywtyk tworzył draperye, przewiązywane jedwabnemi sznurami, złoty półksiężyc świecił w górze, odbijając się w błękitnem świetle lampy nocnej.

Celesty serce biło gwałtownie; po pewnej chwili wzrok jej zdołał dostrzedz na poduszkach głowę śpiącego, widziała jego bujne włosy czarne, jego rysy męzkie i złożyła ręce, przyciskając je silnie do piersi. Ecsedi to był, ten ukochany, najdroższy— ten. którego wzrok przenikał ją tak miłośnie, topiąc się w jej oczach — ten, którego oczy te wyglądały nieraz z takiem utęsknieniem, a którego widok, tak je radował, tak napełniał radością, błogością najwyższą. I teraz nieszczęśliwa! wiedziała, że na tego człowieka dybie skrytobójca, słyszała głos, który sobie warował, że on, a nie kto inny, przebije tę pierś ciosem śmiertelnym!

A jednak ona nie może przyjść i obudzić go, aby mu wydać wszystko—nie! Nie zdradzi Sasów. nie poświęci swego ludu na ołtarzu już dziś grzesznej miłości. Wczoraj była ona niewinną i uczciwą, dziś stawała się występną i hańbiącą. gdyby czyniła ją słabą!....

Ale to było obowiązkiem, aby przeszkodzić dzikiej zemście, uniesionej namiętnie młodzi. Nie Batory sam był tu przedmiotem nienawiści: uderzając weń, uderzano w pogardliwą wyniosłość, w butę węgierskich, szeklerskich rycerzy i szlachciców, urągającą spokojnym, cichym pracownikom, użytecznym mrówkom przemysłu, z którego korzystano, rzucając im w oczy pogardę, że żyli uczciwie w pocie czoła, któremu kazano być wiecznie pochylonem. Celesta czuła to i broniąc księcia, broniła razem swój lud, aby nie zmazał sobie rąk krwią zdradnie, podstępnie wytoczoną.

Chwila przystanku wzmocniła ją i jej postanowienie. Cobądź miałoby się stać z nią, dokona swego. Ona sama niknęła ze sprawy—niknął i ten ukochany dotąd, mimo oporu jej rozumu i woli, zostawał tylko człowiek, na którym miano się dopuścić mordu, oraz władzca Siedmiogrodu i Sasi!.... jej ziomkowie.... jej lud.... to powinno było stanowić jej najpierwszą myśl, być jej najwyższą troską.

Odwaga wstąpiła jej nagle w serce. Z nią może się stać co los spuści, co Bóg przeznaczy! Ona powinna była tylko spełnić obowiązek!

Pokój został na przyjęcie ksiecia pośpiesznie wybity grubem czerwonem suknem i kroki jej nie czyniły żadnego szelestu, gdy szła przez niego tak dziwnie teraz spokojna, jakgdyby nie było tu nikogo, kto mógłby się obudzić. Ale nagle przy-

stanęła i serce uderzyło jej w piersiach. Do przyległej komnaty zschodziło się ztąd po trzech schodkach i oto spostrzegła nagle, że na ostatniem z nich ktoś siedział, ale znać usnął i ujrzała tylko głowę opartą na schodku najwyższym.

Mogła jednak przejść mimo i nie zawahała się w tem. Tylko z progu zapuściła wzrok przed siebie i przekonała się, że owa przyległa izba była pusta. Zstąpiła więc ze schodków i już była niemal u drzwi przeciwnych, gdy naraz usłyszała poza sobą jakiś szelest. Śpiący sługa obudził się teraz.

Uchodzić przed nim, byłoby to dać mu hasło do pogoni. a cóż mogła znaleść w tym dalszym pokoju, od którego drzwi były zamknięte? Obróciła się więc tak śmiało i dumnie, jak się godziło na panią tych miejsc; przelękniony jej widokiem pokojowiec księcia. przeraził się mimowoli tej czarnej maski, która ukazała mu się z pod kaptura. Zanim mógł ochłodnąć z podziwienia, Celesta podniosła rękę i nakazująco położyła palec na ustach.

Znaczyło to:—milcz.... i teraz chłopak, bo chłopak to był jeszcze młody, uśmiechnął się.

Z tym dwuznacznym uśmiechem porozumienia na ustach. posunął się ku postaci w czarnej masce i drzwi przed nią cicho otworzył.

Była to chwila. w której ogarnęła Celestę rozpacz. Uśmiech sługi przeszył jej pierś, jakoby ostrzem zatrutego sztyletu, ale prędko zapanowała nad uczuciem doznanej boleści. To nic.... tylko to, coby ją zatrzymało na miejscu, mogła nazywać ciosem.

W następnym pokoju, który był już w tym skrzydle domu ostatnim, i wiódł prosto do sieni, ujrzała dwóch gwardzistów miejskich. Stali jak wyprostowane posągi z gołemi pałaszami w ręku, ale postać w czarnej masce wypuszczał z komnat księcia sługa jego, więc znów tylko uśmiech szyderczy ujrzała Celesta na ich twarzy. Nie żądali żadnego hasła i pozwolili jej wyjść.

A szła tak dumnie, jakgdyby była królową Węgier całych. lica jej pod zasłoną palił rumieniec, bo przyglądające jej się oczy były zuchwałe, ale dlatego właśnie podniosła głowę tak wyniośle, przeszła mimo żołdaków. a przytomność tak jej nie opuściła, że nacisnęła klamkę zlekka, aby się otworzyła cicho. Gdyby Batory obudził się w tej chwili i zawołał:—Kto tam?.... cóżby się stało?

Może nie prędko mogłaby się spotkać z ojcem, a tu chodziło o więcej, niż o jej życie.

Ale Opatrzność czuwała nad nią i bez wypadku znalazła się nakoniec w sieni i skierowała się szybko na ganek, który prowadził już wprost do sypialni jej ojca. Ach! tam niedaleko była jej własna komnata, cicha, zatulna, lecz nie dla niej już był wczas wygody i sen kojący.... Zdawało się też biednej w tej chwili, że już nigdy oczy jej nie będą w stanie zmrużyć się cicho i oddać ją spoczynkowi.

Na lekkie jej zastukanie do drzwi, Weiss zerwał się szybko z łoża, na którym sen snadź mu powiek nie skleił, bo czyż ojciec mógł spać, gdy wiedział, że jego dziecko jedyne, jego córka ukochana, przepędza noc w wilgotnym strasznym lochu podziemia. Jakżeż się przecież zląkł, gdy ją ujrzał.—Ty tu!— wykrzyknął, ale ona podniosła znowu palec do ust, nakazując milczenie. Nie padła na pierś ojcowską skarżyć się i płakać, ale opowiedzłała szybko i treściwie, co ją tu przywiodło. Książę spał mocno i ona przeszła szczęśliwie, nie zbudziwszy go.

Ale w czasie czynionego wyznania, napadła ją nagle myśl, zali ma prawo zdradzić Dixla, Monda i ich towarzyszy? Przypadek dał jej w rękę klucz tajemnicy i czyż mogła ją odkryć nawet ojcu? Zapobiedz nieszczęściu.... to była jej obowiązkiem, ale nic nadto nie wolno jej było uczynić, bo czyż ci ludzie byli prości zbrodniarze? A przytem ogarnęła ją trwoga i o ojca. Jakaż odpowiedzialność zwali się na jego głowę, w jakiż odmęt zawikłań okrutnych wtrąci go nagle odkryciem tej nieszczęsnej sprawy?

Wymieniła tylko nazwisko harambaszy Ivora i drżąc ze wzruszenia zapytała ojca, jak postąpi, aby mord nie został dokonany?

— Książę pojedzie inną drogą — odrzekł Weiss. — Jest to najlepszy sposób uniknięcia wielkiego rozruchu i zamieszania, bo Batory jest gwałtowny i nikt nie wie jakby postąpił, gdyby poznał choć część prawdy. Wyprawa na zbójców mogłaby się nie skończyć prędko. Pociągniętoby mnóstwo ludzi, szukając tego, kto Ivorowi doniósł o którym czasie książę wyjechać zamierza i w jakim kierunku obierze drogę? Ja sam jestem mocno uderzony tem zagadnieniem, jak to mogło dojść już do Ivora?

Celesta poznała teraz dopiero, jak splątany ten węzeł mógł

się straszliwie rozsuplać, gdyby zbudzonemu Batoremu była musiała wyznać prawdę, jak to zamierzała uczynić na przypadek, gdyby przemoc kazała jej się odsłonić, Aby nie pomyślał, że krąży koło niego z tęsknoty miłosnej—chciała mu to powiedzić! Chciała to uczynić z podniesioną głową, z dumnie patrzącemi oczyma, że ona, Celesta, ukryła się przed jego obecnością w lochy podziemne, gdzie przebywają tylko płazy i gdzie nocą wciskają się zbiry okrutne.

Cóżby przecież była sprowadziła na miasto, cóżby nieszczęśliwa była sprowadziła na siebie? Ludzie byliby w niej widzieli zdrajczynię i donosicielkę!... Gdy przecież ochłonęła z przerażenia, jej ręce wyciągnęły się do ojca.—Ojcze—rzekła—teraz potrzeba mi się ukryć tak, aby nietylko już książę i jego służba, ale żadna istota ludzka nie mogła się domyśleć, żem ja tu przebywała tej nocy.

— A to dlaczego dziecko drogie? Gdy jak wiesz, książę wyjeżdża jutro i teraz już sądzi, że rzeczywiście tu cię niema, dlaczego tajemnica ma być tak ścisłą? Sługi nasze i ludzie w mieście nie będą ci się dziwili, żeś mu się pokazywać nie chciała. Od tego smutnego balu w ratuszu, wszystkie nasze kobiety zamknęły się w domach. Najadły się dość wstydu i upokorzenia i żadna przez cały dzień wczorajszy nie przestąpiła progu wewnętrznych swych komnat. Pozostań tu biedne dziecko moje w tej sypialni, zamknięta w niej bądź aż do chwili, gdy Batory dom mój opuści. Wiem z pewnością, że już teraz wierzy w twój wyjazd z ciotką. Podły szpieg jeden, dość szperał i badał, rozsypał dość złota nadaremnie i wierząc, że potrafi wszystko odkryć, czego szuka, doszedł do przekonania, że cię nie ma.

Celesta potrząsnęła głową.—Ojcze—rzekła z boleścią—ani dziś po wyjeździe księcia, ani jutro nawet nie ukażę się w domu twoim oczom ludzkim, bo byłby to wydany na mnie wyrok hańby. Mogę tylko, a nawet muszę uciec się do nędznej sztuki fałszu i udawania, muszę jakoby przybyć zdaleka, wyglądając jak ktoś, co przyjeżdża z drogi. Mam na sobie szatę podróżną, za co dziękuję Bogu.

Weiss zadziwiony sądził, że Celesta stała się nad miarę nieufną i lękliwą, ale ona nie mogąc powstrzymać łez, opowiedziała mu teraz w szczegółach już drobnych, jaką była ta jej nocna droga z lochu do jego komnaty. Opowiedziała mu jak ją

palił wstydem wzrok sługi książęcego, jak ją raniły zuchwałe spojrzenia gwardzistów, chcące przebić jej maskę. To nie byli żołnierze z orszaku książęcego, to gwardziści miejscy. Dziś rano, w kilka godzin po wejściu słońca, miasto będzie sobie opowiadać ciekawą historyę o kobiecie zasłoniętej, i czyż mają się domyśleć, że to była ona?

Weiss jęknął teraz i załamał ręce, bo Celesta miała słuszność. Nie widziano wyjeżdżającej, ale łatwo można było przypuścić, że wymknęła się z domu ukradkiem, lecz teraz już nie mogła się znaleść pod tym dachem zbyt prędko i wychodząc z komnaty, choćby ojcowskiej...

Do lochu już też nie było można wracać, ani teraz, ani później nawet. Teraz powrót jużby nie był tak gładki i spokojny, jak poprzednie wyjście ztamtąd, a gdy książę raz się ztamtąd ruszy, już będzie dzień biały i jej trzebaby było przebyć cały ganek, obiegający na zewnątrz podwórza pół kamienicy. Widzićby ją musiały niejedne oczy.

Musiała przecież gdzieś się podziać i Weiss, pełen boleści, sprowadził ją co prędzej na dół, aby przebyła ganek nim świtać zacznie. Mógł ją tylko umieścić w izbie Sewera, bo jemu jednemu mógł odkryć prawdę i on jeden, jak był pewny, nie zwątpiłby nigdy, że Celesta jest istotą wyższą nad wszelkie podejrzenie. Pozory mogły być przeciw niej, ale prawda była za nią—za nią była godność niewieścia i ta skromna przystojność dziewicza, która patrzyła z jej anielskiej twarzy, z jasnego spojrzenia jej oczu cudnych, z jej poważnej w ruchu każdym wdzięcznej postawy.

Choć Sewer, jako komendant miasta miał do urzędu swego dodane mu pomieszkanie, jednak w domu Weissa pozostawioną mu zawsze została jego dawna komnata, położona na dole, z wejściem zaraz z bramy. Miała ona przecież tę dogodność wielką, że było z niej wyjście jedno jeszcze—na ogród, z którego można się było dostać na boczną ulicę. Sewer prowadził zawsze życie tak spokojne i regularne, że za czasów przebywania tu swego w domu Weissa, rzadko z tej dogodności korzystał, ale dziś przypomniało się to Weissowi, gdy rozbierając nieszczęśliwe położenie Celesty, w myśli swej znalazł jednego tylko powiernika, z którym mógłby był naradzić się szczerze nad jej losem i szukać dla niej jakiejś obrony.

Sewer od chwili, gdy książę zajął dom Weissa, przeniósł

się do swego dawnego pomieszkania, gdzie nic z jego sprzętów dawnych ruszonem nie było i zdawało się oczekiwać go zawsze, jakgdyby sierota był tu synem domu. Sewer czuł, że niejednokrotnie może się zdać na co Weissowi; pod pozorem lepszego czuwania nad księciem już się tu znajdował teraz na miejscu dawnem i Weiss z radością przypomniał sobie o tem.

On jeden może uratować Celestę, bo tylko w jego ręce spokojnie oddać ją może. Przez jego izbę wyprowadzona z domu ujść zdoła ztąd niewidziana od nikogo.

Trzeba się było śpieszyć, bo ubiegł już nocy kawał duży, i biedny ojciec nie mógł dać córce nawet chwili spokojnego pod jego strażą odpoczynku. Co prędzej wyprowadził ją na ganek, a ztamtąd do bramy, aby zapukać do drzwi Sewera, który natychmiast zerwał się i poznawszy pukanie Weissa, drzwi otworzył.

Co uczuł, gdy ujrzał Celestę?...:. Co uczuł, gdy w szybkiej opowieści dowiedział się co zaszło? On nawet nie wiedział o jej ukryciu, nie było chwili sposobnej, aby Weiss miał czas mu ją powierzyć i teraz dopiero wszystko objawionem mu zostało. Nie odjechała, była tu i w jakiemże okrutnem położeniu?

Ona dotknięta pozorem hańby i upadku, ona wydana na pastwę obmowy—ona, ta najszlachetniejsza między szlachetnemi!

O! w tej chwili mógłby był pójść i zadusić własnemi rękami Batorego!....

A jaki ból przenikał jego serce na myśl, że ona—ta anielska, ta czysta dziewica kocha go jednak i gotowa jest w każdej chwili ratować go choćby ofiarą życia własnego!

Po krótkiej naradzie stanęło na tem, że on wyprowadzi ją osłonioną przez wyjście boczne, że ją zawiedzie aż za bramy miasta, które dla niego zawsze otwarte będą, i uszedłszy jeszcze kawał drogi w bok, odszuka w znanej mu dolinie, między skałami, wejście drugie do podziemi, któremi zawiedzie Celestę, do lochu pod własnym jej domem. Na szczęście Sewer znał te podziemia trochę; był w nich raz, przebywał je z ciekawości jeszcze za dni chłopięcych i sądził że potrafi doprowadzić Celestę do celu. Weiss dał im jeszcze pewne wskazówki wraz ze sztucznym kluczem, który jedynie mógł otworzyć przejście wśród przepierzenia z grubych dębowych desek, umocowanych na wewnątrz sztabami żelaza. Trzeba było znać tajemnicze słowo i kombinacyą głosek i zgłosek, według których kierując

się, można było odnaleść miejsce, gdzie klucz trafiał na potężną sprężynę, a ta usuwała wtedy jedną ze sztab i kazała wyskakiwać tajemniczej klamce, za której pokręceniem uchylała się wśród przepierzenia wązka furtka, a raczej szpara, przez którą pojedyncza osoba mogła się była przecisnąć w głąb' lochu, będącego już wśród posiadłości Wejsa. Zamknąć ją za sobą było łatwo osobie, której sekret tej czynności został wydany.

Koło drugiej godziny w nocy, Sewer wyprowadził Celestę przez ogród w uliczkę, z której wydostali się wkrótce na inną, już dla nich bezpieczną i spokojną, bo tu już zakryta kobieta nie potrzebowała lękać się zwrócenia szczególnej uwagi. Niebo było jasne i gwiaździste, mróz niezbyt wielki, choć śnieg skrzypiał im pod nogami, gdy przebywszy szczęśliwie bramy miasta, za wymówieniem hasła, znaleźli się wśród wolnej przestrzeni, a wkrótce potem zagłębili się w długą, wązką dolinkę między skałami, w wąwóz prawie, który wiódł ich do celu. Tu zwolnili nieco kroku, bo tu uczuli się jakoby spokojniejsi, niż wśród murów miasta. Są chwile, w których człowiek musi się lękać bliźnich swoich więcej, niżeli pustyni odludnej ze wszystkiemi groźbami jej samotności i takiem było uczucie Sewera i Celesty. Nie widząc i nie słysząc nic, coby zwiastowało obecność człowieka, odetchnęli. — Ach! — rzekła Celesta — jakże tu spokojnie pod namiotem nieba i strażą tych gwiazd, którym Bóg kazał rozjaśniać ciemności! Gdyby ludzie nie plątali szalenie nici swego losu, gdyby umieli być szczęśliwymi cicho i spokojnie, jakżeż życie mogłoby być pięknem.

Westchnęła, myśląc, czyż ona nie zamąciła podobnie istnienia swego własnowolnie? Dlaczegóż nad wierne, szlachetne, przywiązane do niej tak tkliwie serce Sewera, przeniosła miłość inną: zdradliwą i niebezpieczną, z którą kryć się musiała jak z czynem zbrodniczym, choć nie splamiła przez nią niczem duszy swojej?

Odwieczna i nigdy dla człowieka na ziemi nierozwiązana zagadka!

Celesta to czuła przecież, że obecnie przeniosłaby uścisk śmierci, nad dotknięcie ręki Batorego, jakkolwiek rzuciłaby się natychmiast i bez namysłu w objęcia tej śmierci, aby zasłonić go przed nią.

Czuła zarazem i to, że Sewer, choć inaczej kochany, był jej jednak drogim — drogim jak brat rodzony, że ufała mu ufno-

ścią najwyższą, tak jak najwyższym był jej szacunek dla jego charakteru. Gdy milcząc szli cicho wśród cichej natury, jej przyszła myśl, że jemu może powierzyć to nawet, co zamilczała przed ojcem. Sewer wiekiem równy był nieszczęsnym szaleńcom, którym uczucie doznanego poniżenia odebrało tę świadomość moralną. że zbrodnia mściwego mordu jest grzechem w obec najświętszych przykazań natury ludzkiej—Sewer mógł skuteczniej działać na nich od jej ojca, na którego głowie siwiejący włos mógł rzucać podejrzenie. że wychłódł i zagasił w sobie przez wiek iskrę gorętszego uczucia. Skrytobójstwo do czego przecież wieść mogło? Nie było tu nawet tej wspaniałej nieustraszoności, która podnosi duchy w sercach współbraci, byłaby więc tylko wylana grzesznie krew ludzka.

Gdy u końca doliny świeże ślady, niknące po za skalistym załomem, obwieściły Sewerowi, że znajdują się już u wejścia do podziemia, które następnie wskazał jeszcze wyraźniej znak niedawno odwalonego głazu, Celesta zatrzymała go. — Bracie— rzekła—prócz tego co dotyczy bezpieczeństwa mej osoby, mam ci jeszcze odkryć rzecz jedną, wagi najwyższej. Zamilczałam o tem nawet przed ojcem, i ty tylko dowiedz się tego odemnie.

On się prawie przeląkł, ale takiem było jego zaufanie w zacność duszy i serca Celesty, że nie posądził jej nawet jedną minutą podejrzenia, że wstyd to był, który usta córki wiązał przed ojcem. Celesta doznawała naturalnego istocie ludzkiej wstręty do lochów podziemnych i chwilę jeszcze zapragnęła pozostać pod światłem gwiazd. Mówię rzeczy straszne w miejscach strasznych, to znaczy okropność ich podwoić, a że nie mogli mieć tu nigdzie świadka, któryby ich podsłuchał, że ona mówiąc, mogła przyłożyć usta do ucha Sewera, zatrzymano się tu i gdy siedli na jednym z rozrzuconych tu głazów, z którego Sewer śnieg odgarnął, jedno tuż przy drugim, Celesta wydała Sewerowi trapiącą ją tajemnicę. Choć Weiss mógł skrzyżować zamiary spiskowców przez zmieniony nagle plan podróży, choć mu mógł dodać orszak miejskiej siły zbrojnej, kto wie czy pogoń nie zostałaby również szybko zorganizowaną? Celeście spadł z serca kamień, gdy wiadomością swoją podzielała się z mężnym i rozumnym młodzieńcem.

Ale on załamał ręce:—O biada! biada jest ludziom zawsze i wszędzie, gdy przesąd i samowola jednych, wywołuje z piersi drugich dzikość zwierzęcą!—zawołał z goryczą.

Przyrzekł Celeście, że wprost po przebyciu bram miasta, uda się do Fryderyka Monda i wywrze na niego cały nacisk wymowy swojej, aby zmienić szalone jego plany. Byli sobie przyjaźni oddawna i zostawali w zażyłości poufałej jeszcze od ławy szkolnej, sądził też, że zdoła szczęśliwie odwrócić spełnienie mordu, któryby nie został wypadkiem odosobnionym. Takie rzeczy zostawiają po sobie zawsze ślad jakiś i dochodzi się do kłębka od pierwszej uchwyconej nici.

Na miejskich zegarach uderzyła godzina czwarta, miasto jeszcze było pogrążone we śnie i milczeniu, gdy Sewer przebywszy bramy miasta, szybko się skierował do domu Monda, w którego oknach błyskało jeszcze tajemnicze światło kaganka. Sewer dał się poznać i wpuszczonym został, bawił długą, długą godzinę, a gdy wyszedł znowu na miasto, piękna jego twarz była zmęczona i smutna. Zdawała się mówić: — Ileż nędz, ile słabości trapi ludzkość, ile sprzecznych ze sobą uczuć rozrywa serce człowieka!

ROZDZIAŁ V.

> Ludzie głośniej ryczą niż burza, gdy wicher namiętności rozpęta ich z karbów codziennego obyczaju.
>
> *Szekspir.*

Książe spał dłużej niż zwykle i można było powiedzieć, że spał lepiej niż kiedy. Położył się spać bez szumu wina w głowie, a towarzystwo Weissa, który w roli gospodarza usiłował mu go dotrzymywać i w ten sposób niedopuszczać do jakich nowych wybryków, poszepniętych przez nędznych lizusów—towarzystwo rozumnego, poważnego człowieka zbawiennie nań oddziałało. Nietylko Weiss sam, przez swój jasny i bogaty umysł, mógł rozmowę ze sobą uczynić miłą i zajmującą, ale dla Batorego stał po za nim jakoby cień Celesty i ztąd był on dla niego o wiele wie-

cej uprzejmym niż dla innych. Istniało nawet podobieństwo rysów między ojcem i córką, istniało szczególniej podobieństwo spokojnej i łagodnej powagi, która może głównie podbiła serce Batorego. Doświadczał też w obcowaniu z Weissem jakiegoś dziwnego uczucia: budziła mu się w sercu pewna tęsknota miłosna, nie pozbawiona słodyczy i zarazem uśmierzająca mu w piersi popędy dzikiej burzliwości. I przebywanie w domu Celesty dodawało tu coś wpływu swego, razem co sprawiało skutek taki, że Imrefi i Dimon nie mieli prawie doń przystępu przez całe popołudnie i wieczór dnia poprzedniego. Długo marzył i myślał o Celeście, spocząwszy na wspaniałem łożu pod tureckich makat namiotem i potem też, rzecz naturalna, sen przywiódł mu ze sobą jej postać wdzięczną. Śnił fantastycznie, jak często młodzi: gdzieś na turniejach walczył dla niej o palmę piękności i cnoty, potem porywał ją na konia i uciekał z nią przed pogonią licznej zgrai nieprzyjaciół. Ginęła mu, odnajdywał ją nagle i znowu tracił, aby szukać niespokojnie, aż nakoniec przyszedł nań sen milszy i spokojniejszy. Był niby w Köholom, ona mu powiedziała, gdzie się spotkać mają, on przybył i czekał na nią, ale czekał długo i zaczął już tęsknić, zaczął czuć niepokój jej utraty, żal wielki już mu zaczął ściskać serce, gdy naraz ktoś, czy coś, powiedziało mu, że idzie, że już jest blizko niego.

I naraz zobaczył ją, ujrzał jej postać osłonioną w szatę podróżną, którą znał dobrze, w której nieraz widywał ją na przechadzkach zamiejskich. Szła do niego, ale znać nie dostrzegła go, gdzie jest, bo szła mimo, ale była tak blizko, że czuł prawie ciepło jakieś, które z niej promieniowało, woń lewandy, którą zwykle bywała przejętą jej odzież. Wyciągnie więc rękę i ujmie ją, zatrzyma.... Ona się zadziwi radośnie, spojrzą na siebie, ale on już teraz pochwyci ją silniej w ramiona, pouszuka ustami jej ust i stopi w pocałunku duszę swoją z jej duszą...

Wyciągnął rękę, lecz nic nie ujął.... Obudził się, a wrażenie widzenia Celesty, uczucie jej blizkości było w nim tak silne, że podniósł się na poduszki i rozglądał po komnacie. Nie był to podmiejski ogródek u bram miasteczka Köhalom; był to dom ojca Celesty w Kronsztacie, komnata długa a wązka, wybita grubem czerwonem suknem. Lampa, rozlewająca błękitne światło rozświecała ją łagodnie.

Zaraz w pierwszym momencie nie umiał sobie zdać sprawy, gdzie jest? Przecież wrażenie bytności tu Celesty przed chwilą

trwała w nim jeszcze minut kilka. Gdy świadomość rzeczy wróciła mu, ogarnęło go uczucie zawodu. Niedobra! uciekła przed nim.... ujechała z miejsc, gdzie on się znajdował.... Kochała niby, a nie pragnęła go ujrzeć....

Aż naraz przypomniał sobie, że ona przecież nie wie, iż on, Gabryel Batory, a rycerz Escedi—to jedno. Ale czas już położyć koniec tajemnicy. Gdy zbaczając z drogi pojedzie do niej do Köhalem, wyjawi jej prawdę. Kocha go—wierzył w to silnie—więc się nie oprze jego prośbie. Połączą się związkiem nierozerwanym, będą należyć do siebie na zawsze—w cichym raju, który zbuduje dla niej i dla siebie na uboczu tronu.

Ona, która nie jest próżna—ona, która nie chce się stroić, błyszczeć, wynosić—ona, która pragnie tylko szczęścia przez miłość, pozostanie do końca życia ich dwojga w ukryciu, w cieniu, który tylko rozjaśniać będzie gwiazda miłości.

Wśród tych marzeń sen skleił mu znowu powieki i jak miłemi były myśli ostatnie, które snuł na jawie, tak też zstąpił na niego sen dobry, spokojny, posilający. Już nie marzył nic, spał prawdziwie po młodzieńczemu—mocno, i obudził się już gdy dzień zaczynał szarzeć, to jest o siódmej rano. W owych czasach ludzie wstawali wcześnie i nikt w żadnej sferze towarzyskiej, nie czuwał do rana. Rano się też budzono i wstawano, nie zasypiano godzin światła dziennego, więc przez naturę już przeznaczonych do ruchu życia wszelkich stworzeń, i nie forsowano tej natury przez sztuczne istnienie wtedy, gdy wszystko w świecie podsłonecznym zasypia. Przed północą kończyły się wszystkie, choćby najokazalsze uczty, i rzadko nawet, tylko w okolicznościach wyjątkowych, przeciągały się tak długo. Ludzie wieków tamtych byli też tak silni, jak to leży w zamiarach natury, bo nie łamali jej praw, które się potem mszczą za gwałt popełniony na sobie. Pokolenia po pokoleniach rodzą się słabsze, dźwigając winę swoich i rodzicielskich wyłamywań się z porządku, wśród którego im żyć i pracować kazano.

Książę po dobrze przespanej nocy obudził się rzeźki i ochoczy do życia, jak to jest przywilejem młodości zdrowej. Za otworzeniem oczu przypomniał sobie sen o Celeście i to dało mu coś melancholii, usposabiającej go jednak łagodnie. Gdy wstawał gniewny o coś, lub zgryźliwy, wprawiał odrazu w ruch dwór swój cały; jednych przyzywał, drudzy się cisnęli sami, aby ubiedz innych i włożyć w ucho księcia coś, o czem chcieli aby

tam doszło, lub uprzedziło wiadomość przychylną dla nich i ich stosunków. Ale dziś rano, Batory ubierał się nie ociągając, chęć zobaczenia Weissa przykładała się do tego. Miał zamiar poprosić go do śniadania ze sobą, ale Weiss jakgdyby chciał uprzedzić jego myśli, towarzyszył pokojowcom, niosącym na srebrnej tacy złote naczynia z polewką winną i migdałowe ciasta, z których słynął na Węgrzech Kronsztad, a raczej gospodynie kronsztadzkie, wypiekać je umiejące. Ecsedi jadał je nieraz ze smakiem u ciotki Celesty, ona sama podawała je gościowi i wszystko to, przychodząc po śnie minionej nocy, budziło mu w piersi wspomnienia. Był on wielce dumny, jakkolwiek nieraz wśród rozrywek poufalił się z otoczeniem swojem, teraz przecież w nagłym przystępie łaskawości, zaprosił do swego stołu Weissa.

— Zapewnie jeszcze, mości Albinusie, nie piłeś śniadania— rzekł.—Siadaj więc, a jest tu, jak widzę, tyle polewki, że starczy dla nas obu.

Zawołał na pokojowców, aby podano kubek drugi i sam nalawszy w niego Weissowi kazał mu siadać.—Potrzebuję pomówić o polityce — dodał. — Posłując na Wołoszczyźnie, znasz waszmość Radulego lepiej, niż my tu wszyscy, więc rad jestem słuchać o nim. Że chytry i podstępny, jak Wołoch, wiem, ale chodzi mi o siły jego.... Ma podobno w zbrojowniach zapasy białej broni i samopałów. Od Greków proch kupuje?....

To był początek, którym chciał rzecz zagaić. Myśl o Celeście nie opuszczała go, żałował, że nie miała brata, aby go mógł wziąść na swój dwór i obsypując łaskami, kupić sobie w ten sposób osobę życzliwą mu, a Celeście drogą i bliską. Dolał ze złotego dzbanka Weissowi polewki, sam pił swoją porcyą powoli, i ubiegła tak więcej niż godzina czasu, a Weiss zaczął się stawać niespokojnym. Czuł, że książę chce czegoś— że chce czegoś za jego pośrednictwem, ale nie córka przychodziła mu do głowy. Stan kassy Batorego był bardzo zły, miał wielkie długi u lichwiarzy w Febervarze i Weissowi nasunęła się myśl, czy nie zażąda od miasta pożyczki?

Pożyczka taka dawana przez miasta panującym, różniła się mało co od daniny, jeżeli nie była wytargowaniem jakiegoś przywileju, jakiegoś korzystnego nadania i nieraz już w ten sposób władcy Siedmiogrodu pozbywali się na rzecz miasta lub pro-

wincyi przywilejów korony. Jedni czynili to w potrzebie ojczyzny, gdy szło o obronę kraju przeciw Turkom lub Rzeszy Niemieckiej; drudzy, jak Zygmunt, dla zbytków i rozrzutności, dla nieporządku urzędników, którzy pozwalali łupić skarb państwa, Weiss coraz więcej przypuszczał, że książę zmierza do tego, lecz myśli jego oblegała silniejsza jeszcze troska: chciał wydać rozporządzenie tyczące się zabezpieczenia osoby księcia przed napadem harambaszy, potrzebował być na radzie w ratuszu i, przypuściwszy do tajemnicy niektórych rajców, porobić kroki potrzebne do zamierzonego celu. Rada była naznaczona na wczesną godzinę poranku, a Batory zatrzymywał go....

Rajcowie miejscy doznawali również podobnego niepokoju, Weiss, który zawsze był punktualny, nie przybył w terminie oznaczonym. Czekano nań z otworzeniem sesyi, aż zaczęto się lękać.—Czy nie chory?—mówiono, ale słowa te kryły myśl inną: zali nie zaszedł ze strony Batorego jaki akt samowoli, który zatrzymywał Weissa w domu. W każdym razie pragnęli się z nim naradzić, jak miasto ma żegnać księcia, jakie żądanie ma mu wyrazić w formie prośby, przy pożegnaniu wniesionej.

— Może wśród kłopotów gościny książęcej zapomniał o godzinie radnego zebrania? przypuszczono w końcu i woźny miejski został posłany, aby mu ją przypomnieć.

Ale nie mógł widzieć się osobiście z Weissem. Służba odpowiedziała mu, że nie może mieć w tej chwili przystępu do pana, ponieważ jest u księcia.—Jest zamknięty z księciem w jego komnacie—objaśniła służba, dodając, że nikt nie odważyłby się iść tam i wyprosić go...

Woźny pośpieszył z tą odpowiedzią, którą dosłownie odniósł panom radnym, ale do uszu ciekawych, którzy stali zgromadzeni koło ratusza, doszła ona inaczej. Gdy rajcy, odroczywszy radę na godzinę dwunastą w południe, zaczęli wychodzić z gmachu radnego, tłum się zaniepokoił: — Dlaczego? Co to?— pytano i nagle z nieuważnej snadź odpowiedzi któregoś rajcy, wyrósł popłoch, rzucający wieść, iż Weiss został we własnym domu uwięziony—Książę go zamknął.... powtarzano sobie z przerażeniem....

— Pewno go uwiezie ze sobą.... Może go tracić będą?... podawano sobie z ust do ust i zamieszanie rosło, bo byli tacy, co rozżarzali iskrę, która w oka mgnieniu zaczęła się stawać ogniem, aż zapaliła się płomieniem. W pół godziny potem mia-

sto całe oblatywała przerażająca nowina, którą zręcznie komentowano ludowi.—Książę chciał złupić skarb miasta: że Saksonki nie chciały tańczyć czardasza z węgierskimi rycerzami, książę obrażony nałożył na miasto kontrybucyą, Weiss się oparł, porwano go i uwięziono.

Z miasta go uwiozą—nieszczęśliwego! mówiono głośno po ulicach i gromady ludu zbiegały się na rynek, a widz uważny byłby dostrzegł między niemi nieznane i dzikie postacie.

Z wilkiem nie wchodzi się bezkarnie w przymierze, bo rozłakomiony rzuconą mu przynętą, wnet zażąda nowej pastwy. Gdy spiskowcy po rozmowie z Sewerem opamiętali się i poznali, jakie nieszczęście mogli sprowadzić na miasto i wszystkich Sasów w Siedmiogrodzie—gdy Sewer im dowiódł, że tajemnica ich współki z hersztem zbójców, mogła a nawet musiała się wydać za jego własną sprawą dla zrzucenia ze siebie odpowiedzialności na przypadek wzburzenia się ludu—zadumali się posępnie. Tak Dixel jak Mond uczuli teraz, jak wielką odpowiedzialność brali na siebie i wyprzedzając pierwszy brzask świtającego słońca, znaleźli się w małej karczemce podmiejskiej, aby widzić się z Ivorem i zerwać zbrodniczą umowę, która ich z nim wiązała. Przyobiecana z ich strony nagroda za głowę księcia: 500 florenów w złocie—nie została mu cofniętą, mimo to bandyta nie czuł się zadowolonym.—A łupy, które tracę — rzekł—któż mi je wynagrodzi?

Postanowił sięgnąć sam po to wynagrodzenie. Pięćdziesięciu opryszków, mających brać udział w wyprawie, było już zgromadzonych w pobliżu. Rozeszli się po szynkach i gospodach przedmieścia, zwanego starem, i wedle danego rozkazu mieli się skupić koło swego wojewody na dane hasło. Czyby jedli, czy pili, spali lub grali w kości, obowiązkiem ich było rzucić natychmiast to wszystko, skoro tylko usłyszą głos szeklerskiego rogu, odzywający się pobudką myśliwską. Róg szeklerski, gdy w niego dmą piersi silne, słychać na pół mili puszczy leśnej, tu odległość nie była przez pół taką, więc harambasza mógł ich mieć przy sobie w każdej chwili, z czego też nie zaniedbał wkrótce korzystać.

Ledwo-że Dixel i Mond przebyli z powrotem rogatkę, trzy urwane tony rogu ozwały się w mroźnem powietrzu szarego poranku, a gdy tylko zimowe słońce weszło ponad mury miejskie, pięćdziesięciu ludzi—podejrzanej miny chłopów, żebraków, gór-

ników, wsunęło się do miasta pojedynczo lub gromadkami. Rozeszli się po ulicach i placach miasta: było ich kilku przed ratuszem, gdy woźny miejski powracający od Weissa, oznajmił panom radnym, dlaczego nie może on stawić się na wezwanie. Gdy rajcy poczęli się oddalać, wieść pochwycona rozeszła się w sposób przewrotny. Za godzinę miasto całe wrzało. Tłumy rozgorączkowanej ludności kupiły się w koło mówców, którzy im oznajmiali w jakim to celu Weiss został uczyniony więźniem Batorego. Nałożą na miasto kontrybucyą, a on zostanie uwięziony, jako zakładnik, którego głowa poręczać będzie wypłatę żądanej summy.

Właśnie Weiss miał oddalić się z komnaty księcia i myślał co najprędzej udać się na ratusz, gdy szum głosów wzburzonego tłumy, podobny do huku wezbranych fal wody, dał się słyszeć zbliżający się zdaleka.—Weiss.... Albinus Weiss! ojciec miasta.... brzmiały pojedyncze okrzyki i książę zmarszczył się. — Co to jest?—zapytał groźno okrzykiwanego, który również nic nie wiedząc, nie mógł dać żadnego objaśnienia.

Przecież książę natychmiast je otrzymał i pierwej nawet, zanim Albinus mógł odpowiedzieć cośkolwiek.—Bunt!—krzyknął Imrefi, wpadając pierwszy do komnaty księcia.

— Bunt Sasów — dodał Kamuli, który znalazł się tuż za nim—bunt w imieniu tego faworyta waszej książęcej mości!....

Weiss, na którego zuchwały człowiek wskazał ręką, zbladł, ale nie stracił przytomności. — Bunt przeciw księciu nie może kryć się pod imieniem tego, który jest mu wiernym sługą i poddanym, jako władcy swego kraju— odrzekł poważnie i z uczuciem człowieka, mającego czyste sumienie, posunął się szybko ku balkonowi, którego oszklone drzwi otworzył, bo znajdowano się teraz już nie w sypialni księcia, ale w sali bawialnej.

Cofnął się przecież w tył, bo znowu krzyczano, a obecnie już blisko:—Weiss! Weiss!

W parę minut potem, hałaśliwa tłuszcza znalazła się tuż pod domem, gdzie się zatrzymała. Okrzyki się wzmogły, domagano się uwolnienia Weisa, wydania go ludowi i była taka chwila, że Batory podobnie, jak i sam Weiss ulegli mniemaniu, jakoby tłum, czemś rozgniewany, chciał wyrzeć na uwielbianym dotąd burmistrzu swoim dziką jakąś zemstę! Batory okazał się nawet szlachetnie.

— Nie spadnie waszmości, ani jeden włos z głowy — za-

wołał i posunął się ku balkonowi, ale w tej chwili nie dwuznaczne już okrzyki rozświeciły położenie.

Przyzywano Weissa z miłością, z jej uniesieniem najgorętszem, przysięgano, że go wyrwą ze szponów despoty, że zburzą kamienicę, która się stała jego więzieniem, nie zostawią z niej kamień na kamieniu, lecz Weissa uwolnią i nie dadzą go uwieść z miasta.

Wtedy Batory znów zmarszczony, z gorącą błyskawicą gniewu w oczach, spojrzał nań, lecz Weiss nie spuścił przed nim wzroku. — Jest tu jakaś pomyłka lub intryga nikczemna — odparł tak dumnie, że podejrzenie pierzchnąć musiało i teraz już bez dłuższego namysłu, wyszedł na balkon.

Powitał go krzyk, wstrząsający mury domu. Wyciągano ku niemu ręce, przysięgając iż go uwolnią, rzucano na jego widok czapki w górę.—Nie damy cię.... nie damy.... wołano.

Błagano, aby skoczył z balkonu, nadstawiano objęcia przyjąć go pragnące, zaczęto nawet piąć się ku górze—jedni po ramionach drugich. Brama domu była zamknięta, zatarasowana silnie. Służba księcia i gwardya jego przyboczna stała tam uszykowana obronnie, jedni z wymierzonymi naprzód samopałami, drudzy z pałaszami w ręku. Wycieczka na lud była i niebezpieczna i nie mogła mieć miejsca bez rozkazu księcia, który dotąd danym nie został.

Weiss zaczął przemawiać, tłómacząc, że mu nic nie grozi i prosząc, aby tłum się rozszedł, ale rzecz była daremna: namiętność ludowa, gdy raz zakipi, nie daje się łatwo uśmierzyć. Nie chciano mu wierzyć, zakrzyczano go przytem i na nic się nie zdało mówić, gdyż głos jego nie dochodził już uszu tych, do których przemawiał. A teraz zaczął się już i on sam obawiać. Cofnął się w tył z balkonu, aby widokiem swoim nie rozżarzać uniesienia, bał się przytem, aby ktoś nie pomyślał o przystawieniu drabiny, po której wdartoby się na górę, a wtedy nikt nie wiedział coby się stać mogło? — Jest to jakieś nieszczęście niepojęte—zawołał.—Jakaś fatalność....

— Że jednak głowa moja padnie pierwej u stóp waszej książęcej mości, zanim stanie mu się krzywda jakaś, podejrzenie wiarołomstwa i zdrady nie dotknie mnie — dokończył wyniośle.

Że mówił szczerze, że mówił prawdę, książę nie wątpił już teraz. Prócz uczciwego wyrazu jego twarzy świadczyło za nim

i to, że bronił Batorego przed niebezpieczeństwem, jak lwica lwiątko swoje. Gdy książę, nie mogąc powstrzymać gwałtowności swojej natury, chciał raz wystąpić na balkon z gołą podniesioną szablą w ręku, on się rzucił ku niemu i przemocą prawie w tył odciągnął. — Musisz panie ciąć tu pierwej, musisz pierwej rozpłatać mi głowę. niż się tam dostać zdołasz — wołał—jestem odpowiedzialny za ciebie.

Książę odstąpił od zamiaru, ale był już teraz pewnym, że Weiss go nie zdradza.

Oprócz Imrefiego i Kamuli, zebrała się teraz w sali i przyboczna służba Batorego. Był w tej liczbie i Dimon, wyglądający teraz na Demona. Tchórzem nie był i życie swe lekko ważył, więc nie drżał, nie bladł, a przeciwnie, oczy świeciły mu jak u kota. Komiczna strona rzeczy bawiła go. Nie mógł sobie zdać sprawy, co się dzieje? ale trwoga tchórzów budziła jego werwę złośliwą. Imrefi, którym trzęsła febra, wprawił go w dobry humor.

Ten byłby uciekł niewątpliwie i odbiegł księcia, gdyby wiedział, że można skryć się gdzieś bezpieczniej.

Nagle na ulicy buchnął dziki okrzyk, jakgdyby witający coś nowego, a pomyślnego dla tych, co tam byli. Potem nastąpiła cisza, widocznie oczekiwania. Ponieważ drzwi balkonu były otwarte, odgłosy z ulicy dochodziły tu tak, że słyszano pojedyncze wyrazy i teraz usłyszano jakiś turkot głuchy.

Jechał szybko ciężki wóż mocno okuty i zbliżał się coraz.

Tłum rozstępował się przed nim, pchając się na chodniki. Robiono wozowi miejsce i oczekiwano jego przybycia.

Weiss wzruszony silnie, myślał czy nie wiozą drabin na wozie, gdy w tem uwagę wszystkich zwróciło zjawisko niespodziewane, które przecież występowało nie z zewnątrz już. Drzwi do sypialni księcia stały otwarte i naraz usłyszano Dimona, który krzyknął:—A!.... a....

Wszyscy zwrócili się w tę stronę i oto ujrzano, że posąg Pana był odwrócony bokiem, a z poza niego wystąpiła postać dziwniejsza dla oczu ludzkich, niż niespodziewane ożycie miedzianej figury. Kobieta to była, okryta długą bronzową suknią podróżną, czy pielgrzymią.

Tylko teraz kaptur nie krył jej głowy i nie zasłaniał oblicza. Było to dziewcze młode i cudownie piękne, mimo bladości tak, wielkiej, jakgdyby w całej tej, żyjącej przecież istocie

nie było ani jednej kropli krwi. Po wykrzyku Dimona, który spowodował zwrócenie się wszystkich oczu w stronę idącej, Weiss i Batory krzyknęli również.—Celesta!—zawołali obydwa.

Ona to była, blada jak posąg z marmuru. Szła zwolna, bo może nogi drżały pod nią, kaptur spadał jej teraz w tył: szła z odkrytem obliczem nie schylając przecież głowy, nie spuszczając oczu. I Weiss i książę posunęli się ku niej jednocześnie, a ona rzuciła tylko ojcu spojrzenie pełne najtkliwszej miłości i zwróciła się ku księciu.—Panie — rzekła—uchodź ztąd jedyną drogą jaka jest przed tobą otwarta! Wychodzę z podziemia, gdzie mnie jednak doszedł hałas okrutnego wzburzenia. Uchodź! przez okienko mego lochu, doszły mnie wyrazy straszne.... uchodź.

— Ja, uchodzić—zawołał Batory wyniośle—ja....

Ale w tej chwili ujął rękę bladej dziewicy i zatrzymał ją w swojej.—Zkąd ty tu przyszłaś, Celesto?—zapytał wzruszony.

— Jam myślał żeś ty daleko, daleko gdzieś jest....

— Daleko.... daleko byłam panie.... Byłam tam, gdzie nie mieszkają już żywi, byłam pod ziemią. ale wyszłam z mego grobowca, aby cię uprowadzić ztąd....

On nie zdawał się słyszeć słów jej ostatnich, nie zdawał się pamiętać, jaka to jest chwila.—Kryłaś się —rzekł— kryłaś się—przedemną!....

Głos jego był pełny żalu i wyrzutu. Żal i wyrzut, który można było nazwać że jest miłosnym, wyglądał mu z oczu, tonących chciwie w obliczu dziewicy.

Jej twarz została tak smutną i bladą, jak była od początku.—Panie—zaczęła znowu a i głos jej, zarówno był nie zmieniony i choć słodki jak muzyka, był poważny nad wiek tak młody.—Panie, jam opuściła dlatego tylko moje ukrycie, że grozi ci wielkie niebezpieczeństwo. Przysięgłam na krzyż Chrystusowy pozostać w ciemnicy podziemnego lochu, póki ty tu będziesz, przysięgłam, że oczy moje nie zobaczą cię nigdy, przecież stoję tu, bo może, może ci grozić rzecz straszna.... Uchodź tam, gdzie cię nikt nie odkryje.

— Czy z tobą Celesto?—zawołał Batory namiętnie, — gdy w tem nagły okrzyk radości wydany na ulicy, zwrócił znowu uwagę przytomnych w tamtą stronę Bito komuś oklaski radowano się z czegoś.

— Panie—jęknął Imrefi—uchodź.... ratuj nas....

Na ulicy wzmagał się krzyk szalony, Weiss przystąpił do księcia i rzekł:—Uczyń panie co ci radzi moja córka. W mieście dzieje się coś strasznego, choć niepojętego dla mnie, ale pod domem moim są podziemia, któremi możesz ujść bezpiecznie z orszakiem. jaki zapragniesz wziąć ze sobą, aż w pole, aż w wąwozy górskie.

Batory zmarszczył brwi. —Książę nie ucieka—odparł.

Naraz przybyła na scenę osoba nowa. Sewer dostał się tu przez boczną uliczkę i ogród; przybywał, aby bronić księcia. bo lud miasta wzburzony był już tak. że nikt mocy nad nim mieć nie mógł. Zobaczywszy Celestę, drgnął zadziwiony, ale prędko odzyskał krew zimną i począł błagać księcia, aby uczynił to, co mu radziła. On gotów jest towarzyszyć księciu przez podziemia, a nawet nie da wyręczyć się w tem nikomu i przeprowadzi księcia lochami aż tam, gdzie już będzie miał otwartą drogę przed sobą. Weiss uspokoi tymczasem tłum rozszalały i tabor księcia ruszy za nim. Tłómaczył, jaka była przyczyna nieszczęsnego zaburzenia; jacyś obcy ludzie je szerzyli, wprowadzając lud miejski w błąd nieszczęsny.

W tej chwili nowy wybuch radości tłumu dał się słyszeć z ulicy. Mając już teraz w Sewerze zastępcę, któremu mógł zwierzyć straż nad księciem, Weiss miał ręce rozwiązane i żywo zwrócił się na balkon, który zdobywano. Z ogromnego wozu tworzono ku niemu pomost, i już czepiano się jego krat żelaznych, gdy Weiss ukazał się tam znowu. Wiedząc o co chodzi, karcił szaleńców surowo: — Jesteście narzędziem jakiegoś zbrodniczego zamachu—zawołał—jakiś zdrajca używa was w celu podłym własnego interessu....

— Nieprawda — odpowiadano mu — wiemy my prawdę.... wiemy....

Mówił to barczysty ów tracz, który pierwszy zażegł ten pożar. Tłum zaś, nie zdolny już do zimnej rozwagi, chciał tylko dostać Weissa. Celesta, przerażona teraz o ojca, wybiegła też na balkon, a i ją powitano okrzykami gorącej miłości.—Gołąbko!—wołano—gołąbko! więc i ciebie chce porwać w swoje szpony ten jastrząb.

Stało się to nowym żywiołem roznamiętnienia tłumu. Kobuty zwłaszcza zaczęły teraz zagrzewać do walki, tracz podbedzał zapał szaleńców, aż nagle dwóch ludzi dostało się na

balkon i był to moment decydujący. Jeżeli Weiss stawi im opór, tłum dostanie się utorowaną już drogą do wnętrza domu.

Zdobędzie go i splondruje, może pochwyci księcia!

Weiss pojął szybko całe położenie i postanowił co mu czynić wypada.—Celesto! wróć pod opiekę Sewera — zawołał i dał się unieść wyciągającym się po niego ramionom. Gdy raz znajdzie się wśród ludu, zdoła odzyskać panowanie nad nim.

Ale z dołu krzyczano: — Ratujcie Celestę..., dobrą, piękną Celestę ratujcie!.... Poświęciła się za ojca, ratujcie ją....

Weiss, obstąpiony przez tłum rozgorączkowanych ludzi, nie mógł nawet ust otworzyć.—Celesta... Celesta.... brzmiało teraz w powietrzu, gdy on unoszony na rękach rokoszan, oddalał się.

Sewer szybko zamknął balkon i zatarasował drzwi wielką dębową szafą, wytwornie rzeźbioną dłutem norymbergskiego sztukmistrza stała się ona teraz barykadą, głowy aniołków wyglądające z poza kwiatów i liści, zdawały się słuchać przerażone dzikiego hałasu, a Sewer i Celesta zaklinali księcia, aby się dał uprowadzić przez podziemia. Szafa była lichą zaporą przeciw silnym ramionom, gdy raz zechcą się pod nie podsadzić.

Batory czuł prawdę tych słów, ale duma buntowała mu się w piersiach na myśl, aby książę uciekał przed podłą zgrają zbuntowanych mieszczan. Obejrzał zapały obu krucic, które miał zatknięte za pasem i blady, z okiem iskrzącem, nie ruszył się z miejsca. Nawet słowa Celesty nie miały już wpływu nad nim. Postanowił się bronić do ostatka i stał gotów do tego z ręką na rękojeści szabli.

A koniec rzeczy nie mógł już być dalekim. Wdarcie się tłumu na balkon i odepchnięcie błachej zapory, mogło się dokonać w przeciągu kilku minut.

I na minuty już liczyło się trwanie tej tragedyi, której węzłem było może życie, czy śmierć Batorego....

Zrozumieli to snadź jego przyboczni, i gdy Sewer obejrzał się po komnacie, spostrzegł, że Imrefi i Kamuli gdzieś znikli. Uszli przez kurytarz podziemny wraz z trzema równie podłemi pokojowcami księcia. Składali się oni potem wymówką, że uszli, aby wiernych księciu zwołać mu na pomoc, ale to jest karą takich, jak Batory dzikich despotów, że trzymają się ich boku tylko istoty nikczemne.

Przy księciu prócz Sewera i Celesty, pozostał tylko Dimon. Czy trzymała go tylko duma, trudno odgadnąć.... Miał

w ręku sztylet obnażony, gotowy już w każdej chwili do uderzenia.

Na zewnątrz huczała wrzawa piekielna. Może się kłócono teraz o pierwszeństwo wdarcia się na pomost, który szerokim nie był? To tylko zdawało się przewłóczyć położenie.

Nagle przybył księciu niespodziewany sukurs, trzech młodych Sasów: Huttern, Misch i Trausch, weszli przez główne drzwi komnaty, które wiodły ze schodów. Platforma balkonu zapadła się pod tłumem, który się pchał na nią, ale zwrócono się za to ku bramie. Już ją zforsowano, gwardya księcia biła się z napastnikami i oni zdołali się wedrzeć tą drogą.

Przyszli tu, choćby umierać z księciem, lecz błagali go, aby oddalił się z miejsca walki z motłochem, który podburzony został przez jakieś niepojęte wpływy. Gwardya księcia biła się dzielnie, ale cóż garstka, choćby najwaleczniejszych, znaczy w obec tysięcy? Przytem bito się tylko bronią białą, bo palnej nie można było użyć w ścisku, chyba gdyby cofnięto się w podwórze kamienicy, ale gwardya nie chciała odsłonić schodów, wiodących do księcia.

Nie można było liczyć, aby zdołała ich ubronić, przybywający już widzieli trupów.

Młody Trausch pokazał but skrwawiony. Przedzierając się przez walczących, musiał nastąpić na ciało, które może nie było jeszcze trupem....

W tej chwili szyby okien zabrzęczały, szkło rozprysnęło się z hałasem. Zaczęto rzucać w nie kamieniami.

Kamienie te wyrywano z bruku i za pierwszym, który posłano w okno, posypało się ich mnóstwo. Walono niemi i w ściany, a choć bombardowanie to było, wobec silnych murów bezowocnem, zwiększało grozę chwili. Kamienie padały przez wybite szyby na środek komnaty i trzeba było cofnąć się w głąb'

Hałas na dole dawał znać, że lud już jest w bramie, że wtargnie tu wkrótce i może z dwóch stron: od frontu przez główne wschody i przez wejście od podwórza, które też da wtedy wolny przystęp oblegającym.

Teraz poczęli błagać księcia wszyscy, a Celesta padła przed nim na kolana, aby nie narażał dłużej siebie i innych.—Panie! wołała—wyciągając ręce i obejmując niemi jego kolana—daruj narodowi twemu życie swoje, daruj mu i życie tych wszystkich

szlachetnych Sasów, którzy muszą umrzeć, jeżeli nie cofniesz się ztąd, bo oni cię nie opuszczą.

Jej głos, jej wzniesione na niego oczy łzawe zmiękczyły go.—Niech będzie jak chcesz, o Celi moja!—wykrzyknął. —Czy przecież to życie, które ratować mi nakazujesz, będzie mieć trochę szczęścia jakiego?.... powiedz! Widzisz, otaczają mnie zewsząd podstępy i zdrady, czy przecież wejdzie mi przez nie jeden choć promień ciepły, który ogrzałby istnienie moje?

Patrzał na nią wzrokiem miłości namiętnej, a ona oblała się bolesnym rumieńcem wstydu, bo oczy młodych Sasów były w nią wlepione. Zkąd i kiedy książę mógł tak znać córkę Weissa, aby mówił do niej takiemi słowy, aby mówił do niej: — Celo moja?....

Ona ze spłonionej jak krew, stała się białą jak marmur. Wiedziała co myśleli ci ludzie—wiedziała że na jej dobre imie padał czarny cień podejrzenia.

Ale to nic, niech tylko, on Ecsedi uratuje się od śmierci!

W tej chwili przez drzwi od podwórza wpadło jeszcze dwóch Sasów: Closiusz i Grabben, to byli już ludzie starsi, ławnicy miasta. Rada zebrana w ratuszu, prosiła księcia, aby się ratował. Oni się tu przedostali z narażeniem życia, aby tę prośbę mu przynieść. Odsiecz będzie dana jak najprędzej jego gwardyi, ale jeszcze pół godziny, nie.... kwadrans walki, a będą to już tylko trupy. Przez litość nad temi wiernymi mu, niech ustąpi.

To skłoniło księcia do zaniechania dłuższego oporu. Cokolwiek historya zapisała na kartach swoich o Gabryelu Batorym, tego mu nie zaprzeczyła, że w dniu tym okazał się nietylko mężnym ale i szlachetnym. Sewer otworzył pochód: z podniesioną w górę szablą szedł przed księciem i prowadził go w ciemności, bo nie było już czasu szukać świec lub pochodni, i zapalać je. Obok niego stanął Huttern, młodzieniec poważny i Trausch, syn poprzedniego burmistrza, dzielny i śmiały do konia i oręża. Reszta Sasów kroczyła w tyle, choć z początku Batory tam chciał być. — Batorowie nie byli nigdy na przodzie tam, gdzie uciekano — rzekł posępnie: — Do szturmu tylko tak szli....

Ale nie dano mu tego spełnić. Pochód zamykał Dimon i ten, za nim przestąpił próg wiodący do ciemności, obejrzał się

za Celestą, która pozostawała tu sama. We wzroku tym, zawsze błyskającym złośliwością, widniało coś jak żal, jak litość.

Książę, nim ruszył naprzód, zażądał, aby Celesta szła obok niego, lecz Sewer odpowiedział mu poważnie i prawie surowo, że córka Weissa, Celesta Saksonka, nie potrzebuje uchodzić z domu, w którym wszystko i wszyscy szanować ją i osłaniać będą.

Ona potwierdziła to; — Tak.... tu jest miejsce moje — rzekła. —Zostanę tu, czekając na powrót ojca.

Gdy to mówiła, kamień ciśnięty przez wybite okno ręką silną i zręczniejszą, niż inne, poleciał tak daleko w głąb' obszernej komnaty, że padł tuż pod jej nogi.—O czemuż nie trafił?.—zawołało jej serce biedne.

Gdy książę przeprowadzony przez Sewera, wyszedł z podziemi na światło dzienne pomiędzy skaliste złomy, które wiodły w głąb wąwozów górskich, można się było przelęknąć jego twarzy, tak była posępną i razem dziką w wyrazie. Upokorzenie, jakie przeszedł, dręczyło go i razem domagało się w nim zadosyć uczynienia—zemsty, którąby mógł wywrzeć na winnych i niewinnych! Nie było tu już Celesty, aby widok jej anielskiej, smutnej, słodkiej twarzy, łagodził surowe namiętności tej natury gwałtownej, wyniosłej i wrzała mu w żyłach gorąca krew Batorych! Imrefi też podszepnął mu już, w czasie przebywania lochów, parę rad zdradzieckich. Wraz z końmi i bagażami, miano mu tu przysłać i jego gwardyę, otóż można było aresztować Sasów, którzy towarzyszyli księciu i zrobić z niemi rzeczywiście to, co zbuntowano tłuszcza podejrzywała — zakładników! Miasto powinno było zostać surowo, przykładnie ukarane....

Była też chwila w której trafiło mu to do przekonania. Gdyby był miał przy sobie wojsko, byłby je wypuścił na miasto, jak na nieprzyjacielskie — byłby je kazał rabować i palić, byłby go cieszył widok tego pożaru, krzyki rozpaczy i jęki boleści—byłby się czu' dopiero podniesiony na duchu i pokrzepiony na siłach, że wstyd swój zmazał.

Ale aresztować i uprowadzić ze sobą młodych Sasów—to już mógł.... Idąc ciemnym kurytarzem marzył o tem, jak to czynić każe — jak każe związać im ręce i prowadzić ich przy koniach gwardzistów, wiodąc ich tak przez wsie i miasteczka, które przebywać będzie. Ale w tej piersi młodej nie wygasło jeszcze wszystko szlachetne uczucie, które mu było wrodzonem

i widok Sewera za wyjściem na światło dzienne—widok tej pięknej, poważnej i otwartej twarzy młodzieńca, sprawił mu w duszy mimowolną odmianę.

Przypomniał sobie, jak to na drodze do Kohałom przyjął był po rycersku jego wyzwanie na pojedynek, jak po rycersku się z nim rozprawił, nie korzystając ze swojej władzy książęcej i teraz miałże postąpić i z nim jak despota? Gabryel Batory zarumienił się przed tym człowiekiem, który go znał niegdyś lepszym, szlachetniejszym Przemogło w nim to, co było lepszem w jego naturze i cofnął powzięty zamiar.

Ale niemniej twarz była ciężko posępna, gdyż jasny świat Boży ujrzał go, jakoby był tułaczem i zbiegiem. Sewer, który to rozumiał w młodym i wyniosłym władcy, stał przy nim milczący, gdy na szczęście, nadciągnął prawie w tej chwili wysłany z miasto orszak księcia. Była na jego czele deputacya miejska. Pokornie, w smutnych postawach przepraszała księcia, lecz to zaczęło mu tylko burzyć na nowo w piersi namiętność gniewną, jakkolwiek objaśniano, że ludzie obcy, w celach rabunku sprowadzili to wszystko. Już kipiało w nim uniesienie, już wybuchnęło w gromkich słowach, że powróci tu kiedyś zrównać z ziemią to wierne mu miasto... gdy Imrefi z twarzą łagodnego baranka przystąpił do niego i uśmierzać gniew począł.—Daruj panie, było to jakieś nieszczęsne dopuszczenie, za które opamiętana teraz ludność pragnie się garnąć do nóg władcy swego—a przyczyną tego było, że dowiedział się od któregoś członka deputacyi, jaki to dowód poczuwania się do ciężkiej swej winy przysyła miasto księciu. Przywieziono trzy tysiące dukatów w złocie i w dodatku pyszny puhar kryształowy, weneckiego pochodzenia, który był ceniony 200 dukatów.

Batory udobruchał się też powoli. Rozbito na prędce bogaty namiot przysłany też przez miasto, wraz z zapasami żywności, którąby się książę mógł posilić na drogę. Imrefi szeptał, aby i namiot, który był bogaty i kunsztowny, od kupców tureckich przez miasto drogo kiedyś kupiony, został także własnością księcia, ale Batory tego nie uczynił. Jadł mało, pił więcej, a Sewera posadził przy sobie, Chciał z nim mówić o Celeście, lecz coś mu usta wiązało i dopiero, kiedy miano się rozstawać, wziął go za rękę i uścisnął silnie. — Powiedz panie komendancie kronsztadzki najpiękniejszej, najszlachetniejszej, najczystszej kobiecie na świecie, że jeżeli przebaczam to, co

mnie tu spotkało, to czynię przez moją dla niej cześć i uwielbienie — dlatego, że to jest miasto jej rodzime, że Sasi są jej ziomkami!

— A was, panie komendancie, proszę, abyś pamiętał, że rycerz Ecsedi jest ci bratem broni.... Ilekroć razy zechcesz się z nim widzieć, ujrzysz go zawsze.... Choćby go sprawy książęcego dworu oblegały najbardziej, dla waszmości zawsze on widzialnym będzie i rad cię zobaczy. Może masz mu co powiedzić przezemnie, to mów.... Co Ecsedi z życzeń waszych się dowie, książę wszystko spełni. Mów panie komendancie....

— Mam jedno i najpierwsze życzenie, pragnienie, prośbę.... aby książę nie chował żalu do miasta, które zawiniło ciężko, ale z pobudek w gruncie dobrych.... Ziomkowie Albinusa Weissa kochają go....

Przy pierwszych wyrazach książę zachmurzył się, ale nazwisko Weissa wywarło łagodzący wpływ o tyle, że przerwał tylko Sewerowi żywem skinieniem ręki.—Nie ruszajmy tej kwestyi, panie komendancie — zewołał— niech śpi.... Dla Weissa, przebaczyłem już miastu,

— Ale czy nie masz waszmość nic więcej do powiedzenia Ecsediemu? Pragnąłbym mu zanieść jakieś osobiste życzenie wasze....

Sewer stanął dziwnie wzruszony. rumieniec walczył mu na licu z bladością. Książę patrzył na niego uważnie, aż młodzieniec wyprostował się i posunął ku niemu bliżej, tak blisko że dwór księcia nie mógł słyszeć, co mu mówił!—O panie! mojem osobistem życzeniem jest takie posłanie prośby do Ecsediego, którą musi powtórzyć księciu. Niech on, rycerz Ecsedi, mężny dzielny, szlachetny z natury młodzieniec, nie odstępuje nigdy księcia.... Niech będzie zawsze przy nim blisko, tuż, tuż przy jego boku i nie dopuszcza tam złych, niecnych, szkodliwych doradców, którzy są niedobremi radcami. ..

— Panie komendancie....

— Wasza książęca mość kazała mi mówić. Powiedzieliście panie, że Ecsedi jest moim bratem broni.... O panie..,. nieh on będzie zawsze z wami dla waszego i Siedmiogrodu szczęścia....

Batory wyciągnął rękę do Sewera i silnie wzruszony uścisnął ją.

ROZDZIAŁ VI.

Alpy wołoskie.

Podnosi się, zdaje się, jakby człowieka chciał rozerwać; usta jego otwarte, oczy pół zamknięte jego uczucia zlały się w jedną rozkosz zemsty. Ja się go boję.

Jules Janin.

Czas, abyśmy wrócili do reszty osób naszej powieści. Kornis, opuściwszy zamek Geczich, pod zaufanej eskorty osłoną, jadąc głównie nocą po samotnych drogach, odwiózł żonę do Szamos-Ujvaru, gdzie wówczas przebywał Stefan Kendi ze swą dumną, obrażoną przez księcia małżonkę.

Kendiowa, choć z pewną ceremonialnością, przyjęła jednak Jadwigę szczerze i gościnnie. Mimo dumy i chłodu z jakim się na wszystko, a więc i na cnotę, zapatrywała, serce jej nie było do tyle zimne, aby prawdziwe nieszczęście nie znalazło w niem współczucia. Nadto w obecnem położeniu tych dwóch dostojnych pań było pewne podobieństwo. Jadwiga, w skutek lekkomyślnego zuchwalstwa księcia, była narażona na dwuznaczne szepty w całym Siedmiogrodzie; delikatna, szlachetna jej dusza z odrazą oglądała się w tył na to, co się stało: zemsta leżała po za granicami jej uczuć. Uspokoić męża, załagodzić wrażenie nieszczęsnych wypadków: przyprowadzić do równowagi stosunki domowe, to było pierwszem zajęciem tej kobiety, którą mąż kochał i ubóstwiał, i której słusznie ufał bez granic. Taką słodką, tkliwą naturą obdarzona kobieta, jak łatwo pojmiemy, unikała wszystkiego, co mogłoby męża rozdraźnić, gdy się oddalał, płakała w duszy, lecz oko jej było suche i ani jednej łzy nie wylała. Przed odjazdem tak go łagodziła słodyczą swej miłości, tak miękczyła jego w rozdraźnieniu strapienia stwardniałe serce, że nieraz przychodziło mu na myśl, czy nie lepiej pozostać póki się da w ukryciu, lub z tym skarbem swoim najdroższym nie rozstawać się nigdy—wszędzie i zawsze mając go przy sobie, czując jego

obecność przy sercu. Tysiące niebezpieczeństw, jakie łączyło w sobie jedno i drugie postanowienie zmusiły go do zarzucenia obu planów tak, że opuszczał Siedmiogród samotnie, aby przecież wkrótce powracać, na krótko tylko od ukochanej kobiety się oddalając. Jadwiga rozweselała dziką górską samotnię ich pobytu, rozlewała czar i ciszę w smutnem i pełnem niebezpieczeństw ukryciu.

Kendiowa przeciwnie, zawsze dumna, zawsze zimna, cierpiała inaczej. W piersi jej wrzała ciągła walka. Czuła się wciąż obrażoną i gniewną, i pragnęła zemsty. Myśl, że Batory śmiał ją upokorzyć, że chciał jej pokazać, jak władca Siedmiogrodu ma prawo, aby był tak witany uśmiechami wszystkich kobiet, jak uległością mężczyzn, co chwila burzyła jej krew w żyłach, dość było jej przypomnieć sobie scenę ostatniego z nim widzenia, aby wszystka ta krew uderzyła jej do głowy. Mężowi wciąż rzucała w oczy przypomnienie, że obrazy takich słów upakarzających, jakie ona usłyszała jeszcze ród Kendich, ród dumny i nieubłagany nigdy, o nigdy nie doznał dotychczas, a jednak jeszcze jej nie. Czyż Batory, nie ich rodowi i ich krewnym zawdzięcza swe wyniesienie?

— Sandor Kendi nie tak by postąpił, nie tak by to zniósł! wołała. — Na Boga! jeżeli wy, mężczyzni gnuśni jesteście, to ja ruszę się do działań. Godność moja, to nie moneta zdawkowa słów—nie pycha, nie maska,, ale prawda! Wtedy tylko, jeżeli każdy Kendi jest bohaterem, a każda Kendiowa może pozostać dumną i nie zawstydzoną; chce Kendiową pozostać!

Kobieta dobrze znała swego męża; i gdy chciała czego dopiąć, zawsze kuła żelazo póki było gorące. W Kendim wrzało także obrażone uczucie dumy i czci dla rodu swego. Dawno już knuł on w myślach zemstę przeciw Batoremu, który lekceważył Kendich, choć byli oni zawsze na przodzie wśród najcięższych harców wojennych i wszelkich ojczyzny swej niebezpieczeństw. Ale Stefan, choć gorącego temperamentu na pozór, należał do tych, którzy długo rozważają i ze wszech stron każdą sprawę rozpatrują, zanim przystąpią do działania. Skoro jednak postanowił cokolwiek, szedł i nie cofał się nigdy, jego chęć zemsty była tem zaciętszą, plan ten w ukartowaniu swem bliższy zamierzonego celu, im dłużej się przygotowywał, im dłużej się z myślami swemi i uczuciami tail.

Wspólne nieszczęście wytworzyło między Kendiową i Kor-

nisową pewien siostrzany stosunek. Były uczucia, które je łączyły: były jednak i takie. które je odpychały od siebie, ale łagodna Jadwiga, pod opiekę Kendich tuląca się jak najmocniej unikała sporów. które musiały powstawać wskutek różnicy charakteru obu tych kobiet. Ustępowała więc łatwiej, niż Kendiowa. Łagodność jednej i zimna duma drugiej, dziwny kontrast wytwarzały. Ale Jadwiga ze smutną bladą twarzą, w prostem domowem odzieniu. nie była już przedmiotem zawiści Kendiowej, jak to było niegdyś na dworze. Jednak Stefanowa Kendi zazdrościła Jadwidze jej słodkiego usposobienia, jej cichego charakteru. Nieraz mówiła do siebie: — Ona, to anioł, ja lwica, która się szarpię w pętach losu.... Więc też mimo sprzeczności usposobień zachodzącej między gospodynią i gościem, stosunek był serdeczny i przyjazny, nietylko na oko. Kobiety te pokochały się już nie jak bratowe, ale jak siostry, gdy ich mężowie jak bracia, godzinami całemi przesiadywali ze sobą w naradach, w planach zamierzonych czynów i często milkneli nagle, gdy żony zbliżały się ho nich. Lecz wtedy Jadwiga patrząc na nich, drżała, Kendiowa uspakajała się właśnie w gorączce, która paliła jej serce.

— Budzą się nareszcie duchy męzkie — mówiła z dumą i kładła pocałunek na czole męża.

— Brat mój pcha Baltaraza na niebezpieczne drogi — myślała z żalem Jadwiga i smutnie dotykała ją myśl, że mąż coś przed nią ukrywa. Była dumną w jednym tylko kierunku— w tem, co dotyczyło jej serca—jej miłości żony.

— A czyż i ja nie milczałam niegdyś długo—uspakajała się. Czyż i ja nie miałam tajemnicy przed tym oblubieńcem mego serca? Ach! życie jest ciężkie.... bardzo ciężkie. ale proste drogi są najlepsze. Może gdybym była nie kryła nic przed mężem, gdybym była nie chciała być mądrą na własny sposób, rzeczy byłyby się obróciły inaczej, nie byłoby doszło do ostateczności okrutnej? Chciałam załagadzać wszystko i cicho złe odsuwać, aż doczekałam się burzy....

Częste listy, częste kuryery przybywały do Szamos-Ujvaru. Basa, Senney, Barbely i inna szlachta Siedmiogrodu często odwiedzali Kendiego. Trwały między rycerstwem jakieś rozprawy ciche, były jakieś szepty, czyniły się jakieś przygotowania.

Twarze mężów, starszych zwłaszcza, bywały rozognione, oczy błyskały; czuć było, że burza—groźna, straszna burza wisi w powietrzu.

Pewnego ranku po odjeździe gości, Kendi i Kornis pożegnali się z żonami.—Na krótko—mówił Kendi, lecz Kornis żegnał długo. W Szamos-Ujvarze pozostał na straży tylko ów stary Ambroży, który ongi przybiegł pierwszy na głos dzwonu trwogi. Zostawiono go z dość liczną gromadą zbrojnych, których miał on pod sobą.

W kilka tygodni potem Kendi. Basa, Sennyer i liczne zebranie jakoby myśliwych, kręciło się na dzielnych rumakach po lesistej dolinie havaskiej. Na twarzy jaśniała im wesołość, a ich broń strzelecka: sfory psów. psiarczyki z długiemi rogami, tornistry na ramionach pieszej służby, wszystko to wskazywało, że panowie jechali bawić się—łowami....

Dolina, której środkiem ciągnęła malownicza grupa jeźdźców i pieszych, znajdowała się między wysokiemi śnieżnemi górami, które w Siedmiogrodzie zowią Havas (Alpy).

Alpy wołoskie od wielu wieków zamieszkuje prosty, ubogł i pół dziki jeszcze lud, który zwano też na Węgrzech Mokány (dzicy); niski, krępy, silny ten ród górski, łączył w sobie właściwości Szeklerów i Wołochów. Pod względem zwyczajów, odzieży, sprzętów domowych, najsurowsze to było plemię ze wszystkich mieszkańców Siedmiogrodu. Gospodarstwo ich polegało na hodowli rogatego bydła i kóz, których mleko i mięso ich karmiło, jak karmi i dzisiaj jeszcze, a skóra odziewa.

Już w piętnastym roku życia młody Mokán z lichą dzisiaj bronią, lecz na owe czasy bardzo dobrą: z piką o mocnem żelazcu szedł w lasy na niedźwiedzia. Byli pomiędzy niemi tacy, którzy na pojedynkę z największem życia niebezpieczeństwem, walczyli z tem zwierzem silnem i dzikiem — zwyciężali często, lecz nie jeden ginął.

Niektórzy po dziś dzień w wolnych chwilach zajmują się wyrabianiem naczyń drewnianych i wiozą je na jarmark do Kolosvaru, lub innego pobliskiego miasta. Lecz szczególniej w owe czasy wielu było między niemi takich, co nigdy ze swej doliny nie wyszli i stanowiła ona dla nich świat, bo innego nie znali.

A o ile ponury, dziki i odpychający był widok tej doliny zimą, o tyle wspaniały i rozkoszny latem i wiosną. Ze wszech

stron zielone lasy, wysokie pnie drzew, szumiące potoki, tryskające ze skał źródła ukazują się wędrowcowi.

W pieczarach i przepaścistych wąwozach, z roku na rok gromadzą się tam zapasy śniegu, i badacz może poznać liczbę lat ze skamieniałych niejako warstw tego śniegu i zeschłej trawy, znajdowanej wśród jego pokładów, gdzie się na naniesionej przez wiatr ziemi, co lato puszcza.

Kawalkata myśliwców nie studyowała przecież natury. Droga którą jechano była wąska, niewyjeżdżona, miejscami wznosiły się na ścianie wąwozu wysokie dęby. Rozpadliny jej tu czerwone od pirytu, tam pstrzyły się różnobarwnie od żwiru. Nieraz spadziste zbocza gór z tysiącznemi załamaniami, z głazami które zdawały się staczać w dolinę, były podobne do wspaniałego gotyckiego zamku. Tak było na prawo i na lewo w odległości kilkunastu sążni płynęła rzeka, teraz słabo lodem ścięta, a nad jej brzegiem strzelały w niebo wysokie pnie wiecznie zielonych jodeł i świerków.

Nad brzegami tej górskiej rzeki, rozłożył się obóz myśliwców. Zdala już słychać było głuchy szum rozmów, granie rogów, szczekanie psów. Na odległość 20 — 30 sążni widać było z drogi wysokie namioty panów, w pośrodku żarzyło się ognisko, a naokoło niego rozstawione były ławy i zydle, pokryte dywanami; na boku stał wóz, koń, o zwolnionej cokolwiek uprzęży, pożywiał się owsem z worka, zawieszonego na szyi. Tu i tam widać było biedne chaty mokànów, a ci wychodzili z izb swych, ciekawością wiedzeni i przyglądali się barwnie ubranej szlachcie, kobiety w białych płótniankach, siedząc z kądzielą przededrzwiami, śpiewały smętne pieśni górskie.

Wśród namiotów jeden wyróżniał się zbytkowniejszem urządzeniem a naokoło stali zbrojni rycerze. Przybliżywszy się. można było poznać między niemi Kornisa, na zrębie skały siedzącego koło ognia. Łokcie oparł o kolana i głowę skrył w dłoniach; na twarzy jego był smutek, którego może nie chciał pokazywać, ale była tam i powaga; wyglądał jak ktoś, co zamyśla wykonać czyn przykry, lecz konieczny. Wreszcie wstał; zdawało się, że jakiś promień radosny zabłysnął mu na licu.

— Bóg z tobą, bracie Kendi i z wami, przyjaciele! zawołał na powitanie przybywających.

Myśliwcy zeskoczyli z koni, z uścisków rąk łatwo było poznać, że się tu wszyscy znają. Nim służba nowe namioty

rozbiła, panowie zebrali się w namiocie głównym, zaopatrzonym w ławy i dywany i prowadzili żywą rozmowę. Że nietylko polowanie ich tu sprowadziło, łatwo się czytelnik domyśli.

Na górach jeszcze ciągle błyszczał śnieg, niby srebrny kołpak; w dolinach jednak powiewał już cichy wietrzyk wiosenny. Niemniej gorzało kilka ognisk w obozie i myśliwi skupili się koło ich ciepłych promieni. Objad odbywał się wesoło. Wino rozrumieniło twarze, rozwiązało usta. Zebrani mówili otwarcie o troskach swych, obawach i nadziejach. Słychać było jednak śmiechy i toasty: echa głośnej rozmowy odbijały się o góry.

Przed ogniskiem chodził tam i napowrót wysoki strażnik: śnieg skrzypiał mu pod nogami. Tymczasem niewyraźną dróżką wśród rozpadliny w skale, szedł mały, krępy człowiek, ciemna cera twarzy, mimo niedającvch rozróżnić się w dalekości rysów, wskazywała, że to cygan. Szedł śmiało przed siebie, lecz często oglądał się na prawo i lewo i przystawał co chwila. Ktoby lepiej mu się przyjrzał, mógłby zobaczyć, że jedno oko jest zawiązane czarnym bandażem, odzież była zwykła cygańska: widać było już zdaleka czerwone, stare spodnie, które zdobił szeroki złoty galon i płaszcz z lisim kołnierzem. W ręku niósł strzelbę nabitą, a przez plecy wisiała mu torba z nabojami. Kierował się ku obozowi i bez zmieszania, z wesołą śpiewką na ustach zbliżał się do celu.

— Kto idzie?—zawołał strażnik.

— Uczciwy człowiek—odparł zapytany. — Chciałbym zgodzić się u waszych panów za naganiacza. A kto poluje? Czy duże to są łowy?

Strażnik odpowiedział krótko, lecz przyjaźnie. Był szczęśliwy, że może z kimś pomówić.

— Siadaj, bracie—rzekł.—Chętnie tu przyjmują każdego, bo im więcej ludzi, tem lepiej,

Cygan wyjął okrągły bochenek pszennego chleba z torby, nie częstując wcale strażnika, który pożądliwie nań patrzał.

— A dużo wytropiliście niedźwiedzi?—zapytał tylko.

— Jednego widzieliśmy wczoraj, ale jakoś zbieramy się powoli.

— Co?—zapytał obcy. – A jak dawno panowie tu przyjechali?

— Już z tydzień siedziemy, ale panowie jedzą i piją i mało myślą o łowach.

— Przecież złowili już trochę dziczy?

— Tak!—odpowiedział strażnik obojętnie, chciwym wzrokiem przyglądając się białemu chlebowi cygana. Czy nie przyniósłbyś mi, przyjacielu, trochę wody z rzeki? Oto garnek. Jestem spragniony i głodny, a nie wolno mi się ruszyć z miejsca.

— Masz tu wódkę i kawał chleba—rzekł cygan.—Wódka lepsza niż woda. Skosztuj.

Strażnik chciwie łykał ognisty płyn; lecz cygan nie chcąc aby się upił, flaszkę prędko mu z rąk wziął. Niemniej flaszka ta zaprzyjaźniła ich, język strażnika rozwiązał się teraz. Rozmawiał z przybyszem tak, jakby się z dziesięć lat już znali.

Gdy nowy szyldwach zastąpił jego miejsce, cygan już jako dobry znajomy, został do obozu wprowadzony i po przyjacielsku zabawiał się gawędką. Nazajutrz rano znał się już ze wszystkiemi i dowiedział się o wszystkiem, co się tu działo tydzień i dwa tygodnie temu.

Po śniadaniu Kornis, Kendi, Basa i Borbely, oddaliwszy się od reszty kompanii, poszli niby przechadzając się, w stronę wiatraku, gdzie przystanęli rozmawiając półgłosem.

— Czy wiesz, bracie, napewno, że Batory jedzie do Besztercze?—pytał Kornis.

— Tak.... wiem to z pewnością—odrzekł Barbely.

—. W takim razie napadnijmy go w bliskości Szeku, najlepsze to miejsce potemu—zawołał Basa. Przedewszystkiem nie robić hałasu. Znajdę człowieka, który za dobrą nagrodę sam się tej sprawy podejmie.

— Otwarcie działać! — zawołał Kornis. — Na Boga! niech nie słyszą nas, ludzi uczciwych i rycerzy, mówiących o podstępie zbójeckim.

— Czyż on nie czyni tak właśnie? odparł Barbely. Czy jego napady nie są również niespodziane i zdradzieckie? Ale Baltazar ma słuszność, my powinniśmy być wyżsi od niego. Działajmy otwarcie!

— Mnie pozostawcie napaść!—rzekł dumnie Kendi.

— Batory jeździ zawsze z licznym orszakiem — zauważył Basa.

— Jedno słowo, przyjacielu — przerwał Kornis. — Batory jeździ w orszaku, wiemy o tem. Nocą lub w namiocie najłatwiej byłoby go schwytać. Jest to rodzaj wojennego podstępu, który nie bywa bezprzykładnym. Lecz ja zawsze stoję przy

swojem, że w takim niespodzianym napadzie jest pewna podłość. Nie usuwam ja podstępu z planu bitwy, bo przecież cała strategia jest do pewnego stopnia podstępem, ale nie rad tego używam. Pragnąłbym teraz, abyśmy się spotkali z Batorym w otwartem polu, właśnie gdy jedzie z całą świtą swoją i otwarcie, jak rycerzom przystoi, wzięli go do niewoli.

Kendi przecząco kręcił głową.

W tej chwili więcej osób zbliżyło się do rozmawiających.

Jerzy Kornis, brat Baltazar, młody, porywczy człowiek, mający za sobą Basa i Barbely'ego, oraz wielu innych, przenieśli narady na grunt inny. Ująć księcia—to był krok pierwszy dopiero, ale trzeba było wiedzieć zawczasu, kogo na miejsce Batorego powołać na tron książęcy.

— Bracia!—zawołał Kornis—porzućmy teraz tę kwestyą, bo unikać nam trzeba wszystkiego, coby nas przez różnicę zdania dzieliło. Jest w Siedmiogrodzie nie jeden mąż, który stu takich jak Gabryel Batory zastąpi. Mówmy raczej o tem, co poczniemy, gdyby się plan nasz nie udał, lub, gdyby poszedł inaczej, niżeśmy obliczyli?

— Uda się! Musi się udać! — zawołał dumnie Kendi.

— A jeżeliby losy zechciały zawieść nas, toć dość obszerną jest sąsiednia ziemia węgierska, abyśmy się w niej pomieścili.

— Tobie—rzekł Barbely, zwracając się do Kornisa—skonfiskowano wszystkie dobra, słudzy księcia jużby się niemi podzielili. Czy uniosłeś choć cokolwiek?

— To co mam najlepszego—odparł Kornis—ukochaną kobietę i męztwo moje!

— Jeszcze coś więcej--dodał Kendi. — Wiedz bowiem teraz, lecz nie dziw się, proszę, żem o tem zapomniał mówić ci wcześniej, a to, że większa część twoich skarbów jest w moich rękach.

— Jakto?

— Zgadnij, kto wywiózł je z Udvarhely, bez niczyjej wiedzy?

— Nie mogę się domyśleć.

— Marta Szintajowa.

Twarz Kornisa pokryła się płomienistym rumieńcem, na wspomnienie tego nazwiska. Wszystkie smutne wypadki, które zmusiły go do opuszczenia książęcego dworu, które sprowadzi-

ły następnie okrutną scenę nocnej wyprawy księcia na zamek Udvarhaly. stanęły mu przed oczyma.

— Marta Szintajowa! — myślał wzruszony. — Szintajowa znała tajemniczą kryjówkę skarbca mojego i uratowała, co tam było, przed złoczyńcami! Czyżby w ten sposób chciała swój nędzny postępek wynagrodzić?

Z drugiej strony wieść o tem, że odzyskał znaczną część majątku, padła mu na serce ciężarem prawie i zasmuciła go mimowoli—podkopywała jego plany. Stał milcząc i w dal spoglądał, potrzeba mu było chwili jakiejś, aby wróciła mu równowaga uczuć i twarz przybrała zwykły, stanowczy wyraz. Lecz tymczasem narady się skończyły, radzący rozeszli się i pozostał tylko Kendi z Kornisem.

— Bracie!—zewołał Kornis.—Niebo mi świadkiem, że serce moje nie jest niezmienione i jestem gotów do wszystkiego co odemnie mają prawo żądać współziomkowie moi, ale przyznam ci, żem zesłabł nagle w mej nienawiści do Batorego. To nie Marta zdołała uwieść tajemniczo mój majątek ruchomy, bo rzecz jest niemożliwa do wykonania przez nią, ale Batory użył jej za tajemnicze narzędzie tej restytucyi. Tak! i dodam ci do tego wyznanie jedno. Ten człowiek nie jest tak podły, jak raczej szalony i zepsuty przez zauszników i pochlebców, którzy czynią zeń narzędzie powolne ich zdzierstwa i łupieztwa. Namiętny jest i despota—tego nie przeczę, ale na dnie jego serca zostało coś rodowej cnoty Batorych. Prócz tego jest mężny, tkwi w nim ta szlachetność, że chciwym nie jest i może żałować swych złych postępków; leży mu to na sercu, że uczynił ze mnie nędzarza i użył dawnej sługi naszej, aby mi zwrócić część mienia mego. Jest to zawsze uczucie, choć do pewnego stopnia szlachetne.

— Kto ci to powiedział?—zawołał Kendi gniewnie.—Sądzisz go wedle siebie, albo nie czując sam tego, słabniesz.... Żal ci odstąpić żony i puszczać się na awantury, które was mogą na czas jakiś rozdzielić. Jesteś rozkochany, jak młodzieniaszek.

— Kiedyś mnie widział takim?—zapytał dumnie Kornis.

W tej samej chwili spojrzawszy w stronę obozu, zobaczył Kornis myśliwców zbitych w gromadę i wrzawa jakaś dobiegała ich uszu. Po nad tem wszystkiem górował ostry głos człowieka, który jak się zdawało, chciał się wyrwać z zatrzymujących go rąk.

— Co to?—zawołał Kornis?

Kilku panów biegło już też do nich, Basa i Barbely wzywali ich gestami. — Więc też Kornis i Kendi szybko zwrócili się w stronę obozu i stali się świadkami dziwnej sceny. Cygan, który zeszłej nocy zapoznał się ze strażnikiem, i który, jak wiemy, jedno oko miał przewiązane bandażem, w roztarganej odzieży, z zerwanym mu z ramion płaszczem, który tylko ręką przytrzymywał, z golą głową i. co najważniejsza z parą zdrowych oczu, stał w pośrodku krzyczącej gromady ludzi. Myśliwcy uważnie mu się przypatrywali: jedna część śmiała się, inni wymyślali mu, gdy inni jeszcze groźnie się marszczyli, choć pozornie nie mieszali się do rzeczy — wszyscy jednak byli tu skupieni i zajęci wypadkiem.

Gdy Kornis i Kendi zbliżyli się, nastąpiła cisza chwilowa.

— Cóż to się stało?—zapytał Kornis, zbliżając się.

— Szpieg! szpieg!—dało się się słyszeć ze wszech stron.

Basa przystąpił do cygana.

— Kto jesteś, łotrze?—zapytał.

Cygan z otwartemi ustami i przymrużonem okiem patrzał na niego.

— Na Tatara!—zawołał nagle Basa. Toż to Dimon, sługa księcia!

— Sługa? — zawołał cygan najpierw dumnie, potem żałośnie—sługa książęcy.—Jestem biedny skrzypek, chciałem się tutaj zgodzić za naganiacza zwierzyny, Księcia nigdy nie widziałem na oczy.

On to był jednak — dworski Batorego, jakkolwiek bardzo umiejętnie przemieniony w cygana. Z barwy twarzy wyglądał na prawdziwego cygana, nawet był ciemniejszy, niż wypadało, włosy były czarne jak węgiel i trudnoby się było w nich domyśleć jasnych kędziorów Dimona.

—Czyżby to był Dimon? — szło z ust do ust niedowierzające zapytanie.

— Tak, to on!—poparł twierdzenie Basa, patrząc w błyskające dziko oczy chłopaka. Znam tego łotra, zwiążcie go.

— Na pierwszą gałąź z nim — zawołał Kendi, wzburzony zemstą.— Sznura dawajcie!....

Dimon pochylił się w komiczny sposób i zapytał niby pokornie:

— Sznura? Niech jaśni panowie puszczą, to ja już sam wejdę na drzewo i powieszę się, bez trudu dla jaśnie panów.

— A.... a.,..—dodał zmieniając nagle pokorę na szatańską zuchwałość— witam pana, panie Baltazarze Kornis, mężu wiernej madonny Jadwigi. A i waszmość pana tu oglądam, panie Stefanie Kendi! Do pioruna! żona jego wielmożności tęgo umie dzwonić.... kiedy gość nie bywa dość układnym galantem. A i mościwych panów tu widzę, panów a dobrodziei moich: Basa i Borbely! Czy i wy też chcecie łotra powiesić? Do stu Tatarów! Od jak dawna zacni rycerze i dygnitarze pod tamtym oto wiatrakiem knujecie spiski przeciw tronowi?

Kiedy cygan z tak niesłychanem zuchwalstwem zwrócił się do rycerstwa, usta służby rozdziawiły się szeroko, lecz oblicza panów zapłonęły ogniem gniewu i oburzeniem.

— Łotrze! — zawołał Kornis. — Z głosu poznać derkacza! Na gałąź z nim!

Dimona otaczało teraz koło rycerzy z groźbami na ustach, a Basa uchwycił go silnie za kołnierz, lecz w tejże chwili wydał on taki dziki i przenikliwy ryk, że mimowoli wszyscy drgnęli, on zaś w tej samej chwili z zadziwiającą zręcznością i szybciej od błyskawicy wywinął się tak z fałdów płaszcza, że Basa, straciwszy nagle równowagę, zachwiał się na oka mgnienie, lecz w ręku Dimona zabłysnął równocześnie pistolet, który skierował prosto w pierś Basy i razem w podskoku podobnym do rysiego, rzucił się na przód, przerwał łańcuch rąk, które go chciały zatrzymać i biegnąc jak strzała, stanął nad brzegiem przepaści. I jednej sekundy czasu to nie trwało, i oto jak dziki kot, zuchwałym skokiem naprzód się rzuciwszy, znalazł się na drugim brzegu przepaści. — Kilka luf pistoletowych skierowało się za nim, ale już zasłoniły go mury zielonych jodeł i świerków.

ROZDZIAŁ VII.

Polowanie na ludzi.

Ze wszech stron błyska oręż:
Pancerze, chorągwie, piki.

K. Kisfaludy.

— Strzelać! strzelać za nim w gąszcz! — zawołało wiele głosów, podczas gdy inni biegli z pikami, używanemi na niedźwiedzia i kłuli na oślep przed siebie. Na oślep też ścigać było trzeba zbiega, lecz on był już wysoko na spadzistym stoku góry, na którą się piął. Jedną nogą zdawał się zapadać w głębokie zaspy śnieżne, drugą ciskać się niby na szczyty jodeł, których przecież tylko się chwytał za gałęzie. Od czasu do czasu wydawał w szyderczem zuchwalstwie dziki, przeraźliwy świst, który stokrotnem echem powtarzały góry.

Dzięki zręczności i szybkości uciekającego, wszyscy goniący go, czy to kulą, czy dzidą trafić weń nie mogli: jakiś zły duch bronił go i obronił od śmierci.

Zbieg raz jeszcze gwizdnąwszy, czem dawał komuś znać o sobie, nagle przystanął, jakgdyby chwytając w piersi powietrze, lecz naraz rzucił się w szalonym rozpędzie naprzód i znów przeskoczył jedną przepaść więcej, aż w ten sposób znalazł się na odłamie wysokiej skały, po której począł się drzeć wązką i spadzistą drożyną, wyrobioną przez łowców, tak zapalonych, aby ścigać zwierzynę, aż tam.

— Dajcie mi moją strzelbę turecką! — zawołał Kendi — Dziwnemby było, gdyby go kula moja teraz nie trafiła.

Przyniesiono broń w oka mgnieniu. Była to długa, srebrem i złotem grawirowana fuzya, która wyrzucała kule na nieprawdopodobną odległość.—Kendi opatrzył ją i w końcu począł celować z wielką uwagą. a Dimon, czy cygan lub szatan, był właśnie jakgdyby na celu, bo prawie na szczycie góry, na której drugą stronę chciał się spuścić. Kula w tej właśnie chwili poleciała przez powietrze i cygan zachwiał się, upadł nawet na

ziemię; ale zaraz się z niej porwał, choć nie bez wysiłku i pochwyciwszy oburącz ogromny kamień, rzucił nim ku myśliwcom w dolinę; naturalnie kamień jednak stoczył się w przepaść.

Nagle wydało się myśliwcom, że jakaś srebrna wstęga ciągnie bokiem tego obrazu przez stok górski, a blaski jej łączą się w malowniczy sposób z promieniami wschodzącego słońca. Słychać było w oddali tentent i rżenie koni, ale nie brzmiał żaden głos ludzki.

Wkrótce zjawisko zaczęło stawać się wyraźniejszem: miecze i dzidy były tem, co lśniło jak srebro, a znajdowały się one w rękach wysokich, wojskowo ubranych drabów. Wkrótce potem cały stok góry okazał się pokryty szeregiem żołnierzy, którzy w pogrobowej ciszy szli naprzód, patrząc w dolinę.

— Zdrada!—zawołał Kornis.—Myśliwcy zostali nagle zaskoczonymi i zdawało się że z wielu stron, lecz nie stracono ducha.

— Do broni!—rozlegał się krzyk—lecz Kornis wołał najdonośniej:—Bez popłochu tylko... bez popłochu...! niebezpieczeństwa niema! Znam wszystkie kryjówki w całem pasmie gór Havas! Bracia!—zwrócił się do dowódzców — ustawcie w szeregi każdy swój oddział!

Po chwili wszyscy byli pod bronią i stali w szyku bojowym.

— Za mną!—wołał zawsze Kornis, czyniąc się wodzem zaskoczonych i oszołomionych.—Za mną....

I wszyscy też ruszyli za nim przez ciasny wąwóz, przez srebrną rzekę, postępując w zwyż, gdzie na płaskowzgórzu stanął batalion dobrze uzbrojonego wojska. Na czele jechał Batory. Jego arabski koń przystrojony był raczej jak do paradnych łowów, niż na bitwę; złocone trenzle błyszczały w promieniach słońca; rumak rżeniem witał nadchodzących. Na Batorym była lekka, bogata suknia, wiszący u boku miecz i dwa pistolety w siodle stanowiły całą jego broń.

Imrefi jechał obok niego, dalej kilku z dworzan, a za nimi liczny oddział wojska. Książę stanął nie dalej jak na odległość jednej stai od Kornisa. Twarz jego była wesołą, w całej jego postaci przebijała się jakaś książęca niedbałość i pewność siebie. A przytem nie zdawał się być ani trochę spotkaniem Kornisa zadziwionym, i spiąwszy konia ostrogą, popę-

dził ku myśliwym. Imrefi ze złośliwym uśmiechem na twarzy sadził przy boku księcia.

Wojsko księcia było uszykowane na wzgórzu, lance i dzidy jeżyły się lasem żelaznym.—Oddział Kornisa przystanął po przebyciu rzeki. Za wodzem, to jest Baltazarem Kornisem, znajdowali się co przedniejsi z myśliwych, wraz z jego bratem Jerzym Kornisem. Kendi, trochę dalej. zdawał się oczekiwać rezultatu spotkania, samotny. — Wreszcie książę przystanął: był teraz już twarz w twarz z Baltazarem Kornisem i patrzyli sobie w oczy.

Oddziały tych dwóch wodzów silnie różniły sie ze sobą; garść ludzi, którymi dowodził Kornis, okazywała przestrach i niespodziane zdumienie; szeregi księcia przeciwnie były zadowolone i jakby spragnione krwi. Przecudny obraz przedstawiała natura: na tyłach książęcego wojska były śniegi i lody, jakgdyby mające runąć na nie, podczas gdy zalęknione i nieliczne zastępy tych, ktorych zwano buntownikami, stąpały po świeżej, bujnie wzrastającej młodej trawie.

— Witamy waszmościów—zawołał wesoło Batory — witamy was mości Kornisie i was mości Kendi, i was wszystkich wierna moja szlachto siedmiogrodzka, witamy was....

Tu książę zdjął czapkę czerwoną z obłożeniem rysiego futra. — Szczęśliwych łowów życzę waszność panom. A! i panowie Basa i Borbely też są tutaj! Czemuż mi znać nie daliście że się tu bawicie? Byłbym przyjął udział w waszej zabawie.

Niepodobna opisać osłupienia sprzysiężonych. Domyślali się, a nawet wiedzieli na pewno, że zostali zdradzeni, lecz widzieli i to, że Batory był prawie bezbronny.

Lecz to właśnie wiązało im ręce.

Rycerski Kornis był pierwszy. który postanowił nie korzystać z tej nieopatrzności księcia. Kendi jednak ponuro mu zaprzeczał, wskazując na siodło, w którem ukryte były dwa pistolety. Cichy szept przebiegał oba wojska; oblicza były blade, oręż gotowy do boju.

Na ustach księcia igrał rodzaj szyderczego uśmiechu. Imrefi również do uśmiechu usta ułożył, i z dzikiem zadowoleniem patrzał na rycerzy osłupiałych i postawionych niemal bez wyjścia.

— Cóż to, milczycie waszmoście?—zawołał Batory, nie gniewnie, lecz obojętnie. Czyż nie raduje was widok tych świątecznie przybranych hufców moich? Czy widzicie naganiaczy

których przywiodłem na łowy? Na Boga! Łowy to będą prawdziwie alpejskie.... Co się zowie męska zabawa! Niedźwiedź i ryś spotykać się tu będzie na każdym kroku. Czyż nie tak mości panowie, a szczególniej mili mi Baltazarze Kornis i Stefanie Kendi? Powiedzcież. czy nie chętnie podzielicie się ze mną harcami waszymi? Cóż. milczycie?

— Niespodziana radość ich oniemia — ozwał się Imrefi — Iluż niedźwiedzi ubiliście panowie bracia? Jak się zdaje, ciężkie musieliście staczać boje, gdyż pobledliście jakoś, od niewygód snać i strudzenia.

— Ha! ha! ha!—zaśmiał się dalej. — Może zamiast niedźwiedzia z rozpadliny górskiej wypadł na was dumny, młody lew i, najeżywszy złotą grzywę, rzucił wyniosłe królewskie spojrzenie na tych. co się na jego śmierć sprzysięgli?

Kornisa oniemiała tylko ważność chwili, lecz nie wywołała mu w duszy przerażenia. Miecz Batorego był jeszcze w pochwie, a to, co mówił dotychczas nie było obrażającem; oblicze Baltazara wyrażające pogardę i zimne męztwo, zwróciło się wyniośle tylko ku Imrefiemu, który nie mogąc znieść tego wzroku. spuścił naraz oczy. Lecz książę posunął się z koniem i stanął oko w oko z Kornisem.

— A—zawołał—i karabinek wziąłeś waszeć ze sobą. Pyszna broń, lecz na polowaniu raczej ozdoba to. niż użytek.

Podczas, gdy książę z podziwu godną zimną krwią tak mówił, stając jakoby sam jeden naprzeciw razom nieprzyjaciół, oddziały jego wojska powoli coraz niżej schodziły i poczęły tworzyć szerokie koło, które coraz bardziej zbliżało się ku spiskowym i stawało się coraz gęstszem i coraz ściślejszem. Przybywało książęcego wojska. nowe zastępy zstępowały z góry za plecami tych, którzy posuwali się naprzód

— Strzelcy, których przywiodłem — rzekł książę z uśmiechem—patrzą na waszmoście. jak na niedźwiedzi i coraz to ciaśniej was osaczają, ale dlaczego stoicie jak figury z kamienia? Objaśnijcież mi to, możem przybył nie w porę?

— Przyjacielu Kendi—zawołał Imrefi—przywitajże księcia. Wy tu przecież gospodarze a my goście? Cóż to milczy i nasz piękny Kornis, i dzielny Kendi, mężny Basa i Borbely— wszyscy. A! pan, panie Jerzy Kornis także niemym jesteś? Wesoło się ozwij przecież, przyjacielu mój.

— Jam twój przyjaciel? — zawołał Jerzy z porywczością

młodego wieku.—Nędzniku! Łotry i zbrodniarze są twoimi przyjaciółmi.

Uniesiony młodzieniec podniósł w górę pistolet, mierząc w pierś Imrefiego; ten, nie tracąc przytomności, uczynił to samo, ale żaden nie pociągnął kurka.

— Jak myślisz, Imrefi? — rzekł książę, zwracając się ku faworytowi, czy dużo jest zwierzyny w tej kniei? Ci panowie na inne łowy liczyli, a oto my całą gromadą zjeżdżamy do nich.

— Przybywamy, mości książę, do zdrajców, do królobójców, ambicyuszów, z których jeden chce osiąść na tronie waszym, o panie mój—wykrzyknął Imrefi, jakoby gwałtownie uniesiony uczuciem miłości i wierności dla księcia. Ale mówcie zacni elektorowie, kto tu jest elektem, w kim mam powitać przyszłego księcia Siedmiogrodu? Czy w tym suchym, twardego serca drabie? — dodał, wskazując zuchwale na Basę. Czy może w waści, mosanie Kornis? Ale dla Boga za czułym małżonkiem jesteś wasze, choćby ci poddani twoi siadali na nosie, nie ruszyłbyś się od pięknej Jadwigi i czuwał, aby żaden zły wiatr nie zawiał w dolinę, kędy przebywa. A może to Kendi ma być księciem? O Kendi'owie, to znowu inny ród, umieją dzwonić na trwogę, aby ludzie wiedzieli—że bohatery z nich są.

— Zuchwały, bezecny pochlebco! — zawołał Kornis — psie książęcy, który za kość, jaką chcesz ogryść, szczekasz na każdego....

I wyjął już teraz miecz, lecz książę był ciągle zimny.

— Naprzód dzielny rycerzu!—zawołał Batory szyderczo i grzmiąco. — Podnieś miecz twój na wiernego przyjaciela twego pana, a potem na niego samego. Co za obraz rycerskiej cnoty i wierności!

Teraz już nie powstrzymując wyrazu gniewu i uniesienia, podniósł się na strzemionach i krzyknął, obejmując wzrokiem całe zastępy powstańców. — Zaczyna się teraz polowanie na zwierza, którego chcemy wytępić—krzyknął. Podniósł do ust trąbkę, zadął w nią i zabrzmiały natychmiast miedziane trąby dowódzców wojska, które wypuściwszy nagle konie, rzuciło się na spiskowców.

Ale ci ustawieni już w szyku bojowym, mężnie oczekiwali natarcia, jednak nie mogli go odeprzeć. Książę leciał przodem i porwał za uzdę konia Kornisa, wołając:— Jesteś jeńcem moiem zdrajco!

Patrzył w niego dumnem, zimnem spojrzeniem, a więcej

niż trzydziestu ludzi przybiegło mu na pomoc i natarli na Kornisa, który bronił się zaciekle. Nie jedna głowa krwią oblana z tułowiu spadała. W końcu Dimon, który tylko co zdążył połączyć się z wojskiem i jeszcze w ubiorze cygana, znajdował się przy boku Batorego, spadł niespodzianie z konia na ziemię, wyrzucony z siodła przez raz Kornisa, który przecież zadał mu ranę dość lekką.

— Ha!—zawołał Dimon, stając na ziemi—nie machaj mieczem daremnie, wielce dostojny panie Baltazarze. To tak na świecie.... Role się zmieniają i waszmość będziesz niedługo wisiał zamiast biednego cygana, na którego szykowałeś postronek.

Kornis, słabnący już w okrutnym pojedynku z kilkunastu przeciwnikami, spojrzał na cygana wzrokiem pełnym pogardy, a dobywszy sił ostatnich, uderzył go płazem miecza w twarz tak silnie, że Dimon upadł na ziemię z zakrwawionemi usty i rozbitym nosem.

— Baczność.... oczy za siebie!—zawołał Batory żywo, lecz bez namiętności.—Jerzy Kornis z kilku innymi biegł na pomoc Baltazarowi. Ale pistolet Imrefiego, o trzy kroki od księcia, powalił go na ziemię.

— Naprzód! naprzód!—rozlegał się głos Batorego—polujemy na podstępnego, drapieżnego zwierza!.... Tam, tam.... huzia, huzia, tam, gdzie Kendi, Basa, Borboly, Sennyei!

Zastęp spiskowców skupiał się. Straty już były między niemi znaczne, panowało wielkie zamieszanie. Jak na rzeczywistem polowaniu szukano się na pojedynek i ztąd obie strony zmieszały się między sobą bezładnie.

Kendi uskoczywszy nieco na zręb skały, podniósł swój ciężki karabinek i celował w Batorego, a ci, co znali strzelca i celność jego broni, uczuli gwałtowne serca bicie w łonie, lecz książę spiął konia ostrogą i poskoczył naprzód, kierując pistolet w pierś Kendiego. Równocześnie z pistoletem zagrzmiała strzelba Kendiego, ale oba strzały chybiły. Tylko szlachetny rumak Batorego, krwią zbryzgany, zwalił się pod nim.

— Teraz, za mną — zawołał Kendi — zastęp spiskowców szybko się zebrał i ścisnął. Za Kendim szedł Basa, Borbely, Sennyei, za temi inni. Parcie choć słabej siły było tak potężne, że wojsko księcia cofnęło się w tył, ale był to tryumf krótki, bo Kornis był już w mocy wrogów, nie mogąc się przebić przez coraz ścieśniające się koło. Basa, Borbely i Sennyei

po bohaterskiej obronie zostali również wzięci do niewoli, tylko Kendi walczył jeszcze jak lew niepokonany.

— Do czarta!—zawołał Imrefi—Kendi jeszcze się trzyma. Czarownik chyba jest.... kule go mijają.

— Imrefi!—rzekł książę, pałając zemstą i gniewem—jego nie ruszać! Kendi, to moja zwierzyna, mnie go zostawcie!

Batory siedział już na nowym koniu i był już znów do boju gotowym.

Położenie sprzysiężonych było coraz gorsze. Gdy Baltazar Kornis, Sennyi, Basa, Borbaly zostali wzięci, a Jerzy Kornis zginął, pozostał już na wodza jeden Kendi, ale mógł się trzymać krótką już tylko chwilę. I chwilę też tylko się bronił, lecz widząc że wszystko stracono, cofnął się z resztką niedobitków i zdołał ujść w lasy, aby być prześladowanym wygnańcem.

Kornisa w nierycerski sposób okuto w ciężkie kajdany i pędzono w nich pieszo do Kolosvaru.

Batory już teraz stracił resztę równowagi moralnej i spadał gwałtownie w przepaść zbrodni. Pierwszym stopniem jego upadku było okrucieństwo w postępowaniu z pochwyconymi rokoszanami i wszelkie prawa narodów łamiący czyn uwięzienia posła wojewody Raduly. Działo się to jednocześnie; z Kolosvaru pojechał do zamku Udvarhely i tu złe wspomnienia uderzyły nań dziką siłą. Przypomniał sobie lżące „o słowa Kornisa i wśród posępnej górskiej krainy posępniał i rzec było można—dziczał. A paliło go jeszcze wspomnienie, iż uchodzić musiał przed tłuszczą zbuntowanych Sasów i jeżeli zapomniał szlachetnych słów Sewera, wyrzeczonych do Ecsediego, to pamiętał rozdział swój z Celestą i to, że szlachetna dziewica nigdy nie przystanie na rolę jaką jej przeznaczał w myśli swej, snując szalone marzenia. Despota już się w nim coraz silniej rozwijał i to, że nie mogą się łamać dla niego wszystkie prawa ludzkie i Boskie, rozdrażniało go namiętnie

A i ludzie nie chcieli mu ulegać, choć księciem był! Z Kolosvaru zajechał do Udvarhaly z dzikiem uczuciem zadowolenia, że ztąd wygnał tych, co mu się opierali, ale przecież i tu go upokorzono: kobieta uczciwa nie chciała złamać przysięgi, uczynionej w imie Boga, nie chciała za tę cenę zostać księżną i jego małżonką — dzielić nie chciała jego tronu, a poszła dzielić wygnanie męża, którego kochała.

Burzyło mu się w piersiach i najbliżsi z jego otoczenia lękali go się nieraz, a Dimon miewał czasem chwile rozrywki, patrząc jak podlą się ze strachu, jak mu dostarczają coraz to innych, a zawsze złych, niecnych rozrywek. Pomyślał i on, że warto pana zabawiać, ale w odmienny trochę sposób i na szerszą skalę. Wiedział on dobrze, że magnaci Siedmiogrodu niecierpliwie znoszą rządy Gabryela Batorego, który coraz więcej przypominał im czasy Zygmunta.—Wiedział, że obrażony Kendi musi mu pamiętać odwiedziny oddane jego domowi w Fehervarze i wiedział że Kendi nie jest jednym, którego to spotkało. Czyż i Kornis mógł zapomnieć: on wygnaniec i tułacz, zubożony i unoszący z rozgromu tylko cześć nieskalanego imienia?

Czyż te natury namiętne, ta butna szlachta—Węgry i Szeklery znosić to mogą spokojnie, polecając się tylko łasce Opatrzności? Czy sobie nie mówią, że co innym dziś, może jutro przypaść im?

Wieści jakieś chodziły też po kraju, że tak nie jest. Szpiegowi Sasów obiło się o uszy niejedno, co posłużyło dworzaniwi księcia, aby przyłożył ucho do ziemi i posłuchał, czy tam co nie szemrze. A pyszna byłaby rzecz, gdyby usłyszał coś zdolnego zająć księcia silniej, niż zajęcia, które jego nudom dostarczał Imrefi. A ten tak się teraz wysunął się przed Kamulą, że niemal bez podziału panował w dziedzinie łask księcia.

— Poczekaj bratku—rzekł sobie raz Dimon—teraz na mnie kolej być na przodzie.

Przebrany za cygana, bo lubił bardzo ten kostyum, lubił w ogóle cygaństwo i żałował nieraz, że się nie urodził w szatrze leśnej, coby wyszło mu na lepsze, niż to, że rzecz się działa na tyłach książęcego pałacu—puścił się Dimon na włóczęgę w dalszą krainę gór, głębiej w Alpy wołoskie, zkąd go zalatywał odór spisku. Wyszpiegował go i doniósł Batoremu dał mu nową a pyszną zabawkę.

ROZDZIAŁ VIII.

Duma i miłość.

„To co wam opowiem, nie będzie miłą do słuchania historyą, bo krew zetnie wam się w żyłach na obrazy pełne grozy, ale w dziejach ludów więcej jest takich, niżeli innych".

K. Kinsfalwdy.

Nagle jednego poranku książę zadziwił wszystkich, gdy zerwawszy się z pościeli raniej, niż zwykle, pytał żywo zali goniec posłany do Kolosvaru z listem, nie wrócił w nocy? Groźna marszczka zawisła mu przytem na czole, gdy to zapytanie pokojowcom swoim stawiał, i zdawałoby się, że ten, któryby mu przyniósł odpowiedź przeczącą, jużby chyba nie przemówił więcej, lecz na szczęście goniec już w zamku był. Nad ranem przybył, a tak snadź pędził z listami, które księciu od rady kolosvarskiej wiózł, że koń pod nim na dziedzińcu zamkowym padł, zwodzoną bramę przebywszy. a sam goniec rzucił się na ławę spać, gdy torbę z listami oddał. Książę chciwie je z rąk dworskiego chwytał, a marszczka pogłębiała się coraz, brwi się zbiegały, oczy świeciły, jak u rysia w ostępie leśnym. gdy na lisy poluje i wietrzy je. Ale gdy list przeczytał, rozjaśnił się zaraz i rozśmiał radośnie:—A.... a.... zawołał—rachunek skończony nareszcie!

Dimonowi, który z nim wtedy sam jeden w komnacie był. kiesę pełną dukatów rzucił.

— Masz—rzekł.—Szpieg z ciebie dobry i trzeba ci też dobrze płacić....

Dimon usta zacisnął. Nie jedną już on kiesę taką dostał i nie ucieszył się z daru pańskiego. Za usługę, którą księciu oddał, innej nagrody się spodziewał, bo rzecz się odnosiła do wytropienia przezeń myśliwców wśród puszczy gór wołoskich. Goniec, który z Kolosvaru dzień i noc tak pędził, że rumaka ze

stajni książęcej zabił, przybywał z odpowiedzią, że rozkaz księcia, który tam był powiózł, wykonany został.—Baltazar Kornis został w więzieniu ściętym!....

Kiedy Imrefi i Dimon księcia w zamku Uvarhelskim wesołemi igraszkami bawili, on wtedy przemyśliwał, jak ma skończyć z jeńcem, którego w więzach swoich trzymał? Znać po to pojechał tam, gdzie był niegdyś spokojny i wesoły dom Kornisa, gdzie piękna żona umilała mu życie pieszczotami miłości swojej, a przed nim — przed nim, Gabryelem Batorym! gotowa się była w ciemność śmierci skryć—aby postanowił o jego losie. Buntownikiem był, więc kazał go swojej dobrej radzie miasta Kolosvaru w więzieniu stracić. Byłby wolał, aby to dokonanem zostało na placu miejskim lub na polu, gdzie kat złodziei i buntowników piętnował, ale Batory mimo namiętnej natury swojej, bywał często przezornym i teraz coś zemście swej miłego przysmaku odjął. Z przezorności łaskę tę rodowi Kornisów wyświadczył, że naczelnik tego starego i zasłużonego ojczyznie pnia rycerzy, nie był wyprowadzony przed oczy tłumu w koszuli śmiertelnej i z łańcuchem na szyi nie został mieczem karany.

Stało się to o świcie szarym, drugiego dnia po przysłaniu listu książęcego. Wieczorem posłano Kornisowi do więziennej celi kapłana, który z nim noc całą przepędził, a gdy świtać zaczynało i było tak jasno, że kat mógł dobrze robotę swą dokonać, a trzech rajców miejskich, którzy do więzienia zeszli, widzieć dostatecznie, iż ten który z rozkazu księcia gardłem jest karany, nie kto inny był, tylko ów, na którym gniew Batorego zaciężył—wyrok spełniony został.

We trzy godziny potem herold na koniu, poprzedzony przez sześciu pachołków miejskich, ludowi na rynkach i placach ogłaszał, iż zdrajca i buntownik, który na życie księcia godził i z nieprzyjacielem kraju, oraz wrogiem chrześcijaństwa, Turkiem niewiernym, w umowy wchodził, aby mu księztwo Siedmiogrodzkie w lenność oddać, został stracony.

Kornisowie byli dobrze w Kolosvarze znani i lubieni, uważano obu braci za mężów dzielnych i szlachetnych, to też ta wieść uderzyła mieszczan tamtejszych gromem żałosnym, ale dodatek że z sułtanem zdradę knował i kraj mu chciał na poturczenie oddać—wywarła osłupiające wrażenie. Rzadko kto podniósł śmiałe zapytanie:—czy to prawda?

Szlachta okoliczna porwała się zrazu zapyrzona, rozżalona i jeden do drugiego jechał blady, nasrożony, ale prócz nasępiani twarzy, nic nad to nie wyniknęło — fakt już był spełniony!

Batory na taki rezultat liczył i mężobójstwa skrycie dokonać kazał, a sam przez trzy dni mało co jadł, trzy nocy z niecierpliwości nie spał, zanim od naznaczonej godziny śmierci nie upłynęło tyle czasu, aby go wiadomość o wykonanem wyroku doszła.

Gdy ją otrzymał, rozpromienił się uczuciem odniesionego tryumfu—tryumfu nad samym sobą, bo pierwszy to był krok na drodze, którą odtąd miał brnąć do końca swego. Dimonowi rzucił taką kiesę złota, jaką sułtan daje rzezańcom swoim, gdy mu się dobrze w podobnej sprawie zasłużą; Imrefiego zaś mianował kanclerzem Siedmiogrodu.

Ale nie wiedział nic, jakie trujące ziarno siał w grunt, po którym szło jego życie—jakiego nieubłaganego nieprzyjaciela sobie kupił w najchytrzejszej, nnjprzebieglejszej istocie ludzkiej, jaka kiedy żyła na ziemi. Dimon uczuł w piersi żądło zazdrości tak jadowitej, że budziło nieugaszone pragnienie zemsty. Porównanie nagrody otrzymanej z nagrodą Imrefiego, wzburzyło w nim wszystką żółć i z krwią ją zmieszało. Złota już miał dość; chciał teraz czegoś innego, i czyż Batory myśli go zawsze trzymać na stanowisku wyżła, wietrzącego mu zwierzynę, wedle humoru i okazyi? Nie mógł się też wstrzymać i powiedział to księciu, ale usłyszał tylko śmiech dobrego humoru, w który słowami swemi Batorego wprawił.—Cóż chcesz bratku?— zapytał szyderczo — czy kanclerzem wolałbyś zostać? Ceremonia potrzebowałaby być długą i znudziłbym się przytem, bo musiałbym z ciebie pierwej szlachcica zrobić....

Dumna wyniosłość która wyjrzała w tej chwili z oczu Gabryela Batorego, nalała w żyły Dimona, jak rozpalonego ołowiu. — O nie.... panie mój — zawołał z pokorą pełzającego węża—tego ja niechcę, pachołek twój!....

Batory dnia tego ucztował wesoło i ochoczo, tymczasem zaś wieść o śmierci Kornisa rozeszła się prędko między jego dworakami; doszła od nich do miasteczka i na wioski okoliczne. Ludzie płakali, po chatach zwłaszcza, bo Baltazar Kornis był dobrym, ludzkim panem i kiedy nazajutrz rano książę na

polowanie się wybrawszy, przez miasteczko jechał, widział tylko ponure i smutne twarze.

Tak samo smutną i ponurą była okoliczna szlachta szeklerska, którą w łaskawości swojej wziął na łowy ze sobą. Polowała ponuro, ponuro potem piła ogniste wino swej krainy, które dziś nie podbudziło nikogo do wesołej pieśni:

Szekler dumny, Szekler śmiały,
Tępi wilki, kruszy skały....
Turki bije, wino pije,
Z piękną panną idzie w tan....

Książę stał się też posępnym w końcu i choć nazajutrz porwał się niby ochoczo do urządzenia wyścigów na małych szeklerskich konikach, w duszy jego chmurzyło się coraz. Czy widywał widmo Kornisa, czy cień jego wracał do dawnego swego domu i przychodził o północy do Batorego, wołając nań, aby miejsca swego mu ustąpił i poszedł zająć jego zimną, piętnem zdrady zniesławioną mogiłę? Gorączkowe te mary ogarniały nieraz wzburzonego, drażniącego się wszystkiem, podejrzliwość rosła w nim, a z nią i ciężar niepokoju, coraz silniej przygniatający mu duszę. Choć pochlebcy tłómaczyli mu zręcznie, że użył tylko praw obrażonego majestatu księcia, że ukarał wiarołomcę i rokoszanina, jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że ludzie mogą go nienawidzieć— mogą żywić względem niego uczucie zemsty i pragnienie odwetu za krzywdy swoje i zaczęło go ogarniać ponure uczucie fatalności, ciążącej nad nim, tak jak ciążyło nad Zygmuntem. Nie sobie, nie swoim namiętnościom przypisywał winę śmierci Kornisa, ale złym ludziom, którzy go doprowadzili do tego kroku, przez podłe sprzysięganie się przeciw niemu. On musiał karać i oto teraz otacza go jakoby ciemna, gęsta chmura, w której łonie mogą drzemać ogniste pioruny—teraz przed oczyma jego stoi obłok krwawy i zasłania mu świat.

Nie mógł znieść wyrzutów sumienia i chciał je rozpędzić. Na drugi dzień po ścięciu nieszczęśliwego małżonka Jadwigi, wyprawił na zamku Udvarhelskim dziką orgię, ale nie przyniosła mu pożądanego zapomnienia. Przeciwnie, doznał takiego uczucia zniechęcenia, rozczarowania, że nie mógł się na miejscu utrzymać. Siedmiogród, gdzie czuł, że ludzie zaczynają go nienawidzieć,

gdzie ludzie płaczą na niego, obrzydł mu nagle i zdjęła go chęć ucieczki z tych miejsc złowrogich. Na Węgry! do zamku Ecsedi! tam gdzie niegdyś był wesołym, szczęśliwym młodzieńcem!.... zaczął wołać mu w duszy głos gorzkiej tęsknoty, któremu oprzeć się nie mógł i nawet opierać nie chciał. We trzy dni potem wyjechał też do Ecsedu; w bogatym stroju, na czele świetnego orszaku objeżdżał komitaty węgierskie, a tam wszędzie przyjmowano go wspaniale: uczty, łowy; illuminacye i łuki tryumfalne spotykały go krok za krokiem i duch zdawał się w nim odżywać. Tworzył plany i zwierzał się z niemi Imrefiemu. Za powrotem do Siedmiogrodu rozpocznie on nową zupełnie erę panowania, potrafi ująć tak mocno cugle rządów, że żadna zdrada nie zdoła podnieść głowy. Wszyscy, którzy go nie chcą kochać, będą musieli przed nim drżeć.... Powiększy wojsko i na niem się oprze, siła zmusza opornych do pokoju i posłuszeństwa.

Świetność stroju i przepychu posuwał do ostatnich krańców; wyprawiał rycerskie igrzyska, wśród których jego dzielność męzka, występowała w całej swej świetności i zdawał się teraz o nic więcej już nie dbać: na piękne panie patrzył okiem zimnem i były chwile, w których czuł dziką nienawiść do całego niewieściego rodu.

Ach! w tyle poza nim łkał też gorzki płacz kobiety, nieszczęśliwa wdowa łamała ręce.

Okrutny akt ścięcia Kornisa w więzieniu, nie był dla ludzi cięższym do wykonania, od przerażającego czynu uwiadomienia jego nieszczęśliwej żony, że jest wdową. Gdy Kendi i Kornis wyjechali z Szamos-Uywaru, zostawiając kobiety w niespokojnem oczekiwaniu, otoczyła je przerażająca cisza. Wypadki następowały po sobie tak szybko, że zanim tęsknota i trwoga mogły się weźreć im w serce, los ich rozstrzygnął się już niepowrotnie. W kilka dni po rozstaniu się z mężami, doszła je najpierw wieść, że znaczniejsza, niż się spodziewano, liczba malkontentów stawała przy ich boku, Kendyowa wiadomość tę przyjęła z radosnem uniesieniem.—Bogu dzięki! — zawołała, a jej wielkie piękne oczy zabłysnęły ogniem zapału — dobra sprawa ma jeszcze w narodzie dość obrońców, aby się nie lękać o nią.

Kornisowa zbladła.—Ach! Agnieszko—poszepnęła smutnie—czy jesteś pewną, że ta sprawa wygraną zostanie? A ile łez i

krwi się wyleje—krwi bratniej?.... Czy nie było innego środka działania?

Kendyowa spojrzała gniewnie na siostrę swego męża. —Jadwigo—rzekła—masz duszę słabą i miękka jesteś jak dziecko. Krwią i łzami ludów budują się gmachy wszystkich państw wielkich. Z Batorem nie może być innej drogi, bo się otoczył zgrają nędzników, a on sam jest naturą dziką i szaloną. A cóż twój los, cóż los nas obydwóch? Czyż nie czujesz w piersi pragnienia zemsty, pożądania tryumfu nad tym dzikim młodzieńcem?

Jadwiga schyliła głowę. — Ja to wszystko wiem i czuję, ale cierpię niemniej na myśl o bratobójczej wojnie.... O Agnieszko, mnie trapią złe przeczucia....

Kendyowa spojrzała na nią wyniośle. — Prawdą jest, com powiedziała, żeś jest przez serce dzieckiem jeszcze. Nasi mężowie są mężni i rozumni, mężnych i rozumnych dobiorą sobie druhów i nie lękam się.... Przeczucia.... cóż to jest? Nasza własna trwożliwość, którą sobie tak przezywamy, wstydząc się jej przed własnem naszem sercem....

Takie rozmowy nieraz się jeszcze powtarzały. Agnieszka Kendy była czynną; kazała na folwarku przyrządzać zapasy żywności, bo spodziewała się ujrzeć wkrótce hufce, na których czele widziała już w rozognionej swej wyobraźni męża — zwycięzcę i tryumfatora! Wartownik miał sobie poleconem czuwanie, bo w żadnym razie nie chciała zostać zaskoczoną. Powinna była wyjść naprzeciw powracających z chlebem i solą, a gdyby.... gdyby pierwszy zaraz zamach sprzysiężonych nie uwieńczył się skutkiem—gdyby walka się przedłużyła, przemieniając w wojnę domową, to jej obowiązkiem było strzedz mężowskiego domu, aby ubieżonym nie został. Ponieważ rękawica była już rzuconą, nakazała dworskim hajdukom być gotowymi na wszystko i wydała im ze zbrojowni pałasze i ostre ładunki do karabinków, na wieży kazała ustawić śmigownicę. Czy z niej będzie strzelać na cześć powracającego męża, czy każe kulom razić wroga—to zdała już na wolę Boską. Ona zawsze spełni obowiązek!

Ale dnie upływały, nie przynosząc żadnej wieści i ta cisza głucha dręczyć poczęła obie kobiety. Czoło Agnieszki stało się zasępione.—Za długo się naradzają i szykują—myślała.— Nie była temu temu rada, że sprzymierzeni działają tak powoli, że się kryją po lasach jak zbójcy.—Powinni się tam byli tylko

zebrać i sformować w oddziały, a potem podsunąć się odważnie w pobliże Batorego i zajechać mu nagle drogę, a choćby wyciągnąć go umyślnie w pole i uderzyć Odwłoka może sprowadzić zdradę, przypadek sam może wszystko wydać....

Rozumowała może dobrze, nie myśląc przecież o tem, że ci, co się mają porwać na rzecz wielką w sprawie publicznej, doznają zawsze przerażającego uczucia odpowiedzialności, branej na siebie. A przecież to właśnie może się obrócić przeciw nim i tej sprawie, za którą walczą, bo zdrada i przypadek czyhają zawsze zaczajone tam, gdzie się ważą rzeczy wielkie.

Rzadko której nocy spała Agnieszka spokojnie, zdawało jej się ciągle, że wśród ciszy nocnej usłyszy nagle głosy, które jej opowiadają:—Oto już.... już się stało!...

Czasem, już usnąwszy, zrywała się nagle na równe nogi. Śniła, że brzmi z oddali trąbka Stefana, że jej odpowie zaraz róg wartownika, a kiedy poznała złudzenie, ogarniało ją przykre uczucie zawodu, ale natura była w tej niewieście tak silną i mężną, że umiała się bronić przed widmami wyobraźni. Gniewała ją też niespokojność i rozżalenie Jadwigi.—Nie jesteś zrodzoną na żonę wojownika—mówiła jej wyniośle.—Powinnaś była zostać zakonnicą, bo tam w murach klasztornych już zawsze jednostajną jest spokojność tych służebnic Chrystusowych, których przeznaczeniem jest tylko przesuwać paciorki różańca.

— O.... tłómaczyła się przed bratową Kornisowa — gdyby tylko nie to ściśnięcie serca....

— Dziś mi najciężej—dodała biedna, tkliwa istota. Zdaje mi się, że dziś musi się stać coś, coś.,. wyrocznego,

— Masz gorączkę, jak to widzę po spiekłych twych ustach. Nie umiesz panować nad sobą i zachorujesz w końcu, a zdrowie jest nam potrzebnem teraz — potrzebnem ono jest zawsze ludziom, w chwilach życia stanowczych. Zbierz siły i otrząśnij się z niemocy....

— Nie mogę siostro, nie mogę.... serce tak coś ściska jak kleszczami żelaza.

Rozmawiały tak jednego dnia o zmroku, siedząc w obszernej dolnej sali, której okna były otwarte, przepuszczając w głąb' starych murów zamku Szamos-Uyvar ciepły już i wonny powiew wietrzyku. Dziś i silna dusza Agnieszki czuła ogarniający ją smutek. Lampa paląca się na stole miała jakiś blask nie-

równy i czerwony, a stare portrety rycerzy i niewiast rodu Kendy'ów, zdawały się patrzyć z płócien swoich wzrokiem smutnie zasępionym. Ręce Jadwigi były bezsilnie opuszczone na kolana, Agnieszka zaś raz po raz tarła białe swe czoło, które przecinała mimowolnie zbiegająca się tam marszczka.—Dlaczego tak nic.... nic o nich nie słychać? — pytała się sama siebie i zaczęła ją zdejmować wielka litość nad Kornisową, jakgdyby i ją ogarniało przeczucie, że w biedną tę kobietę uderzy wkrótce cios okrutny. Tłómaczyła to sobie żalem nad siostrą Stefana.—Jest taka słaba, bo jest wątła—myślała — dlatego też los powinien jej oszczędzać....

Westchnienie, które mimowoli pierś jej podniosło, zdawało się być odpowiedzią przeczącą. Kiedyż to, kiedy sroga moc przeznaczenia litowała się nad słabą, czy mocną istotą ludzką?

To, o co ona przed chwilą pytała się siebie samej w niespokojności cicho tłumionej, ozwało się naraz w żałosnym głosie Kornisowej.

— Tak już długo.... tak już długo wieści żadnej!.... jęknęła nieboga.

Bratowa wzięła ją za rękę.—Dlatego właśnie możesz być spokojną—odparła, zadając sobie gwałt w tem kłamstwie, które z trudnością przechodziło przez jej piękne, nienawykłe do niego usta — gdyby się zdarzyło cośkolwiek, danoby nam znać natychmiast.

— Tak sądzisz?—Lecz ja się tak boję, tak czegoś drżę.... tak drzę....

— Powtarzam ci, że jesteś chora, ale uspokój się.... Jestem pewna, że wiadomość jakaś musi nas dojść dziś.... jutro.... Czem jej dłużej nie było, tem pewniejszą być możesz, że ją dostaniemy wkrótce.

Ściskała ręce Jadwigi. Pochyliła się ku niej i chciała pocałować, gdy w tej chwili ozwał się na wieży róg wartownika. Był to znak, że ktoś jedzie, że ktoś się zbliża do zamku i Kendyowa zawołała:—Goniec!

Podbiegła żywo do okna i usłyszała tentent konia.— Ktoś jedzie—rzekła.

Zatopiła wzrok w cień zapadającego już wieczoru i zawołała nagle:—Mój mąż....

— A mój?.... a Baltazar? — zapytała Jadwiga. Podniosła się a była straszliwie bladą.

— Jedzie z nim ktoś drugi — odparła przyciszonym nieco głosem Agnieszka.—Nie miała odwagi powiedzieć:—Twego męża nie ma....

— Zdaje mi się, że to nie Baltazar—dodała—a blada kobieta z ręką wyciągniętą przed siebie, jakgdyby szukając podpory w razie zachwiania się, podeszła do okna- — Czy nie widzisz nikogo więcej?—zapytała bratowej.

— Nie—odparła Agnieszka.

— Ale nie lękaj się—dodała—Baltazar zapewne ukaże się też zaraz. Pewno ma złego konia i został w tyle.

— On nigdy nie zostaje w tyle.... On jest zawsze na przodzie—zawołała Kornisowa z egzaltacyą i żywym ruchem usunęła bratowę od okna, aby stanąć w nim sama. Patrzyła, patrzyła w mrok i drżała na całem ciele, nogi uginały się pod nią.

W tej chwili drzwi komnaty otworzyły się i wszedł Stefan Kendi. Suknie były na nim zakurzone i w nieładzie. Wszedł w kapeluszu na głowie, ale go zdjął zaraz i rzucił na stół. Był blady jak śmierć—był zmieniony straszliwie...

— Zwycięztwo czy przegrana!—zawołała Agnieszka, wybiegając ku niemu i chwytając go za ręce.

— Zdrada — odpowiedział głosem głuchym i pełnym najwyższej goryczy.—Podła, nikczemna zdrada....

— Batory, nie umie inaczej walczyć, ani zwyciężać—dodał.

— Więc zwyciężył!—wykrzyknęła Agnieszka.

— Tak....

— A mój mąż? — zawołała Kornisowa — mój mąż bracie, gdzie jest?

Stała przed nim wyprostowana, przestraszająco blada, głos jej nagle spotężniał. Pytała, jakgdyby brat był jej winien rachunek z najdroższego, powierzonego mu skarbu.

— Spokojnie, siostro — odparł Kendi, kładąc jej rękę na ramieniu—spokojnie trzeba przyjmować los. Przysięgam ci, że Baltazar żyje.

— Ale go otaczają niebezpieczeństwa śmierci!.... Tak.... przysięgasz mi tylko, że żyje jeszcze....

— Mów, gdzie jest.... powiedz co się z nim dzieje. Żoną jego jestem i powinnam z nim być wszędzie, gdziekolwiek się znajduje.

Brat spojrzał na nią z wielką litością.—Spokojnie, Jadwigo—powtórzył—spokojnie i cierpliwie. Posłałem mego włócznika do Kolosvaru.... przebrany jest i dotrze wszędzie, dowie się, co nam wiedzieć trzeba. Ja tu przybywam na krótko.... na tego posłańca mego czekam i spodziewam go się przed północą.

— Potem zaraz wyjeżdżam—dodał obracając się do żony.—Zaraz wyjeżdżam, Ani moja....

Jadwiga, która stała nieruchomie i patrzyła jakgdyby błędnemi oczyma, teraz nagle rozplątała sobie węzeł usłyszanych od brata wiadomości.—Posłałeś włócznika do Kolosvaru! — zawołała na brata—więc mój mąż tam jest, w Kolosvarze?....

Kendi dał potwierdzający znak głową.

— Więc w niewoli, w więzieniu Batorego?—krzyknęła ona.

On nie odpowiedział nic, nie zaprzeczył.

— Konia! — krzyknęła nieszczęśliwa — konia każ mi siodłać, bracie. Prędzej, prędzej....

I przystąpiła do okna, wiodącego na podwórze, bo komnata była narożna i okna wychodziły na dwie strony. Otworzyła szybko jedno, ciężko zamykające się i wychyliwszy się z niego, zawołała silnym i rozkazującym głosem, jakiego nikt jeszcze nie słyszał u niej:

— Siodłać mi konia....

— Stefanie, daj mi pistolety w olstry, ale prędko ... prędko—dodała.

Brat wziął ją za rękę. — Ufaj mi siostro i słuchaj mnie. Ja jadę sam do twego męża do Kolosvaru i zastąpię cię we wszystkiem.

— Nie, nie zastąpisz mnie we wszystkiem.... Ale dziękuję ci, żeś jest dobry.... Kochałeś zawsze Baltazara.

W oku jej zaświeciły łzy i jedna z nich stoczyła się na lica, ale otarła ją szybko.

— Pojadę z tobą bracie—dodała już z tym spokojem, którego on od niej żądał. Kiedy będziemy w Kolosvarze, jeżeli, jak sądzisz, wyjedziemy o północy?

— A może posłaniec twój przyjedzie wcześniej i wyjedziemy przed północą?

— I ja tego pragnę, ale ty nie pojedziesz ze mną. Jadwi-

go. Mnie się trzeba śpieszyć, bardzo trzeba mi się śpieszyć.... Szybkiej jazdy jest do Kolosvaru godzin siedm i ty tego nie wytrzymasz, siostro—tyś jest chora, widzę to....

Patrzył na jej błyszczące oczy, na jej usta spieczone gorączką i. potrząsając głową, powtórzył: — Ty tego nie wytrzymasz....

— Tak, na siodle możebym nie wytrzymała godzin tyle — odpowiedziała głosem smutnym – bo może być, żem jest chora trochę, ale daj mi Stefanie wózek jaki i parę dobrych koni. Niech na wózek rzucą snopek słomy, a dojadę zdrowo. Położę się, i jak mi to nakazujesz Stefanie, będę spokojna i cierpliwa, więc dojadę zdrowo....

Oczy jej patrzyły na brata błagająco, aż nagle klęknęła przed nim.—Stefanie, miej litość nademną — mówiła, obejmując oba jego kolana. Tyś teraz mój opiekun jedyny, ty, brat mój starszy. Daj wózek i konie, weź ze sobą....

W męzkich oczach zakręciły się łzy. Prosiła tak pokornie, samotna, nieszczęśliwa kobieta, podobna wśród wichrów okrutnego losu, do biednego listka, zerwanego z drzewa. Oczy jej, łez pełne, tak się miłosiernie zwracały na niego, że zmiękł i nie miał siły odmówić, ale żona jego wystąpiła teraz —Mężu! – rzekła, przystępując do rodzeństwa i podnosząc z klęczek Jadwigę—mężu, nie mam tak samolubnej duszy, abym cię odmawiała od obowiązku ratowania Baltazara. To twój szwagier i towarzysz z jednej sprawy, siadaj więc na konia i nie wypocząwszy nawet jednej nocy w domu—jedź, a miłość moja dla ciebie będzie większą jeszcze, niż była. Ale Jadwidze jechać nie dam... nie.... Nie oto już tylko chodzi, że chorą jest, że od dziś rana ma gorączkę i przez dzień cały prawie nie włożyła nic w usta— bo jest nieraz lepiej umrzeć, spełniając uczciwie powinność, niż żyć nędznie w żalach i zgryzocie. Ale czyż nie pamiętacie, jakie jest położenie Jadwigi w obec księcia? A jak okrutnik nałoży żonie straszną cenę za głowę jej męża? Zadrżałeś Stefanie. Ach! i ja, mocniejsza od tej nieszczęśliwej, drżę, mówiąc to....

Obróciła się do siostry mężowskiej i łagodnie, tkliwie rzekła jej:—Nie dam ci jechać....

Jadwiga usunęła się od niej, chcącej ją objąć i do łona swego przytulić. — Nie dacie mi koni, nie dacie wózka i przewodnika, pójdę pieszo—zawołała. Będę szła noc i dzień, będę się pytać ludzi po drodze, aż zajdę.

I nie czekając odpowiedzi, zwróciła się ku drzwiom. Byłaby poszła tak, jak stała: w lekkiej szacie domowej, bez grosza pieniędzy przy sobie. Byłaby szła prosząc po drodze litości ludzkiej—byłaby szła....

Bratowa jej zapłakała.—Ach!—zawołała—ta kobieta kocha tak, jak ja nie umiem. Kocham, ale jestem i dumną, ale ona kocha tylko.

I skoczyła do Jadwigi, objęła ją w pół, całując i lejąc łzy, przyrzekła, że nie będzie stawiać jej przeszkód.

— Niech się dzieje wola Boska—rzekła mężowi—nam się nie godzi jej wstrzymywać.

Wydała też zaraz rozkazy, aky szykowano wszystko do wyjazdu niebogi. Nie wózek z pękiem słomy, ale wygodną, krytą kolasę wytoczono z wozowni i dano co prędzej obrok najlepszym z całej stajni koniom, które do niej zaprządz miano. Ułożono też wewnątrz miękkie poduszki, aby biedna, boląca głowa miała się na czem złożyć i dopiero poczyniwszy wszystkie te dyspozycye, żona wróciła do męża, który jej opowiedział wszystko co zaszło.

Przegrana była—ciężka, straszna przegrana, przecież Batory nie wygrał jeszcze ostatecznie i dość jeszcze było mężów w Siedmiogrodzie, mogących podnieść sztandar dobrej sprawy. Więcej nic pod tym względem nie mówił Kendi żonie i ona go o to nie pytała. Była kobietą wielkiego ducha i dlatego znała, gdzie są granice obowiązku każdej istoty ludzkiej. Mąż nie powinien był wydawać jej tajemnic losów ojczyzny, i uszanowała tę jego powinność; zapytała tylko, co przypuszcza o losie szwagra?

— Głowę dać musi, byle tylko bez tortur....

Agnieszka stała się białą, jak marmur.—Ach!—jęknęła.

— Dlatego nie śmiałem bronić Jadwidze, aby jechała ze mną do Kolosvaru—mówił Stefan. — Przypuszczał, że w Batorym zostało coś dawnego, lepszego uczucia i że nie okaże się potworą. Niech skaże Kornisa na wygnanie.... Zabrał mu już wszystkie dobra, wziął je na swój skarb, niech teraz wydrze mu i to jeszcze, aby oddychał powietrzem rodzinnem, pił wodę z ojczystych zdrojów, ale litość nad Jadwigą może mu wydobyć z pod popiołów przepalonego w ogniu namiętności serca, coś dawniejszych, szlachetniejszych uczuć. Jadwiga ma w głębi swej miękkiej niby piersi siłę bohaterską i ta ją ocali.

Potem zjadł kawałek mięsa i wypił czarę wina, do torby włożył kawałek, może raz ostatni spożywanego chleba z domowego pieca, zabrał też kiesę złota w trzos, którym się opasał, co zaś do oczekiwania na powrót włócznika, zmienił postanowienie. Kto wie, czy ten człowiek stawi się na umówioną godzinę, kto wie co mu się przytrafić mogło?

Czas był drogi, jak życie dobrego człowieka i Kendi postanowił zaraz jechać.

Żona nie powiedziała mu: nie... Nie powiedziała mu:— Zostań ty zemną, choć godzinę dłużej, ze mną, dla której jesteś najdroższą na ziemi istotą — ze mną, oglądającą cię może raz ostatni.—Jedź z Bogiem — rzekła mu mężna kobieta—jedź z Bogiem! Nie czepiała mu się rąk, nie padała mu do nóg, gdy wyjeżdżał. Białemi jak kreda ustami, rzekła:—Jedź z Bogiem!..

On ucałował jej te usta blade, przycisnął do piersi i chwilę przytrzymał ją na sercu, lecz nie śmiał powiedzieć:—Do widzenia....

O godzinie dziesiątej wyjechano. Noc była ciepła i pogodna a niebo pełne gwiazd. Nów był i cienki sierp księżyca nie oblewał ziemi łuną srebrną, ale było to dla podróżnych lepiej może. W czasach niespokojnych nie zawsze jest bezpieczną jawność, która nam nie daje ukryć się w żaden cień opiekuńczy.

Już świtało, gdy dojeżdżano do Valaszut. Kornisowa milczała całą drogę, oparta o poduszki. Brat dał jej się napić wina dwukrotnie i usłuchała go, piła chętnie. — Trzeba mi być mocną — rzekła mu łagodnie i używając pieszczotliwej nazwy, jaką wołała na niego niegdyś w domu rodziców za szczęśliwych lat dziewczęcych, dodała:—Dziękuję ci Stenio....

Jemu serce ścisnęło się w piersi bólem nieopisanym. Ach cóż by to było, gdyby ta biedaczka została nagle wdową....

W tej chwili spostrzeżono w brzaskach świtu jeźdzca, zbliżającego się ku nim od strony miasta, a Kendi poznał w nim wkrótce swego sługę. Jechał stępa i nie wyglądał też na gońca, pędzącego z ważną nowiną, ktorą co prędzej trzeba donieść czekającym na nią i Kendiego ukłuła w serce niespokojność. Wypuścił konie naprzeciw powolnemu jeźdzcowi i głosem, który mu się tłumił w piersi — rzekł:—Mów prędko i w krótkich słowach. Co wieziesz? wieści złe czy dobre?

— Złe—odparł sługa głucho. Już panie, jedziecie niepotrzebnie.

— Co?—krzyknął Kendi.

— Śmierć....

Stefan Kendi zachwiał się na siodle.

— Jaką była?—zapytał.

— Od miecza, panie. Ścieli go wczoraj o poranku wczesnym. Będzie temu niezadługo dwadzieścia cztery godzin, bo akurat słońce wschodziło, gdy wzięli mu życie?

— Na szafot go wywiedli?

— Nie panie, w więzieniu kat go ścinał. Miał śmierć lekką, od jednego razu....

— Dobrze—rzekł Stefan—dobrze, że to wiesz.... Kiedyś będzie też musiał kat być tak samo wprawnym.

— Ale kto ci to powiedział?

— Wszyscy o tem wiedzą w Kolosvarze. Przekupki się dowiedziały zaraz rano na rynku, gdy pachołki z katem i ksiądz z zakrystyanem szli.

— Ksiądz z zakrystyanem... dobrze, że i to wiesz! Będzie też kiedyś ksiądz przy umierającym... Potem przyłożył palec do ust i sługa zrozumiał, że mu jest nakazanem milczenie, a on zawrócił do kolasy. Jechał wolnego stępa i myślał może, co powie Jadwidze?

Ona zdawała się uśpioną. Leżała z zamkniętemi oczyma na poduszkach, które były z czerwonego aksamitu i blada jej twarz odbijała tak od nich, jakgdyby ktoś tam złożył posąg marmurowy. Podobniejszą była do tego, niż do istoty żywej, której w żyłach krąży krew.

Kendi dał znak woźnicy i ten przystanął, a on zbliżył się do powozu, lecz Jadwiga nie otworzyła oczu. Czy nie miała siły ich podnieść, czy zatopiona w bolesnej zadumie nie uczuła, że powóz się zatrzymał? Że nie spała jednak, Kendi to poznał po oddechu.

Popatrzywszy na nią z litością, cofnął się w tył i ręką dał znak woźnicy, aby zjechał z głównego gościńca w bok. Znajdowali się w dobrach Zygmunta Banfi i Kendi znał miejscowość, wiedział, że niedaleko jest folwark, w którym zamieszkiwał podstarości i tam chciał zawieść nieszczęśliwą wdowę, bo i jego chwile mogły być policzone. Ścięcie Kornisa wykazywało, że Batory będzie się srogo mścił na rokoszanach, i niebezpieczną było dlań rzeczą jeździć samotnie po kraju, gdzie go znały tysiące ludzi. Kilkakrotnie występował publicznie wśród

uroczystości koronacyjnych Batorego, i w wielu innych okazyach. Znały go całe hufce żołnierzy i co krok, mógł się spotkać z kimś takim, któryby rzekł, wskazując go palcem:— Oto Stefan Kendi!...

I niejeden mógł dodać:—Stefan Kendi, który wraz z innymi panami zbuntował się przeciw księciu i był w szeregach rokoszanów...

A kto wie, czy cena na jego głowę nałożoną nie została?

Nie myślał o tem wszystkiem, gdy pragnienie uratowania życia Kornisowi popychało go naprzód. Lękając się niespokojnie o niego, zamierzał albo go wykraść, albo odbić, i choć jadąc do Kolosvoru, kładł głowę jakoby w paszczę wilka, niemniej ważył się na wszystko dla męża gorąco kochanej siostry, dla drogiego mu przyjaciela i towarzysza w sprawie ratowania Siedmiogrodu od dzikich rządów Batorego. Ale teraz—teraz położenie było inne i roztropność nakazywała mu być ostrożnym. I on przecież miał młodą żonę, na której istnienie nie powinien był jeszcze paść kir wdowiej żałoby—i on był mężem pełnym sił i życia, mającego jeszcze dlań uroki i cele, któremi gardzić nie było mu wolno.

Powinien był uježdžać co najprędzej za granice Siedmiogrodu—za granice dzikiej władzy Gabryela Batorego.

Gdy kolasa zjechawszy na wązką piaszczystą drogę, posuwała się powoli, on, wiodąc konia stępa, miał czas rozmyślać. Nieszczęśliwą swą siostrę zostawi tu na czas krótki. Włócznik, posłany do Szamos Uywaru, da znać o wszystkiem jego żonie i Agnieszka przybędzie conajprędzej do niebogi, może jeszcze następnej zaraz nocy....

Zamyślony patrzył w dół i nie dostrzegł rzeczy jednej, a to, że Jadwiga powolną jazdą kolasy została w końcu uderzona i przyciskając ręką pękające z bólu czoło, podniosła się na siedzeniu, obejrzała się gdzie jest, i poznała natychmiast, że to już nie gościniec wiodący do Kolosvaru.

— Co to znaczy?—pomyślala, a w tem oczy jej padły na włócznika, który jechał obok kolasy i zadrżała... Wysłaniec Stefana spotkał się z panem swoim na drodze i wieści, które mu przywiózł, były tego rodzaju, że Stefan kazał zawrócić, że nie jadą już do Kolosvaru!

Ogarnęło ją przerażenie, trwoga — bojaźń tak wielka, że serce przestało niemał w niej bić, bo co... co mogło wpłynąć na zmianę postanowień Stefana?

Naraz straszliwe światło zabłysło jej w myślach. — Za późno, za późno już było na ratunek Baltazara!

On już nie żył, już go nie było... nie było go już...

Nie wydała żadnego okrzyku, głos jej rozpaczy nie wydarł się z piersi, aby rozedrzeć okrutnie ciche powietrze wiosennego poranku. Straciła przytomność! zemdlała!

Stefan nie wiedział, że wiezie martwą i dopiero gdy stanęli na miejscu, poznał jej stan straszny. Ostrożnie, delikatnie wziął ją z powozu na ręce, i gdy włócznik jego, wysłany przodem, zawiadomił mieszkańców, aby otworzono mu drzwi najlepszej i razem najciższej izby w domu, cn ją tam wniósł, jak dziecko, któreby chciano położyć w kolebce. Podstarościego nie było już w domu. Pilny gospodarz wyruszył do ludzi w pole, gdzie dokonywał się wiosenny siew kukurydzy i zastano tylko same kobiety, zadziwione razem i przelękłe, zdjęte litością nad piękną, bladą panią, którą wyniosły, poważny rycerz niósł na rękach. Była chwila, że wzięto ją za nieżywą już, za umarłą, ale Stefan zawołał, aby co prędzej słano łoże chorej, aby dano octu, lub czegoś trzeźwiącego, czemby można było natrzeć jej skronie.

Podstarościna biegała szukając leków, gdy silna, młoda dziewka co prędzej usłała łoże, wygodne i zacisznie stojące w bocznym alkierzu, którego okna ocieniały łagodnie gałęzie drzew. Rozpięto suknie Jadwigi, zdjęto je z niej ostrożnie, delikatnie i w tej chwili sama otworzyła oczy. Bracie.... szepnęła tak cicho, że ledwie słyszeć ją było można i więcej też mówić nie była zdolną, lecz on się nachylił ku niej z czułością. — Cicho, Jadwigo, rzekł — cicho... Droga cię zmęczyła i wpadłaś w omdlenie, ale to nic... Jesteśmy między dobrymi ludźmi, gdzie odpoczniesz....

Jej oczy niespokojnie wpatrzyły się w niego. Natura pospieszyła nieszczęśliwej z pomocą i sama jej niemoc była tego ratunku narzędziem. Nie mogła zebrać myśli, nie pamiętała nic z tego, co jej odebrało władze umysłowe i tylko czuła, że stało się z nią coś strasznego.

— Bracie... powtórzyła przecież, zbierając myśli, ale on

położył palec na ustach. — Nie mów nic.... bo jesteś na to za słabą.... trzeba, abyś usnęła.

— Ja jadę sam... bo będę mógł jechać spieszniej. Ty tu uśnij, ja tymczasem wrócę do ciebie, wrócę.

Ona po chwili cichego leżenia na miękkiej pościeli, zdołała zebrać wspomnienia. Przypomniała sobie wszystko, prócz tego, na szczęście, co stało się ciosem, o mało co nie zabójczym. Stefan przyłożył usta, do biednych zbladłych jej ust, złożył na nich pocałunek pożegnania i przyrzekł, że powroci — jak będzie mógł najspieszniej!...

Kiedy? oh! kiedy?... pytało się w nim zranione jego serce. Wygnańcem stawał się on w tej chwili i tułaczem. Nie wiedział, czy już kiedykolwiek na ziemi zobaczy tę nieszczęśliwą siostrę swoją, którą zostawiał tu między obcymi, w dworku ubogim.

A nie mógł odwłóczyć. Ludzie, którzy dążąc na robotę w pole, potrzebowali przechodzić koło podstarościńskiego folwarku, zatrzymywali się ciekawie zainteresowani, zkąd się tu wzięła pańska kolasa i koń rycerza, trzymany przez włócznika? A od Kolosvaru było tu tylko dwie godzin drogi, lud wieśniaczy mógł zatem wiedzieć, co się tam stało — mógł wiedzieć, że panowie podnieśli się przeciw księciu, który odkrył rokosz, a teraz ściga uchodzących... Stefan Kendi rozważając położenie, czuł, że miejsce nie jest dla niego bezpiecznem, że zatem powinien wykonać plan, który ułożył: odjechać co najprędzej, wysyłając do żony włócznika, aby pospieszyła do łoża chorej.

A widział też, że na podwórzu folwarcznym tworzą się wciąż szepczące cicho gromadki, że fornale kręcą się koło kolasy i jego konia, oglądają na nim rząd bogaty i kiwają głowami.

Dla czego wieziono nocą taką chorą panią? pytano raz po raz to woźnicy, to włócznika, a zapytywani opędzali się ciekawcom opryskliwie, lecz to właśnie mogło podrażnić pytających, aż naraz Kendi dostrzegł, że podstarościna wysyła z domu chłopaka wolarczyka. Wyszła z nim za wrota, aby mu tam jeszcze coś dokładnie rozpowiedzieć i Kendi widział, że wskazała mu ręką w stronę — Koloswaru!...

Że pobladł, że uczuł w koło serca jakieś zimno — było to rzeczą ludzką i naturalną, nie krzywdzącą rycerza, bo nie to hańbi, gdy mąż, chcący być dzielnym, chcący pozostać nieska-

zitelnym, zadrży przed ciężkiemi próbami losu, ale wtedy poniża się on i upada, skoro pod uczuciem trwogi zbiega z posterunku obowiązków swoich. Lecz Stefan Kendi nie splamił się w ten sposób, a przeciwnie wstąpił mu w serce zapał nowy. Nie, on nie opuści nieszczęśliwej siostry, nie zostawi jej chorą i bezsilną w tej alternatywie okrutnej, aby mogła popaść w ręce zauszników Batorego... Co bądź się stanie, nie odjedzie już jej teraz, aż do chwili, gdy snem pokrzepiona zdoła podźwignąć głowę od poduszki. Wtedy on ją znów zaniesie na rękach do kolasy i zdając się na wolę Boga, odwiezie do starego domu, gdzie niegdyś ujrzała światło dzienne.

Miał przy sobie dwa pistolety nabite, których podpały obejrzał; miał zanadrzem puginał włoski, którego ostrze przebijało pierś ludzką w jedno oka mgnienie, mógł zatem w ostatnim razie bronić siostry — mógł w ostatnim razie zabić siebie!

Uczyniwszy postanowienie, odetchnął lżej. Siadł przy oknie i patrzył na drogę, która opłotkami wiodła ku gościńcowi, do Valaszut. Widział, że wysłany wolarczyk niedługo wrócił, widział, że podstarościna wyszła przed dom i czekała na kogoś, patrząc ku bramie.

Ukazał się w niej wkrótce — ale tylko jej mąż. Obejrzał konie i powóz, popatrzył na włócznika i szedł ku domowi powoli. W sieniach spotkał się z Kendim, który wyszedł na przeciw niego i kazał mu się wieść na drugą stronę domu, gdzieby rozmowa, jaką chciał z nim mieć, nie przebudziła Jadwigi. Tam przystąpił zaraz do rzeczy. — Zajechałem do domu waszmości, bo mam ze sobą siostrę, która mi zachorowała w drodze. Czy przypadkiem nie znasz mnie waćpan?

Zagadnięty zmieszał się: — Po barwach ludzi poznać mogłem, że chata moja gości znakomitego rycerza — rzekł.

— Jestem Kendi... Stefan Kendi, dotąd jeszcze mąż wolny i szlachcic, na czci swej niedotknięty. Ale czasy są burzliwe i okrutne, człowiek nieraz bywa mniej bezpiecznym pomiędzy ludźmi, niż wśród puszczy, gdzie są legowiska wilków i ryśów, przecież wiedz to wasze, że umiem ja się bronić i nie sddałbym się łatwo w ręce zbirów. W imieniu Zygmunta Banfi, który był mi zawsze i jest druhem dobrym i towarzyszem miłym, żądam od waszmości spokojnego i niezakłóconego schronienia na dzień dzisiejszy. Gdy siostra moja, Jadwiga Kornisowa, po-

krzepi trochę siły, które ją opuściły w podróży, ruszymy w dalszą drogę.

Gdy wymówił wyrazy: „Jadwiga Kornisowa!“... podstarości drgnął. — Ach! panie! zawołał potem — zali to jest ta nieszczęśliwa pani?...

— Której mąż dał głowę pod miecz kata... Tak, ona to jest i dobrześ wasze rzekł, iż jest nieszczęśliwa, najnieszczęśliwsza z niewiast węgierskich, bo siły ją opuściły wtedy właśnie, gdy trzeba jej było mieć ich najwięcej.

— Czynię waszmość strażnikiem jej spokoju na godzin dwanaście. A nie stracisz wasze na tem, żeś nam użyczył dachu swego na schronienie. Stefan Kendi nie jest jeszcze żebrakiem choć Gabryel Batory uczynił go wygnańcem...

Dumny człowiek nie ukrywał nic i to podniosło go na duchu, że nie potrzebował przybierać pozorów fałszywych. Ludziom z owych czasów, ludziom z żelaznego wieku rycerstwa, trudniej było, niż nam dzisiejszym, schylać się w nizkiej furtce nieszczęścia, bo karki ich były twardsze, od naszych.

Już mrok padał, już pierwsze gwiazdy, małe i drżące zaczęły się ukazywać na niebie, gdy Jadwiga obudziła się i powiodła zadziwionym wzrokiem w około. — Gdzie jestem bracie? zapytała, ujrzawszy Stefana, pochylającego się nad nią. Jesteś ze mną, ale czyjże to jest dom, gdzie spoczywam? Ach! prosta to jest izba z drewnianemi ścianami, leżę na prostem łożu! Czyśmy w Koloswarze już bracie? Prawda? myśmy już w Koloswarze i ja wstanę zaraz....

Chciała się dźwignąć, aby siąść na łożu, ale nie mogła. — Ach! jęknęła — jakże boli mnie głowa.... jak usta moje suche są i spieczone.... Ja jestem chora bracie, bardzo chora, ale wstanę niemniej, bo teraz przypomniałam sobie — wiem wszystko.... Wyjechaliśmy z Szamos-Uyvar dążąc do Koloswaru, do męża mego — do Baltazara!... Pamiętam, pamiętam dobrze.... do niego spieszyłam i do niego teraz chcę spieszyć. Ach! gdybym ja miała skrzydła, jak ptaki i gdybym wiedziała, kędy lecić do niego....

— Jadwigo.... Bóg daje ludziom inne siły niżeli ptakom.... Bóg daje ludziom moc godzenia się z wolą Jego....

— Co ty mówisz mi bracie i jak ty blady jesteś? Tu mrok już panuje, ale ja widzę jednak, żeś blady bardzo i zmieniony.... Bracie. mnie bierze strach, że się stało coś takiego,

co mi powiedzieć nie śmiesz — coś, co jest okropnem.... okropnem!

— O wiem!... zawołała nagle głosem najwyższej rozpaczy — wiem.... Myśmy przyjechali już za późno, bom ja była chora i bezsilna.... Za późno już.... jego niema na świecie.

— Tak siostro.... Życie i śmierć jest w ręku Boga i twój mąż nie żyje... umarł nagle...

— Nie prawda jest bracie, co mówisz.... On był młody i silny i nie umarł, ale ludzie dali mu śmierć.... zabili go.

Jękła, zerwała się z łoża i runęła na ziemię bezsilna.

ROZDZIAŁ IX.

Godzina dziewiąta.

Nikt nie wołał: — Niech go Bóg błogosławi!... niech go miłe słowo powita....
Szekspir.

Książę nietylko ucztował, nietylko łowy i festyny na Węgrzech wyprawiał. Przywiódł on ze sobą do Siedmiogrodu dwa zaciężne pułki wyborowego żołnierza, zwerbowanego w górnych Węgrzech. Chłop w chłopa rosły był i krzepki, a że siedzieli na pięknych koniach, że pobierali płacę dobrą, a odziani byli jak na paradę, duch w nich panował dzielny i za skinieniem księcia szliby szturmować piekło same. Komenda była cale węgierska: od najstarszego do najmłodszego oficera każdy był brat madziar, szlachcic, choć nie posesionat i Batory z wesołem usposobieniem wracał do Siedmiogrodu. Od czasu nieszczęsnego spisku panów w górach wołoskich, wszystkie starania swoje zwracał na wojsko—pieniędzy na to nie szczędził, garściami je sypał, a gdy mu kto z rady koronnej uwagę chciał czynić, marszczył się gniewnie:—Nie na to księciem zostałem, aby być na

tronie figurą malowaną—odpowiadał:—siłę mieć muszę i mieć ją będę, a wtedy dopiero panować zacznę.—

Odpowiadał tak na uwagi Gabryela Betlena, który na powitanie księcia do Fehervaru pośpieszył, bo wieści się po kraju rozeszły. że Batory chce przez to zaciężne wojsko Siedmiogród pod grozą trzymać i rozpocząć rządy surowe. Trwoga padła na ludzi; rozchodziły się też pogłoski, że książę szczególniej na Sasów zagniewanym się czuje, bo mu odmówili podatku, a raczej daniny, której przed wyjazdem do Węgier od nich żądał. Szlachtę zgniótł; ze spadającą głową Kornisa wszystkie inne wyniosłe, dumne czoła ukorzył, a oto mieszczański tłum śmiał mu się opierać....

Nie zapomniał też co go w wiernem jego mieście Kronsztadzie spotkało. Trzy tysiące dukatów nawiązki wziął, miał kryształowy puhar piękny do spijania nim tokaju, ale zaznaczył to sobie w pamięci, że on, książę, podziemnemi lochami uchodzić musiał... A prawda wyszła też powoli na wierzch: wołoski harambasza nie chciał, aby na niego spadał cały gniew Batorego i nie zataił, że go podmówiono, sprowadzono na te łowy, w których ściganą zwierzyną miał być szlachetny lew w koronie. Gabryel Batory tak namiętnie zacinać się i pamiętać umiał, jak namiętnie, gwałtownie potem wybuchał. Nikt też nie widział go nigdy, aby kiedy urazę darował, choć zdawało się przybocznym jego, iż ją w niepamięć puszcza. Nie.... odkładał on sobie tylko to, co zakarbował.

Z Węgier wracał w bardzo dobrym humorze i rad z siebie. Miasta podejmowały go po drodze okazale, z oznakami wielkiej lojalności, a on przyjmował to wszystko z łaskawością niezmierną — dziękował, zadowolenie swe książęce okazywał, i jakgdyby z upodobania do tych oznak wierności, objazd niby kraju czynił.

A wojsko nowo-zaciężne, jakoby przyboczną swą gwardyą, książęcym swoim orszakiem zrobił. W paradzie je ze sobą wiódł i oczy mu się nieraz iskrzyły, gdy je w szyk sprawiał. Że młody był i z usposobienia rycerski, pospolitszy tłum widział w tem ochotę kawalerską, i fantazyę pańską. Napolował się dość, igrzysk różnych w czasie gościny węgierskiej do syta użył, teraz go zdjęła duma żołnierska, i sztuki wodza się uczy. Kosztowało to wprawdzie. pochód taki niemałego zachodu wymagał, ale cóż—była to rozrywka księcia!

Gdy Batory z Fehervaru w głąb' kraju tak ruszając, przejeżdżał komitaty, gdzie komputowe wojsko leżało na leżach rozmieszczone, Betlen. który mu hetmanił, przystawił się jak należało do boku książęcego z pułkiem szeklerskim i zapytał księcia, czy wyprawę jaką szykuje? Ale żadnej odpowiedzi wręcz nie dostał, a tylko rozkaz dość chłodny, aby z Szeklerami swemi straż tylną dla węgierskich pułków księcia tworzył i od napaści jakich rabusiów pochód księcia zasłaniał.

Znaczyło to, że go przy osobie swojej mieć nie pragnie, że prowadzonego wojska dowództwo sobie wyłącznie zostawia i o celu drogi swojej z nikim rozmawiać nie chce.

Dnia 7 Grudnia 1610 r. wyjeżdżał on z Fehervaru przy dźwięku trąb, przy paradnie rozwiniętych sztandarach i nieopisany był przestrach mieszkańców Hermansztadu, gdy szóstego dnia potem ludność przedmieścia żadną zapowiedzią książęcą na to nieprzygotowana, ujrzała nagle zbliżające się do miasta hufce zbrojne.

Hermanstadt leży w pięknej dolinie, której ściany stanowią pasma wysokich, ostro w górę szczytami strzelających wyżyn, między któremi wierzchołek góry Szurzel wyniosłością swą panuje. Śnieg leżał teraz na nich. a jak historyk saksoński opisuje, nie iskrzył się od jasnych promieni słońca, bo lekka mgła panowała w powietrzu; małe srebrne chmurki płynęły po błękicie niebios i w tem przysłoniętem świetle mroźnego dnia zimowego, ścięta lodem rzeka, u podnóża gór płynąca, lśniła się jak srebrno błękitnawa szyba. Tylko co stanęła, i wyległa też licznie dziatwa saksońska, by ślizgawki na niej użyć i dużo ludzi stało nad brzegiem, patrząc na uciechę młodzi, matek zwłaszcza było dość, bo przywiodła je tu niespokojna chęć przeświadczenia się dowodnie, czy lód już jest dość mocny? Na zegarach miejskich biła właśnie dziesiąta godzina z poranku, gdy naraz sześciu hajduków w paradnych dworskich barwach wjechało na przedmieście, a za nimi ujrzano paradną karocę, zaprzężoną w sześć białych koni, z wysokiemi kitami na głowie.

Z każdego boku karocy jechał koło jej okna wysoki, na wysokim karym koniu siedzący mąż, w czerwonym fałdzistym płaszczu z niedźwiedzim kołnierzem. Czerwone kołpaki z niedźwiedziem futrem mieli na głowie. Z pod niedźwiedni widać im było karabele w jaszczur oprawne.

Za pierwszą karocą jechało dwie jeszcze, po cztery konie, za karocami oddział lekkiej rajtaryi, na niedużych, ale szybkich i pięknie dobranych, jednej bułanej maści koniach, a ludzie zadziwieni zrazu i zapatrzeni na ten orszak paradny, uczuli wkrótce przestrach i zatrwożenie okrutne. — Książe!... Batory... poszedł z ust do ust szept zalękniony.

Hermanstadt dzisiejszy zaledwie małe pojęcie dać może o Hermanstadzie, czyli Szebenie, jak nazywał jeszcze miasto ogół ludu węgierskiego — o jego ówczesnym znaczeniu i świetności. Sasi budowali swoje miasta o wiele paradniej i z innym planem jak Węgrzy. Otaczały je zwykle silne mury, i warowne miasta saskie różniły się wielce od twierdz węgierskich tą przezornością, która nigdy nie pozwalała żadnej budowli wznosić się samowolnie, idąc za gustem i upodobaniem właściciela. Wszystkie musiały się stosować do jednego planu i stawać tak obok siebie, aby nigdzie nie wytworzyła się nieopatrznie pozostawiona luka. Ściskać się było potrzeba, potrzeba było zużytkować każdy kawałek miejsca, bo mury obronne rozszerzać się nie dawały.

Pilnowano tu i porządku, przestrzegano bezpieczeństwa tak, jak Węgier butny i często niedbały, czynić tego nie chciał, jednostajnością pracy i nadzoru się nudząc. Wszystkie bramy miast saskich były zawsze na każdą noc zamykane starannie na rygle i zasuwy ciężkie, okucia ich były mocne, a pod murami leżały stosy kamieni, aby w razie szturmu i potrzeby naprawiania ich, materyał gotowy był pod ręką. Obronne to były prawdziwie grody — obronne wedle zasobów i taktyki owych wieków, gdy tymczasem o warowniach węgierskich powiedzieć było trzeba, że je broni głównie męztwo i bitność ludzka. Hermanstadt był nad inne miasto obwarowany mocniej, jako najcelniejszy punkt koncentracyi Sasów Siedmiogrodu, jako ich stolica, że był przytem i zabudowany kunsztem wytwornym, że miał gmachy wielkie i tej architektury staroświeckiej, która ozdobnego gotyku używała, znaczenie jego w Siedmiogrodzie było takie, jakiego już dziś nie posiada i można o nim teraz powiedzieć, że świetność jego zagasła.

Ale wtedy jaśniała ona przed oczyma ludzkiemi w całej pełni blasku swego. Hermansztad słynął z bogactw swoich i posiadał je rzeczywiście, bo handel i przemysł pracowitego i oszczędnego ludu gromadził je sobie i zachowywać umiał.

Zdobyć Hermansztad, znaczyło to dobrać się do skarbów nielada i dlatego też miasto tak się obronnie trzymało i skupiało w sobie, opasane rozległemi przedmieściami, gdzie mieszkał lud uboższy, i tu charakter tak budowli jak całego wyglądu był inny, inaczej malowniczy. Jak tam w mieście kochano się we wspaniałości murów, tak tu domki były małe, ale wszystkie wśród wdzięcznych ogródków, z owocowemi sadami w tyle, wyglądały wesoło i razem sielsko. Latem zieloność wszędzie cieszyła oczy, teraz przecież przedmieście, do którego Batory wjechał niespodzianie, wydawało się jak zasobna i niezmiernie długa wieś, środkiem której wyciągniętą ulicą karoce księcia i jego dworu toczyły się powoli. Śnieg padał w nocy i leżał też grubą warstwą na drodze, przytem książę kazał zapewne jechać wolno, aby wspaniałość jego wjazdu była tem uroczystsza. Widać go było z okna karocy. Wyglądał piękny i rzeźki, z młodą fantazyą pańską i razem rycerską, patrzył na wybiegających z domów ludzi, a był to przeważnie tłum rzemieślniczy, wytworzony z kobiet i mężczyzn, którzy wybiegali na ulicę tak, jak stali, odbiegając od warsztatów i pracy domowej. Jasny włos Sasów i niebieskie ich oczy, cera biała panowała tu ogólnie, tworząc charakterystyczne sprzeczności z węgierskiem otoczeniem Batorego i zarazem z nim samym. Były to dwa narody, niezmieszane ze sobą.

Żadna trąbka nie grała, nie było żadnego szczęku i brzęku, bo gruby pokład śniegu tworzył dla kół powozów i kopyt koni podściół miękki. Posuwało się to wszystko cicho i tem paradniej, tem uroczyściej zdążało ku wielkiej, obronnie zbudowanej i szeroko teraz rozwartej bramie miasta.

A dano już tam znać, co się dzieje, dano znać, że Batory jedzie i na murach miejskich pokazało się mnóstwo głów ludzkich, aż naraz w bramie miejskiej rozległ się uroczysty też dźwięk trąby i ukazała się gromada mężów poważnych. Deputacya to była miejska, dążąca na powitanie księcia, kroczył przed nią herold, który w bramie w trąbę zadął, a że niesiono na poduszce chleb i sól, czerwoni jeźdźcy dopuścili ją do okna karocy książęcej. Nie dopatrzono się jednak w prędkości, że na poduszce nie ma kluczy od bramy miasta i Batory spuścił szybę szklanną, witając deputacyą.

Przybywała ona z powitaniem, ale zarazem z najszczegól-

niejszą propozycyą, jaka koronowanego księcia i pana spotkać mogła. Proszono księcia pokornie, aby chleb i sól od wiernej swej ludności Hermansztadu przyjął, ale do miasta nie jechał i na przedmieściu raczył się zatrzymać, aż w mieście przygotuje się odpowiednie dla niego mieszkanie.....

Niespodziewanie spadała na Hermansztad łaska jego przybycia, a że rada miejska chciała go przyjąć odpowiednio do zaszczytu, jaki mieszkańców miasta spotkał: odpowiednio do uczuć wdzięczności, jaką w sercu mieli—więc nie chcieli go do miasta wpuścić....

Pomysł był nietylko bardzo nieszczęśliwy, ale i bardzo zuchwały. Powzięto go w popłochu, sprawionym przez pośpiech, z jakim ojcowie miasta musieli się naradzać, jak sobie z niespodziewanym przybyciem księcia radzić? O armii, którą po kraju ze sobą wodził, już wiedziano i padło też wśród nagle zbiegających się rajców niespokojne pytanie:—Czy można bezpiecznie ten zbrojny najazd w serce miasta wpuścić? Że większość drżała o siebie i mienie swoje, pragnienie zabezpieczenia się przed gwałtami, których można się było obawiać, poszepnęła nierozsądną odpowiedź: nie!.... i popełnionym został największy błąd, jakiego się można było dopuścić.

Choć okryto się płaszczykiem pokory, książę jednak znalazł się przed wrotami miasta zatrzymanym!

Ale nad spodziewanie samej deputacyi, nie okazał najmniejszego niezadowolenia. Coś mu mignęło w oczach, coś mu nerwowo w twarzy drgnęło, ale stało się to tylko śmiechem wesołym.

— A.... to mnie ichmościowie okazale przyjąć chcecie!— Każecie mi tu dniówkę i nocleg przed bramami waszemi odprawić, abym jak Cezar jaki przyjmowany był.... No, dobrze.... niech i tak będzie, ale muszę mieć potem wjazd i tryumf wspaniały....

Deputacya składała się z najprzedniejszych rajców miejskich. Gdy wysłanie jakoby parlamentarzy do księcia postanowionem zostało, musieli się oni w pośpiechu największym w narodowy swój strój saski przyodziać i biedz prawie, aby księcia jeszcze przed bramą miejską spotkać. Ztąd zmęczeni byli wszyscy, a trzeba dodać i zestrachani tak, że uważnie patrzyć i słuchać nie byli wstanie i nie pochwycili też uchem złośliwej ironii w dźwiękach śmiechu książęcego, nie dosłyszeli surowości tonu, z jakim im mówił o tryumfie jego odłożonego wjazdu.

Nikt z nich nie śmiał też patrzeć prosto w oczy Batorego; spuszczonym był ich wzrok, gdy doń mówili, w dół spuszczonym go trzymali, kiedy on do nich przemawiał. Odetchnęli na łaskawość jego przyjęcia i nie uważali, co książę dodał zaraz, obracając się do Imrefiego, który z nim w powozie siedział. —Przez żywy Bóg, obyczaje tych Sasów wielce są ciekawe.... Z wielkiej gościnności trzymają najpierw gościa w kurytarzu, nim go do bawialnej komnaty wpuszczą ... Nie zamiataną ona widać bywa, i dopiero na gwałt z pajęczyny ją oczyszczają.

Rajcowie tymczasem spojrzeli ukradkiem po orszaku księcia i z radością ujrzeli, że cały nie przenosił 24 osób. To im dodało serca i dobrej miny; otoczyli powóz księcia z dwóch stron i z odkrytemi głowami szli przy nim, a i drugie okno zostało spuszczone z rozkazu księcia, który Imrefiemu go dał. — Niech się napatrzę na mój wierny lud saski—mówił nad wyraz łaskawie i zawsze ze śmiechem wesołym — niech sobie ich widokiem serce nacieszę.

I z jego też rozkazu owi dwaj jeźdźce w niedźwiedniach czerwonych odstąpili precz na stronę, cofnęli się w tył. Spokojny i jakoby rodzinny wygląd miało teraz to przybywanie księcia na terytoryum saskiem. Rozglądał się w koło i wciąż do rajców przemawiał: — Powiem ichmościom szczerze, że mi się wasz projekt wielce podoba—rzekł po chwili.— Weselej mi będzie tu, na otwartem powietrzu, niż tam w murach waszych, które piękne są, ale posępne.... Czy nie uważacie tego panowie? Posępnie u was i zaduch jest, wartoby kiedy trochę murów zwalić, przeręble porobić jak w lodzie, pod którym rybom też ciężko oddychać. Ja rybakom moim węgierskim, każe to robić u siebie na Węgrzech, i ztąd mi na myśl przyszło, żeby i tu godziło się trochę przerąbać te kamienne ściany wasze.

Czy który z rajców nie zadrżał słysząc, jak książę chce stosować u nich system oczyszczania powietrza, praktykowany w Ecsedi przez jego rybaków dla dobrobytu ryb?....

— A gdzież to łaska ichmościów wyznaczyła mi kwaterę?— zapytał, gdy jeden z deputatów do woźnicy księcia się zwrócił, coś mu mówiąc i na lewo wskazując.—Słaby mam trochę wzrok i nie dobrze widzę.... Nie mogę dojrzeć zali, tam, gdzie waszeć wskazuje, jest coś mieszkalnego w pobliżu?.... Czy daleko jechać będziemy?

Zapytany zmieszał się teraz niezmiernie i zaczął dobrą

już otuchę tracić.—Dom najzamożniejszego obywatela ze wszystkich przedmieść naszych, otworzy się na przyjęcie waszej książęcej mości—odparł, ledwo że językiem mogąc obracać....

Karoca potoczyła się wązką drożyną boczną i stanęła przed nizkim, choć stosunkowo długim domem. Nie wyglądał wspaniale, ani nawet pięknie. W lecie zdobiła miejsce zieloność otaczających go klombów i drzew, ale teraz wyglądało to ubogo i niewesoło. I nie można tu było całego dworu księcia razem z nim pod jednym dachem pomieścić. Prócz Imrefiego, był z nim jeszcze z przedniejszych: Szilasi, Kamuli. jeden Banfi. otóż tych trzeba już było gdzieindziej mieścić—w dwóch dworkach drewnianych

Sławetna rada Hermansztadu zapomniała, że co nagle to po dyable.... i mogła teraz rzeczywiście choć jedną duszę którego rajcy dyabłu sprzedać, byle ich tylko wybawił od picia nawarzonego piwa. Ale nadspodziewanie i na podziw wszystkich Batory najmniejszego niezadowolenia nie okazał. Z dobrą miną wszedł do obszernych, ale nizkich i skromnie, choć wygodnie urządzonych komnat, z których właściciele, rodzina sukiennika, tylko co się wynieśli, własne tylko osoby z przed oczu książęcych usunąć zdołają.

— Mój szacunek mądrej radzie hermansztadzkiej!—zawołał Batory, rozglądając się w koło—bardzo mi tu dobrze będzie!

Zaczęli wyksztuszać coś przepraszająco, ale on się zaśmiał:—Zaręczam ichmościom, że mi tu pysznie będzie.... Jak z płatka idzie mi ta cała podróż do waszego wiernego miasta i wierzajcie ichmoście. żem jest całem sercem rad was tu witać....

I nie puścił zaraz deputacyi, która w całym komplecie bawiła u niego aż do południa, to jest do chwili obiadu. Miało ich tu zostać przy księciu na służbie trzech a zostali wszyscy, bo książę tak chciał. Obiad dano mu co się zowie wspaniały. Wymagało to niemałego zachodu i trudu, aby w tak krótkim czasie wybornie i dostatnio zgotować. ale patrycyusze miasta żyli dostatnio: zapasy na ucztę książęcą znalazły się pod ręką. Batory jadł i pił obficie i wszystko chwalił niezmiernie.

Dobry humor księcia już rzeczywiście zaczął się udzielać deputacyi, gdy przy wetach Batory zwrócił rozmowę na wojewodę wołoskiego, Serbana Raduly, i oto Sasi pomieszali się

nagle tak, że ledwo coś odpowiadać mogli. Batory ze zwykłą swoją swobodą rozprawiając, przechodził od przedmiotu do przedmiotu, aż skierował rozmowę na Serbana a biednym Sasom zaczęły serca bić. Jeden z panów radnych zaczerwienił się, drugi pobladł; czy Batory to widział i z umysłu chciał ich złośliwie mieszać? nie mogli odgadnąć. bo wkrótce potem bardzo wesoło i z oznakami najzupełniejszego zadowolenia rozstał się z niemi.

Szczególniej uśmiechnięty był i w wybornym humorze, gdy im mówił—do widzenia!

Oddalili się uspokojeni zupełnie, utrzymując, że Batory został ogadany kłamliwie. bo żaden chyba z książąt chrześcijańskich nie może być milszym i łatwiejszym do zadowolenia.

A jednak na jego ustach igrał uśmiech tak ironiczny, że mogli się byli przestraszyć tej łaskawości pańskiej. o której wieść do miasta ponieśli. Lud też ochłonął już z przerażenia i uspokoił się, jakkolwiek równowaga nagle zakłóconego porządku jego życia, nie mogło zostać tak prędko przywróconą. Nie powrócono już do pracy: do warsztatów i foluszów. kobiety do gospodarstwa—chodzono po ulicach, zasiadano przed domami na ławkach i rozmawiano, rozprawiano do późnego wieczora, za to można było mieć pewność, że jutro tem skwapliwiej zabiorą się do roboty.

Nazajutrz rano burmistrz Hermansztadu przybył powitać księcia. Chciał się tłómaczyć z wczorajszego postępku, prosił o przebaczenie, że miasto nie zaraz mogło godnie przyjąć dostojną osobę księcia, ale ten mu przerwał zaraz z początku.

— No! no!—rzekł—to już skończone.... nie wątpię o dobrych chęciach ichmościów.

Przy pierwszych wyrazach twarz jego była surową i ruch ręki, którą przerwał burmistrzowi, był jakgdyby niecierpliwym, ale zaraz potem wróciła mu swobodna wesołość. — Nie martwcie się ichmościowie —dodał— wybornie mi się spało na przedmieściu waszem.

— Ale niemniej pragnę zobaczyć co najprędzej wasze sławne miasto, którego jestem ciekawy. Wybiorę sobie sam pomieszkanie i zaraz niedługo ruszę na oględziny.

— Jeżeli wasza książęca mość raczy się przychylić do prośb swego wiernego ludu. których nie zdążyłem jeszcze wypowiedzieć, to rada miejska pragnęłaby wprowadzić go do na-

szego miasta z godną takiej chwili uroczystością. Wszystkie cechy staną zebrane, aby mu towarzyszyć, mnie przypadnie zaszczyt otworzenia bramy miasta przy salwie moździerzy, gdy godzina dwunasta uderzy na wieży ratuszowej.

— Eh, eh—zawołał Batory, zawsze w najlepszem usposobieniu—nie nadużywajcie ichmoście mojej cierpliwości, każąc mi czekać do południa. Ten wasz Hermansztad jest, jak zalotna dziewczyna, pobudza moją chęć ujrzenia go przez stawiane mi przeszkody i gotów jestem postąpić, jak kochanek skazywany na tęsknotę—zdobyć sobie gwałtem oporną oblubienicę!

Rozmawiał tak wesoło, że aż dziko roześmieli się i panowie węgierscy, ale burmistrz przyjął ten żart pański spokojnie. Orszak księcia był tak mały, że nie mógł budzić żadnych podejrzeń, żadnego niepokoju i burmistrz zaczął się tylko tłomaczyć, że miasto wybrało godzinę południową dla podniesienia charakteru uroczystości i rozweselenia jej przez jasne już—jak stan pogody zapowiadał — promienie słońca. Sądzono też, że książę będzie po drodze chciał się wywczasować dłużej.....

— Przeciwnie, przeciwnie — zawołał Batory—spałem wybornie na pościeli waszej, alem się zbudził wcześniej niż zwykle—z niecierpliwości oglądania kryjącej się przedemną oblubienicy!....

Oświadczył w dalszym ciągu, że życzy sobie nie czekać na pochód uroczysty, że chce, jak to już wyraził, widzieć miasto wcześniej i oglądać je swobodnie.—Trzeba było ichmościom pomyśleć wcześniej o przyjęciu mnie uroczystem—wczoraj—dodał surowo.

Burmistrz począł się tłómaczyć, że tak nagle przyjęcie nie mogłoby było mieć odpowiedniego charakteru, którego właśnie pragnie teraz rada hermansztadzka dla dowiedzenia swoich uczuć, ale książę prędko mu przerwał.—Powtarzam ichmościom, że się stało, jak lepiej nie można sobie życzyć. Poznałem właśnie uczucia Sasów w tej gorliwości—o godne mnie przyjęcie....

Uśmiechnął się i z węgierską butą pokręcił piękny swój wąs.—Która godzina?—zapytał Andrzeja Nagy, który stał obok niego.

— Jest już blisko dziewiątej—odparł zapytany—a Batory obrócił się do burmistrza. — O dziesiątej mam zamiar zawitać do waszego miasta—rzekł.

Burmistrz skłonił się nizko. — Pozwoli mi wasza książęca

mość, abym choć ja i panowie radni wprowadzili go w mury nasze....

— Bardzo dobrze... bardzo dobrze—zawołał Batory.—Taka uciecha patrzyła mu z oczu, że i panowie jego orszaku stojący poważnie poza nim, uśmiechali się również, lecz Andrzej Nagy, słynny w dziejach Siedmiogrodu, wódz przybocznych księcia huzarów, z którym czytelnik spotka się jeszcze w ciągu naszego opowiadania, wystąpił teraz z tego grona.—Wasza książęca mość niech mi pozwoli, abym jego pierwsze wstąpienie w mury Hermansztadu uświęcił długowieczną pamiątką.—Panowie rada — dodał po przychylnem skinieniu głową księcia—zamiarem moim jest, abym w arsenale waszym, który słynie na cały Siedmiogród i kraje węgierskie, jako gmach wspaniały i niespożytej przez czas trwałości, złożył trofea naszych ciężkich walk z sułtanem tureckim, które są razem i pamiątkami moich żołnierskich trudów. Są to buńczuki zdobyte na Sinan-Baszy, łuki tatarskie, miecz który nosił Czillag Murza, do czego dołączę dla uczynienia przyjemności ichmościom, starożytną szablę niemiecką, w pochwie ze słoniowej kości.

— Wszystko to, złożone w mocnej i dobrze okutej skrzyni dębowej. ofiaruję miastu waszemu, jako upominek dnia dzisiejszego. Skoro książę nasz i pan zezwolił, czynię to z rozradowanem sercem.

— Pięknie powiedziane, panie Andrzeju Nagy — zawołał książę—pięknie i zapewne tak dar, jak słowa, ucieszą tu przytomnych panów Sasów.—Tak tuszę, iż być powinno—dodał zwracając się do burmistrza, który odparł z godnością, że zamieszkały w krajach książęcych lud saski, a szczególniej też Hermansztad, zawsze był gotów otwierać arsenały swoje dla wszelkich składów i pamiątek węgierskich. — Skoro sposobność potemu się nadarza — dodał ze wzruszeniem, obracając wzrok na księcia — ośmielę się wynurzyć moje i współziomków moich uczucia. Wierność nasza dla ojczyzny, którą przybraliśmy sobie za matkę, jest niezachwianą, chybaby gwałt nieszczęsny uderzył na nas. Poprzednicy waszej książęcej mości nadali nam prawa i statuty, przy których każdy Sas z osobna i wszyscy razem pragniemy stać niezachwianie. Nigdy i nic nie wywiedzie nas z tego gruntu, na którym znajdziesz zawsze wasza książęca mość wiernych sobie poddanych.

Prawda patrzyła z oczu mówiącego, w które książę wpa-

trzył się bystro. Wzrok jego przenikał mówiącego, a stał się on błyszczącym i migotać w nim zaczęły jakoby płomyki palącego mu się wewnątrz ognia. Zrozumiał on znaczenie mowy: burmistrz Hermansztadu, który go wczoraj nie wpuścił niedowierzająco w mury miasta, dziś mu przysięgał wierność—z zastrzeżeniem....

I on też odpowiedział podobnie, to jest słowami, które podwójnie wyłożyć się dawały. — Wierzę wam i słowom waszym sławetny ojcze saskiego grodu.... Wiem, jak daleko liczyć mogę na wierność saską.

— Która godzina, p. pułkowniku?—zawołał, pytając znowu Nagy'ego.

— Dziewiąta ma uderzyć w tej chwili—odparł Nagy, a książę obrócił się znów do burmistrza.

— Komu w drogę, temu czas—zawołał:—Tak do mnie, jak i do ichmość panów, odnosi się to przysłowie.... Wy do siebie, a ja do was się śpieszę, zatem do widzenia.

Gdy radcy wyszli, on się wyprostował i srogo spojrzał za nimi. — Panie Andrzeju--zawołał—nasze wojsko wyrusza teraz właśnie z Neppendorfu. Czy za dwie godzin stanie tu z pewnością?

— Tak, mości książę, z pewnością....

— Bardzom rad, bardzom rad z postępowania tych Sasów. Sami piszą wyrok na siebie i nikt nie powie, żem popełnił bezprawie.

Imrefi pośpieszył z pochlebstwem, ale nie był to czas, w którymby Batory tego słuchał.

— Przybierajmy się, przybierajmy się panowie na ucztę z Sasami—zawołał i zaczął się stroić, jak powiedział. Opatrzył szablę swą i pistolety, spróbował nabojów i ostrza damasceńskiej stali, a był przytem wszystkiem rzeczywiście wesoły.—

— O mądre Sasy! mądre Sasy—wołał—jakżeście zasłużyli mi się wybornie....

Godzina szybko ubiegła a w chwili, gdy zegar miał uderzyć dziesiątą, burmistrz z panami radnemi znaleźli się przed domem ksiecia, który ujrzawszy ich przez okno, zaraz sięgnął rękę po zieloną aksamitną czapkę z drogiem sobolowem futrem i brylantową spinką. — Nie traćmy czasu panowie — zawołał, i wyszedł natychmiast z izby w otoczeniu całego swego orszaku i spotkał Sasów w ganku.

Przed domem stał szabowany mocny wóz, zaprzężony w cztery silne, tęgie konie; na wozie była już umieszczona dębowa, okuta skrzynia, z łańcuchami do ujęcia, a obok niej stało na wozie czterech huzarów, uzbrojonych i ubranych jak na paradę. Znać było, że wiezie się oto skarb drogocenny.

Na ulicy po obu jej stronach było już dość ludzi, jednak mniej mężczyzn, niż kobiet i dzieci. Stali skupieni na chodnikach, środek ulicy był pusty, bo droga to była książęca i burmistrz wydał rozkaz, aby nikt nie ważył się tam tłoczyć. Słońce świeciło tego dnia jasno i można było powiedzieć, że pogoda sprzyja Batoremu, który też przepięknie wyglądał. Na czamarce z ciemno-purpurowego sukna, bogato złotemi potrzebami bramowanej, miał aksamitną zieloną delię, też w cieniu ciemnym, podbitą sobolowem futrem. Z pod tej delii, zapiętej tylko w górze na drogą złotą agrafę z brylantem, widać mu było z boku szablę w pochwie pozłocistej, sadzonej drogiemi kamieniami, lecz nad to wszystko wyższą była jego młodzieńcza, rzadka uroda. Patrzył też wesoło, a jego oczy duże, podłużne, zdolne do wyrażenia najgwałtowniejszych namiętności i ciskania spojrzeń palących jak płomienie, umiały przysłonić się łagodnie i stać się pełnemi czarującej słodyczy. Kobiety saskie patrzyły też na niego jak oczarowane, a było tu już pełno pierwszych patrycyuszek z miasta, co Batory poznał natychmiast po stroju bogatym i malowniczym, tak u dziewic, jak zamężnych niewiast. Że bił mu w oczy promień słońca, więc się był lekko zmarszczył, ale gdy spojrzał na nie, uśmiechnął się tym uśmiechem, który rzadko kiedy nie zwyciężał. Zdjął przytem dwornie czapkę i ukłonił się, kupując sobie odrazu miękkie serca Saksonek. Był to pierwszy jego podbój w Hermansztadzie, przecież trzeba mu było jeszcze drugiego, aby mu wołano:—Jo tryumfator!...

Pochód ruszył zaraz, bo Batoremu śpieszyło się bardzo, jak to głośno powiedział. Był prawie niecierpliwy, ale wciąż wesoły, jak rzadko widzieć go było można. Burmistrza wziął sobie po prawicy, choć ten chciał zostawić zaszczyt tego miejsca Imrefiemu, bo był to kanclerz państwa, ale Batory tego nie dopuścił. — Ichmości się to miejsce należy, boś tu gospodarz— rzekł.—Zostanie to zapisanem w rocznikach, że po noclegu moim na przedmieściu waszem, w dniu 12 Grudnia Anno Domini 1610, wszedłem do Hermansztadu, mając was po prawej ręce.

Przodem szło trzech radnych, jakoby czyniących księciu drogę. Mieli na sobie szaty urzędowe, togi i birety, bo bokach księcia burmistrz i Imrefi, tyłem orszak węgierski, gromadka mężów nieduża. Gdy znajdowano się na sto kroków od bramy miejskiej, Batory przystanął. Zadał brmistrzowi pytań kilka, tyczących miasta i okolic; podniósł też przytem oczy w stronę gór, jak gdyby czegoś tam upatrywał, aż naraz w trakcie odpowiedzi burmistrza na pytania księcia, przerwał mu, rzucając Imrefiemu pytanie, czy Dimon nie wrócił z Kronstadu i czy go niema wśród służby? Ale nie było go: książę pytał znów burmistrza o odległość tego miasta od Hermanstadtu, i znów, nie dosłuchując odpowiedzi, o coś zagadnął. Ku górom wciąż też patrzył, a gdy on stał, stali naturalnie i wszyscy, tylko wóz, który wiózł dary dla arsenału Hermanstadzkiego i tocząc się z ciężarem swoim powoli, został bardzo w tyle, teraz orszak dogonił. Wtedy książę ruszył też prędszym krokiem i zaraz dostał się pod ciemne sklepienie bramy, lecz tu stał się niespodziewany przypadek. Skoro tylko wóz teraz trzymający się tuż za orszakiem, dążąc za nim, w bramę wjechał, złamało się nagle koło, i spadło, więc stanąć musiał. Batory obejrzał się wtedy, a że uczynił to i Imrefi, oczy ich spotkały się ze sobą.

Sasi tymczasem pośpieszyli do wozu na pomoc, Imrefi zaś zawołał na woźnicę, aby konie odprzęgł, bo zanosi się na długą historyę. — Niech żołnierze przy wozie na straży zostaną — dysponował dalej.— Gdy jego książęca mość po krótkiej bytności w ratuszu, do przygotowanego dlań pomieszkania się uda, on tu wraz z imci panem Nagy i wybranemi na to od rady osobami powróci, i delegatom miejskim zamknięte w skrzyni przedmioty odda.

Burmistrz chciał, może dla porządku, aby wóz z bramy został usunięty, bo uczynił uwagę, że możnaby go z bramy na ulice wypchnąć, ale Imrefi się zaśmiał żartobliwie. — —Czy mu tu nie dobrze?—zapytał, w żadnym razie nikt ztąd skrzyni nie ukradnie, najpierw dla tego, że dyablo ciężko, powtóre, że pilnują jej uzbrojeni żołnierze.

— Tak... — odparł ktoś z pomiędzy Sasów—ale przechodniom w bramie zawadza, a szczególniej, gdyby ktoś jechał....

— Wyminie go doskonale—odparł Imrefi, ale w tej chwili zawołał:—Ach dla Boga! książę sam naprzód idzie....—i szybko się za Batorym posunął. Cały orszak księcia i Sasi także

musieli to uczynić. Wóz, od którego odprzężono już, i w stronę przedmieścia odprowadzono konie, został tedy w pośrodku bramy na jedną stronę przechylony. Żołnierze zaciągnęli przy nim wartę.

Czy burmistrza tknęło jakieś podejrzenie, czy też człowiek był do porządku przyzwyczajony, bo odchodząc jeszcze wzrok po za siebie rzucił i widział, jak żołnierze, grożąc lancami, odpędzali ludzi, którzy się gromadnie do bramy tłoczyć poczęli. Byli to wieśniacy z okolicy w kożuchach i czapkach wielkich; znać rozeszła się już po wsiach podmiejskich wieść o przybyciu księcia i ściągnęła do miasta tłum ciekawy. Wóz ze skrzynią, której strzegli uzbrojeni huzary, stał się dla nich na wstępie przedmiotem zajęcia.. Cisnęli się pytając, czy skarbiec książęcy to jest? Ofiarowali się wóz do miasta zaciągnąć i żołnierze opędzić im się nie mogli. Jeden szczególnie, młody parobczak, był do zuchwalstwa natrętny i z żołnierzami ząb za ząb się kłócił, lecz tego Imrefi musiał znać, bo gdy, oglądając się na wóz, ujrzał go w pierwszym szeregu tłoczącej się gawiedzi, rzucił mu jadowite i gniewne, jakby nienawiści pełne spojrzenie. Przecież nie zawołał, aby go halabardnik miejski do kozy wziął, lub przynajmniej po za bramę wypędził. Nie, tylko pięść zacisnął, jak ktoś, spotykający się z wrogiem, któremu nie może nienawiści swej w oczy pokazać.

Tymczasem Andrzej Nagy, który zręcznie z orszaku księcia się wysunął i w tyle pozostał, wsiadł co najszybciej na jednego z odprzężonych koni. Siodło i uzdeczka gdzieś na wozie pod derą leżały i znalazły się na zawołanie, a on wtedy natychmiast na konia wskoczył, i wspiąwszy go ostrogą, jak wiatr popędził drogą ku wsi Neppendorf.

Gdyby go kto widział lecącego wyciągniętym kłusem, wziął by go za złoczyńcę, który przed pogonią ucieka, lub za gońca z niezmiernie ważną depeszą. Nikt przecież z takich, którzyby mogli zawołać nań: stój!... nie obserwował go w tej chwili; wszyscy notable miasta byli zajęci przyjęciem księcia. Wszystka straż miejska, prócz dwóch halabardników przy bramie, była ściągnięta na rynek i ulice, przez które miał się kierować pochód książęcy.

Rynek Hermanstadzki tworzył podłużny kwadrat, zabudowany najstarszemi, a zarazem najpiękniejszemi kamienicami i gmachami publicznemi. Architektura była wszędzie gotycka lub

ta staroniemiecka ze śpiczastemi dachami wysokich domów, z wązkiemi oknami, których szyby były w ołów oprawne. Wiele takich domów miało długie, piękne ganki drewniane, z kunsztownie wyrzynanych krat i floresów złożone. W lecie kwitły na nich kwiaty, wiły się bluszcze i powoje, teraz widać było niebieskie, czerwone, zielone ich pomalowanie. Na dachach leżał śnieg, gdzie się na załamach utrzymał, ale słońce świeciło i rynek pełen ludzi, czekających tu na ukazanie się księcia przedstawiał urozmaicony i piękny widok.

Oczy nowoprzybywających musiał na samym wstępie uderzać ratusz z czerwonej cegły, z lekkiemi wieżyczkami i jedną strzelającą wyżej nad inne, a która, jak w kościele, była dzwonicą, bo z niej to uderzał dzwon alarmowy, w razie pożaru, lub jakiego niespodziewanego wypadku, budził i zwoływał ludzi. Styl tej budowy był gotycki, podobnie jak kościoła, który się wznosił na drugim końcu rynku, naprzeciw ratusza. Trzeci wielki budynek stojący u zbiegu dwóch ulic: Sarkantyn i Riszkas; miał silne mury i wyglądał na gmach warowny. I ten był w stylu czystego gotyku, ale książę, który się przed nim zatrzymał. nie zdawał się obserwować go pod względem architektury.—Czy to zbrojownia?—zapytał, a gdy mu odpowiedziano, że tak—oświadczył, że pragnie ją zwiedzić najpierw i zaraz też został poprowadzony po pięknych kamiennych schodach, aby przebywszy obszerną sień, wejść do wspaniałej i ogromnej sali, okrągłej, której powała przedstawiała w kunsztownej malaturze błękit nieba, zasiany gwiazdami. Okna były wysokie, a wązkie, w łuk zakończone u góry. Szyby, różnokolorowe, przedstawiały w średniowiecznym smaku oddane, różne historyczne sceny i obrazy. Ściany były zawieszone starą bronią, rzędem pod niemi stały, jak na straży, postacie rycerskie, całkiem w żelazo zakute. W rękach trzymały ostre dzidy, przyłbice były spuszczone i widok to był uroczysty i piękny razem, który w pierwszej chwili zaimponował księciu i był moment, że w milczeniu patrzył na ten bogaty i szacowny zbiór, który zgromadziła tu skrzętna i grosza na ten cel nie żałująca gospodarność Sasow. Chodził od kąta do kąta, od zbroi do zbroi, zajęty rzeczywiście, lecz gdy na zegarze ratuszowym uderzyła godzina jedenasta, on podniósł głowę i zdawał się nasłuchiwać.

Nic przecież nie dawało się słyszeć. Miasto było ciche, bo nikt teraz nie jeździł przez pełne ludu ulice.

Batory wrócił wprędce do oglądania ciekawości starożytnych, na które burmistrz i przełożony zbrojowni zwracał jego uwagę. Były tu rzeczy cenne, były miecze z czasów wojewody Markusa, szabla króla Lajosa (Ludwika) i wiele podobnych przedmiotów szacownych. Ktoby był przypatrywał się uważnie Batoremu, zauważył by. że objaśnienia czynionemi zapytywaniami przedłuża, choć od czasu do czasu uwaga jego odbiega kędyś.

A znalazło się tu kilka pamiątek, które niechętnie mu pokazywano i tylko pod nieustępnym z jego strony naciskiem opowiadano mu ich historye. Były to przedmioty, należące niegdyś do ludzi, w których Sasi czcili bohaterów narodowych, a których Batory nazywał zdrajcami. A zdawało się, że doświadcza szczególnej przyjemności, gdy zdybie coś takiego.—A.. a... wołał z szyderskim uśmiechem. — To relikwie po wiernych kraju naszego rycerzach i obrońcach... aż w końcu burmistrz ośmielił mu się powiedzieć, że są to rzeczywiście relikwie po ludziach śmiałego ducha, którzy stali silnie, z miłości dla współziomków swoich, przy prawach swych, nadaniach książęcych, przez które władcy Siedmiogrodu ściągnęli do ziemi Szeklerskiej, mało uprawnej i w pół dzikiej, pracowity lud saski.

Książę się zmarszczył i spojrzał surowo na mówcę, który stał przed nim blady trochę, ale poważny i spokojny. Że pragnął, aby ciekawość księcia raz już została nasyconą—nie ulegało to wątpliwości.

Aż naraz, właśnie gdy oglądano starą szablę, widocznie dawnej niemieckiej roboty, a której pochodzenie było zarządowi zbrojowni nieznane—dało się słyszeć silne zadęcie w trąbę, jak gdyby u bramy miejskiej.

Zaraz potem zagrzmiał wystrzał armatni.

— Aha! — zawołał książę radośnie.

ROZDZIAŁ X.

Kula armatnia i księga archiwalna.

Około godziny jedynastej dolinę Hermansztadzką zalał niespodziewany potop — zbrojnych ludzi! Szerokim gościńcem ciągnęła kawalerya z węgierskiemi znakami: koń za koniem, jeździec za jeźdzcem, waliły się setki za setkami, a cicho jechano po śniegu. Komenda nie brzmiała głośno i nie było też jej potrzeba, bo droga była prosta a cel wiadomy—żołnierze ci dążyć mogli tylko do Hermansztadu, a na ich czele ten, co dobrze znał drogę, bo był to Andrzej Nagy!

Wjechano spokojnie w przedmieście i przebyto je podobnież, prawie niepostrzeżenie przez nikogo. Męzka ludność zajęta była po fabrykach, siedziano pracowicie przy warsztatach, a kto z powodu bytności księcia świętował, był w mieście, gdzie za orszakiem jego pobiegł. Tu i tam wychyliła się przecież jakaś głowa z okna, tu i tam jakiś rzadki przechodzień przystanął na ulicy i patrzył zadziwiony, może nawet niespokojny, ale nie ważył się na nic więcej. Książę był w mieście, przebywał z burmistrzem, z radnymi... Alarmu nikt nie śmiał na razie zrobić, tworzyły się drobne gromadki, ale szeptały tylko pocichu.

Wartownik, który na górnym piętrze bramy miejskiej wartę odbywając, z balkonu otaczającego wyniosłą strażnicę, mógł w głąb' przedmieścia daleko wzrokiem sięgać, dziś w czujności tej zaniedbał się także. Patrzył więcej w stronę miasta, gdzie się ludność jeszcze gęsto roiła, choć książę już czas jakiś z orszakiem swoim na rynku, w zbrojowni był. Wóz w bramie wyobraźnią uderzał i zajmował, bo wiedziano, że to są jakieś skarby drogocenne, z których miastu ma być dar uczynionym. Czekano ciekawie, aż po nie delegaci miejscy przyjdą, gdy naraz ucho wartownika uderzył głuchy jakiś szum, jakgdyby wichru w lesie, lecz w stronę, zkąd go dochodził, po to tylko wyjrzał, aby zobaczyć węgierską konnicę księcia, tuż pod bramą!

Natychmiast na hasło trwogi w potężny róg zadął, a że

to było coś większego, niż pożar w mieście, z harmatki sygnałowej w powietrze wystrzał dał.

Stał się natychmiast między ludnością popłoch wielki, Sasi, skoczyli żelazną kratę bramy zamknąć, ale nie dało się to prędko uczynić, bo wóz tak właśnie stał, że zamknąć jej nie pozwalał. Gdy konie odprzęgano, gdy usiłowano niby koło spadłe poprawić, popchnięto go tak, że przeszkodą się tam zrobił. Przytem Sasi znaleźli niespodziewanych przeciwników w owych wieśniakach, którzy się poprzednio droczyli z żołnierzami, straż przy skrzyni trzymającymi. W chwili, gdy trąba wartownika zabrzmiała, jeden z wieśniaków, ten, co się najswarliwszym okazywał, zrzucił w oka mgnieniu bundę góralską i stanął w postaci wysmukłego, pięknego młodzieńca w koszulce drucianej, który na Sasów wpadł i z zastępem swoim w jednej chwili bramę z nich oczyścił, dla nadciągającej konnicy miejsce czyniąc.

Dimon to był. Wysłany od księcia w góry między Szeklerów, aby lud, który Sasów nigdy nie kochał, więcej jeszcze przeciw nim poburzyć, znalazł się tu niespodziewanie, co w nienawidzącym go Imrefim krew wzburzyło, gdy go nagle ujrzał, obierającego stanowisko w bramie. Była między temi dwoma ludźmi zacięta walka o względy księcia, o jego zaufanie toczona i Imrefi niemógł tego spokojnie znieść, że Dimon, jak z nieba spadły, znalazł się w pobliżu Batorego w godzinie wyrocznej ubieżenia Hermansztadu. Mógł mu część jakąś zasługi zabrać, mógł, przy swoim zuchwałym sprycie, księciu jakąś ważną przysługę wyświadczyć...

Dimon po to też wracał, a dlatego wcześniej z orszakiem książęcym się nie złączył, aby swobodnie na swoją rękę działał. Mógł się stać wypadek jakiś — mogli Sasi zdradę zwietrzyć i księcia podstępnie w mieście zamknąć, wojska w mury jego nie wpuszczając, i on na taki przypadek chciał się ze swoją gromadą w Hermansztadzie znaleść. Wybrał się rano i w sam czas trafił, aby bramę ludem swoim zająć, a potem, gdy się z tą sprawą załatwił, skoczył jak pajac na tył konia któregoś kawalerzysty i wraz z wojskiem ruszył do miasta, w którym wrzało już jak w kotle.

Gdy huk alarmowej armaty szybami okien arsenału zatrząsł, a książe zaśmiał się radosnym i razem dzikim śmiechem szyderstwa, towarzyszący mu burmistrz zbladł, a panowie węgierscy, których około księcia dwudziestu było, dobyli szabli jak

na komendę, przesłaną im zdaleka i stanęli przy Batorym, jak straż jego, po której trupie można było jedynie do niego się dostać. I Sasi zbili się w gromadę której środkowym punktem był burmistrz, ale ci nie mieli broni przy sobie i jak tamta grupa promieniła dumą i wyrazem tryumfu, tak tu twarze były blade i przerażone. W oczach ich błyskał gniew ale i pomieszanie, nie z tej tylko przyczyny, że zaskoczono ich nagle. Nie wiedzieli jak sobie poczynać mają? Nie śmieli jeszcze przeciw księciu, jako wrogowi wystąpić, trwoga niepewności, co się dzieje—oniemiła ich.

Ale Batory prędko ich z tego stanu wyprowadził.—I cóż tak ichmościowie na fantazyi stracili?—zawołał szyderczo, ognistym wzrokiem lustrując pobladłych. — O!.... o! panowie Sasi, w moim rodzie nikt nigdy dłużnym niewypłatnie nie bywa i oddaje z procentem, co mu danem zostało. Przed moim stryjem Andrzejem zamknęliście bramy miasta, gdy dla wodza wrogów, dla Basty otwarte były na rozcież, i zakrywaliście dziś przemną piękny puchar wenecki, który on był sławetnym rajcom w darze za tę sąsiedzką usługę przysłał. Czyż nie prawda?

Nikt mu nie odpowiedział, a on roznamiętnił się głosem własnym.—Spałem ja dziś na przedmieściu waszem, a gdzie wy spać dziś będziecie? Mój sen był doskonały, bo miałem świeży i dotykalny dowód, który mi świadczył, jakie to są wasze uczucia wierności dla księcia Siedmiogrodu, w którym wy osobny naród tworzyć chcecie. A sterujecie zręcznie nawą waszą.... Złożyliście hołd wojewodzie Michałowi, odbiegając naszego nieszczęśliwego stryja.... odstępując go, gdy do cofania się w tył, do ustąpienia przed nieprzyjacielem był zmuszony. Nie chcieliście się bić z wrogiem ojczyzny, żałując na to krwi i złota waszego, bojąc się o wasze miasto, któreście nie przed obcym, ale przed swoimi obwarowali tak mądrze. Potem, bojąc się zemsty, nasłaliście na księcia waszego, na potomka Batorych, zabójców płatnych i nie tłómaczcie się teraz z tego, nie odzywajcie się ani słowem jednem.

— Cicho!—wykrzyknął, gdy widział, że ze strony Sasów, chciała wyjść protestacya. — Cicho, wy nędzni... On był sam jeden przeciw stu, tak jak ja tu teraz jestem, obskoczony jak rumak szlachetny przez stado wilków... O! rachunek to dziś jest z pysznem miastem waszem.... Jest Hermansztad.... nie będzie Hermansztadu.... ja to wam mówię, Gabryel Batory....

— Imrefi!... zawołał—twoim staraniom zwierzam szanowną radę tego wiernego grodu i gdy dziś zajdzie słońce, obowiązkiem twoim jest dać im mieszkanie. tak dobrze pokryte, aby śnieg na nich nie padał, a tak ciasne, aby im w niem ciepło było.... Niech też nie przeładują sobie żołądków strawą zbyt obfitą, bo by się pochorować mogli....

Nie strategicznie postąpił książę. Chcąc aby słowa jego mogły wziąść skutek, trzeba mu było zacząć najpierw od tego, aby jego orszak mocno zbrojny i mający pod barwnemi żupanami koszule druciane, zajął był pozycyą koło drzwi i dopiero się z Sasami rozprawiał. Byłby ich wtedy wszystkich w mocy swej miał, żywych czy umarłych, ale gwałtownik i nieraz okrutnik pod dziką siłą rozigranych namiętności, Batory to jednak był i miał na dnie natury swej wsiane tam przez Boga ziarno szlachetności. Dziko-srogie rozkazy często wydawał, ale osobiście w starciu człowieka z człowiekiem nie umiał pułapki zdradnej urządzać i popełnił teraz wielki błąd—radę Hermansztadu wolno wypuścił, bo gdy owe szydercze słowa do Imrefiego rzekł, gdy wyraźnie i jawnie wydaną miastu wojnę ogłosił, burmistrz, który w niepewnem położeniu głowę stracił, teraz ją nagle podniósł. — Bracia moi i współobywatele! — zawołał na radców.— Dzieje nam się gwałt i nie dajmy mu się spełnić....

— Protestuję przeciw zamiarom waszej książęcej mości!— zawołał. cofając się ku drzwiom, koło których stał, otworzył je i wyszedł na czele nielicznej gromadki, której w pierwszej chwili nikt nie ścigał, bo burmistrz był siwowłosy i poważnej bardzo postawy, co sprawiało w rycerzach węgierskich wstręt do rzucenia się na starca, bo choć dla przywilejów urzędu swego przy boku też szablę miał, trudnoby mu było bronić się.

Ale Batory, widząc uchodzących i rozgniewany protestacyą burmistrza, krzyknął, aby ich ścigano, a że do Imrefiego i teraz się zwrócił, poskoczył on, a za nim i innych kilku. Przecież spotkali się na wschodach z zastępem liczniejszym, niż ten, który salę opuścił. Że w mieście wiedziano, gdzie burmistrz z radnymi się znajduje, więc na hasło trwogi, z wieży bramnej dane, ławnicy, którzy na Batorego w bramie ratusza czekali, krzyknęli, aby po burmistrza, jako po wodza miasta biedz i węgierscy panowie znaleźli na schodach ludzi, którzy im opór stawili w pochwyceniu radców. Młodzi ławnicy, biegnący po bur-

mistrza, wystąpili z oporem tym i zagrzewali lud, który słysząc hałas i szczęk broni, hurmem się do sieni arsenału i na wschody jego tłoczył.

Walka ta przeniosła się wkrótce na ulice. Węgrzy potrzebowali się teraz tam wydostać, i przebojem torowali sobie drogę wśród obskakujęcej ich zgrai, a gdy ścieląc sobie przejście trupami, wypadli nareszcie na otwartą przestrzeń, złączyli się prędko ze swemi, bo żołnierze Batorego już na rynek wpadli, siekąc i mordując z konia lub pieszo, przecież, gdy pod którym rumak padł, nożem lub sztyletem tratowanego lud zakłuł.

Ale siły były nierówne; napad, na nieprzygotowanych urządzony, musiał zostać zwycięzkim. Żołnierze rozprawili się prędko z gwardyą miejską, która się wśród popłochu zbiegać i formować poczęła. Wycięto w pień tych, którzy bronić się próbowali: plondrowano miasto, przyczem wydano rozkaz, aby zabieraną była wszelka broń u mieszczan znaleziona i to dało pierwszy początek rabowania, którego dopuszczał się żołnierz, podniecony jeszcze nieprzychylnem uczuciem, jakiem w ogóle Węgrzy i ludność szeklerska tchnęła zawsze dla Sasów. Broń zabieraną znosili żołnierze na rynek, jako trofea, i zwalono na stos jeden, utworzyła wysoki wzgórek, na który Batory z okien arsenału mógł patrzeć i patrzył szyderczym wzrokiem, gdy ją tam żołnierstwo ze śmiechem i urąganiem zwalało. Postawiono przy tych łupach straż, z nabitą bronią i Sasi nie mogliby teraz łatwo odbić narzędzia obrony.

Przecież po ochłonięciu z pierwszego przestrachu, lud jak mógł, choć z drewnianemi kołami, pod ratusz gromadzić się począł. Z przedmieść go nie przybywało przecież, bo teraz wóz z darami Andrzeja Nagy usunął się już i kraty bramy miejskiej zawarto. Wartownik na ganku wieży bramnej już też inny był, niż ten, który sygnałem swym tak Batorego w wesoły humor wprawił. Tamten zapewne już nie żył, przez Dimona ostrym sztyletem w pierś uderzony, bo on to miał przy sobie klucze od bramy, gdy ją teraz Węgrzy pod swoją straż wzięli, do ich rąk dostać się one musiały.

W mieście za to Sasi poczęli twierdzę sobie wznosić. Ratuszową bramę zawarto, zatarasowano czem się dało i gmach cały umocowano pośpiesznie. U okien były wewnątrz umieszczone okiennice żelazne i co prędzej okna niemi zasłonięto, aby

odbijać mogły kule, któremi Andrzej Nagy kazał w mury radnego gmachu walić. Szyby szklane już wyleciały wszystkie, ale od żelaznej blachy strzały odbijały się tak bez skutku, jak bez skutku pozostawał dotąd szturm do bramy. Tu dowodził Dimon i żelazną maczugą wściekle tłukł, ale mocne wrota opierały się, a żelazne okiennice odmykały się czasami niespodziewanie, aby dać przejście strzałom, które wymierzone w kupę zbitego u bramy żołnierstwa, nigdy nie chybiały.

Batory na podanego mu konia już teraz wsiadł i ulicę objeżdżał. Zrazu pędził jak człowiek oszalały: upajała go namiętność wywieranej zemsty, dym wystrzałów i war lejącej się krwi. Trzeba mu było niejako wydyszyć z siebie ten gniew, z którym się tak długo kryć musiał—trzeba mu było dziko swobodnego ruchu po upokorzeniu kłamliwej maski, jaką dwadzieścia cztery godzin nosił. Ale po pewnym czasie i rumak się zhasał i jeździec się zmęczył. To przebywanie kłusem nieznanych mu miejsc: ulic wązkich i przez wysokie kamienice zaciemnionych a to przy głuchej wrzawie, huczącej gdzieś zdala, wśród bliższych mu krzyków, jęków i zawodzeń żałosnych, strudziło go. Chciałby był odpoczynku i jakiejś zmiany sceny, bo zemsta jego już była nasycona, duma dostała zadosyć uczynienie. I puścił lżej cugle konia, bieg jego zwolnił, lecz jadąc wolniej, zaczął natrafiać na przykrzejsze jeszcze rzeczy. Gdy rumak niósł go hardym kłusem przez zdobywane miasto, przelatywał jakgdyby we śnie jakimś przez piekło: miał przed sobą chaos okropności, ale teraz pojedyncze epizody szturmy i obrony ukazywały mu się w swoich okrutnych obrazach. Widział na oczy starców, dzieci i kobiety pchane kolbami żołnierzy; gromady ludzi kłute dzidami, trupy tratowane kopytami koni i gdy powrócił na rynek, gdzie Nagy jeszcze zdobywał ratusz, blady był i ponury.

— Andrzeju!—zawołał—podjeżdżając do swego generała—ci Sasi uparcie się bronią. Wyrznij wszystkich, jeżeli chcesz, ale kobiet i dzieci niech nie tknie nikt. To istoty niewinne, nie one robią bunty i spiskują z Wołochami.

Nagy ruszył ukradkiem ramionami, bo gdzież to żołnierz, biorący miasto szturmem, przebiera między winnymi lub niewinnymi? Lecąca kula jest ślepą, ostrze żelaza tnie, gdzie padnie.

Trzeba dodać, co zapisała historya, że Gabryel Batory tym swoim manifestem litości objął i pracowity lud rzemieśl-

niczy. Zabronił palić i plondrować ulic, rozciągających się pod wałami miasta, a które zamieszkiwała ludność robotnicza.—Podwali niech nikt nie ośmieli się plondrować—wołał głośno, przejeżdżając szeregi.

Walka naturalnym sposobem skupiła się też na rynek. Co było w mieście dzielniejszego, waleczniejszego serca mężów i młodzieńców broniło bramy ratuszowej, a broniło tak dzielnie, że bój przedłużał się nadspodziewanie, aż Dimon wpadł nagle na myśl innego ataku.—Na mury!—krzyknął i zaraz zaczął się piąć po rynnie i chwytając się za gzemsy, za ozdoby architektoniczne, dostał się na dach i przysiadłszy tam na moment odpoczynku, zaczął przyzywać innych za sobą. — A z siekierami!—wołał—z toporami tu.... Nie z dołu, ale z góry zburzymy i spalemy gniazdo buntowników.

Liczni ochotnicy wystąpili z szeregów, aby pójść za tym głosem. Przy pomocy lin i siekier, które się prędko znalazły, kilkunastu niszczycieli wdrapało się na dach ratusza i poczęto go rąbać, zrywać płatami całemi: dachówki leciały z góry na dół, jak grad olbrzymi i było to już rozstrzygnięciem walki. Obrona mogła ją tylko przedłużyć, ale nic już, prócz chyba jakiejś niespodziewanej pomocy z zewnątrz, nie mogło ocalić tak miasta, jak ratusza Hermansztadu od zajęcia przez Batorego.

Jakim miał być los ratusza, rozstrzygnął nagle Dimon:

— Słomy!—zaczął naraz wołać z góry—słomy, czy siana, krzesiwa.... Chcę podkurzyć prześwietną radę hermansztadzką, jak szerszeni w dziupli....

Tłumy ludzi na dole jękły, płacz się rozległ i wtórowały mu tylko uderzenia toporów na dachu, do którego krokwi już się dobrano. Batory, patrząc na dzieło Dimona, szepnął:—Dyabeł—i odjechał do arsenału. Z jego okien mógł widzieć lepiej, niż z dołu, cały obraz walki na jej obydwóch punktach.

Ale widzieć nie mógł tego, co zasłaniały mu mury - sali radnej i zebranych w niej rajców i ławników. Była ona wielka i wspaniała, ściany i powała pełne były rzeźb i ozdób w stylu niemieckiego gotyku, w rogach stały posągi, na ścianach wisiały obrazy tych burmistrzów, którzy szczególniej zasłużyli się miastu, a z pomiędzy których nie jednego nie byliby Sasi chcieli pokazać Batoremu.

Teraz nie było można rozpoznać ich rysów, bo w sali przy

zamkniętych szczelnie żelaznych okiennicach, panowała ciemność prawie nocna i rozświecał ją tylko niepewnym, migotliwym blaskiem ogień, palący się na wielkim kominie, ze wspaniałym marmurowym okapem. Rzeźbione dębowe ławy stały w koło ścian, mieszczące zwykle ławników i patrycyuszów miasta, którzy chcieli być przytomnymi naradom, lub pragnęli brać w nich udział. A i teraz było ich dość—kilkudziesięciu.

Przybiegli na dzwon alarmowy i już pozostali tu, choć tam ich domy, ich majątki zostały bez obrony, wydane na łup zwycięzcy, ale tu było obowiązkowe miejsce ich jako urzędników w zarządzie miasta i pozostali na nich.

Wiele miejsc młodych ławników było jednak próżnych—ci byli na dole i kierowali obroną bramy; kilku klęczało koło okien i przez dolne otwory w okienicach strzelało do napadających. Pachołkowie miejscy nabijali im broń na zmianę i podawali, aby ten nie ustawał. Raził on oblegających, bo pozycya była dobra i celowano umiejętnie, ale tam na dole nikt się nie pytał: kto ginie? Siła oblegających była taka, że nie potrzebowali liczyć ubywających.

Strzelający wiedzieli to: wiedzieli, że tylko przy pomocy cudu, lub wypadku mogli zostać ocaleni, przecież broniono się do ostatka, bo uciec z posterunku było hańbą. Gdy Dimon wołał z dachu:—słomy.... siana.... niech czerwony kogut zapieje tu panom Sasom.... Batory rzekł namiętnie:—Tak.... słomy, siana.... płomieni.... Niech spłoną raz te ich dokumenta i przywileje—cerografy, któremi Siedmiogród związał sobie ręce w obec tych zdrajców.... Zrobię Dimona szlachcicem, odzieję w płaszcz szkarłatny, niech tylko spali te ich podłe pargaminy!....

Te pargaminy były już przecież przeniesione wszystkie do głębokich, sklepionych piwnic, które się znajdowały pod ratuszem. Znoszono je tam w niełądzie, w pośpiechu, który kazał rękom drżeć, ale wszystkie były już zabezpieczone przed zniszczeniem jakiegokolwiek rodzaju. W piwnicach tych kryło się jeszcze kilkadziesiąt kobiet, które tu przybiegły w przerażeniu i których nie odepchnięto. Były matki, które pozostawały w domu, ale córkom nakazywały pod błogosławieństwem uciekać do lochów ratusza: nic to jeżeli się spali i one zostaną żywcem pogrzebanemi pod górą gruzów ogromnego gmachu! Nic to!.... los ich na powierzchni ziemi nie byłby lepszym....

W sali na górze ojcowie i mężowie tych kobiet odbywali naradę. Przy wielkim, zielonym suknem nakrytym stole, zasiadł burmistrz z radcami. Na pytanie, co czynić im wypada? odpowiedziało zrazu tylko głuche milczenie, ale wkrótce potem podniosło się wiele głosów namiętnie sprzeczających się między sobą. Krzykliwe były i coraz silniej podnoszące się w dyapanzonie swoim, bo chciały panować nad opozycyą przeciwników i straszliwym hałasem z ulicy. Wiele z nich domagało się deputacyi do Batorego i błagania o łaskę, ale niemniejsza liczba wołała:—Nie.... nie.... nigdy.... Zdrajca jest i człowiek podstępny— przyrzecze i nie dotrzyma, a na gruzach naszych domów zostanie ta hańba, żeśmy spodlili się daremnie....

Odpowiadano im niemniej gorąco, że nie mają prawa brać na siebie odpowiedzialności wydania na zniszczenie tego, co nie budowali oni, ale wieki. Hałas wzrastał; zapomniano prawie, co to jest za chwila, gdy z ławy podniósł się starzec siwy i zażądał głosu. Burmistrz mu go dał, uciszając spory, a sędziwy ławnik powstając oświadczył, że nikt prócz Boga nie może wiedzieć w tej chwili, co może być dobrem dla miasta i zażądał, aby dano każdemu wolę postępowania jak chce, unosząc tylko z pogromu to, co w ostatniej nawet klęsce uratowanem być zawsze może: zaprotestowanie przeciw sile, której przeciwstawić się nie zdołano.—Zaprotestujmy przeciw gwałtowi i zostanie to wiekowem świadectwem, że gwałt to był, co nas bezbronnemi uczynił. Nie myśmy odstąpili od praw, które przysługiwały nam i dzieciom naszym, lecz odjęto je nam przemocą....

Skończył a milczenie jeszcze trwało, aż przerwał je burmistrz. Siedząc na wyniosłem swem krześle z poręczami, trzymał rękę na wielkiej księdze, oprawnej w białą skórę. Księga to była archiwalna, jedyny papier nieuniesiony z sali radnej, bo trzeba w niej było zapisać rezultat odbywającego się posiedzenia i oto miał on być protestacyą radnych Hermansztadu przeciw napadowi Batorego. Burmistrz oświadczył się za wnioskiem ławnika i wezwano pisarza, aby akt ten spisał—a przypadek chciał, że w tej chwili zagrzmiał pierwszy wystrzał armatni, wymierzony przeciw miastu, z jego własnych, a w moc napastujących przeszłych teraz dział. Huk rozległ się straszliwie i szczątki szkła z powybijanych od pocisków szyb wypadły z brzękiem głuchym. a zaraz potem usłyszano pierwsze uderzenie topora, niszczącego dach radnego domu. — Protestujemy! —

zawołał burmistrz, a że trudno było pisać w ciemności, niewiele co rozświeconej przez ogień kominowy, rozkazał służbie zapalić światło.

Ci, co nabijali przed chwilą karabinki strzelającym z okna panom, teraz oświecili salę tak jak, bywała oświecaną niekiedy na walne zebrania wieczorne. Bywało tak zwykle w wigilią Nowego Roku. Zamykano czynności ubiegłych dwunastu miesięcy i spisywano wezwania do zgromadzenia się w pierwszą Sobotę rozpoczynającego się roku, dla wybrania nowej rady.

Wielki pająk spuszczający się nad stołem radnym, zostawał zapalony, a płomienie dwudziestu czterech świec jarzących, łamiąc swój blask w kryształach zwieszających się w koło ozdób, rozlewały światło po nad stołem. Teraz nie było czasu tego czynić: zapalono ich tylko sześć, lecz zarazem zapalono i cztery pochodnie woskowe, trzymane przez cztery marmurowe postacie stojące w rogach sali. Burmistrz posunął księgę i pisarz spisał to, co mu dyktował: „My, burmistrz wolnego miasta Hermansztadu, siedmiu radców do pomocy nam dodanych i ławnicy, przedstawiający współobywateli naszych, a przedniejszych miasta mieszkańców, protestujemy przeciw czynowi księcia Siedmiogrodu, Gabryela Batorego, którym bez żadnej przyczyny, jawnie wyłuszczonej, prawa naszego miasta naruszył, podstępem w mury jego siłę zbrojną wprowadził i gwałt miastu naszemu zadał...

„Protestujemy zatem my wszyscy, niżej podpisani i zakładamy zarazem apelacyą do przyszłości, aby przyznane nam prawa zwyczajowe: *usus* i przywileje, zapewnione księgami nadań i ustawami dawnych władców Siedmiogrodu, pozostały nietknięte tak, jak przez nas zaprzysiężone i przysięgą koronacyjną jego książęcej mości Gabryela Batorego utwierdzone były. Datowane w izbie radnej ratusza naszego 12 Grudnia 1610 r.“

Wszystko to było spisane po łacinie, jak tego unia Węgrów z Sasami wymagała, a ręka piszącego, choć drżąca, usiłowała czynić pismo swoje wyraźnem. Kończył właśnie, gdy drugi wystrzał armatni zagrzmiał, a tym razem kula przebiwszy żelazną okiennicę, wpadła do sali i przeleciawszy nad głową piszącego, utkwiła w przeciwległych drzwiach. Zrobił się popłoch straszny. Stojący w koło stołu odskoczyli pod ściany, ale burmistrz zdołał zachować zimną krew. Posunął księgę do sie-

bie, podpisał i wywołując z listy nazwiska tych, których podpis powinien był tu się znajdować, podawał im księgę do podpisu.

I wszyscy stawili się na wezwanie, siłą ducha burmistrza podniesieni, a było teraz w izbie radnej jaśniej. niż wpierw, bo zgruchotana okiennica dawała przystęp jasności pogodnego, słonecznego dnia przez odsłonione okno. Światła mieszały się ze sobą, ukazując oblicze blade, jak kreda.

Zanim podpisy ukończono, stał się wypadek nowy jeszcze. Dimon dorąbał się do sufitu sali, która była wysoką na dwa piętra. Już poprzednio słychać było nad głowami piszących rumot walących zapamiętale toporów, aż naraz świecznik zatrząsł się tak. jakgdyby miał nagle runąć, a w jednym kącie sali powała zaczęła się walić, gruzy sypały się leciały z trzaskiem i hukiem. napełniając komnatę radną kurzem, a serca ludzkie trwogą. Już też teraz mała tylko garstka odważnych pozostać zdołała. Uciekano—uciekano tłocząc się, potrącając i przy burmistrzu pozostało tylko sześć osób—mężów tak, jak on nieugiętych.

Trzeba było kończyć pośpiesznie ostatni referat, jaki miała sporządzić wolna jeszcze rada miasta Hermansztadu, zanim miejsce jej obrad ulegnie ruinie ostatniej i burmistrz wzruszonym głosem zawołał na pisarza o pieczęć miejską.

Dwie świece paliły się na stole po dwóch stronach kunsztownej brązowej szkutułki, w której zamknięta była pieczęć. Zanim pisarz zdołał ją otworzyć rękami, które drżały, przez otwór wyrąbany w powale, a który powiększał się coraz wśród huku rąbiących toporów, wpadło kilka palących się wiązek siana. Padając na gruz, który zalegał już posadzkę, rozleciały się na garście płomieniste, napełniając sale ostrym, gryzącym dymem.

— Pieczęć! panowie — zawołał burmistrz. — Ten miał tak wielką siłę panowania nad sobą, że prócz bladości, twarz pokrywającej, nie było znać na nim ani trwogi, ani przerażenia. Śpieszył się tylko, aby nie zabrakło mu możności wykonania obowiązku. Gdy pieczęć wręczoną mu została, dopisał szybko pod niedokończonym szeregiem podpisów: — „Reszta nieobecna" i pieczęć na rozpuszczonym laku wycisnął.

Poczem księgę na bronzowe klamry zamknął, pieczęć w szkatułce umieściwszy, zanadrze schował, a wreszcie księgę samą pod

pachę biorąc, rzekł:—Odraczam posiedzenia nasze, aż do czasu, gdy panowanie przemocy, której ulegamy, usuniętem zostanie...

— Księgę i pieczęć unoszę ze sobą i chyba razem z życiem odebraną mi zostanie. Gdybym, unosząc ją ztąd padł, jeszcze ją trupem moim nakryję, a wtedy, jeżeli będzie gdzie blisko jaki człowiek uczciwy, niech ją podejmie i przechowa— świadectwo to gwałtu popełnionego na nas i mieście naszem.....

Wyszedł w samą ostatnią już chwilę, aby tak on, jak i protest przeciw Batoremu założony, nie został pogrzebany pod gruzami i stlony wraz z niemi na popiół. Wiedział on, że już nikt, prócz chyba Boga, ruiny i pożaru radnego domu Hermansztadu nie wstrzyma, przecież płaszcz, który miał na sobie, zdjął z bark i rzucił go rozpostarty na palące się siano, buchający w górę płomień przygaszając.

Nie zostawił po za sobą pożogi obojętnie — spełnił powinność ojca miasta i wyszedł na mróz grudniowy w szacie lekkiej, unosząc tylko pieczęć i księgę archiwalną.

Koniec Tomu II-go.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ROZDZIAŁ I.

Siedmiogród w 1611 roku.

Wybuduj sobie wspaniale wysoką wieżę; postaw na nowo zwodzone mosty; szczyty gór zaludnij rycerzami; na wieżycy zatknij dumny sztandar.
Bulwer.

Uniesmy się na śmiałych skrzydłach wyobraźni, jak orzeł, który w chmurach pływa; ulećmy po nad ciasne doliny, po nad wyżyny gór i z obłoków spójrzmy na Siedmiogród, który, w tysiącu odmian leży przed nami, jak obraz czarodziejski. Jako nieprawidłowy trójkąt roztacza się on z zachodu na południe; olbrzymie góry i skały tworzą jego naturalną granicę; część ich, to odnoga starych Karpat, która niezliczonemi gałęźmi rozchodzi się po całym kraju i obejmuje obszerne przestrzenie, i tu leżą najpiękniejsze doliny w Siedmiogrodzie, jak: Ogaras, Hatszeg, Harom Szek i mnóstwo innych. Pierwszą rzeczą którą ówczesny Siedmiogród od dzisiejszego odróżnia, to bujniejsza, dziksza natura. Puszcze, które dziś zniszczył okrutny topór lub ogień, rozciągały się wówczas od gór do gór, od doliny do doliny, gęste, nieprzebyte, pokrywające głównia Szekelyföld (ziemia Szeklerów) lecz niemniej i innym częściom Siedmiogrodu, nadające przez wdzięk młodości wspaniałą piękność. Bezpłodne dziś pustynie, były wówczas niby oazami wonnej zieleni lasów, niby wyspami pełnemi życia i wrzawy.

Wdzięczną dla oczu rozmaitość, stanowi widok cichych, żyznych dolin. U stóp gór ciężkie, bogate kłosy złocą pola uprawne pracowitą ręką Szeklera, albo zieleni się wysoka trawa na pastewnych łąkach, albo wdzięczą się kwieciem i owocem rozległe sady i ogrody.

Potężne rzeki szumią, płynąc wskróś tych płodnych dolin, przyjmując w siebie tysiące drobnych strumieni. Jak roztopione srebro płynie ku ziemi węgierskiej rzeka Nagy-Szamos, poczem, zatoczywszy łuk olbrzymi, opływa piękne, w historyczne wspomnienia bogate okolice, a między niemi Dees, gdzie według starej legendy, sześciu wodzów węgierskich uznało prawdziwego Boga. Dalej to Tuhuvar, gdzie Tuhu-wezyr pierwsze rozbił namioty i zbudował szańce, których resztki dziś jeszcze dają się widzieć.

W pośrodku tego krajobrazu widziemy najpiękniejszą rzekę Siedmiogrodu, zieloną barwą mieniące się wody Maros, gdzie na brzegach młyny klekoczą, a na falach płyną tratwy i statki różne, śpieszące się ku południo-zachodowi. Najpiękniejsze, najbogatsze punkta nadbrzeżne: Maros-Ujvar, Fehervar, Branyicksa, a tu starożytny zamek Szalanczi, który w epoce Izabelli należał do potężnego rodu Martinuzzich. Niżej na południe żółtawy Olet lśni przed naszem okiem, przecinając dolinę Fogaras, otoczoną śnieżystemi wierzchołkami Alp wołoskich. Z uroczystą powagą gnąc się niby wąż dyamentowy, śpieszy on do starego Dunaju. Zczerniały od burz czasu gród Fogaras, znakomita twierdza obronna, a w chwilach niebezpiecznych schronienie władców Siedmiogrodu, w epokach krwawych zapasów wojennych, nad brzegiem Oltu wznosi swe odwieczne mury.

Niemniej ciekawe okolice przepływa Aranyos (rzeka Złota), Kulullo, Saje i tysiące strumieni, srebrzystą swą falą użyzniających piękną krainę Siedmiogrodu. Piękności tego obrazu wzrastają, gdy tuż obok po nad niemi piętrzą się niebotyczne skały granitu, nieraz na kilka tysięcy stóp wznoszące się nad poziom morza. Wśród tych skalistych wyżyn ciągną się obfite żyły rozmaitych kruszców. Najwyższe szczyty przedstawia Szurul nad Hermansztadem, Retyezas nad Hatszegiem i Mggura nad Radną.

Nie bezludnym przecież, ani też nie pustym jest ten kraj prześliczny; otoczone murami grody stare widnieją tu wszędzie. W samym środku Kološvar z dumnemi wieżami, niżej już

murami nie zaćmiona Torda; na południu Hermansztad, Brasso (Kronsztad), Deva; na północy Besztercze (Bistritz). Wszystkie te miasta nie były wówczas tak wielkie, białe, porządne, jak są dzisiaj! Panowała tu znacznie większa prostota w urządzaniu życia, daleko mniejszemi były jego wygody, ale ludzie w nich żyli zadowoleni i szczęśliwi.

Lecz nie tylko w dolinach znać było ludzką gospodarkę. Na szczytach gór unosiły się obronne zamczyska, nie w ruinach, jak dzisiaj, nie przez jaszczurki i nietoperze zamieszkałe, nie cierniem i ostem zarosłe: ale silne, wspaniałe, wyniosłe, z obrobionych kunsztownie kamieni, lub barwistej cegły zbudowane. Potężne baszty, wały obszerne, mosty zwodzone, silne arkady pogrążone w wodzie, otoczone białem i różowem kwieciem nenufarów, i ich zielonym lśniącym się liściem, nadawały zamkom moc i powagę.

Nie rozlewały się wtedy wśród pustych komnat z oknami bez szyb smętne blaski księżyca; nie zaludniały ich posępne duchy i cienie przeszłości, w obszernych salach nie królowała samotność i milczenie.

Kwiat dumnych węgierskich rycerzy na bogato osiodłanych rumakach, w barwnej odzieży, z orężem w ręku, z piersią pełną gorącego pragnienia chwały, wali w mocne, twarde bramy zamkowe i tętnią kopyta rumaków po mostach zwodzonych. Na obszernych balkonach i we wspaniałych komnatach, których ściany po tylu stuleciach, dziś jeszcze podziwiamy, czekają ich piękne panie i panny—matrony i dziewice, a na obliczu każdej powaga i słodycz i wdzięk niewymowny, czy na licach ich kwitną róże wiosny, czy śnieg zimy bieli włosy. I jedwabne ich szaty szeleszczą po kamiennej podłodze, a drobne, lekkie nóżki młodych ledwie dotykają ziemi haftowanym trzewiczkiem. We włosach pań dostojnych błyszczą złote węże łańcuchów, wschodniemi perłami przetykane, są kosy dziewic. A gdybyś je zobaczył w dnie godów: w sukniach złotem i srebrem tkanych, w drogich naszyjnikach dyamentowych, naramiennikach i manelach, nie mógłbyś bez rozkoszy wewnętrznej patrzeć na te istoty świeże, pełne życia i wdzięków niezrównanych.

Stały jeszcze wtedy miasta i zamki: Dera, Gorgany, Hermany, Feketahalom, Köhalom, Sesa, Udvarhely, Töres, Betlen, Hartad, Leanyvar, Kolcz, Rozsnyć i niezliczone inne grody, które dziś po większej części w ruinie leżą lub ku niej się chylą.

Jakże ciekawym musiał być podróżny, wjeżdżający tam, gdy spuszczać poczęto na ciężkich łańcuchach mosty zwodzone, gdy strażnicy na wieżach trąbili w rogi, a z lasów i dolin wypływały lśniące szeregi rycerstwa, zbrojnego w kopie i szable.

Taki to obraz piękny i wspaniały przedstawiał Siedmiogród w r. 1611.

Sasi poopatrywali mury miast swoich, wrota pozamykali, na wieżach postawili bacznych strażników. Widziało się ciemną nocą wieśniaków, jak do grodów i zamków na ciężkich wozach wieźli swe mienie. Na szeklerskich wozach rozjeżdżali się po kraju werbownicy księcia z muzyką cymbałów i skrzypiec, bogatemi darami jednając sobie stronników. zawsze gotowych do boju, ze śmiechem na ustach zamieniał Szekler lemiesz na włócznią, siekierę na ciężką maczugę. Od wypadków opisanych w rozdziale poprzednim naszej powieści, minął pewien okres czasu, zbyt ważnemi brzemienny wypadkami, abyśmy mogli go milczeniem pominąć.

Hermansztad uczynił Batory swą rezydencyą książęcą. Sędziów hermansztadzkich i radę miejską, która musiała ustąpić sile po daremnej protestacyi i nieustraszonej obronie, wtrącił do turmy. Zbiór dokumentów i dyplomów zniszczył, i tylko księga archiwialna, którą burmistrz ukrył tajemniczo, pozostała mieszkańcom Hermansztadu, aby świadczyć o tym dniu okropnym, w którym odjęto im zaprzysiężone prawa i przywileje na zasadzie, że pozostali pomimo unii z narodem. cudzoziemcami, uważającymi węgierską ziemię nie za dom swój, nie za macierz swą prawą.

Popełniono w Hermansztadzie wiele okrucieństw, a gdy Gabryel Betlen i inni zwracali uwagę księcia na skutki tych siejących nienawiść postępków, odpowiadał dumnie, że nie może łagodniej ukarać Sasów za zabójstwo Andrzeja Batorego, dodając, że dla dobra Siedmiogrodu należy wytępić całe to plemie. zawsze wrogie i obce wśród miejscowej ludności, nie chcące się z nią zlewać w jedną całość, chowające nienawistną Węgrom i Szeklerom odrębność swą niemiecką. Że tak było—dzieje dowiodły, ale dlaczego sprowadzono do kraju ten żywioł obcy i czekać nie chciano, aż w procesie wieków węgierskim się stanie? Ale ludzie nie chcą brać w rachunek skutku błędów swoich, nie leczą zła racyonalnie pokutą powolnej pracy, ale

chcą łamać gwałtem to, czego gwałt nie łamie — duszę i serce ludzkie

Na drugi dzień po zburzeniu Hermansztadu, przybył tu Gabryel Betlen. Szlachetną jego duszę przejęła zgroza na widok rozciągający się do około. Surowo i zimno przyjął go Batory, ale to nie przeraziło ani trochę Betlena. Śmiało rzucił mu w oczy słowa prawdy z powodu zniszczonego miasta i żądał, aby książę wypuścił z więzienia sędziów i radę.

Batory powtarzał jedno wciąż, zarzucając Sasom dwulicowość i fałszywość; twierdził, że ich wodzowie, jak Niemiec Vehm, tajemnie knują spiski na jego życie, że otoczyli go gromadą szpiegów i do tego stopnia posuwają swe zuchwalstwo, że ośmielają się przed nim wrota miast swych zamykać. I dowodził, że ich język, ich zwyczaje, prawa i przywileje taką siecią oplotły Siedmiogród, że Węgrzy muszą tu zejść na plan drugi: ustąpić pierwszeństwa — przybłędom. Węgier musiał rzeczywiście westchnąć, myśląc o tej obcej, a uczuciem miłości ojczyzny tak jak on nie ożywionej ludności licznej, ale czemuż sam ją tu wpuścił? Rycerz dumny, nie chciał się jąć pracy, dającej dobrobyt, a którą on pogardza i sprowadził sobie robotników, nie myśląc, że ci ludzie rozrodzą się przecież z czasem—że odgrodzeni od całości narodowej brakiem sympatyi, nie zleją się z nią. Wpuścił ich w środek kraju, chcąc mieć z nich wieczne sługi i oto wytworzył sobie w domu własnym wrogów.

Betlen wszelkiemi sposobami starał się przekonać księcia, że niechęć ludu saskiego przeciw niemu, wywołały głównie samowolne postępki Węgrów.

— Nie drażnijmy ich — mówił — nie naruszajmy praw nadanych, nie żądajmy od nich więcej nad to, co dać mogą—wiecznego upodlenia i niewytrzymalnego dla każdej istoty ludzkiej stanu swego upośledzonej niższości.,..

— Nędzne szczury miejskie, podłe krety i chciwe wyzyskiwacze, wyciskujące z nas pieniądz wszelki—odpowiadał Batory gniewnie.

— Czy rozbojem pieniądze zabierają—zapytał Betlen—pracują i zbierają owoc swej pracy. Oszczędni są i nie roztrwaniają tak, jak my. zarobków naszych i to ich bogaci.

— Dość — zawołał gniewnie Batory. — Rad i wskazówek o tyle potrzebować zwykłem, o ile ich żądam. Czy wiesz wasz-

mość, że kochać swój kraj nadewszystko, zowie się to cnotą węgierską, a waść ją depczesz nogami, stając w obronie Sasów. Po chrześcijańsku to jest może kochać nieprzyjacioły, ja przecież chrześcijaninem takim nie będę nigdy.—Tak, tak! — wołał z wzrastającem uniesieniem — przez tę twą cnotliwość masz waszmość wielu przyjaciół w Siedmiogrodzie, masz popularność i czy czasem jaki plan zuchwały nie przychodzi waści do głowy, że po Batorym mógłby siedzieć na tronie Betlen? Coś na to wygląda to miłosierdzie waszmości dla Sasów. Przyjaźń ludzka potrzebna bywa dla ambitnych, jak łaska Boska.

— Dla ambitnych! Tak, mam ja tę ambicyą, abym zawsze szedł drogą prostą i dlatego w tej chwili stoję tu przed waszą książęcą mością ze słowami prawdy na ustach....

— Gabryelu Betleniu! — rzekł Batory podniośle — dopóki purpurowy płaszcz władców Siedmiogrodu mam na ramionach, dopóki berło książęce jest w mych rękach, niech się strzeże każdy zuchwały, aby jego plany nie zostały zdemaskowane.

Betlen otworzył usta, chcąc mówić.

— Od mądrych rad zwalniamy cię na zawsze — zawołał żywo książę.—To rzekłszy, odwrócił się i wyszedł do drugiego pokoju.

Betlen jeszcze próbował wpłynąć na księcia, lecz bezużytecznie. Imrefi i inni tak potrafili przeciw Sasom rozgniewać Batorego, że nie chciał zmienić tego, co raz postanowił.

W kilka godzin później otrzymał książę z Kronsztadu list, który porwał z radosnem uniesieniem, lecz czytając go, pochmurniał coraz bardziej. Wreszcie wezwał Imrefiego. Imrefi przystąpił i, rzuciwszy okiem na papier trzymany przez księcia, przeczytał u dołu nazwisko Celesty.

— Daj wiedzieć uwięzionym Sasom—rzekł Batory, że puszczę ich wolno i daruję miastu jego bunty, jeżeli w pięć dni od dzisiaj złożą mi okup 52,000 florynów. Byłbym surowszy — wziąłbym pieniądze i życie, ale potężny głos wstawia się za niemi.

— Celesto!—zawołał Batory. Co za słodycz anielska płynie z twych słów, ale o miłości nie mówisz nic.... Wszystko zdaje się być zapomnianem przez nią.... Na Boga, to czarowne dziewczę mieszka w mem sercu i głębiej, niż jakakolwiek inna kobieta. Tyle razy chcę o niej zapomnieć, i oto znajdzie się zawsze coś, co mi jej miłość przypomina! — Ona prosi, — prosi

o łaskę dla Sasów, bo to bracia jej — ziomkowie.... Ale zkąd ona już wie o wszystkiem? zkąd wie o tem Weiss i Sasi w całym kraju? jestem otoczony szpiegami!

Batory zamyślił się ponuro.—Kto może być tym szpiegiem? to zbadać mi potrzeba. Rozogniony chodził po komnacie. a fale różnych myśli przepływały mu przez umysł.—Celesta! — mówił sobie z westchnieniem — to anielska dusza. Nie mówi nic o miłości, ale wiem przecież. że kocha, jak nie kochała mnie dotąd żadna inna kobieta. I ja daje jej takie uczucia jak żadnej.... żadnej innej. Gdy żona tego buntownika Kornisa opanowała mi serce, to wspomnienie Celesty kochałem ja w niej. Dusze ich podobne.,.. słodkie i tkliwe.... Być kochanym przez taką kobietę—to być zbawionym....

Wystąpienie Gabryela Betlena i list Celesty, która nie jako ta, która kochała Ecsediego, ale jako pełna boleści Saksonka, prosiła księcia o łaskę dla ziomków swych, spowodowały, że Batory cofnął wyrok śmierci, jaki zawisł nad głowami najprzedniejszych Sasów. Dziko ten w gniewie swym zacięty człowiek, nie mógł dostatecznie zrozumieć ważności kroku Celesty. Jakąż ofiarę, jakiemż poświęceniem był dla niej ten list do niego. o którym pragnęłaby zapomnieć! Tęsknić wiecznie do Ecsediego a wiedzieć, że istnieje tylko Batory.... Ach! co za okrutna dola.....

Wyobraźmy sobie kobietę, *której całem szczęściem byłaby* piękność, i która po ciężkiej chorobie ujrzała nagle w źwierciadle twarz swą. okrutnie oszpeconą; albo skąpca. który przez życie całe głodząc się i cierpiąc niedostatek, zbierał złoto i zamykał je w skarbcu silnie obwarowanym i który ujrzał nagle, że go zrabowano; albo męża, któryby każdą kroplę krwi ojczyźnie poświęcał, a który zapoznany, niepojęty zostaje nagle okrzyczany za zdrajcę i obrzucany błotem przez tych, dla których serce jego biło miłością, — wyobraźmy sobie anioła, którybyy stracił niebo, a zrozumiemy dobrze, co działo się w duszy Celesty. Nie zdołała ani zapomnieć odrazu, ani kochać tego. który był tyranem i chciał uczynić z jej ludu nieszczęśliwego, zubożałego, stado jucznych bydląt dla dźwigania ciężarów, pod któremi musiałyby płynąć potoki łez i krwawego znoju. Ach! gdyby Ecsedi albo raczej Batory umarł. cierpienia jej byłyby może również ciężkie, lecz spokojniejsze. Ale w każdej chwili słyszeć coś okrutnego o człowieku, którego piękną duszę ubó-

stwiała była taką boleścią, jakiejby znieść nie mogła pospolita kobieta. Córka Weissa powiedziała sobie, że siła jest jej obowiązkiem i dlatego żyła dotąd, a przytem z głębi jej serca odzywał się głos tajemnej pociechy, że Batory nie jest tak złym jak jego czyny, ale słabym i namiętnym z czego korzysta zgraja podłych służalców. Przypomniała sobie, że jednak widziała w nim porywy szlachetne, szlachetne uniesienia. Ah! gdyby mogła być jego aniołem stróżem!....

A nie wróciła już do ciotki, przebywając stale u ojca gdzie Sewer często bywał, uważany zawsze przez Weissa jako syn domu, jak brat Celesty, a w nim wciąż rosła miłość i cześć ku niej; teraz lepiej jeszcze niż kiedy pojmował tę łagodną i czystą, tę szlachetną i zbolałą duszę, a choć milczał, ale w całej jego istocie było coś, co dowodziło, że to powietrze nawet, którem Celesta oddycha, jest dla niego życiodawczem. Tylko wobec Celesty był on szczęśliwy i spokojny a jedno jej spojrzenie mogło w nim lwa przebudzić lub w gołębia go zmienić. Że Celesty do Batorego pisała—wiedział; w pierwszej chwili pewien rodzaj przestrachu opanował jego serce, lękał się, aby Batory fałszywie nie tłómaczył sobie tego kroku, a może miłość kochanka czyniła go zbyt drażliwym i zdawało mu się, że Celesta poniża się przez tę prośbę. Ale gdy list jej celu swego dopiął, uczuł, że umiała nietylko z miłości swej czynić ofiarę. Dla szczęścia współziomków swoich schyliła się nawet do prośby.

Wypadki Hermansztadzkie wzbudziły bolesną nieufność do księcia we wszystkich miastach saskich, ale mieszkańcy Kronsztadu nie ujrzeli go jednak w murach miasta. Miał on zamiar tam zjechać w dniu 28 Grudnia, ciągniony może tęsknotą do Celesty, ale nagle wśród drogi zmienił postanowienie i rozłożył obóz pod Feketehalom. Lękał się własnej swej istoty, bał się być zanadto blisko ukochanej kobiety, aby szalonym jakim krokiem nie pogłębił jeszcze przepaści, która ich rozdzielała, a jednak tęsknił do niej jak do słońca swego życia, które chętnieby wiązał, gdyby w ten sposób mógł związać jej istnienie ze swojem.

Z Feketehalom, napisał do niej, dziękował że się do niego zwróciła, bo tylko na jej prośby przebaczyć mógł radzie hermansztadzkiej i darował życie tym, o niewierności których najmocniej był przekonany. Choć nie chciał jej mówić teraz o mi-

łości, nie mogąc dodać:—Bądź moją.—Jednak były tam wyrazy mówiące jej, jak tęskni za jej widokiem, jak pragnie być przy niej i przekonać ją, że zawsze jest ona jedyną kobietą, którą czci jak anioła z niebios.

List ten przyczynił Celeście więcej strapienia, niż radości. Chciała ona uratowania Hermansztadu, nietylko życia kilku jego obywateli; odważna zawsze, gdy szło o szczęście jej ludu, postanowiła raz jeszcze odezwać się do Batorego. I napisała drugi list. Dziękowała mu za życie tych, którym winy darował i błagała go, aby miał dla Sasów tę litość, na jaką zasługuje zawsze garść ludu, który stawszy się wygnańcem z własnego kraju, wszędzie na ziemi jest już obcym i podejrzanym. Prosiła dalej, aby wypadków hermansztadzkich użył jako groźby i wskazówki, aby ogłosił, że wszystkim przebacza i tym podniosłym czynem stanął wysoko w opinii świata i całego narodu.

Księciu ten list pełen miłości dla Sasów niezupełnie się podobał; może tylko odzywała się do niego w imię obowiązku, a czyż nie miała już dla niego nic nad te słowo? Zdawało mu się jednak, że w niektórych wyrazach czuć było tłumione uczucie, które mimowolnie się zdradzało i serce Batorego biło gwałtownie.—Czyż to jest anioł, nie istota rzeczywista—mówił sobie wzruszony i niewiedzący czy pragnąłby ujrzyć ją nagle inną, choćby ta zmiana popchnęła ją w jego objęcia? Kiedy z utęsknieniem wyciągał ręce w stronę, w której przebywała, czynił to z taką czcią, z jaką ludzie modlą się do świętych.

Dnia 30 Grudnia 1610 r. książę z całem swem wojskiem ruszył na Wołoszczyznę; mieszkańcy Kronsztadu wspomogli go pieniędzmi, ludźmi i orężem. Sewer był między tymi, którzy z nim pociągnęli. Dzieje tej wyprawy znane są z dziejów: Batory wszędzie zwyciężał i Sewer w jednym liście pisał do Celesty:—„Batory rycerz i wódz, a Batory książę to dwaj różni ludzie. Kto go widział śród gradu kul, na czele bojujących szeregów, ten widzieć w nim musi dzielną naturę męzką, która umie gardzić śmiercią——ten musi widzieć bohatera!“

Blask radości rozjaśnił lica dziewicy, wszystkie pulsa jej drgały, serce mocno biło.—Ecsedi!—zawołała z tryumfem, lecz wnet myśl jej zwróciła się na Sewera.—On kocha!—mówiła do siebie, i pisze tak o wrogu, o rywalu! Co za szlachetna, co za piękna dusza!

Wołoszczyzna została zdobyta, Serban Radmy rozbitym

został w końcu Marca 1611 r. Batory jako zwycięzca przybył do Kronsztadu, dodawszy do swych tytułów, tytuł wojewody wołoskiego.

Dziękował wtedy gorąco i szczerze rycerzom saskim, Sewera obdarzył mieczem wielkiej wartości.— Oto—rzekł—miecz, który, jak się nam zdaje, w dobre oddajemy ręce, naszego towarzysza boju, który chwałę ludu saskiego podniósł wysoko.

Nadto książę oświadczył Kronsztadowi swą wdzięczność i ofiarował mu cztery nieprzyjacielskie armaty.

Zanim Batory do Koloswaru powrócił, już go ze wszech stron zausznicy opadli i na nowo w nim dawne podejrzenia i dzikie chęci rozbudzili. Walka z nieprzyjacielem i podniesiony w górę sztandar ojczyny, wywołały chwilowo lepsze skłonności jego natury; lecz była ona zbyt słabą, aby się opierała złemu, i można było zawsze rozżarzyć w nim iskry namiętności, które obok cnót w duszy jego tliły. Możeby zatłumiły się, możeby inny wzięły kierunek, gdyby nie było Imrefiego i Dimona. Człowiek słaby i namiętny przedstawia smutne widowisko liścia, przez wiatr miotanego. Znikąd niestety, nie przychodzi mu oparcie, a zewsząd rwą go złe podmuchy. Jedna Celesta mogła była uratować Batorego, bo kochał ją jedną, ale dzieliła ich przepaść — ona, mieszczka, świeżo uszlachcona a on, książę panujący!... Los tak chciał, że ona musiałaby zestąpić bardzo nizko, aby on nie upadł.

W Maju na sejmie książę ostro wystąpił przeciw protestanckiemu klerowi saskiemu. Wkrótce potem gruchnęły głuche wieści, że Andrzej Nagy i Jan Elek ruszyli nagle z licznym wojskiem w stronę Kronsztadu. Gdzie zmierzali? pozostało to jeszcze tajemnicą, lecz szeroka droga otwierała się domysłom i strachowi.

Wtedy wystąpił czynnie na scenę Albinus, w tej chwili tylko radny kronsztadzki. Nie był on teraz burmistrzem, nie był wybranym ani powołanym, lecz jego umysł rzutki, jego energia i nieustraszoność, jego potężna wymowa i dzielne czyny, jego zachowanie się u ludu—dały mu miejsce wybitne śród tego tłumu pospolitych ludzi, którzy tylko lękać się potrafią, lub iść za wskazówkami silnego ducha.

Przemówił i Kronsztad jego słowa za rozkaz przyjął; postanowiono nie wpuszczać wodzów księcia do miasta; tajemnie lecz szybko wysłano do Raduly'ego posłów z prośbą o pomoc,

było to otwarte już stawienie księciu oporu, ale istniała prawie pewność, że Kronsztad uległ by losowi Hermansztadu. W starych nadaniach miast saskich, były rzeczywiście zastrzeżenia, że wojsk w miastach tych lokować nie będą władcy Siedmiogrodu i powoływano się na to, lecz rzeczywiście była to już wojna z księciem, a że Szeklerzy i Węgrzy właściwi nie podnieśli nigdzie jej sztandaru, był to jakoby bunt Sasów, zwłaszcza że Raduly dyszący zemstą, lękając się nowej klęski i pełen gniewu, zwrócił się ze swojej strony z prośbą o protekcyą do cesarza Macieja, który chętnie słuchał tych zażaleń, bo mu do planów jego pomagały i burza rosła coraz groźniejsza. Dnia 11 Czerwca gdy stanął Andrzej Nagy w Burzenlandzie, znalazł on Kronsztad zamknięty, Sasów pod bronią, Weissa na czele. Dnia 20 Czerwca sam Batory z wielką armią spotkał się z Nagym i rozłożył tobor między Feketehalom i Vidombakiem. Ale poseł saski nie bez skutku działał na Wołoszczyźnie. Dnia 8 Lipca wpadł ze zbrojnemi oddziałami wojewoda Raduly do Burzenlandu i rzucił się na Batorego.

Bitwa była krwawa, lecz Batory zwyciężał. Szeregi wołoskie uciekały pobite, tylko sasi z Weissem i Sewerem walczyli jeszcze, gdy nagle zmienił się los bitwy. Hajduki Błażeja Ordoga rzucili się na trupy Wołochów i poczęli je grabić. Napróżno odganiał ich Batory osobiście, napróżno własną ręką uśmiercił wielu podłych rabasiów: uważali oni zwycięztwo za pewne i nie chcieli być ubiegnięci w rabunku. Lecz w tej to chwili uciekające szeregi Wołochów zawróciły napowrót, krwawy bój rozpoczął się nagle.

— Gdzie książę?—brzmiały głosy ze wszech stron w jego szeregach, które znajdując się bez wodza, straciły wiarę w siebie i których przerażenie rosło. Imrefi, Jerzy Racz znaleźli się wkrótce między poległymi, Jan Elsk i Jerzy Varkocs dostali się do niewoli. Tylko Błażej Ordoga, pod którym konia zabito, walczył oparty o starą wierzbę; otaczały go stosy trupów, on przecież walczył niezmęczony, gdy naraz padł straszny grom....

— Książe w niewoli! — dały się słyszeć krzyki. — Wtedy Sewer pospieszył na czele Sasów, zeskoczył z konia i z mieczem w ręku, pieszo, rzucił się na Ordogę. Zmógł strudzonego już śmiertelnie wodza Szeklerów i wziął do niewoli.

Ze wszech stron biegli wojownicy księcia, a tu i owdzie słychać było przerażone głosy:—gdzie Batory?... Batory zginął!.

ROZDZIAŁ II.

Talizman.

Wy chcecie wiedzieć, kto jestem?
Jeżeli chcecie to poznać
Ściślej. . . . ja. jestem *ja!...*
Calderon.

Była północ. Po ulicach Kronsztadu żywo tam i napowrót krążyli strażnicy nocni; niekiedy z murów miejskich dawał się słyszeć głuchy odgłos trąby. Niebo było jasne a na jego bezchmurnem sklepieniu błyszczało tysiące gwiazd. Zimny wiatr zamrażał puszczające się tu i owdzie trawki wiosenne. W domu Weissa wszystkie okna były ciemne, w jednem tylko widać było światło.

Lampa, która je roznosiła, paliła się w znanej już nam poprzednio komnacie z posągiem Pana, lecz prócz jego miedzianego oblicza, wszystko tu zmienionem było, bo komnatę tę zajmowała obecnie Celesta, siedząca teraz samotnie. Jej piękna twarz była bardzo blada, a przy migotliwym blasku lampy trudno było poznać, czy lice dziewicy ukazują radość, czy boleść?

Sasi zwyciężyli! Już ona to wie i jej serce radować się powinno, choć Serban Raduly sobie całe zwycięztwo przypisał; nadto wściekły Wołoch postanowił miecz swój okrutnie zbroczyć we krwi niewolników. Weiss był jeszcze w obozie, Serban już przebywał w Kronsztadzie, gdzie dnia następnego miały się odbyć wyroki śmierci. Celesta też bynajmniej się nie cieszy ze zwycięztwa Sasów.... Oh! nie sama litość nad nieszczę-

śliwemi, którzy jutro znajdą śmierć za to, że mężnie stali przy chorągwi ojczystej, napawa ją żalem. Cała jej dusza rozpływa się w boleści. Okrucieństwo Serbana było znane, mordował wszystkich, kiedykolwiek w sporze z nim będących, bo zemsta była rozkoszą tej okrutnej natury. Daremnie też Celesta dzień cały usiłowała poruszać współobywateli, aby starali się wpłynąć na zmianę okrutnego wyroku. Mało tu ona w tej chwili znaczyła, gdy srogi Wołoch zagarnął miasto pod władzę swoją i nawet rezultaty bitwy, zwycięzkiej dla Sasów i Wołochów, a przegranej dla Węgrów, nie były jej znane szczegółowo. Nie miała już ona w koło siebie dawnych przyjaciół i mało kto pukał do bramy cichego domu bez pana, i wieść, że Batory wzięty został do niewoli, czy też zginął, nie doszła jej dotąd wcale i tylko smutne przeczucia jakiegoś wielkiego ciosu, pierś jej napełniały.

— Czegóż ja chcę?—mówiła sobie—czując, że wśród wieści o przegranej Węgrów, serce jej biło niewypowiedzianie z trwogi o Batorego. Załamywała też ręce targana nie samem tylko uczuciem niepokoju o los tego, który nie mógł stać jej się obojętnym. Przerażało ją to, co czuła z jego powodu.

— Wróg mego ojca i mego narodu, a więc i mój wróg! a jednak, o co za nędza! — wołała sama w sobie, ze wstrętem dla siebie, choć zwolna, zaczęła pytać się siebie, zali cała sprawiedliwość była po stronie Sasów? Czyż i oni byli całkiem bez winy?

Ach! wina była w nienaturalnym związku dwóch obcych, a razem związanych ze sobą plemion, była w niechrześcijańskiej dumie rycerstwa, które gardziło pożyteczną pracą ludu, potrzebnego im przecież, aby używali korzyści jego roboczego trudu. Celesta lała łzy i niejedno serce kobiece tak się targać musiało w tych czasach twardych wyrabiania sią pojęć i kształtowania narodów—w tych czasach, które okrutniej jeszcze niż dziś druzgotały szczęście jednostek.

Zakryła twarz rękami, pogrążona w bolesnej, cichej zadumie, gdy naraz usłyszała że ktoś zapukał do bramy, że mu ją otworzono, i że przybywający idzie prosto na wschody. Nie był to jednak krok jej ojca, a zatem któż to był?

— Zapewne poseł od niego!—zawołało jej serce i odgadło, bo Sewer to był, który nagle stanął przed Celestą, ale nie rozpromieniony, nie upojony szczęściem wygranej i to ją przestra-

szyło, jak przepowiednia jakiejś rzeczy niespodziewanej:— Bracie mój!—zawołała—bo tak zwała Sewera w chwilach uroczystych—bracie mój, cóż ty mi zwiastujesz?....

— Lękam się zali nie boleść?

— Boleść?.... Czy z pewnością ojciec mój żyje i jest zdrów— czy z pewnością oręż saski odniósł zwycięztwo?

— Tak Celesto....

Ona stała się bardzo blada, ale podniosła głowę.—Jakiejże boleści możesz się zatem obawiać dla mnie?

— Celesto.... ostatni akt bitwy był pełnym rzeczy niespodziewanych i zamieszania jak wśród dnia sądu Bożego. Szeregi i ludzie zmieszali się, nie wiedziano kto z walczących należy do której strony, gdy nagle popłoch, który się stał wśród wojsk siedmiogrodzkich, zdecydował o ich przegranej. Nie wiedziano gdzie podział się książę....

— Batory zginął....

— Nie, jakkolwiek mniemanie to zostało rozpowszechnionem wśród szeregów naszych i siedmiogrodzkich. Trup się nie znalazł i tym, którego brano za księcia był Imrefi. Wkrótce też rozeszła się wieść druga:—Batory uszedł z orszakiem swym przybocznym, właśnie w chwili, gdy Imrefi z garścią Szeklerów bronił wąwozu, który prowadził w głąb' szeklerskiego kraju.

Celesta stała teraz z podniesioną głową.—Nie—rzekła— to nieprawda jest! Mógł ledz i spoczywa gdzieś pod trupami innych, ale nie uszedł....

Sewer patrzył na nią i wyciągnął dłoń po uścisk jej ręki.—Tak—rzekł—Batory nie uszedł...

— Siostro — dodał — spieszyłem bardzo do ciebie, ale nie należy mi trzymać cię tak przy drzwiach, ani przy drzwiach tych rozmawiać z tobą. Uchodź w głąb komnaty, gdzie głos mój będzie dochodził tylko twych uszu....

Biedna Celesta, biedna saksońska dziewica cóż usłyszała wśród tej rozmowy, nie mającej nawet szmerem słów szeptanych dojść do uszu innych, niżeli jej?

A noc to była cicha jak rzadko, bez żadnego szumu wiatru, bez szelestu nawet liści na drzewach. I wśród takiej to ciszy pogrążonej we śnie natury, drogą Köhalom jechał oddział zaciężnej konnicy wołoskiej, w grubych płaszczach i czerwonych tureckich turbanach. Tylko szerokie, czerwone też szarawary odróżniały ich od Turków. Był to konwój odprowadza-

jący więźniów do Kohalom: było ich kilkunastu, wszystko tłum pospolity i tylko kilku na przedzie zdradzało, że są rycerzami. Jeden zwłaszcza, przyodzian z węgierska, wysokiej postaci i w pierwszym kwiecie wieku młodzieniec, jechał przodem na krok przed innemi. Zdawało się że koń i jeździec wysuwali się tak na czoło oddziału mimowoli, z przyzwyczajenia, a gdy za przybyciem do miasta oficer konwojujący, oddawał niewolników komendantowi miasta Marderowi, ten przelustrowawszy ich wzrokiem, ruszył ramionami!—Na co to zda się łapać i więzić tych ludzi, żywić ich w dodatku, bo jakkolwiek nie będę ich pasł przysmakami, niemniej coś jeść dawać im trzeba? Gdyby to tak kto z przedniejszych—nie mówię.

— Jest tu jeden zuch, i zawsze lepiej że się dostał do naszej ciupy, niżby się miał bić z nami—odparł oficer, wskazując wzrokiem na tego, który jechał przodem. Bił się jak dyabeł, ale dostał się w taką kupę naszych, że musiał się dać wziąć. Byliby go zasiekali.

— Młody jeszcze—rzekł Marder, zimnym wzrokiem przyglądając się wskazanemu. Szlachetka jakiś.

— Szeklerski góral.... Domyślam się, że to jest Bilibog, łowiec ludzi....

— Co?

— Łowiec ludzi—chart Batorego. Kto tylko zbiegł, nie czekając na to, co przeznaczała mu łaska księcia, dość mu było naznaczyć cenę na jego głowę.... Bilibog przynosił mu ją dobrze zawiniętą w czerwone sukno.

— Przyszła kolej i na niego. No, ten to rzeczywiście coś wart.

— Tamten wyrostek to jakiś szczwany lis. Wziąłem go już prawie pod miastem, bo się nas czepiał ciągle. Kto wie, czy nie motał zdrady?

W tej chwili konwój wjechał w obszerny dziedziniec rządowego gmachu, gdzie była turma miejska. Zatrzymano się i pozsiadano z koni, Marder pojedynczo przejrzał i przeliczał przyjmowanych niewolników. Przed tym, w którym domyślano się Biliboga, zatrzymał się dłużej i wpatrzył się w niego.

Szekler nie spuścił oczu. Oficer konwojujący rozśmiał się.—Kumie Bilibogu, masz wzrok jastrzębia—rzekł,

— Może orła—odparł zwany Bilibogiem.

Że to on był rzeczywiście, przekonano się natychmiast, bo

wyrostek, o którym oficer wspominał, usłyszawszy tę nazwę w jego ustach, wysunął się naprzód.—A.... a.... zawołał — witaj miły bracie!.... poznałem cię odrazu, alem dostatecznie pewnym nie był, że cię mamy między sobą....

Szekler zrobił lekki ruch ustami, ale nie raczył przemówić, miał głęboką marszczkę między pięknemi czarnemi brwiami.

— Cicho! — zawołał dowódzca konwoju, a młody chłopak odciął mu się ostro. Mówił płynnie czystym saskim dyalektem, jakgdyby był Sasem z rodu, a zdawał się mieć dyabła za skórą, tak dowcipnie i zuchwale razem miotał językiem·

— Cicho! — powtórzył teraz gromiąco Marder — będziesz miał możność wygadania się dowoli, bo wszystkich razem zamknę w jednej ciupie.... Marsz, naprzód....

W tych czasach były umyślnie dla niewolnika, w bitwach chwytanego, wznoszone po miastach więzienia — lochy na wpół podziemne, wilgotne i ciemne z małemi, na żelazną kratę zamykającemi się okienkami przy ziemi. Aby nie pilnować schwytanych, zamykano ich tak barbarzyńsko, iż dzisiejsze najgorsze kazamaty są pałacami w porównaniu z pomieszczeniem niewolników ówczesnych. Loch, który teraz przyjął rozbitków Batorego, był przynajmniej obszerny, niemniej wchodzący tu mieli wszyscy klątwę na ustach, prócz tego tylko, którego zwano Bilibogiem. Znużony był niezmiernie i blady, senny a oczy otaczały sine obwódki. Zaraz za wejściem oddzielił się nieco od towarzyszy i siadł na ziemi pod małem okienkiem, z którego zawiewający chłód miłym był widać dla jego rozpalonego czoła. Ów wyrostek, który poznał go i witał jako Biliboga, kilkakrotnie wzrok ku niemu obracał i widział, że oczy jego patrzą przez otwory krat ku błękitowi niebios, wyiskrzonemu od gwiazd.

Raz zdawało mu się, że oczy więźnia pełne smętnej zadumy, zaszły łzą i odbił się w niej blask gwiazd.

Powoli cichły klątwy i skargi, bo sen przyszedł je uciszyć. Wyrostek, śledzący Biliboga, rzucił się już oddawna na wilgotną ziemię lochu i spał, a wkrótce i Bilibog też położył się jak inni. Czy zasnął? trudno było odgadnąć, bo w koło odzywały się głośne, ostre chrapania, ale gdy pierwszy różowy promień wschodu wcisnął się do lochu przez okienko, on podniósł głowę i wstał. Nie miał teraz czapki, białe czoło było odsłonięte, a wysoka postać zarysowała się wśród nizkiego lochu w impo-

nujący sposób. Już też i inni więźniowie zbudzili się i posiadali, wyciągając stężałe ramiona. Ziewali, przecierali oczy, rozczesywali palcami splątane włosy, do których poprzylepiała się mokra ziemia więziennego lochu.

On patrzył na nich jakgdyby litośnie, a potem zapytał z jakich są pułków?

Na dźwięk jego głosu, jeden z młodych, przystojny chłopak z dużemi, pięknemi oczyma, zrobił jakiś dziwny ruch, zdjął żywo czapkę z głowy i podniósł się wyprostowany, ale on zmarszczył się najpierw i skinął ręką, aby siadł, potem przecież uśmiechnął się do niego łagodnie, a młodzieniec cały się oblał rumieńcem i już ani s ę ruszył z miejsca.

Bilibog zwrócił się do drugiego, też młodego żołnierza, ponawiając pytanie, z którego jest pułku? — Z oddziału księcia.... zabrzmiała odpowiedź wyniosła, a Bilibog spojrzał na niego bystro.—Jak się nazywasz?—zapytał.

— Piotr Tarka.

— Nie mówisz prawdy—odparł wtedy Bilibog.—W gwardyi księcia nie ma żołnierza tego nazwiska....

— Co?—krzyknął obrażony—więc ja kłamię? — Gdyby te psiekrwie Sasy nie zabrali mi pałasza, tobym wyzwał na rękę tego, co mi to mówi. Obciąłbym mu uszy.....

Bilibog się uśmiechał i dał znak żołnierzowi, z którym poprzednio rozmawiał, aby się nie mieszał do nich. — Jeżeli służysz w gwardyi księcia, to go musisz znać—zapytał.

— A spodziewam się.... Piękny, dzielny zuch z niego. Wczoraj pił z mojej manierki....

— O.... toście ze sobą w przyjaźni....

— I w jakiej jeszcze! ... Daj mi pić kolego!—zawołał na mnie właśnie wtedy, kiedy nam się najlepiej szczęściło i naturalnie żem mu podał zaraz manierkę. Napił się, otarł wąsa i dał mi w kark.—Słuchaj Tarka—rzekł—gdybym miał w mojej gwardyi stu takich lwów, tobym podbił świat cały i Sasów przepędził gdzie pieprz rośnie.

Bilibog się śmiał.—Szkoda żeś się dał wziąść do niewoli—mówił. Terazby już Batory nie mógł podbić świata—brakowałoby mu do stu jeszcze jednego lwa.

Zaczął wesoło, ale ostatnie słowa zadźwięczały jakgdyby żalem tłumionym:—Tak, teraz już nie podbije Batory świata—dodał.

— Dlaczego nie?—wykrzyknął Tarka. — Przecież mnie tu Sasi nie zjedzą i kiedyś puścić muszą, a przytem czy jemu braknie żołnierzy? Szeklerzy go kochają, jak samego Boga.

— Kochają go?

— O! jeszcze jak!.... Żeby był tylko w miastach nie siedział, balów nie wydawał....

Pierwszy żołnierz chciał mu przerwać, ale Bilibog mu nie dał i zwrócił się do Tarki, aby kończył:—Czy to bale tak znów bardzo przeszkadzać mu mogły w rządach?—zapytał.

— Bale i baby—powtórzył Tarka, nieustępując—przez baby przyszło na niego całe nieszczęście, bo się na niego panowie e to zbuntowali. I pono mieli racyę za sobą.... Cudzej żony brać nie można.

— Peti.... nie sądź go surowo, jeżeli jak mówisz—kochasz... Był smutny, Sasi na niego sprowadzali wciąż niepokoje, a w domu otaczali go niedobrzy ludzie.... był smutny....

— A czemu się nie żenił?

— Bo ta, którą kochał jedynie, nie chciała mu być wzajemną.

— Nie chciała być wzajemną księciu?.....

— Tak! nie chciała....

— A to mi dziewczyna... księcia nie chcieć.... drugiej takiej nie łatwo znaleść!

— Drugiej takiej nie ma....

— A nie wiesz kolego, jak się zwie?

— Nie dobrze pamiętam — odparł Bilibog.— Urwał rozmowę, obrócił wzrok w stronę okienka i zdawało się, że posłał gdzieś w dal westchnienie.

Śpiący ten wyrostek, który znał już dawniej Biliboga, obudził się w tej chwili i hałaśliwie zerwał się na nogi: — Brru— zawołał—jaki chłód piekielny.

Bilibog lekko drgnął na jego głos. Obecność jego zdawała się nie być mu miłą, może to go drażniło, że ten człowiek go znał inaczej niż Piotr Tarka i przytomnością swoją przypominał mu czasy owej ich znajomości, co widocznie było mu uciążliwą rzeczą w tej chwili. Towarzystwo Tarki znać milszem mu było. Obrócił się też do niego znowu:—Jeżeli Bóg da, że wrócisz kiedy między Szeklerów w góry, to wytłómacz im to tak, jak ja tobie, że książę choć na tronie, nie jest znów taki szczęśliwy, jak myśleć można.... Czasem się zrywa i karze zdraj-

ców, bo tych jest w koło niego tylu.... tylu! To ciężka rzecz być księciem...! nie ten się ciśnie do ciebie, co cię kocha, ale ten co chce coś zdobyć na tobie! Książę to wie, ale ulega nieraz—bo zmęczony. Gardzi, ale ulega....

W tej chwili w oczach wyrostka zaświeciły płomienie.— —Wyciąga sobie ich rękami kartofle z ognia, kumie Bilibogu, i dlatego ich trzyma przy sobie—zawołał.

Bilibog spojrzał gniewnie w oblicze młodzieńca. — Narzędzi jest zawsze dość—rzekł sucho.

— Niekoniecznie.... te, które nam przystają do ręki, cenne są dla nas.

Teraz już wszyscy pobudzili się i dzień był jasny. — Czy oni chcą nas tu głodem pomorzyć? —zaczęto wołać gniewnie.— Ludzie ci nic nie mieli w ustach jak przed bitwą, a było to już dwadzieścia cztery godzin temu.

— Wywalmy drzwi—rzekł ktoś a Tarce przypadła rzecz do gustu.—Jak mi Bóg miły najlepsza rada, ale nie warto, aby wołać na Sasów heretyków o kawałek chleba. Mnie tak się chce lecieć w świat i szukać księcia.... pewno mu tam potrzeba jego zuchów.

Bilibog patrzył życzliwie na żołnierza.—Potrzeba mu zawsze dobrych, czystych serc, ale kto wie gdzie on jest teraz? Może też w niewoli?....

— Książę.... Batory w niewoli! a toby już był sąd Boży! Dalibóg wywalę drzwi i ucieknę do niego.... Niech mnie Sasi zamordują, jeżeli złapią.

Przegarnął sobie dla fantazyi włosy na głowie i przysadziwszy się do drzwi, podważył je z całej siły, ale grube i mocno okute deski ani drgnęły.—Kolego! —zawołał też na Biliboga—chodź mi pomóż. Tyś tu najmocniejszy—po mnie!....

Bilibog bardzo był rad z tego uznania i przystawił się na zawołanie kolegi, próbowali razem, aż do gorącego potu na czole, ale Niemcy umieli obwarować swoją turmę i we dwóch także nic nie zrobili.

Złośliwy wyrostek zaczął się śmiać. a Tarka gniewać.— Coś ty za jeden smyku, abyś ze mnie kpiny sobie robił? — zawołał.—Wiedz o tem, żem jest Szekler konny.... Piotr Tarka!....

— A ja Paweł Kurta.... cóż, czy gorszy?

Zaimponowało to konnemu Szeklerowi, a Bilibog śmiał się wesoło. Choć był blady, choć piękna twarz młoda przeciągnę-

ła mu się, a ciemno-żółte smugi otaczały oczy, trzymał się poważnie i teraz chciał coś podpowiedzić Tarce, aby się miał czem odciąć, lecz w tej chwili drzwi skrzypnęły na ciężkich zawiasach i wszedł dozorca więzienia: ciężki, mocny chłop saski. Duży kosz chleba i kamienny dzban wody postawił na ziemi. Więźniowie rzucili się tłumnie na chleb, Paweł Kurta zajrzał do dzbana i skrzywił się pogardliwie:—Woda—rzekł.

— A cóż ty chciałeś?—wina—odparł mu stróż szydząco.

— Tak, wina.... ale teraz chcę od ciebie, abyś mi zaraz szedł do twego pana, Sebestyana Mardera i oświadczył mu, że pragnę z nim mówić.... Słyszysz: ja, Paweł Kurta, pragnę z nim mówić....

Dozorca spojrzał na niego z góry: — Ty mi rozkazujesz wołać do siebie komendanta, Sebestyana Mardera.... ty....

— Ja, i pamiętaj że może spaść na głowę twoją nielada nieszczęście, jeżeli zaniedbasz usłuchać mnie. Powtarzam ci to i wyłuszczam raz jeszcze: powiedz, że mam mu do powiedzenia rzecz, nie cierpiącą zwłoki.

Teraz wszyscy więźniowie słuchali, a Bilibog patrzył ostro na mówiącego, który nie tracił nic fantazyi. Słowa jego i ich ton były tak stanowcze, że dozorca przestał drwić.

— Kto go wie, co za jeden?—myślał.—W czasach ówczesnych nieraz los wojny oddawał w niewolę królów i książąt. Rozkazujący chłopak miał twarz zdradzającą stan wyższy i patrzył tak wyniośle, jakgdyby się rodził na stopniach tronu.

Dozorca wyszedł i w tej chwili Bilibog zwrócił się do Pawła Kurty z zapytaniem, które było prawie groźne.—Co to znaczy?—zapytał.

— Mam w głowie pewien plan, który każe mi się rozmówić z komendantem.

— Plan—powtórzył Bilibog i czarne jego oczy wpatrzyły się w Kurtę głęboko. — Jakież plany snuć można w więzieniu, wespół z jego dozorcą?

— Rozmaite. Można, naprzykład układać zdradę, ale nie to mam na myśli. Chcę się zabawić i posiadam talizman, którego siłę chcę wypróbować na wielkim wojowniku saskim, a w tej chwili naszym panu życia i śmierci.

Bilibog ściągnięte miał czoło i oczy wciąż badawcze.

—Pawle Kurto—rzekł—pamiętaj, że nie jest to czas na zabawki i figle, bo można drogo za nie płacić.... Nie jesteśmy tu....

— Na dworze księcia naszego i pana.... Tak.... ja jednak czuję się dotąd w służbie jego książęcej mości.....

— I to służąc mu, chcesz, Pawle Kurto, wypróbować potęgi jakiegoś talizmanu?

— Tak....

— Ale, słyszę, że idą na moje wezwanie — zawołał. — Wobec jego dostojności komendanta Mardera, wy, kumie Bilibogu, ustępujcie na stronę.

W turmie panował mrok taki, jakgdyby słońce nie weszło jeszcze. Kurta, odsuwając na bok Biliboga, zajął najjaśniejsze miejsce w pobliżu okienka, ale że światło szło z dołu, nie wiele mu to pomogło. Przecież za otworzeniem się drzwi pokazało się, iż Marder, bo on to przybywał — kazał sobie stróżowi przyświecać przez ciemne korytarze latarnią i ta rozświeciła loch cośkolwiek. — Kto tu chce mówić ze mną? — zapytał Marder — mały suchy, szczupłych kształtów człowieczek, co mu nie przeszkadzało być mężnym wojownikiem, jak szydząc powiedział Kurta. Teraz głos jego był zimny i surowy. Zimno i surowo posłał spojrzenie przed siebie, aby ujrzeć wysmukłą i hardo nadstawiającą się postać wyrostka, który rzekł poufale:—Ja to pragnąłem rozmówić się z waszmością, drogi panie komendancie. Mam interes....

— Ale, nie możesz mnie waszmość widzieć, a właśnie chodzi mi o to. Każ temu tam drabowi, niech podniesie latarnię i skieruje ją na mnie.

Stało się tak, jak chciał, lecz nie wywarło to skutku pożądanego przez Pawła Kurtę. — Warchole!—zawołał Marder—żarty sobie ze mnie stroisz.

— Nie żarty panie komendancie, tylko jak widzę nie znasz mnie waszmość, co szkoda jest, lecz poradziemy i na to. Pragnąłbym powiedzieć panu komendantowi coś.... ważnego....

— Mów—jeżeli rzecz jest rozsądna wysłucham cię i zrobię użytek ze słów twoich.

— Mam nadzieję że tak będzie, ale życzeniem mojem jest, abyśmy pomówili nieco na osobności.

Marder spojrzał bystro na wyrostka, ale potem dał znak głową, że się zgadza. Kazał dozorcy odstąpić od siebie w tył, a Kurtę wezwał, aby przystąpił do niego. Więźniowie zbici w kupkę — patrzyli. Bilibog stał na przodzie i w rysach jego objawiała się pewna podejrzliwa niespokojność. Stał się ponu-

ry i cała ta przyjemność jego młodzieńczej twarzy, która podbijała w czasie rozmowy z owym Tarką, z którego manierki pijał Batory, teraz zniknęła całkowicie. Stał się groźny i odpychał posępnością prawie dziką w wyrazie.

Tymczasem Kurta śmiało przystąpił do Mardera, a stróż więzienia, choć zdaleka, dobrze jednak świecił, bo blask latarni padał wprost na twarz młodego więźnia, który rzekł: — Panie komendancie, czy jakikolwiek niepokój panuje na mojej twarzy, czy wyglądam na zastraszonego? Spałem bardzo dobrze, choć nie powiem, aby nocleg u waszmość pana, był wygodnym, lecz okazuje to najpierw, żem był zmęczony, a potem dowodzi, że mnie nie dręczyła trwoga żadna.

— Do rzeczy—zawołał Marder.

— Rzecz sama jest bardzo krótka i wyłuszczę ją w kilku słowach. Posiadam pewien talizman....

Marder nasrożył się znowu:—Chłystku:—krzyknął—nie jesteśmy tu na placu, gdzie tacy jak ty grają w piłkę. Mów prędko, albo przyznaj się odrazu, że się chcesz ztąd wydostać, probując figli, które przecież na nic się zdadzą, bo ja nie mam mleka pod nosem.

To wszystko było mówionem głośno, tak, że wszyscy słyszeć mogli, tak jak wszyscy uważnie patrzyli na obu aktorów tej sceny. Widzieli też, że gdy Marder krzyknął, Kurta uśmiechnął się: widocznie chciał się pobawić z komendantem jak kot z myszą, lecz wkońcu twarz jego spoważniała, przysunął się jeszcze bliżej do Mardera i przykładając usta do jego ucha, rzekł mu coś, a Marder drgnął, odskoczył i w osłupieniu spojrzał na wyrostka.

Że zwierzenie jego było bardzo krótkie, musiało nie zawierać więcej nad jeden wyraz: słowo umówionego hasła....

— Gdzie to podchwyciłeś.... gdzie podsłuchałeś?—krzyknął na Kurtę, ale ten stał prosty i spokojny, jak słup kamienny. —Prócz komendantów miast saskich, tajemnice mego talizmanu posiada tylko jeden człowiek, i albo ja nim jestem, albo on mi go zwierzył.

— Niepojęta rzecz—szeptał Marder zdumiony, ale powoli otrząsnął się z tego.—Nie—rzekł—ja jestem stary lis i nie łapię się na lada przynętę. O jednego niedorostka nie chodzi ani Sasom, ani nikomu, ale dla tego właśnie, że wiesz tajemnicę,

któreś mógł podsłuchać, nie puszczę cię bracie, z tej ciupy. Posiedzisz tu może dłużej, niż inni.

— W żadnym razie nie będzie to trwać do połuduia, panie komendancie, bo mam tu jeszcze przy sobie pismo, które wiem że znajomem jest waszności panu i proszę tu światła bliżej.... Hej.... ty durniu od latarni, daj ją tu sam...

Głos jego i pewność siebie wywarły ten skutek, że go stróż usłuchał; on zaś wyjął z zanadrza papier, otworzył, rozgładził i nie puszczając z ręki, jak cyrografu, który mu mógł i gdzieindziej posłużyć, podstawił go prosto pod wzrok Mardera, którego twarz przeszła w nowy jeszcze stopień zadziwienia.

— Dyabeł—szepnął.

— Demon—rzekł Kurta wesoło....

— Tak, demon—powtórzył Bilibog, którego twarz nie rozpogodziła się przecież na widok niespodziewanych tryumfów współwięźnia, a przeciwnie, stała się groźniejszą, posępniej zamroczoną.

— Hans—rzekł Marder do stróża—otwórz drzwi....

Zwrócił się zaraz ku niemu, ale musiał chwilkę poczekać, bo ten, dla którego również stały one teraz otworem, powrócił ku dotychczasowym towarzyszom swej doli. Skierował się ku Bilibogowi, ale ten cofnął się przed nim ze wstrętem, nie dając mu szepnąć sobie czegoś do ucha:—Człowieku!—rzekł z wyniosłością iście książęcą—nie przysuwaj się do mnie i nie kuś rąk moich. Teraz wiem już coś ty za jeden.... Teraz cię poznałem—ciebie i rzemiosło twoje....

— Tak.... poznałeś mnie kumie Bilibogu.... To ciekawa rzecz, bo przyznam ci się, że ja sam nie znam siebie i nieraz sobie mówię:—Głupcze.... ośle.... co w tobie jest? Dlaczego nie możesz być spokojnym jak inni.... Ale do zobaczyska kumie, jego dostojność komendant pięknego saskiego miasta Köchalom czeka na mnie, a zapewno mu tu nudno w tej przyjemnej komnacie gościnnej panów Sasów.... Do zobaczyska...,

Poszedł, a Marder, może i w tej chwili nie ufający mu, puścił go przodem przed sobą, nie chcąc go mieć za oczyma swemi w tyle. On to zrozumiał i uśmiechał się. — Mądry lud panowie Sasi—szeptał—mędrszy od wszystkich Węgrów i Szeklerów razem wziętych.

— Tylko mój przyrodni braciszek, dyabeł, jeszcze mędrszy od nich i pomoże mi okpić ich...

ROZDZIAŁ III.

Ta co cię kocha dziw,—cud z ciebie tworzy
w każdej godzinie....
Lessing.

Wieczorem dnia tego już około 9-tej godziny do bramy miejskiej zastukano silnie rękojeścią szabli. Pukał tak pachołek. który zsiadł z konia na rozkaz pana swego a wodza dość licznego oddziału wojska—kompanii zaciężników saskich, którzy zaciągniętymi zostali na nieszczęsną potrzebę wojny domowej.

Przodem na pięknych koniach jechało dwóch wodzów. Jednym z nich był Sewer. Poważną, choć smutną miał twarz, a wzrok jego z wyrazem wielkiego współczucia patrzył na towarzysza, który mógł być zmęczony jazdą pospieszną, jak to widać było po koniach, które choć mocne i do noszenia rycerzy przywykłe, przystanąwszy buchały kłębami pary, a towarzysz Sewera zdawał się być niezupełnie jeszcze dorosłym młodzieńcem, i mimo lekkiej zbroi, którą na sobie nosił i której kolczuga zakrywała mu twarz w tej chwili, wyglądał prawie na chłopca. Pukanie powtórzyło się dwukrotnie. lecz widać nie śpieszono się tam wewnątrz z otworzeniem bramy, bo nikt nie pokazywał się w okienku z zapytaniem o hasło, aż Sewer, który widać śpieszył się, zatrąbił dwukrotnie i w sposób, który też hasło musiał oznaczać, bo natychmiast z okienka wychyliła się głowa. — Kto jedzie? — zapytano, a gdy Sewer dał się poznać, brama rozwarła się natychmiast.—Rozkaz rady kronsztadzkiej, do komendanta — rzekł Sewer wtedy i Marder ukazał się natychmiast. Że człowiek był ambitny, wyraz rozkaz ubódł go widocznie.—Co to za rozkaz?—zapytał chmurnie, stawając przed Sewerem, który z konia nie zsiadał.

— Masz pan garść więźniów—rzekł tylko. — Jest między niemi Bilibog....

— Tak, lecz cóż to może obchodzić radę kronsztadzką? Więźniowie, których przystawiono do mojego miasta, do mnie należą i mnie okup za nich dostać się powinien.

— I dostaniesz go p. komendancie—odezwał się głos bardzo dźwięczny i łagodny, który lekko drżał.

— Któż to wykupuje Biliboga—ozwał się Marder do Sewera, nie zdając się zwracać uwagi na mówiącego poprzednio—mogę żądać okupu, jaki mi się podoba i targować się jak chcę. Niewolnik ten jest dość cenny i nie wypuszczę go na pierwsze lepsze żądanie, bo rada kronsztadzka nic do tego nie ma.

— Panie—zawołał młodzieniec, lecz Sewer żywo mu przerwał.—Rada kronsztadzka coś do tego ma, bo więźnia waszego zażądał od niej wojewoda Raduly, którego nie trzeba nam drażnić. Dlatego przysłany zostałem z okupem, oraz rozkazem, aby wymiana nastąpiła natychmiast.

— Tak.... rzekł Marder wyniośle.— Jest już po zgaszeniu ognia i mógłbym odpowiedzieć waszmości, że natychmiast, znaczy u mnie jutro rano, po otrąbieniu pobudki.

— Nie uczynisz tego panie komendancie, bo uznasz zapewne, że byłaby to nieużyteczna przewłoka — odparł Sewer surowym nieco głosem. Aby być w porządku, wręczam ci oto okup: w tym woreczku jest czterdzieści dobrych węgierskich dukatów. Sądzę że dość?

— Mógłbym powiedzieć, że nie. Szeklerzy drogoby zapłacili za tego ptaszka, a Błażej Ordög dołożyłby coś od siebie. Reszta moich więźni nie warta nic, prócz tego, aby w taczkach wozili ziemię dla wzmocnienia murów, otóż niech Raduly wykupi wszystkich. Za pięciu przedniejszych żądam po trzy dukaty za głowę, resztę puszczę sam na cztery wiatry, gdy mi dokończą roboty.

— Panie—ozwał się wtedy znowu młodzieniec—czy przyjmiecie za nich złoty, ciężki łańcuch, weneckiej roboty. Wart jest w dwójnasób tyle, co żądana summa. Albo go pan weź, albo przyjmuj w zastaw tylko.

Głos młodzieńca był wzruszony, wyciągnął żywo rękę do Mardera, podając mu łańcuch, który ten wziął machinalnie. Patrzył na młodzieńca uważnie. Choć mówił narzeczem saskim

jak ktoś, dla którego była to mowa rodzinna, on snadź coś podejrzanego w nim upatrzył.

— Czy i łańcuch przysyła Serban Raduly? — zapytał, nie spuszczając oka z młodego jeźdźca. — Ale Sewer odpowiedział mu prędko i ostro.—Od rady kronsztadzkiej, a po upadku Hermansztadu od najwyższej rady Sasów siedmiogrodzkich, przybywam do waszmości i spieszno mi jest załatwić sprawę, bo mam na jutro inną czynność zwierzoną. Czy wydasz mi waszmość jeńca, czy odmówisz tego?

Pytanie było postawione kategorycznie i Marder nie mógł już nic dodać od siebie, nie okazując się nieposłusznym najwyższej władzy swego narodu. Choć Sewera nie lubił oddawna, jako wychowańca Weissa, z którym miał dawny zatarg, też z powodu ambitnych swych uczuć wszczęty, niemniej dał natychmiast rozkaz, aby Bilibog wraz z pięciu więźniami, z któremi razem przebywał, został wyprowadzonym. Łańcuch wziął na zastaw, lecz nie z chciwości przecież, bo Sewera słowo mogło było więcej ważyć od tego klejnotu, ale podejrzenie jakieś co do młodego towarzysza Sewera, utkwiło mu w głowie. Patrzył na niego uważnie i widział, że jakoby zachwiał się na koniu, gdy dozorca więźniów wyprowadził ich z nizkiej sklepionej bramy, która wiodła od lochu więziennego.

Sewer tymczasem co prędzej z konia zeskoczył i podszedł żywo ku więźniom. Bilibog, odznaczający się swoją męzką postawą, szedł przodem, a on co prędzej przystąpił do niego.

— Choć jesteśmy sobie wrogami, wykupuję waść z rozkazu rady kronsztadzkiej—rzekł nie bez pewnego wzruszenia w głosie.

— Piotr Kurta mówił zemną—dodał szybko i teraz cicho, nachylając się zlekka ku łowcowi ludzi.

Marder przypatrywał się młodszemu jeźdźcowi i stracił dla wzroku swego ten żywy i dumny razem ruch, którym Bilibog wyprostował się na dźwięk słów Sewera. Postąpił ku niemu naprzód, lecz w tej chwili oko jego dostrzegło towarzysza Sewera i zatrzymało się na nim. Szybko potem obrócił się ku Sewerowi i spojrzał na niego głębokiem, długiem spojrzeniem, na które odpowiedzi znać nie dostał. Stał przez moment nieruchomy, ale już na otwartej przestrzeni przed bramą, a księżyc właśnie się wybił w górę i oświecił tło obrazu. Młody jeździec, znać zmęczony, pochylił się na szyję rumaka

— Na koń! — zawołał Sewer gromko. Mamy przed sobą drogę, którą rozkazano mi odbyć pośpiesznie.

Skinął na jednego z zaciężnych knechtów swoich, a ten natychmiast przywiódł Bilibogowi niemniej pięknego i wyniosłego rumaka, jak ten, na którym jechał Sewer.

Gdy ruszono, Bilibog obejrzał się na miasto, w którem przeżył pamiętne mu na zawsze chwile, lecz zdarzyło się, że uczynił to samo i młody rycerz, z którego oblicza ani na moment jeden jeden nie została podniesioną gęsta siatka przyłbicy i wtedy ich spojrzenia zatrzymały się na sobie.

Z bramy orszak wyruszył dobrym truchtem, ale potem zaraz zwolniono biegu, Bilibog prosił o to Sewera. — Czyś tak zmęczonym jest panie?—zapytał Sewer głosem wzruszonym, ale on potrząsnął głową.—Nie—rzekł—ale nie chciałbym tak rzucić za sobą bez pożegnania towarzyszów niedoli mojej, a nie wydążą za nami. Wiem, że lasek jest niedaleko i tam pożegnamy się ze sobą.

Tak się stało. Gdy drzewa lasku dały podróżnym zasłonę przed oczyma, mogącemi ich szpiegować, zatrzymano się, a Bilibog zesiadł żywo z konia. — Bracia—rzekł—musiemy się tu pożegnać, a wierzajcie, że mi smutno to czynić. Przejdziecie chłód i głód, ale nie mam nic, aby wam w tem dopomódz.

Głos miał wzruszony, przecież zwróciwszy się do Piotra Tarki zaśmiał się:—Kolego—rzekł—daj ci Boże doczekać, abyś z Batorem szedł świat podbijać.... Może się wtedy spotkamy....

— A! — zawołał naraz. — Marder zapomniał ściągnąć mi pierścionka z palca i proszę przyjmij go odemnie.—Rubin jest niezgorszy. ale nie sprzedawaj go. Skoro się znowu poprawi trochę w Siedmiogrodzie, idź z tem do Fehervaru, gdzie niedługo przybędzie Batory; pytając o Biliboga, pokaż pierścień komu z dworzan księcia, a ten doprowadzi cię do mnie....

Tarka czegoś się zmieszał. — Na dworze księcia? — rzekł głosem niepewnym.

— Tak, kolego. Powiem Batoremu, że go kochasz i przyjmie cię dobrze—do zobaczyska.

— Ale gdzie się teraz obrócisz?—dodał. — Do Fehervaru niech się ściągają zuchy....

— Ruszam w góry—odparł Szekler, a czuć mu było w głosie, że sama myśl o tem, iż się znajdzie tam wkrótce, pierś mu rozszerzyła.—O świcie będę w obozie Błażeja Ordogi—dodał.

— Nie ma już Błażeja Ordogi — rzekł Sewer, mieszając się do rozmowy.

— Nie ma Błażeja Ordogi—wykrzyknął Bilibog. — Gdzie się podział?

— Dostał się w ręce Serbana Raduly, a u tego niema pardonu, dla jeńców nawet—odparł Sewer.

Bilibog zbladł i usta zaczęły mu drżeć.—Ale u Batorego jest odwet!—zawołał.

Rozpłomienił się cały od namiętnego ognia, który mu zaiskrzył się w źrenicach, przecież zdołał się prędko powściągnąć i obrócił się do Sewera, wyciągając ku niemu ręce.—Takim samym byłby zapewne i los Batorego, gdyby nie miał wiernego przyjaciela, który mu pośpieszył z pomocą—rzekł.

— Nie panie, Sasi nie byliby nigdy dopuścili do tego—odparł Sewer.

— Wierność Sasów—rzekł Bilibog pogardliwie—o!... znam ja to nie od dzisiaj....

— Ale porachujemy się z niemi..... porachujemy jak należy—dodał....

— Panie....

— Mości Sewerze, tyś wyjątek, bo jesteś rycerz, a tamci inni, to Szwaby—przekupnie.....

Sewer podniósł głowę.—Czy nie mylicie się panie?—rzekł. Słowa jego przytłumiły westchnienie, a raczej cichy jęk, który się wydarł z piersi młodego rycerza, uleciał on nieusłyszany przez nikogo, bo Bilibog podniecony był namiętnie, ale zdołał opanować się i zwrócił się do tego wspólnika niewoli, który należał także do korpusu Batorego. Do tego wyciągnął rękę, i choć ten nieśmiał mu podać swojej, on ją wziął i uścisnął serdecznie. — Bracie, wiem, że się zobaczymy ze sobą — rzekł—czekam cię w Fehervarze.

— Jak mi przykro przecież, że cię puszczam, nie mogąc ci nic dać, nawet już pamiątki żadnej — dodał. — Mógłbyś był mieć pełne kieszenie saskiego złota, gdybyś był chciał być Judaszem.... Ale zobaczymy się....

— Panie—rzekł wtedy Sewer, przystępując do Biliboga—pozwól mi się wyręczyć. Zawsze było to w myśli mojej, aby jeńcom puszczonym na wolność był wypłacony żołd na drogę i wszyscy tu obecni dostaną po parę florenów.

— Dziękuję, o! bardzo mocno dziękuję za to waszmości—zawołał Bilibog —Zdejmujesz mi z serca kamień.

— Ale waszmość nic nie myślisz, że werbujesz żołnierzy dla Batorego—rzekł śmiejąc się—boć ja się z niemi żegnam, do widzenia w Fehervarze....

Jeńcy otrzymali zaraz pieniądze i rozstano się. Że Bilibog miał serce zdolne kochać, można się było przekonać w tej chwili. Z Tarką żegnał się poufale i żartobliwie, z drugim żołnierzem poważnie, lecz niemal tkliwie i był widocznie wzruszony.—Ci ludzie są więcej warci, niż panowie i rycerze—rzekł potem do Sewera—nie dla dumy, nie dla godności żadnej biją się z wrogiem i zastawiają kraj piersiami własnemi, lecz dla miłości ziemi swojej.

— Odchodzący rzucili czapki w górę i zawołali chórem:—

— Do śmierci przy Batorym!

— Tym wierzę—rzekł Bilibog posępnie.

— Wierz panie i innym—żywo ozwał się Sewer—oh! wierz, że jest w narodzie wiele takich, których serca mógłbyś na zawsze przykuć do siebie.

— W każdym razie nie saskich—odparł Bilibog gorzko.—Prócz waszmości, nie ma tam nikogo, ktoby nie był zdrajcą względem nas i ojczyzny.

— Nie panie—przerwał Sewer — tylko Sasi pilnują praw swoich i nadanych im swobód....

— Praw tkaczy i farbiarzy... swobód handlowania, nie zważając na los ojczyzny. Ale dla nich nie ma tu ojczyzny. Nie, nie wierzę nikomu między niemi....

— A Weiss panie? — zawołał naraz młody rycerz, który uparcie milczał dotąd—mądry, uczciwy, szlachetny Weiss, czyż nie zasługuje na wiarę?

— Co to za głos?—krzyknął Batory, którego nie będziem już dłużej nazywać Bilibogiem.

Nastąpiła chwila milczenia, aż Sewer rzekł nakoniec:

— Krewny to jest rodziny Weissów, zacny młodzieniec, który mi towarzyszy z miłości i wierności dla ciebie panie....

— Krewny rodziny Weissów—powtórzył Batory i zwrócił spojrzenie na zasłonę, okrywającą oblicze nieznajomego.

Patrzył chwilę, lecz młody rycerz ani się ozwał, ani ruchem żadnym nie zdradził wzruszenia doznawanego i Batory westchnął.—Kochasz i cenisz Weissa młodzieńcze—rzekł nako-

niec.—I ja czułem niegdyś tosamo, widziałem go mężnym na polu bitwy i mądrym w radzie, poświęcającym się dla pana swego.

— Dla księcia Siedmiogrodu—rzekł Sewer.

— Co?—zapytał Batory zmarszczywszy brwi.

Sewer nie odpowiedział nic i nastąpiła chwila milczenia, którą książę przerwał pierwszy. — Kochałem Weissa i czciłem go niemal jak rodzica mego, aż oto znalazłem go między wrogami mymi.

— Nie, o! nie panie—wykrzyknął młody rycerz. Jeżeli tu jesteśmy, śpieszący ci z pomocą, stało się to za wolą i rozkazem Weissa. On to w tym celu wysłał Sewera z obozu.

— Tak.... a jednak to on także zamknął Kronsztad przed nami.

— Przed wojskiem panie....

— To wszystko jedno. Jam jest z tymi wszystkiemi, którzy postępują wedle rozkazu mego. Ja, który mam prawo czynić tu wszystko wedle woli mojej.

— O panie! — zawołał młodzieniec głęboko wzruszonym głosem. — Panie! ciebie otoczyli podstępni i zdradni doradcy. Niech przecież twa dusza, która jest szlachetną, twe serce, które jest dobrem, wspaniałem, wzniesie się po nad ich podszepty kłamliwe, nie z miłości przecież pochodzące. Panie.....

— Celesto!—krzyknął Batory.—Celesto!... to ty jesteś....

— Tak, panie, jam jest. Nie zdołałam się teraz ukrywać, tak jak nie zdołałam powstrzymać się, aby cię nie ujrzyć w chwili nieszczęścia.... jam jest panie....

— Aniele.... aniele mój!—wykrzyknął Batory namiętnie i konia swego posunął tak, że znaleźli się teraz obok siebie.

Tak był wzruszony, że milczał chwilę, a potem rzekł miękkim, proszącym głosem:—Celi, usuń tę siatkę z twarzy twojej, niech ujrzę słodkie twe oblicze, niech się napieszczę jego widokiem.

Usłuchała. Teraz księżyc świecił wysoko na niebie i światło jego padało wprost na jadących. Oświecona jego srebrną łuną dziewica, zwróciła wzrok na kochanego człowieka i ich spojrzenia, tonące w sobie, dały im zaznać całą słodycz pocałunku —Celi—szeptał Batory—Celi....

Po chwili ogarnęło go uniesienie namiętne.—Celi, my nie możemy zostać rozdzielonymi na zawsze. Co mi księstwo, co

mi panowanie!.... Rzućmy się przez te oto lasy, które tam widnieją — w stronę Węgier, do Ecsedi! Tam zostaniesz moją, moją na zawsze i nikt mi cię nie wydrze, nikt nie odbierze, chyba razem z życiem nas obojga.

— Nie, panie—odparła Celesta łagodnie smutnym głosem—tak być nie może.—Jedź do Fehervaru, zwołaj stany Siedmiogrodu, ogłoś wyroki łaskawe, które zjednoczą wszystkie, pod berłem twoim żyjące ludy, stań się wielkim, wspaniałomyślnym, uwielbianym....

Zapał ją porwał, uniesienie ogarnęło, oczy błyszczały, drżały usta; przecież on patrząc na nią i słuchając ją, stał się ponuro zachmurzony.—Ty nie kochasz, kobieto!—wykrzyknął.

— Kocham—odparła łagodniejąc nagle—kocham tego, którego poznałam Ecsedi'm—tego kocham i wiecznie kochać będę...,

— Ale w wiecznem rozłączeniu, wzniosłszy sama mur pomiędzy mną i tobą.... tak ty kochasz!....

— Tak panie, bo los okrutny nie pozwala inaczej. Ale w wiecznem rozłączeniu, jak powiedziałeś, jeszcze mogę mieć coś uratowanego szczęścia i tylko wtedy.... o! wtedy przepadłoby w całości, gdybyś przestał istnieć dla mnie w obrazie szlachetnego męża, szlachetnego władcy ludu, którego szczęście Bóg ci zwierzył.

— Nie kochasz... stawiasz warunki, piszesz cyrografy na szczęście.... nie kochasz więc!....

— Kocham—szepnęła tak cicho i łagodnie, jak cicho i łagodnie wietrzyk wiosenny przewiewa przez listki krzewiny.

— Nie kochasz!—powtórzył namiętnie, gorzko.—Saksonką jesteś—kobietą zimną.

— Zimną... o nie panie mój, aleś dobrze rzekł, że Saksonką jesteś. O! pamiętaj ty o tem, i bądź litościwy dla ludu mego....

— Zdrajcy są oni wszyscy—ten twój lud....

Jej teraz błysnęły oczy i podniosła się głowa.— Mój lud, chce utrzymania praw swoich.... ty panie tego nie uznajesz i oto przepaść, która nas dzieli.

— Córka Weissa—rzekł Batory gorzko.

— Córka Weissa, który nigdy nie zdradzi ani uczuć, ani obowiązków swoich.

Zamilkli, nagle obłok srebrny napłynął na tarczę księżyca i jakaś zasłona melancholii padła na świat i krajobraz po-

wlókł się jakgdyby mgłą. Jechano chwilę w milczeniu, a jechano płaszczyzną nagą i smutną; w dali rysowały się szczyty gór, jak coś ponuro groźnego,

Batory zcicha westchnął. — Celi — rzekł— moje życie jest jak płaszczyzna tej puszczy, jednostajne, nierozweselone niczem, mozolne. zamglone. Kto się do mnie przysuwa, to pochlebca i przyjaciel fałszywy, jak powiedziałaś sama, podstępny knowacz, własną tylko fortunę budujący. A na przeciwko mnie ile zuchwalstwa, pożądliwości, ambicyi, zawiści, zdrady..... O..... życie na tronie jest okrutne, jeżeli się nie ma przy sobie ani jednego serca.

Z oczu Celesty płynęły łzy, ale toczyły się tak cicho, że książę, smutnie pognębiony i patrzący w posępny krajobraz, nie widział, nie odgadywał tego. Aż przybyto na miejsce dróg rozstajnych, a Sewer zatrzymał konia. — Panie.... jesteś już teraz bezpieczny; ten jeździec, którego mamy w tyle, to Węgier jest i człowiek oddany całym sercem sprawie waszej, Werdai. Zna on drogi i będzie wam panie przewodnikiem dobrym, który ani cię zdradzi, ani zmyli drogę twoją.

— Więc ty Sewerze porzucasz mnie?—zapytał książę głosem ponurym, w którym drżał gniew.

— Tak, panie, muszę być z ziomkami mojemi. Sas. muszę być ze Sasami.

Książę spojrzał na niego surowo. Więc to nie jest w tobie uczuciem wierności i obowiązku coś uczynił dla mnie, tylko.... tylko....

— Serce moje, tak jak serce Celesty, jak serce Weissa, ciągnie mnie do ciebie panie i każe mi stawać w obronie twojej. Wierzę w to, żeś jest szlachetny, a tylko obałamucono cię i rozdrażniono przeciw nam.

— Więc tyś przyjaciel, a ona kochająca kobieta i oboje opuszczacie mnie....

— Bo oboje musimy być z ludem naszym.... Wróć mu panie łaskę twoją, uczyń mu sprawiedliwość, a wrócimy do ciebie.

— O panie! —zawołała Celesta — wróć wolność Hermansztadowi, wróć Kronsztadowi pokój — wróć zburzone szczęście mego narodu ...

Wyciągnęła ku niemu obie ręce, a potem nagłym zwrotem skierowała rumaka swego w bok, a Sewer pośpieszył za nią.

Oddalali się szybkim galopem w dolinę, a Batory, jak

w ziemię wrosły, patrzył za niemi. Zwolna tentent ich koni przyciszał się, postacie ich bladły przed okiem i on pozostał z nieznanym towarzyszem sam.

Pozostał tak smutny i samotny, jak biblijny pelikan wśród pustyni. Wiedział że Celesta i Sewer uratowali mu życie, bo nie był on jeńcem Sasów, według zawartego układu z Serbanem Raduly, który mordował niewolników i który byłby z dziką rozkoszą ściął głowę człowieka, który go raz zwyciężył i uczynił hołdownikiem swoim.

Przecież Gabryel Batory nie odetchnął całą piersią, aby wciągnąć w siebie ożywcze tchnienie życia i wolności. Czuł się smutnym i zmęczonym, bo odbiegła go przyjaźń i miłość.

ROZDZIAŁ IV.

Wędrowcze, mów synom Sparty, że ci, co tutaj leżą, polegli w obronie jej praw.
(Napis na kamieniu pod Termopilami)

Książę dostał się szczęśliwie do Hermansztadu, a ten, który mu towarzyszył w podróży, został człowiekiem bogatym. Wkrótce też znaczne siły zgromadziły się w koło niego. Nie rozgromione, nie rozbite, ale w chwili nieszczęśliwego popłochu rozpierzchłe wojsko jego stronników znalazło się wkrótce przy jego boku, i książę, mając do pomocy Gabryela Betlena, porządkował je i sprawiał szybko w pułki regularne. Straconemi byli głównie zaciężnicy obcy, bo Szeklerzy wiernie się skupili koło chorągwi narodowej, jak to Gabryel Betlen głosił ustnie i piśmiennie. Batory mógł popełniać błędy i nawet mieć winy, ale on przedstawiał w Siedmiogrodzie jego niepodległość i przy nim powinni byli stać ci, którzy kochali kraj swój ojczysty. Przecież czarne chmury zaciągały horyzont. Cesarz Niemiecki, który nosił wtedy tytuł Rzymskiego, kazał wystąpić przeciw

Batoremu palatynowi Węgier, Forgaczowi, z drugiej strony dawny a chytry jego wróg, Serban Raduly, wkroczył w granice Siedmiogrodu i nie daleko od Hermansztadu, który książę uczynił miejscem swego pobytu, wojska palatyna połączyły się z Wołochami. Książę chciał się dumnie rzucić na wroga, ale Betlen wymógł na nim, aby nauczył się być politykiem: zawarto trzytygodniowy rozejm z palatynem węgierskim, wysłano posłów do Turcyi, starając się o zawarcie z nią przymierza, a gdy nareszcie czas zawieszenia broni minął, gdy doskonale sprawione i wedle dobrze obmyślanego planu prowadzone wojsko Siedmiogrodu wystąpiło do walki, odniosło zwycięztwo wielkie. Raduly został rozbitym odrazu. Forgacz również musiał się cofnąć i przyznać do klęski, którą daremnie chciał powetować w następnych walkach z Batorym. Pobity kilkakrotnie, wycieńczony przez ciągłe harce z nieprzyjacielem, musiał się był poddać i uchodząc przez góry i lasy—przez Mołdawią i Wołoszczyznę. przez Polskę, dostał się z resztką niedobitków do Węgier.

Wtedy gwiazda Batorego zdawała się odzyskiwać blask dawny. Jego sława wojownika znów zajaśniała, a świetne zwycięztwo nad obcymi. kazało przebaczyć to, co w rządach wewnętrznych zarzucić mu było można, nawet te klęski, które przebywał, wyszły mu na korzyść, bo dwór jego dawny z chciwemi zausznikami, którzy na nim rej wiedli, został wśród tych klęsk rozbitym, rozproszonym i książę mógł rozpocząć jakgdyby nowe życie, w czem do pomocy miał Betlena.

Wszystko, co było złem w przeszłości, zdawało się być jak ten cień, który znika przy wejściu słońca, ale niestety, złe jest rośliną upartą, która ginąc, jeszcze ziarno swoje wsiewa w grunt, na którym raz wyrość jej pozwolono. Ludzie nauczyli się już obładowywać przy księciu, nauczyli się ciągnąć korzyści z jego słabego charakteru, i choć Imrefi zginął, choć Kamuly już został gdzieś w tyle, inni chcieli ich zastąpić. Andrzej Nagy walczył mężnie z Forgaczem, mężnie wiódł szeregi siedmiogrodzkie do boju z Wołochami, ale potem uczuł się niedostatecznie wynagrodzonym za usługi swe, oddane księciu i ojczyznie. Zdobycz wojenna po rozbitym palatynie węgierskim była ogromną. Batory, który był szczodrym z natury, a nawet rozrzutnym i niebacznym we wspaniałomyślności swojej, gdy go zapał podniecał i rycerską fantazyą jego podnosił, rozdzielił pomiędzy szeregi swoje niemal wszystkie te łupy bogate, bar-

dzo niewiele zatrzymując dla siebie, przecież Nagy uczuł się pokrzywdzonym i w dumie swojej dotkniętym; że nie dostał tyle co pragnął stał się malkontentem, a malkontentem który mógł być tym niebezpieczniejszym, że wojna domowa przycichła tylko, lecz wykorzenioną nie została: Sasi nie ustąpili nic z żądań swoich, księciu stawionych.

Było to jak zarzewie przysypane tylko popiołem. Kronsztadt, do którego bram nie szturmowano już dla wprowadzenia tam załogi, gdzieindziej potrzebnych żołnierzy, nie otworzył też dotąd bram swoich. Tureckie wojska, przysłane Batoremu przez sułtana, jako posiłki a na których czele stał Homin Basza, miały tego dokonać wychodząc z Siedmiogrodu i pociągnęły tamtą stroną, pustosząc całą prowincyę Burzenlandu, aż legły obozem u bram Kronsztadtu, gdzie zapanował już strach tak wielki, że kobiety obiecywały zabijać dzieci i siebie, gdyby Turcy zdobyli miasto.

Ale rządził nim Weiss. Jakkolwiek była chwila, w której nieufnie patrzono na niego i widziano w nim stronnika Batorego, o którego uwolnienie z pęt Serbana podejrzywano ojca Celesty, jednak w godzinie niebezpieczeństwa jemu zwierzyli ratunek miasta, do którego przystąpił nietylko ofiarniczo, ale z wysoką mądrością. Bronić się przed tą nawałą dzikiego fanatycznie srogiego żołnierza, było rzeczą ciężką i niebezpieczną, bo przegrana a potem wzięcie miasta, *znaczyło to samo*, co ruina ostatnia—co pożar, mordy, i gwałty najokrutniejsze, więc Weiss pomyślał inaczej. Ledwie basza stanął pod miastem, już Weiss stawił się przed nim bez broni żadnej, odziany tylko w poważny strój czarny aksamitny patrycyusza miejskiego, ze złotym łańcuchem rajcy na szyi, mając za nadrzem pargamin, na którym były spisane prawa miast saskich i w towarzystwie rycerza, który umiał dobrze po turecku, bo przebył lat kilka w niewoli u pohańców Jana Czestel'a, stanął poważnie przed dumnym Turkiem. Wspaniała postawa tego saksońskiego posła, jego włos już siwy i bezbronność zupełna, uderzyły wyobraźnię Turków. Basza pozwolił przystąpić do siebie, a tłómacz, który już wiedział naprzód co miał mówić, płynnie i obrazowo skreślił położenie Sasów w ziemi Siedmiogrodzkiej. Dane im obietnice łamano, zawarte z niemi i spisane na pargaminach punkta gwałcono—czyż więc mieli być jak na rzeź w milczeniu idące stado jagniąt?

Basza słuchał i unosił się gniewem, na nieprawość Batorego, kazał sobie pokazywać dokumenta, wezwał swego tłómacza, aby ich treść mu wyłożyć.—Okłamano mnie—rzekł nakoniec gniewu pełen.—Wyznawca Proroka nie przyłoży nigdy ręki do dzieła fałszu i niesprawiedliwości.... Nazajutrz Turcy zwinęli rozbity pod miastem obóz bez żadnych gwałtów i tylko przyjąwszy dary, ofiarowane mu przez miasto, basza opuścił Kronsztad.

Na drugi dzień, o szarym świcie, oddział wojska wysłany przez Batorego złupił i splondrował przedmieście miasta, które spodziewał się ubiedz niespodziewanie, ale znalazł się wobec czujności, która nie dopuściła tego.

Popłynęło jednak niemało krwi i łez—miecz i ogień połączyły się ze sobą na zniszczenie obszernych i pięknych przedmieść, ale zgroza, która rozniosła o tem wieść daleko po kraju, nie dobrze służyła sprawie Batorego. Wołano w niebogłosy na gwałt i okrucieństwo, wytykano jak po starych arystokratycznych rodach Kornisów, Banfich, teraz burzy i plondruje miasta, aby został tylko sam z prostym ludem Szeklerów.

Andrzej Nagy opuścił też dwór Batorego i zamknął się ze swemi haydukami w Waraďzie, a że nie było już Imrefiego, Ordogi, Varkocsa, że nie było już na dworze książęcym wielu innych, dwór ten stał się zwolna pustym i posępnym.

Od ostatniego widzenia Celesty, miłość namiętna wzmogła się w sercu Batorego. Byli tacy, co twierdzili, że nasłanie Turków na Kronsztad, łączyło się z tym stanem jego duszy—że byli w obozie tureckim ludzie księcia, ukryci i przebrani, którzy ratując niby Celestę z rąk niewiernych, byliby uwieźli ją do Batorego.

Działy się rzeczy smutne. Dusza tego namiętnego człowieka, który nie znosił oporu, burzyła się w nim. Andrzej Geczi wysłany został znowu do sułtana z missyą dowiedzenia mu, że to, co Honim-Basza słyszał od Sasów, nie było prawdą. Ale Geczi był to ten wierny przyjaciel Kornisa, który mu w pierwszej ucieczce przed księciem dał schronienie w górskim zamku swoim, i służby jego nie były ani wierne, ani gorliwe, posiłki tureckie nie zostały też otrzymane.

Książę doszedł do tego, że musiał jechać sam do Andrzeja Nagy, aby pociągnąć go znowu do siebie i usługi jego sobie zaskarbić. Pokój został też zawartym z palatynem węgierskim

Turzo, ale cesarz niemiecki obiecywał Sasom pomoc i Batory szalał z gniewu. Napadł osobiście i zdobył małą twierdzę saską Fetekohalom, następnie tak srogo pastwić się kazał nad jej obrońcami, że Gabryel Betlen, który mimo wszystkich szaleństw i okrucieństw Batorego, trwał wiernie przy nim, uniesiony żalem i gniewem, począł go błagać niemal gwałtownie o wstrzymanie egzekucyi, które wstrząsały najtwardsze nawet serca żołnierzy bolesnem przerażeniem. Twierdza została zdobyta jakoby podstępem. Wysłano do księcia zakładników, prosząc o komissarzy, z któremiby komendant mógł zawrzeć pakt poddania się, gdy nagle i niespodziewanie przypuszczony szturm położył wszystkiemu koniec. Zdobyto twierdzę wraz z miastem, straszliwa zemsta miała zostać wywarta nad mężnemi jej obrońcami, i Betlen w ostatniej już niemal chwili przypadł zdyszany na spienionym rumaku do obozu księcia, prosząc go o cofnięcie okrutnego rozkazu.

Był blady i wzruszony nad miarę, a że minuty były tu drogie, jak życie ludzkie, kończące się w męczarniach, więc też tak prosto, jak z konia zsiadł, przedstawił się Batoremu. Był to poranek, książę siedział w namiocie swoim, przy stole, ustawionym naprędce z cegieł. Leżał na nim jego szyszak srebrny z pięknem orlem piórem, Dimon stał przy krześle, coś księciu żywo opowiadając, gdy szlachetna postać Gabryela Betlena ukazała się na progu.—Przybywam do waszej książęcej mości z pod Fetekohalom i niema chwili do stracenia, więc odzywam się odrazu z moją prośbą, a raczej z uwiadomieniem waszej książęcej mości, co się tam dzieje.

— Wymierzają łotrzykom sprawiedliwość....

— Popełniają rzeczy okrutne, na które wzdryga się dusza ludzka — zawołał Betlen, już tak uniesiony, że wybuchnąć musiał. — Trzydziestu jeden ludzi ma ginąć i jak? Połowa zawiśnie na stryczku, połowa ma zostać żywcem spalona.

— Na wolnym ogniu—dodał Batory.

— O panie! — krzyknął Betlen—jam źle słyszał.... Jam źle słyszał, i źle, fałszywie mnie powiadomiono, iż rzecz, która ma się tam stać, jest wolą twoją. Ogłoszono skazanym, że ten, który się poda, że chce spełnić na braciach swych i współtowarzyszach niedoli okrutny urząd kata, będzie miał życie darowane.....

— Tak!

— Panie! panie! na jakież spodlenie natury ludzkiej wyrok ten wydanym został.... Nie wyszedł on od ciebie samego, jakkolwiek potwierdzają mi to usta twe własne. Nie, to podli dworacy twoi, sępy chciwe łupów, istoty dzikie i nikczemne podsunęły ci tę myśl.

— Gabryelu Betlenie.... czy ty wiesz do kogo mówisz?

— Wiem panie.... Betlen mówi do Batorego i dlatego tak mówi.... W twoich żyłach płynie krew rycerska szlachetnego, wielkodusznego rodu, nie katowską córką matka twa była i tyś nie wydał sam ze siebie tego planu męczarni, tak okrutnych, że ci żołnierze twoi, którzy na polu bitwy sieką i mordują nieprzyjaciół, teraz stoją przerażeni i wołają:—To nie książę tego chce....

— Mylą się! książę tego chce.... Chce on wytracić buntowników, ród jaszczurczy, który spiskuje wiecznie przeciw nam i krajowi, łączy się z jego każdym nieprzyjacielem.

— Bo jest srogo uciskany, bo jest poniewierany i łżony. Lada szlachetka szeklerski znieważa najszanowniejszego Sasa dlatego, że jest pracowity i żyje cicho, owocami tej pracy swojej Ale panie czas uchodzi.... Cofnij wyrok twój, o błagam cię.... zaklinam na własne twoje i Siedmiogrodu dobro!

— Już zapóżno. Mógłbym cię oszukać Betlenie i powiedzieć.—Dobrze.... wiedząc, że już nie może się odstać to, co się stało....

— O! nie panie.... Ja na odpowiedzialność moją kazałem wstrzymać wykonanie tego mordu. Nieszczęśliwi, odziani w koszule śmiertelne, już stoją pod szubienicami ze stryczkiem założonym na szyję—nieszczęśliwi już są przywiązani do pali, w koło których wznosi się stos chrustu i drzazg smolnych, ale jeszcze nie podłożono tam ognia, jeszcze kat nie ujął końca sznurów...

Książę się zerwał gniewny: — Jak śmiałeś to uczynić? — krzyknął na Betlena!—Wolę moją tamować, to bunt i zdrada....

— Nie — tamować taką wolę twoją panie, to wierna dla księcia swego służba i ja się nią szczycę.

— Panie!—dodał Betlen, widząc, że twarz Batorego mieni się ponuro—czy chcesz, abym cię błagał o łaskę dla skazanych na klęczkach? Nie uczyniłbym tego dla ocalenia własnego życia, ale uczynię to nietylko dla tamtych nieszczęśliwych, ale z przywiązania mego do ciebie.

Książę wpatrzył się głęboko w oczy mówiącego. Nieufność

i podejrzenie wyglądały mu ze źrenic, które topił w obliczu Betlena.

— Nie—rzekł w końcu ponurym głosem—nie uczynię zadość twej prośbie, Gabryelu Betlenie.

Betlen zbladł, a Dimon, który przez cały czas tej sceny, stał cofnięty w tył poza krzesło książęce, zaśmiał się głośno.

Przypomniał w ten sposób obecność swoją księciu, który się obrócił ku niemu.—Ruszaj natychmiast do Fetekohalom i powiedz, że wola księcia jest niezmienną, że nie cofa on nigdy rozkazów swoich.

Dimon skoczył ku drzwiom, jak kot dziki i w jednej chwili zniknął z przed oczu księcia, i Betlen patrząc za nim—rzekł:— Nikczemny!

Batory spojrzał gniewnie: — Nikczemny jest dla was ten, który umie mi być sługą posłusznym. Otóż ja takich tylko wywyższę i wszystkich pyszałków dumnych poddam pod ich władzę. Ja tu jeszcze panuję.

— Ach!—rzekł Betlen jakgdyby do siebie—pisze się obecnie straszna karta....

Może chciał powiedzić: „tego panowania", ale zdołał się powstrzymać i zakończył: „dziejów Siedmiogrodu!..."

Jego szlachetna dusza nie mogła jednak przystać jeszcze na to, aby spełnił się akt okropnego mordu i raz jeszcze począł błagać księcia, aby wyrok swój cofnął.—Koń mój zdąży jeszcze za Dimonem i wyprzedzi go—mówił.—Będę mu prał boki ostrogą i choć jest to wierny mój towarzysz bojów, niech padnie martwy, skoro mnie doniesie do celu—skoro będę mógł zawołać przez głowy tłumów:—Łaska! przynoszę łaskę książęcą!

Gdy on to mówił, podniecony gorącem uniesieniem, Batory uśmiechnął się szyderczo. Im silniej Betlen nalegał, tem uparciej on się w postanowieniu swojem zacinał—dla tego właśnie, aby ten proszący go człowiek nie ukazał się ludziom w postaci łaski!.... Charakter Batorego podejrzliwy był z natury, a ambitne knowania, które widział w koło siebie, ambitne wynoszenie się jednych po nad drugich, podejrzliwość tę jego wzmogło jeszcze i przemieniło w manię niemal. Wszędzie widział podstęp i czyhanie na jego godność i gdy Betlen unosił się zacnym zapałem, gdy się dał zwyciężać uczuciu litości, on ujrzał w tem nagle zamiar zdradliwy uczynienia się miłym tłumowi, kosztem

jego osoby. Dlatego właśnie nie przebaczył, aby Betlen nie stał się w obec ludu siedmiogrodzkiego zwiastunem łaski.

Nie chciał aby mówiono:—Batory skazuje na śmierć, a on od śmierci wyprasza... To też patrząc na niego, rzekł ze szyderczym uśmiechem: — Szlachetny rycerzu, na inny raz musisz sobie odłożyć przyjemność roznoszenia dobrodziejstw....

Betlen nie zrozumiał ukrytej myśli Batorego, ale sam ton jego głosu, sam jego uśmiech złośliwy ubódł go głęboko w serce—tak głęboko, że mógłby był cisnąć klątwę na cały rodzaj ludzki, który wydał takie srogie, dzikie istoty. Ale w tej chwili samej, przypomniał sobie, że kiedy ten człowiek wydawał na okrutne męczarnie ludzi, których winą całą była bohaterska obrona ognisk swych rodzinnych, z pomiędzy trzydziestu dwóch, skazanych na te męczarnie, jeden jedyny tak zesłabł. że chciał zostać katem swych braci, aby uratować siebie. To przypomnienie odwaliło mu jakgdyby ciężki kamień ze ściśniętego boleśnie serca.—Ach!—zawołał—na trzydziestu dwóch bohaterów tylko jeden nędzny...

Nastąpiła chwila głuchej ciszy. Betlen przystąpił do drzwi namiotu i otarłszy czoło zwilżone potem, słuchał. Odległość obozu księcia od miasta była znaczna, jemu przecież zdawało się, że musi usłyszeć jakiś wielki, ogromny krzyk — albo gniewu i wzruszenia, które ogarnie tak lud jak żołnierzy i nie dopuści do spełnienia wyroku Batorego, albo żalu i boleści, która tak jęknie na widok płonących na stosach ludzi, że stosy te wstrząsną się i zagasną. Słuchał.... chwytał dech w piersi i po wysiłkach wśród których podtrzymywał go zapał, zaczęło go ogarniać wielkie znużenie, uczucie ciężkiej niemocy.

Czy Batory dostrzegł to, choć z boku tylko mógł widzieć twarz Betlena, czy też ochłonął zwolna z furyi gniewu, wzrastającej w nim w miarę próśb, które go drażniły, wykazując mu na oczy, że w namiętnem uniesieniu szalonej passyi, posunął się do dzikiej srogości — w każdym razie ochłódł i jego chwiejna, słaba natura uczuła się zaniepokojoną, niepewną siebie i czynów swoich.

— Betlenie — zawołał—zbliż się. — Jesteśmy sami i mogę mówić otwarciej, niż przed chwilą. Jeżeli chciałeś otrzymać łaskę dla tamtych buntowników, dlaczego tak surowo narzuciłeś mi chęć swoją? Wobec sługi, który to słyszał, jam był po-

wściągliwszym od ciebie, względniejszym na ciebie, niż ty na mnie. Nie dałem się uprosić, boś rozkazywał raczej, niż łaski błagał.... a ja.... ja książę, nie mogę pozwolić na to....

Betlen nie odpowiedział nic. Równowaga jego uczuć jeszcze nie została przywróconą.

Księcia zaczęło to drażnić, ale zarazem i dolegać mu. Betlen był towarzyszem jego dzieciństwa i młodości, więc ozwał się więcej już w rozżaleniu, niż gniewie:

— A dlaczego nie było cię przy moim boku wczoraj? Gdybyś tu był, może byłbym wydał wyrok nie taki.... Odsuwasz się odemnie i czasem przychodzą mi do głowy myśli drażniące. Wygląda to tak, jakgdybyś chciał jawnie ganić moje czyny i pokazywać, że nie bierzesz w nich udziału.... A.... drgnąłeś.... podniosłeś głowę i patrzysz na mnie dumnie. Ja, książę i pan twój, nie mam dla ciebie wzroku takiego i pamiętaj, że może obudzić się we mnie podejrzenie....

— Jakie?—zapytał Betlen spokojnie.

— Że chcesz nosić głowę wyżej nademnie, że....

Nie dokończył, bo Betlen mu przerwał wyniośle: — Niech wasza książęca mość nie szuka zdrajców daleko i pociemku macając. Zdrajcy są tuż przy osobie księcia, podejrzywałem to dawno i doszedłem prawdy. Dimon, to szpieg Sasów... szpieg płatny i stały. Wczoraj wieczorem dostałem w ręce dowody tego.

ROZDZIAŁ V.

Gdybym ja jeszcze wierzyła w serca twojego wspaniałość,
W blaski rycerskiej twej cnoty, w orle twych uczuć porywy,
Gdybym wierzyła, że pragniesz biedz górną drogą ku słońcu,
Jak Dunaj dąży do morza—o! wtedy serce me biedne
Możeby słabem się stało—może straciłabym siłę
I nie umiała się oprzeć: nie pragnąć, czego ty pragniesz.....

Vorosmarty.

Obsadziwszy Fetehalom załogą swoją, ciągnął Batory z powrotem do Hermansztadu, nie wstąpiwszy nawet nogą do zbu-

rzonej warowni. Choć prośby Betlena odtrącił, robak słów jego gryzł to serce niestałe w złem i dobrem. porywcze przedewszystkiem i namiętne, a dumne, w występku nie zatwardziałe, w cnocie nierozmiłowane. W epoce, której był synem, żyło i działało nie mało podobnych mu ludzi wśród szlachty i rodzin książęcych. Samowola była im prawem, bo prawu przesąd nie dał im ulegać; czuli się wyższymi nad innych i ztąd obrażało ich każde podniesione czoło, jeżeli nie było czołem rycerskiem. każde pożądanie swobody, poczucie godności ludzkiej w tych, których nazywali gminem. Jednak sumienie—ten głos, nie milknący nigdy w sercu człowieka, który już zupełnie zdziczałym nie jest, odzywał się i wtedy w piersiach ludzkich i ztąd to obok okrucieństw i gwałtów, wobec wyrzynanych, palonych, potokami krwi i płomieni zalewanych wsi i grodów, widziano pokutników bijących czołem o progi świątyń; pielgrzymów, którzy zostawiwszy za sobą wszystko—mienie, godności, ogniska domowe, dążyli do grobu Chrystusowego z kosturem pątniczym w ręku. War krwi gorącej stanowił o czynach tych dumnych, tych wyniosłych wojowników, na których herbowych tarczach nie miała postać skaza żadna i tylko natury silne i stanowcze wznosiły się ponad gromadami tych ludzi krewkich i ztąd słabych, że nie chcieli uznać nad sobą władzy żadnej.

Gabryel Batory należał do liczby takich właśnie. Wychowanie odjęło mu jeszcze tę wielką dla mnóstwa ludzi przed złem obronę: tkliwość uczucia, która się zowie litością, współczuciem dla bliźnich nam na ziemi istot i gdy został z niej obrany, nic już nie mogło hamować dzikich zapędów jego samowoli. Betlen nie miał nad nim wpływu, bo nie czaił się pokornie, nie podchodził go zdradliwie. a przeciwnie śmiało mówionemi słowami prawdy rozdrażniał go tylko, jak się to stało pod murami Fetehalom.

Posępnym jak noc, był też zwycięzca, wracający po zwycięztwie do domu: trwoga szła przed nim, trwoga za nim zostawała, a pierwszym aktem książęcym za powrotem do Hermansztadtu było ogłoszenie mieszkańców Kronsztadtu za zdrajców i wyjętych z pod prawa. Miało to miejsce w Maju: w drugi dzień Zielonych Świątek, to jest za dni siedmnaście wyrok ten stawał się prawomocnym. Jeżeli do tego czasu nie przebłagają księcia i nie otworzą przed nim bram swoich, nie wpuszczą w mury miasta załogi jego wojska, wszelki człowiek: szlache-

tny czy też gbur, chłop lub cygan mógł bezkarnie zabić i zrabować każdego mieszkańca Kronsztadtu, dobra jego zabrać, mienie sobie przywłaszczyć. na miasto napaść skrycie lub otwarcie!

Że bandy zbójeckie były wtedy silne i liczne, że Siedmiogród roił się od zuchwałych cyganów, było to wydać na łup opryszków kilkanaście tysięcy ludzi, obywateli kraju, wśród którego rozluźniały się w ten sposób wszelkie węzły moralności i prawowitości. Ale Batory. wjeżdżając do Hermansztadtu, podobnym był do chmury gradowej, która musi wydać ze siebie zniszczenie.

A nie było już przy nim wesołych towarzyszy dawnych— nie było i narzędzia wszystkich uciech i zabaw książęcych. Dimon nie pokazał mu się od tej chwili, gdy poskoczył tak żwawo z katowskiem hasłem mordowania obrońców Fetehalomskiej twierdzy.

Spalono piętnastu ludzi; szesnastu ludzi powieszono. Jęk ciężkiej boleści rozszedł się po całej saskiej prowincyi, a Weiss, jako gubernator Kronsztadtu, wydał wyrok śmierci przez miecz, ogień czy wodę na tego jednego, co wtedy uszedł zgonu: tego trzydziestego drugiego z liczby zkazanych który się uratował, zostawszy oprawcą braci swych i współtowarzyszy boju.

Wtedy to Batory odpowiedział mu, ogłaszając Kronsztadt i kronsztadzianów za wyjętych z pod prawa.

Stan taki był zbyt naprężonym, aby mógł trwać długo. Ostatni akt wojny domowej musiał zostać rozegrany. Batory zbierał i zbroił wojsko, wysłał rozkaz do Geczego. aby się stawił ze swoją milicya górali szeklerskich. Gdy wesołe wiosenne święto Zielonych Świątek minie, rozlegnie się chrapliwy dźwięk trąb i rozpocznie się rzeź....

Sasów doszła wieść, że Batory wytargował na Serbanie wołoskim wielką pomoc: ciężkie działa oblężnicze, moździerze i haubice potężne do walenia murów, i postanowiono uprzedzić Batorego. Sewer i Weiss puścili się w góry szeklerskie, aby zawrzeć z Geczim przyjaźń i przeciągnąć go ostatecznie na swoją stronę. Mieli cztery tysiące zbrojnego i dobrze wyćwiczonego wojska, co na owe czasy znaczyło armię niemałą i mogli ofiarować przymierze swoje możnemu panu. bo wrazie przegranej Batorego, tron Siedmiogrodu mógłby nagle stać się wakującym....

Zdawało się, że w powietrzu wisi groza strasznych wypad-

ków i cóż musiało dziać się teraz w sercu Celesty? Widzenie się z Batorym musiało rozżarzyć w biednem jej sercu tę iskrę miłości, która siłą obowiązku na dno serca zepchnięta, nie zgasła przecież.

— Nieszczęśliwa! nieszczęśliwsza nad wszystkie żyjące na świecie kobiety!.... mógł wołać każdy, kto ją widział na ulicach Kronsztadtu, bladą jak cień i poważną jakgdyby to już była matrona ciężko doświadczona przez los, nie zaś młoda dziewica, której należało się uśmiechać do życia. Gdy Weiss i Sewer wyjechali — a wiedziała ona gdzie i po co—gdy pozostała samotna w domu pustym, ze służbą tylko i niańką swą starą, jeszcze głębszy smutek osiadł na jej bladem czole. I niewiasty powinny były szykować się ze swej strony do wojny: przygotowywano maście i opatrunki dla rannych, darto szmaty płócienne do tamowania krwi, która się miała polać w obronie tego, co im bezprawnie wydzierać chciano. Celesta nie próżnowała też, nie zakładała rąk leniwie, ale jak ciężko, jak okrutnie ciężko czuła się zmęczona każdego wieczora, gdy po dniu takiego bolesnego zajęcia, kładła się na spoczynek, który jednak spoczynkiem nie był. Sen odbiega nieszczęśliwych, a marzenia jego—złudne obrazy pragnień, lub obaw naszych, rozdrażniają.

Tak było z Celestą: źle, niespokojnie sypiała, choć na ulicach Kronsztadtu było cicho, za cicho nawet. Niegdyś wśród wdzięcznych wiosennych nocy brzmiały tam do późna wesołe lub tkliwe piosenki i dźwięki muzyki. Jasnowłose główki wychylały się z okien i balkonów; słuchano nieraz z bijącą piersią, tych posłów miłości, które szukały sobie drogi do serc dziewiczych. Naraz ktoś przystępował do okna i następowały szepty słodkie, lecz teraz daremnie, był maj na świecie, daremnie natura cała budziła się, aby kochać i kwitnąć—w Kronsztadzie bywało teraz głucho jak w grobie, a od wyjazdu Weissa i Sewera cichość ta posępna wzmagała się coraz. Lina zbyt długo wyprężona słabnie i rozkręca się, tu też tak było: ludzie zmęczyli się żyć tak z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc w stanie ciągłej czujności, ciągłego wytężenia uwagi na czychającego zaciekle wroga. Oswojono się z niebezpieczeństwem, a szczególniej zmęczono się i po wyjeździe tych, którzy byli jakoby duchem zagrożonego miasta, pilnosć stróży nocnych zwolna słabła. W dzień nie strzeżono pilnie u bramy, kto wjeżdża i wy-

jeżdża, w nocy patrole były rzadkie. Nie słychać było rozbrzmiewających wśród ciszy głosów, niezasypiającej czujności:— Kto idzie?

Wprawdzie nie było prawie kogo pytać. Wszyscy smutno i głucho zamykali się w domu, skoro tylko gaszenie ognia otrąbionem zostało. Celestę ta przygniatająca serce cisza nie wprawiała przecież w sen i nieraz długo, długo oczy jej zamknąć się nie chciały, choć posłuszna zwyczajowi, kładła się do łóżka o zwykłej godzinie. Stara niańka byłaby się kłopotała i niepokoiła, gdyby było inaczej i ona, dobra sercem wskroś, chciała staruszce oszczędzić tego. Leżała więc bezsenna, rozważając przeszłość, dręcząc się niespokojną troską o przyszłość, gdy naraz, a było to już o północy i po pierwszem zapianiu kura, usłyszała jakiś ruch w pobliżu. Kroki to były kilku osób na ulicy, przyciszone, a jednak słyszyć się dawały, i Celestę to właśnie uderzyło, że takie jakieś były powolne, uważne.

Zatrzymały się przy jej kamienicy i ona się podniosła.— Czy ojciec z Sewerem wracał, czy może przysłał gońca z nowinami i rozkazami? Ale nie.... to nie goniec, bo miała prawie pewność, ze było to ludzi kilku. Stanęli przy drzwiach a jej serce biło jakgdyby trwogą lecz wkrótce usłyszała że się oddalają i odetchnęła z głębi piersi. Dlaczego się lękała w mieście obwarowanem i zamkniętem, w mieście tak ludnem, że rabusie ani złodzieje napaśćby jej nie mogli? nie byłaby wstanie odpowiedzieć Czasy były pełne grozy i serca kobiet mogły drżeć.

Przyłożyła znów głowę do poduszki, lecz po chwili uderzył ją jakiś szmer, ale już wewnątrz domu. Mogła była przypuścić, że ktoś chodzi, że kroki jakieś stąpają bardzo ostrożnie, że coś się w pobliżu jej porusza, ale odgłosy te dochodziły ją teraz z innej strony, od tyłów domu i nagle siadła na łóżku wzruszona. Przypomniało jej się drugie wejście od ślepej, wązkiej przecznicy, z której wchodziło się od ogrodu i mysl o powrocie ojca i Sewera przeniknęła ją radością, lecz zarazem i wzruszeniem tak wielkiem, że to nie dało jej zerwać się radośnie na nogi.—Co przynoszą—jakie wieści?

Nigdy nie mogły one być wesołe, bo zawsze musiały mieścić gromonośne wiadomości o wojnie bratobójczej, czy przecież znajdowała się w nich choć nadzieja jakaś ratunku—pomocy?

Biedna otarła łzę, zaczęła szeptać pacierz cichy: czuła trwogę przed tem nawet, coby musiało nazwać się dobrą nowi-

ną, gdy oto nagle usta jej rozwarły się jakgdyby chciała wydać krzyk, który jednak skonał na nich. bo niewymowne przerażenie spazmatycznie scisnęło jej gardło: ujrzała przed sobą wysoką postać zamaskowanego mężczyzny.

Ten podniósł palec do ust, nakazując jej milczenie. Za nim stało dwóch innych, także zamaskowanych ludzi.

Ten, który się zdawał być ich przywódzcą, przysunął się do niej szybko.—Cicho—rzekł—hałas nie zda się na nic, tylko ofiar przymnoży. Przy tamtych drzwiach — tu wskazał drzwi, wychodzące na kurytarz, wiodący w głąb' domu, znajduje się straż nasza. Zanim służba zdołałaby się dostać tamtędy do ciebie, już uprowadziemy cię tem drugiem wyjściem oto....

Wskazał w stronę, wiodącą do ogrodu i Celesta zrozumiała go. Krzyk jej mógł zwołać obrońców, ale bezużytecznych. Wiedziała jakie bywają skutki stawiania oporu zbójcom, słyszała wielokrotnie o porwaniach dla okupu i słyszała, jak z zimną krwią mordowano tych, ktorzy stanęli na drodze rabusiów, dla obrony porywanych. Ona mogła być w jednej minucie wywleczoną z łóżka, usta jej mogły w jednej minucie zostać zakneblowane, a ona sama wsadzona na konia i uwieziona tyłami miasta bez nadziei ratunku, bo rabusie musieli już mieć zapewnioną sobie drogę odwrotu i wydobycia się z miasta.

Chcć w owych czasach napady zbójeckie wśród miasta, bywały już rzadkie, zdarzały się jednak i wyobraźnia przestraszonej przedstawiła jej w tej chwili tego wołoskiego harembaszę, którego plany skrzyżowała niegdyś. Może to był on, lub ktoś z jego bandy?.... Może ją powloką przez podziemia?....

Skutek oporu był bardzo wątpliwy i Celesta uczuła że wpadła w szpony sępa. Odzyskała już zimną krew. — Będę cicho, jeżeli przyrzeczecie mi, że obchodzić się się będziecie ze mną, jak nakazuje uczciwość—rzekła. — Ojciec mój zapłaci za córkę swoją wszelki okup, jaki naznaczycie, ale nigdy wtedy, gdyby została znieważoną, bo moglibyscie oddać mu tylko trupa mego.

— Wierzymy ci—odparł zamaskowany.—Jesteś córką Weissa, więc wierzymi ci....

Wszystko to odbywało się przy łóżku Celesty, która siedziała oparta o poduszki, śmiertelnie blada. Dumna jeszcze i nieugięta mimo okrutnego położenia, była nietylko czarująco piękną — przedstawiała taki szlachetny hart ducha, że rabusie powinni byli przeprosić ją na klęczkach i zostawić wolną.

Ale nie na to jest się rabusiem, aby składać hołd godności duszom wzniosłym; przecież zamaskowany cofnął się ku progowi drzwi, w których stanął, aby Celesta mogła włożyć suknie, znajdujące się w pobliżu: Ach! zdjęła je tak niedawno i tak spokojnie....

Jednak zamaskowany, zanim się tak odsunął, prosił ją, aby się śpieszyła. Zwrócił jej uwagę, że może pozostawić jej swobody ledwo minut kilka. Gdyby chciała się ociągać, wtedy on będzie zmuszony działać tak, jak wymaga jego interes.

Celesta zrozumiała to. Była niemal wdzięczna rabusiowi, że pojął o tyle jej rozsądek, aby odwołując się do niego, oszczędził jej dzikiego, barbarzyńskiego rzucenia się na nią. Ubierała się też prędko i spokojnie napozór. Nic jej z rąk nie wypadało, nie zapomniała też o niczem i z kolei sięgała po to, co jej było najpotrzebniejszem w tej chwili,

Mała krucica, która w tych czasach niebezpiecznych leżała zawsze nabita w skrytej szufladzie jej klęcznika, należała do tych *najpotrzebniejszych* jej rzeczy. Nie była to obrona w obec kilku wrogów, gdyby chciała jej użyć przeciw nim, ale była obroną najwyższą w taki sposób, że mogła ją zasłonić przed tysiącami nawet—otwierając jej natychmiast wrota śmierci....

Gdy zarzuciła już na siebie płaszczyk swój podróżny, uklękła na poduszce klęcznika i podnosząc wzrok na postać ukrzyżowanego Chrystusa ze słoniowej kości, który był zawieszony ponad klęcznikiem, nacisnęła szybko i zręcznie sprężynę, wyjęła krucicę z otworu, który jej się stał pod ręką, i ukryła ją zaraz zanadrze.

Stało się to wszystko w przeciągu minuty jednej. Zamaskowany jej stróż widział tylko jak klękła, i podnosząc oczy ku górze, pochyliła się nieco naprzód, jakgdyby w pokornym akcie wznoszącej się do Boga myśli. I tak było:—Boże! ratuj mnie, od tego ostatniego nieszczęścia, które jest hańbą.... mówiła w niej jej dusza, gdy położywszy rękę na krucicy, ściągnęła ją potem ku piersi.

— Gotowa już jestem do drogi — rzekła natychmiast potem, a ta jej zimna krew zyskała sobie taki szacunek w dzikim jej napastniku, że prawie nieśmiało rzekł, otwierając drzwi przed nią:—Musiemy się śpieszyć.....

Zwrócono się wprost do ogrodu, gdzie Celesta ujrzała na

warcie jeszcze dwóch ludzi. Ci nie byli zamaskowani, ale nie znała ich, nie widziała nigdy.

Gdy znaleziono się następnie u drzwi w murze wiodących na ulicę, przewódzca, który postępował obok Celesty, wyjął z kieszeni czarną jedwabną maskę, jakiej używały nierzadko przedniejsze panie w czasie podróży, ale Celesta nie przyjęła tego. Ściągnęła kaptur swego płaszczyka i czarna gaza zakryła jej piękne, teraz pobladłe oblicze. Na rogu uliczki stały cztery konie, z których jeden był przeznaczonym dla Celesty. Wsiadła bez oporu i przebywano ulice miasta zupełnie puste i ciche, jadąc stępa. Bramę otworzono im bez oporu, bo przewódzca orszaku znał hasło. Jedna rzecz uderzyła przytem Celestę—wymówił on to hasło saskie jak Sas rodowity, z akcentem jaki nie łatwo zostaje przejętym przez cudzoziemca.

— Czyżby ten rabuś był Sasem? — zapytała się siebie z boleścią, ale omyliła się. Rabuś był tylko szpiegiem saskim, bo był to—Dimon!

Ponieważ Betlen po okrutnem rozwiązaniu tragedyi w Fetekohalom, oddalił się natychmiast z obozu księcia, nie mógł już on dowiedzieć się o Dimonie nic więcej nad kilka wyrazów niejasnych, rzuconych w uniesieniu; a choć to uniesienie mogło podawać je w wątpliwość, niemniej Batory zatruł sobie umysł podejrzeniem i wszystkie sztuki Dimona, wszystkie jego usługi dawne i obecne nie mogły go usunąć. Wiedział-on też, że lada chwila, lada przypadek może sprowadzić jego upadek i postanowiwszy położyć kres temu niebezpiecznemu stanowi, odważył się na coś najśmielszego, ale zarazem mogącego zbudować most dla wróconej mu łaski księcia i on to zuchwale wykradł dla niego Celestę.

Ona zaś, gdy spostrzegła, że wiozą ją do Hermansztadtu, zrozumiała, że jej porywcą nie jest zbójca wołoski, lecz stokroć straszniejszy obraz położenia jej przedstawił się umysłowi. Któż to był zatem?

Zaliżby *on?*....

O! wtedy nie Ecsedi to już był, tylko Batory i na myśl o jednem dotknięciu jej ręki przez jego rękę, już krew wszystka gniewnie biła jej do głowy. Żal, ból, gorzkie uczucie zawodu ściskało jej serce. On! on! chcący ją związać ze sobą gwałtem!....

Dimon tak wyrachował, aby Celesta przybyła do Herman-

sztadtu w czasie nieobecności tam Batorego. Chciał, aby jej obrażona duma miała czas się uspokoić, aby w samotności myśląc o tem, którego miała zobaczyć, rozbudziła w sobie miłość i tę tęsknotę, jaka zawsze jej towarzyszy—chciał aby Batory znalazł ją rozbrojoną i łatwiej skłonną do słuchania go. Umieścił ją w dalszej już części miasta, w starej i pięknej kamieniczce, należącej niegdyś do jednego z patrycyuszów Hermansztadtu. Wszystko tu było jakgdyby znane już Celeście, sprzęty, urządzenie, rozkład komnat był w stylu jej rodzinnym—otoczyła ją jakoby atmosfera saksońska, jakaś niemłoda kobieta, przeznaczona do jej usług, była też Seksonką. Ta nic nie wiedziała, nie podejrzywała niczego. Powiedziano jej, że Celesta jest młodą małżonką rycerza saskiego, którego książę wziął do niewoli, a którego ona przyjechała uwolnić przez wykup. Mieszkania dolne zajmowali stróże z ramienia Dimona, górne piętro zaś zajmowały dwie te kobiety i tak przebyła Celesta dni trzy,

Pierwszego dnia była bardzo zmęczona, zbolała ciałem i duszą złamana niejako, ale nazajutrz już wróciła jej energia. Była panią swojej woli, bo mogła zawsze umrzeć, i to poczucie siły dało jej względny spokój. Serce jej biło jednakże gwałtownie!.... och, jak gwałtownie, ilekroć jakieśkolwiek odgłosy z zewnątrz pozwoliły przypuścić, że Batory się zbliża.

Była pewna rzecz drobna, która jej wielką przykrość sprawiła. Wybierając się prędko do drogi. zarzuciła płaszczyk na poranną luźną suknię, która znajdowała się obok niej. przeznaczona do włożenia nazajutrz przy wstaniu z łóżka. Przykrą jej teraz była myśl, że się pokaże oczom Batorego w tej szacie swobodnej. Dziewicza jej wstydliwość kazała rumieńcom występować na lica w chwili, gdy myślała o tem, i dlatego przystała na przyjęcie sukni innej, którą stara Mina przyniosła jej nazajutrz po pierwszym jej wypoczynku w niewoli. Była to szata bogata i wykwintna, przecież nie węgierskiego kroju. Córka Weissa uczuła żywą przykrość, kładąc na siebie te jedwabie i aksamity, ale mimo to, była wdzięczną ręce, która jej to przysłała, gdy spostrzegła, że jest to ubiór kobiet jej narodu.

A nie wiedziała, nie domyślała się jak czarownie była piękna w tych drogocennych, poważnych tkaninach, szafirowej pięknej barwy. Że czas był już chłodny, bo działo się to właśnie w połowie Października, ubiór ten był dobrze dobrany do pory. Odrzucała przecież wszystko, co z jego bogactwa odjąć się

dało—nie spięła sukni kosztowną agrafą, złożoną z drogich pereł i brylantów. Odsunęła na bok bogate złote manele, sadzone też perłami i brylantami, odsunęła takież zausznice, które mogłaby włożyć królowa. Jej bogate, jasne włosy, gładko były zaczesane i nie użyła do nich przepaski z pereł i brylantów, która obyczajem przyjętej wtedy mody saksońskiej, noszoną była nad czołem przez panny z bogatych domów patrycyuszów. Nic, nic nie zostało przez nią użyte, co było ozdobą. Poważna, blada, w bogatej prostocie stroju, przy którym nie było żadnej błyskotki, przebyła cały dzień w niepewności i oczekiwaniu, mając przecież zawsze krucicę swą przy sobie. Przespała z nią noc, przesiedziała z nią następny dzień i nie rozstając się z tą przyjaciółką i obronicielką swoją wierną ani na chwilę, doczekała się dnia trzeciego.

Batory w nocy dnia tego powrócił z polowania na sarny, a Dimon powiedział mu dopiero nazajutrz około południa, że Celesta jest o dziesięć minut drogi od niego.

Drgnął, zapłonął, oczy mu błysnęły i zdawało się że poskoczy w tej chwili ku drzwiom, aby biedz do niej, ale była to błyskawica, która natychmiast zagasła.

— I tyś to śmiał uczynić, o czem ja lękałam się zamarzyć nawet! Krzyknął na Dimona—ty....

— Tak, ja panie.... Nie unoś się gniewem, bom przecież nie uczynił tej pannie nic złego, jak sama poświadczyć może i tylko sprowadziłem ją tu.... Dwie, czy trzy ulice.... i oto zobaczyć się możecie. Dałem jej gniazdko piękne, wygodne a saskie.... przysięgam ci panie, że jej tam źle nie jest....

— Milcz!—krzyknął Batory.—Rumienił się i bladł, bladł i rumienił się.—Dwie, czy trzy ulice i ona już, Celi jego!...

— Każę cię zakuć w kajdany za zuchwałość twą—krzyknął na Dimona i nie mogąc pozostać na miejscu, chodził tam i na powrót po komnacie, jak zwierz dziki po klatce swojej. Dimona odpędził od siebie, ale wkrótce kazał mu stawić się przed sobą, kazał mu opowiadać, jak i co było—jak i co robiła Celesta?

Dimon, prawie nie zmijając się z prawdą, opisał mu wszystko. To go uderzyło, że się nie broniła silniej, lecz nagle przejęła go trwoga, zali nie ma zamiaru zabić się w więzieniu swojem....

Rozżalił się nad trwogą, którą przeszła, opanował go na-

miętny gniew na myśl, że Dimon mógł znaleść się zuchwale i siłą gwałtu wśród jej komnaty dziewiczej. Pragnienie widzenia ukochanej, pragnienie pocieszenia jej po tem co zniosła, rozrywało mu piersi i Dimon nie został obciążony kajdanami, lecz w niespełna w godzinę po odkryciu przed Batorym tego, co uczynił, dyabelski ten syn jak powszechnie nazywano Dimona w otoczeniu księcia — wiódł go na gotycko rzeźbione wschody odległej kamieniczki Hermansztadtu.

Celesta z jednej strony trwożnie i niespokojnie, z drugiej w przepełnieniu żalu i skargi oczekiwała przybycia księcia. Chciała raz wyjść z bolesnego położenia, choćby przez bramę śmierci, gdy przecież usłyszała wśród otaczającej ją ciszy kroki szybkie i śmiałe: znane jej dobrze kroki, uczuła nagle trwogę niepojętą i oblicze stało się białem jak u posągu. Wstała z krzesła, postąpiła kilka kroków naprzód i stanęła jak skamieniała we wlokącej się szacie aksamitnej, wyprostowana, dumna i tylko brakowało na jej jasnych włosach korony, aby to był obraz królowej. Batory zaś biegł szybko, niosła go niecierpliwa tęsknota; w uszach brzmiał mu niepoczciwy poszept Dimona, aby okazał się kochającym, ale nie słabym. — Kobieta daruje zawsze gorące uniesienie miłości—mówił mu syn dyabelski prawie w chwili, gdy wchodzili do kamienicy, Batory był też roznamiętniony i prawie szalony. Kochać, czuć się kochanym i odpychanym.... o co za próba!....

Żywo nacisnął klamkę, wszedł i!....

Stała się w nim nagła, niepojęta może dla niego samego przemiana. Ta dziewica blada, jakgdyby już była cieniem, ta samotna, ta niewolnica, pilnowana przez zbirów, przejęła go taką litością nad sobą, takim żalem, że najpierw padł jej do nóg.

— Celi!.... ty porwana i gwałtem wieziona do mnie.... ty przestraszona, ty....

Chwycił brzeg jej sukni i całować począł. — O Celi!.... to nie ja jestem tym zuchwalcem. Celi, przebacz mi, coś ucierpiała!...

Teraz w niej odbyło się podobne, jak w nim przejście. Łzy toczyły jej się z oczu; duma, siła—prysnęły.... została tylko kobieta nieszczęśliwa, porwana przez nawalnicę losu i Batory usłyszał jej łkanie. Jak matka dziecko, tak on powiódł płaczącą do krzesła, jak matka dziecko uciszał ją i zaklinał aby się uspokoiła. On każe zabić zbrodniarza, który się targnął na jej

wolność i niech rozkazuje czego chce, a on wszystko dokona, jakgdyby on był jej więźniem.

Ale ten nastrój uczucia trwał w nim krótko. Gdy ona zawołała, aby zaraz, zaraz dał jej możność powrotu do ojca, on uczuł do niej żal głęboki, gniew nawet. — Nienawidzisz mnie — wołał w rozdrażnieniu — przytomność moja jest ci wstrętną, na mój widok stałaś się białą, jak chusta....

— Dawniej tak nie było.... o! pamiętam.... twoje lica zakwitały właśnie różami, twoje oczy spuszczały się przed moim wzrokiem, lecz gdy się spotkały.... och! co za chwila, co za rozkosz! co za upojenie!

Teraz Celesta przeszła inną jeszcze próbę. Padł jej do nóg i obejmował je, błagał aby mu pozwoliła je ucałować, wyciągał do niej ramiona i dając jej nazwy najsłodsze, zaklinał, aby się podała w jego objęcia, aż ona podniosła wzrok pełen żalu.—O panie!—zawołała—nie doświadczaj ty już serca mego, które zbolałe jest i zmęczone tak, że pragnęłabym uciszenia choć w trumnie. Oboje jesteśmy ludzie nieszczęśliwi i nie rozżarzajmy sami tego płomienia, którego ogień tylko spalić nas może....

— Nie, Celi — odparł — ściskając jej biedną, drżącą rękę w dłoniach swoich—nie.... Ja bez ciebie żyć nie mogę, boś ty jest jedynym życia mego dobrem, — kwiatem, którego woń stanowi wszystko co znaczy dla mnie szczęście i rozkosz. Bez ciebie jest w koło mnie tylko ciemność i udręczenie, obok ciebie stanę się lepszym i mocniejszym. Ty mądra i słodka będziesz dla mnie gołąbką pokoju i słuchaj.... Córka Albinusa podzieli ze mną tron, choćby wszyscy dumni magnaci węgierscy mieli zmarszczyć czoło. Uczynię cię małżonką moją wobec Boga i ludzi.... dziś jeszcze wyprawię gońca do twego ojca.... Och! Celi moja!

On, zwyciężywszy w sobie raz to, co było pychą kastową, odrzuciwszy na bok wszystkie względy, stawające między nim i szczęściem, stał się człowiekiem przemienionym: Rozjaśniony, promieniejący miłością i uczuciem uszczęśliwiającej go swobody, po zerwaniu więzów, któremi się dotąd krępował, uczuł się znów na dawny sposób młodym i kochającym.— Celi!—powtarzał—to Ecsedi twój wrócił do ciebie.... Nim trzy dni minie, ty moją będziesz.... przytulisz się do serca mego—na zawsze....

Jej twarz mieniła się. Bladość i rumieniec następowały po sobie. Już nie odpychała go, ale skłoniwszy swą jasną gło-

wę ku klęczącemu—rzekła:—Gabryelu, ty w ten dzień dasz mi w darze twej miłości szczęście moich rodaków... Wszak tak?.... w ten dzień zabrzmią radosne głosy oswobodzenia w Kron sztadzie i tu.... w Hermansztadzie.....

On się nagle od jej nóg porwał. — Celi! ty mnie nie kochasz jednak!—wykrzyknął z goryczą.

— Kocham, ale jedna miłość nie może zabijać drugiej. To są moi bliscy tam, gdzie cierpią i ciężką dolę znosić muszą. O gdybyś ty tam był jedną chwilę, panie.... Ile tam jest trwogi, niepokoju, boleści!

— Zdrada nie może się pełnić bezkarnie....

— Oni panie, mówią, że stoją przy prawach swoich....

— Pod których pozorem knują spiski na mnie i zawierają związki z nieprzyjacielem Siedmiogrodu! Żadne państwo tak rozdzielone ostać się nie może i ja, stróż mojego narodu, na jego tronie osadzon dlatego, aby strzedz jego potęgi, ja zgniotę ich raczej, niżbym miał pozwolić na te konszachty z obcemi. A kto to zwrócił się po pomoc do odwiecznego wroga węgierskiego narodu— do Niemców? O! z oczu twoich płyną łzy, bo nie możesz mi odpowiedzieć, iż tak nie jest.... Jest tak, Sasi są zdrajcami!

Ona otarła łzy, które jej wyrzucał i smutne oczy podniosła na niego.—Gabryelu — rzekła poważnym głosem, który się przyciszał pod głębokiem wzruszeniem—Gabryelu, słowa twoje są okrutnym na szczęście nasze wyrokiem. Ach! trwało ono w mej duszy tak długo, jak błyskawica, która otwiera nam niebo.... Wypadł zaraz grom, który zabił wszystkie moje nadzieje. Ja nieszczęśliwa nie mogę sądzić między narodem moim i tobą, ale wyszła mi oto z życia mego ta ciężka nauka, że niema szczęśliwej miłości między ludźmi dwóch obcych, wrogich sobie narodów. Ach! panie.... serce pęka w tej chwili, gdy ci to mówię, ale cóżby to się działo, gdyby małżonka twoja lała łzy w obec tryumfów twoich, w obec spełnionych twoich obowiązków władcy Siedmiogrodu? O.... coby to były za dni, za noce moje okropne w rozdarciu serca, jakoby na dwie połowy! Ty zwycięzca, byłbyś zbryzgany krwią mego ludu, oblany jego łzami, ty zwyciężony przez mój lud.... oh! cóżbym ja czuła, nieszczęsna?.... Zawsze, zawsze byłabym odstępczynią w każdej mojej radości, odstępczynią w każdej mojej boleści, grzesznicą i pokutującą wciąż razem.... Gabryelu, nie dałabym ci szczęścia ani wzięła go sama.... Gabryelu....

Teraz zalała się takim strumieniem łez, takie łkanie rozdzierało tę pierś mężną dotąd, że Batory. który już z posępnym wyrzutem patrzył na nią, naraz użalił się jej cierpienia.—Celi, Celi!—wołał—nie płacz, bo ja łez twoich nie zniosę. Słuchaj.... tyś mi jest droższą nad tron i koronę.!.. rzucę to wszystko—zostawię po zasobą Węgrów i Sasów i uwożąc ciebie tylko. ujadę kędyś w świat, choćby na Tureczczyznę.... Dobrze? Ecsedi wezmie cię na koń i uwiezie brankę miłości swojej....

— Gabryelu, to marzenie. to skryta zdrada miłości twej dla mnie. która chce zatryumfować nad wszystkiem. Jedna, choćby najdroższa nam istota, nie starczy za świat cały: za wszystkich ludzi i wszystkie uczucia, wszystkie ukochania, za krewnych, przyjaciół—za ojczyznę! Wygnaniec.... to człowiek pełen żalu i tęsknoty i ja nie popchnę cię do tego....

— Więc cóż?—wykrzyknął Batory już znów ponuro.

— Rozłączenie i pożegnanie się na zawsze....

— Rozłączenie i pożegnanie się na zawsze ze szczęściem?....

— A czy szczęście byłoby osiągniętem inaczej?..., Gabryelu! gdybym ci je dać mogła przez śmierć moją, o! przyjęłabym ją natychmiast, ale zdradzić mój naród w ucisku, odstąpić go i stać się małżonką tego, który postawić chce nogę na nim, powalonym! Gdybym uległa przez słabość uniesieniu miłości, możebyś znalazł na drugi dzień zimnego już trupa mego....

Teraz już nie płakała. Łzy jej oschły, oczy błyszczały. —Gabryelu—rzekła, biorąc go za rękę—wszak tyś mi powiedział, żem ja nie niewolnica za rozkazem twem porwana i zamknięta tu w więzieniu.... Prawda? Gwałt popełnili nikczemni pochlebcy, ale znajdując się już pod obroną twą i opieką, wolną jestem?

On się boleśnie uśmiechnął.—Tak—rzekł—wolną jesteś....

Ona podniosła na niego spojrzenie dziękczynne i rzekłszy:—Panie mój, chodź zemną.... zwróciła się ku drzwiom przedpokoju, gdzie znajdowało się dwóch przybocznych gwardzistów Batorego. Spokojnym i łagodnym głosem powiedziała im, aby jeden z nich podążył do służbowego oficera księcia z jego rozkazem przygotowania zaraz konia pod siodło kobiety i eskorty, złożonej z kilku walecznych i uczciwych ludzi. Widok księcia obok niej, która wydawała te rozporządzenia, potwierdzał je i czynił jakoby rozkazami jego. On przecież był blady bardzo i jakgdyby walczący w sobie. Niemal machinalnie, jak człowiek

zostający pod urokiem jakiegoś zaklęcia, szedł za nią i wrócił do komnaty bawialnej.

Ledwie przestąpili jej próg, ona uklękła przed nim.—Gabryelu! jesteś dobry i szlachetny.... Dziękuję ci za to na klęczkach, bo zostawiasz mi możność, aby serce moje nie przebywało srogich doświadczeń walki ze samem sobą. Nie Ecsedi'ego już teraz kochać będę aż do dni mych ostatka, lecz Batorego....

Nim zdołał odpowiedzieć na jej słowa, usta jej spoczęły na jego ręce i wycisnęły na niej pocałunek gorący.

Zerwała się przecież bardzo szybko z klęczek i uciekła w drugi koniec komnaty, aby paść na krzesło i zalać się gorącemi łzami.

On stanął przed nią rozżalony i z brwią ściągniętą.—Pamiętaj, że uchodzi mi z tobą światło mej duszy. Pamiętaj, żeś ty jedna miała władzę nademną, której nikt inny już posiadać nie będzie—rzekł z goryczą.

Ona podniosła oczy załzawione.—I dla mnie Gabryelu tyś jest tem, czem nigdy.... o nigdy nie stanie się już nikt—zawołała.—Serce, kochające gorąco, nie kocha dwa razy, ale między nami stanęły przeszkody nieprzebyte....

Wstrzymywała płacz, drżący jej w głosie i miała dość siły, aby się zwyciężyć. Po chwili przecież podniosła się i biorąc rękę Batorego, poprowadziła go ku oknu—Gabryelu—rzekła—patrz tam, na ten czysty błękit nieba. Tam kędyś jest zaświat, gdzie uchodzą duchy ludzkie po walce ziemskiego żywota i dusze tych, którzy byli sobie drogiemi na ziemi, tam się zejdą nakoniec. Przez miłość dla mnie, pamiętaj o tej krainie zaziemskiej, kędy cię czekam, bo na ziemi, musiemy być rozdzielonemi na zawsze.....

ROZDZIAŁ VI.

A ty, co stoisz najwyżej ponad otaczającym cię tłumem, czyś jest tak nienaruszalnym, jak i bezgrzesznym? Kamyk się stoczy z góry i uderzyć cię może....

Körner.

Prawie jednocześnie z tą chwilą, w której Celesta wywalczyła sobie wolność, Gabryel Betlen zjechał do Hermansztadtu i była to jakoby łaska losu dla Batorego, bo wielkiem nieszczęściem tego człowieka było to, że nie umiał cierpieć spokojnie. Szamotał się namiętnie pod każdym dotknięciem losu i wtedy ogarniały go dzikie niecierpliwości. Szukał winy we wszystkiem i wszystkich, za to, czemu ulegać musi tak mocarz, jak żebrak, bo prawa rządzące ludzkością nie zmieniają się dla nikogo. On nie umiał sobie tego powiedzić: natura stworzyła go namiętnym; wychowanie, chcąc dać mu siłę, jakiej nie posiadał, uczyniło go despotą. Chciał łamać wszystko w koło siebie, co mu się wrogiem być zdawało i teraz rozłączenie z ukochaną kobietą, smutnie rozdrażniało go na Sasów, w których buntach widział powód swego niepowodzenia wobec Celesty, gdy właśnie poselstwo ich przybyło do Hermansztadtu i było się można obawiać, aby nie przyjął go w jaki sposób okrutny. Ztąd też obecność przy nim Betlena była jakoby opatrznościową, bo mimo wszystkich wad swoich Gabryel Batory posiadał jakąś intuicyjną znajomość ludzi. Pozwolił podłym cisnąć się do siebie, aby korzystać z ich usług i czynić ich narzędziem swych przyjemności, ale gardził niemi i niedowierzał im, gdy przeciwnie był zdolnym szanować nawet nieprzyjaciela, w którym widział szlachetność ducha. Betlena przecież znał i cenił od lat bardzo młodych. Nie miał dość hartu woli, aby pozostawać zawsze pod jego wpływem, stawał się nieraz powolnym na głos nikczemnych pochlebców, ale zawsze ucieszył się, gdy do niego przybywał i wymawiał mu, że trzyma się zdala od niego. Teraz przecież Betlen zjechał z całą rodziną do Hermansztadtu, bo położenie rzeczy było groźne. Niebezpieczeństwo groziło zawsze zewnątrz

od chytrego wojewody Serbana, niebezpieczeństwo wewnętrznych zamieszek rosło i potęgowało się z dniem każdym i Betlen przybył do Hermansztadtu dlatego właśnie, aby być obok Batorego w chwili poselstwa saskiego, które prosiło o pokój, ale niebezwarunkowy i Betlen znalazł się w porę obok Batorego.

Chcąc zręcznie wprawić księcia w dobry humor, wyprawił on wspaniałą ucztę, wśród której Batory miał spotkać wielu mężów poważnych. Zaproszonymi zostali i przedniejsi z deputatów saskich, bo Betlen rachował na to, że to da im sposobność okazywania księciu tych oznak czci i uszanowania, jakiej nie wyrażają buntownicy. Że przytem jeden z tych posłów wręczył mu prywatnie list od Celesty, usposobienie jego stało się dla nich łaskawszem, jakkolwiek przy czytaniu listu oczy zaświeciły mu zapalczywym gniewem. Przecież troskliwie schował pismo w zanadrze, chcąc mieć na piersi papier, na którym droga mu ręka kreśliła wyrazy, objawiające jej tkliwe zawsze dla niego uczucie, bo Celesta przesyłała księciu ważną przestrogę i ważne ostrzeżenie—przed zdradą!

List został mu oddany w chwili, gdy Betlen już czekał na niego, aby z orszakiem dworzan swych i przyjaciół przeprowadzić księcia do swego domu. Batory znać nie chciał psuć sobie chwil zabawy i zamilczał o odebranej wiadomości, odłożył na później ściągnięcie winowajcy przed oblicze swoje. Mimo gwałtowności, Gabryel Batory umiał być niekiedy skrytym i w tem właśnie, co było wyrzeczeniem kary na winnych. Rys ten jego charakteru zaznaczyła historya, a dodać trzeba, że znajduje się on często u Węgrów, jako pozostałość wschodniego ich pochodzenia. Zawzięci są i zacięci w nienawiści swojej tak mocno, jak gorącymi i wiernymi bywają dla ukochań swoich i dlatego to umieją zaczaić się nieraz na wrogów, aby wywrzeć zemstę tem silniej....

Czy jednak ten, w którym teraz poznał wroga, był osobą zbyt maluczką, aby wiadomości o jego zdradzie rzucała cień głębszy na umysł władzcy Siedmiogrodu, czy też uczta Betlena była tak wspaniałą i uweselającą, że zapominał wśród przyjaznych jej wrażeń, o rzeczy niemiłej, którą pozostawił w tyle za sobą: dość, że od począt[illegible] do końca okazywał się pełnym młodzieńczej, kawalerskiej [illegible]ntazyi, zwłaszcza dla pięknej gospodyni, Zuzanny Karoly z domu. Miała ona wyznaczonym sobie krót-

ki pobyt na ziemi i może w nagrodę tego, że niedługo cieszyć się mogła życiem, danym jej został tak podbijający urok wdzięku, że mu ulegali młodzi i starzy, uległ też i Batory. Przytem uczta była szczególniej wspaniała. Wedle obyczai tamtego wieku, zasiadano do stołu o południu. Batory przeprowadzony przez gospodarza, zajechał przed stary, niegdyś do rodziny Karoly należący pałac, w chwili właśnie, gdy na wieży biła godzina dwunasta i spotkany zaraz w sieniach przez piękną gospodynią w orszaku najprzedniejszych pań węgierskich, jakie przebywały w pobliżu, podał jej zaraz ramię, aby ją poprowadzić do sali jadalnej, która przedstawiała obraz nieznanego dziś przepychu. Ciągłe stosunki z Polską przez ciąg panowania Stefana Batorego wprowadziły wiele zwyczajów polskich do Węgier, a to zaznaczyło się szczególniej w stroju pań i wytwornej zastawie stołów. Kunsztowność włoska, która z Boną dostała się do Polski, udzieliła się teraz Węgrom i wykazywała w bogatych i wytwornego kształtu srebrach i kryształach. Talerze, półmiski, wazy były wszystko srebrne, ozdobione bogato w rzeźby kwiatów i liści, a nierzadko widzieć tu się dawały kunsztownie oddane postacie mitologiczne bogactw i istot nadziemskich: amorków, gieniuszków skrzydlatych. Złotnicy owych czasów uważali się za sztukmistrzów i tak, jak Benvenuto Celini, wcielali w wyroby swoje ze szlachetnego kruszcu pomysły artystycznej fantazyi. Bogate makaty zaścielały też stoły, a panie, które przy nich siedziały, były wszystkie niemal w stroju polskim, tak jak mężczyzni w polskich kontuszach i żupanach, przepasani złotolitemi pasami. Starodawna moda węgierska wielkich i ciężkich guzów, usunęła się przed drobnemi guziczkami, na jakie zapinał się żupan polski Piękna Zuzanna Betlenowa siedząca przy księciu, miała na bogatej, powłóczystej sukni w różnobarwne tureckie palmy na tle błękitnego jedwabiu, kontusik biały ze srebrnej lamy, ujmujący obciśle jej wysmukłą, kształtną kibić. Suknia ta wpół otwarta, zwała się polonezą (lengyeles) i była na srebrne guziczki zapięta, a gdy książę wiódł tę piękną panię do stołu z dworną układnością, gdy długi szereg równie bogato ubranych pań i panów posuwał się za niemi, aby zasiąść przy stole, wspaniale zastawionym, obraz to był dla malarza — obraz zdający się tak uśmiechać szczęściem i dostatkiem, że widz wprowadzony do tej biesia-

dniczej komnaty, aniby przypuścił, ile gwałtownych, sprzecznych sobie namiętności i pragnień biło w piersi ucztujących.

Do piątej godziny trwała biesiada i wino lało się ze złocistych i srebrnych dzbanów w kryształowe puhary, rumieniły się lica i rozbłyskiwały oczy, a książę choć nie pił wiele, miał podniesiony kolor twarzy, gdy wreszcie powstał, aby dwornie odprowadzić sąsiadkę swoją do obszernej, na ogród wychodzącej bawialni. Już też nie bawił potem długo i daremnie gospodarz prosił go, aby chciał przedłużyć gościnę swoją. Sprawy posłów saskich posłużyły Batoremu za powód nie przeciągania odwiedzin swoich i gospodarz wraz z najprzedniejszymi panami odprowadzał go do drzwi pałacu, w którego dziedzińca masztalerze w drogich barwach trzymali już na ozdobnych uzdach rumaki księcia i jego dworzan.

Betlen nie mógł już teraz odprowadzać dalej Batorego, bo miał niepospolitych też gości u siebie i Batory bynajmniej się o to nie obrażał, a nawet chciał go zaraz za pierwszym progiem antykamery odprawić, ale on nie chciał przystać na to. Przeprowadził on księcia przez sień, aż do progu drzwi ostatnich, lecz dalej już mu Batory iść nie dał.—No, no, mówił mu poufale i wesoło:—Dość już użyłem gościnności twojej i wracaj do tych, których tam masz jeszcze u siebie.

Betlen jednak jeszcze wyszedł za księciem na podsień i zatrzymał się, gdy ten, stojąc na pierwszym stopniu ganku, którego kolumny dźwigały ciężką wystawę marmurową, skinął ręką na masztalerza.—Dawaj!—zawołał—i pyszny kary rumak stanął przed gankiem. Batory chciał wprost ze stopnia wschodów wskoczyć mu na grzbiet, lecz w chwili gdy to czynił, cały gzyms górnego frontonu, jakgdyby popchnięty w górze niewidzialną ręką, oberwał się i ciężkiemi kawałami gruzów zwalił się na ziemię.

Cudownym jakimś trafem żaden z nich nie dotknął księcia, który już siedział na koniu, gdy bledzi i oniemieli świadkowie tej sceny, nie mieli siły nawet wydać okrzyku trwogi.

Osłupieli, struchleli patrzyli na rumowisko, które zasypało stopnie ganka, i tylko książę, nie tracący krwi zimnej, zaśmiał się głośno, a potem zdjąwszy z głowy aksamitną węgierską czapkę, na której było widać biały pył wapna i okruchy tynku, rzekł z wyrazem kłującego szyderstwa, tak w głosie jak

spojrzeniu: — Bracie Betlenie, dziękujemy wam serdecznie za poczciwą gościnność waszą....

Betlen stał blady jak trup. Przeraził go wypadek i możliwość jego następstw, przecież nikt nie powinien go był dotknąć podejrzeniem, bo w chwili katastrofy był tak blisko księcia, tak tuż obok niego stał na stopniach ganku, że nikt nie byłby mógł wyrachować kogo uderzy cegła lecąca? Że jednak Batory podejrzenie to powziął, można było poznać ze słów ostatnich.

O przeciągnięciu zabawy już nie było można myśleć. Goście rozjeżdżali się pośpiesznie i nie tylko goście, bo niespełna w godzinę potem, gdy oddział wojska książęcego otoczył dom Betlena, aby go aresztować, już nie znalazł ani Betlena, ani żony jego. Ślad nawet ich drogi został zatarty, nikt nie mógł powiedzieć w którą stronę i kiedy mianowicie ujechali, bo stać się to musiało w chwili ogólnego popłochu i rozjeżdżania się gości.

— Do Radulego.... do cesarza tureckiego — zawołał Batory, gdy mu to doniesiono—lecz mylił się; Betlen z żoną schronili się na Węgry. Noc całą jadąc bez odpoczynku, przybyli do Temeswaru, lecz tam bawili tylko tak długo, aby delikatna kobieta wypocząć trochę mogła i ruszyli dalej w drogę do Budy.

Batory zżymał się gniewem namiętnym, że ofiary jego dzikiej zemsty uszły mu z rąk, ale cierpiało w nim i serce. Kochał Betlena, lecz złowroga podejrzliwość jego natury przeważała w nim wszelkie inne uczucia.—Zdrady!.... wszędzie zdrady....—wołał w ponurem rozdrażnieniu i kazał przywołać przed oblicze swoje Dimona.

Tego nie było w domu, ale w parę chwil potem zjawił się przed księciem, który groźno go zapytał gdzie był—czy u posłów saskich?....

List Celesty odkrywał Batoremu, że jest zdradzanym, że ma obok siebie skrytego nieprzyjaciela. Uważała to sobie za obowiązek i gdy padłszy ojcu do nóg, błagała go o nie używanie podobnych środków przeciw Batoremu, napisała mu, że u łona jego wygrzewa się wąż. Książę odrazu odgadł, że wężem tym jest Dimon. Znał nikczemne strony jego charakteru i ulegał tylko jakiejś słabości niewytłómaczonej, trzymając go przy

sobie, ale teraz tem silniej rozpalił się gniewem namiętnym. —Zdrajco nikczemny!—zawołał -tak to odpłacasz łaski moje!....

— Jakie? —zapytał Dimon, też z płomieniami w spojrzeniu. — Byłem sługą dogodnym i pan mój płacił mi za to. Zrobił mnie najpodlejszem narzędziem swoich chuci.... wykorzenił, wyrwał doszczętnie co we mnie jeszcze było uczciwości i to jest to dobrodziejstwo, za które mam być winnym wdzięczności?....

Zaśmiał się dziko, a roznamiętnienie całej jego istoty rosło z każdym wymówionym wyrazem. Względy, dzielące sługę od księcia, już zniknęły dlań zupełnie. — To nie ja tu dłużnym jestem — zawołał w końcu — nie ja.... Zdradzałem, to prawda, bo pierś moja kipiała uczuciem doznanej krzywdy i zazdrości, a przecież, czym nie dał się unosić głupim, nędznym porywom miłości ojczyzny i miłości bratniej....

— Jakiej miłości?—krzyknął Batory rozdrażniony też w stopniu najwyższym.

— Psiej.... Psi instynkt czasem mi targnął serce i czym nie jeden raz ocalił wojsko siedmiogrodzkie od zguby, odkrywając plany nieprzyjacielskich wodzów? A cóżby było wtedy, gdyby chytry Wołoch był zdążył połączyć się na tyłach naszych z Forgaczem? A gdzieby to obracał się teraz książę, gdyby jego podły sługa nie wyratował go z niewoli Sasów, a raczej ze szponów Serbana Raduly? Obdziobane przez kruków kości bieliłyby się teraz gdzieś w polu....

Książę drgnął, ale zaraz uniósł się silniejszym jeszcze gniewem.—Zdradzałeś dwie strony dla podłej chciwości grosza—zawołał.

— Nie.... Psia natura, psia głupota, bo kiedym zobaczył Batorego rozbitkiem, Batorego w niewoli, w więzach.... Ach! wszyscy Batorowie są.... błazny głupie....

Wymówił wyrazy ostatnie w uniesieniu, które już rozum odbiera, a książę skoczył do niego jak tygrys rozżarty i tych dwóch byłoby się teraz mordowało—jak Kain i Abel....

W tej chwili wszedł setnik gwardyi książęcej, wprowadzony przez Kamuly'ego, który znalazł się znów na dworze, jakkolwiek już bez żony. Setnik zdawał sprawę, że wszystkie oddziały pogoni, rozesłane na różne trakty za zbiegiem, nie odkryły najmniejszego śladu Betlena.

Książę zdołał się opanować natychmiast. Należało to do

cech jego natury, że jakkolwiek gwałtowny w stopniu najwyższym, umiał czasem wciągnąć w siebie namiętność, jak ślimak rogi i przyczaić się z nią. Nim setnik rozpoczął historyą nieudanych poszukiwań Betlena, on rzekł do Kamuly dwa łacińskie wyrazy półgłosem.

Kamuly wyprowadził Dimona, który jak śmierć blady, nagle też odzyskał przytomność umysłu i dał się spokojnie wyprowadzić.

Książę słuchał opowiadania swego wachmistrza, jak się zdawało z uwagą, a ten zdawał szczegółowo raport o każdym szczególe pogoni, gdy wszedł znowu Kamuly.

— Interes pilny—rzekł wchodząc—mam tu jakieś papiery, zdarte z szyi więźnia, a które może zawierają zdradę, pilną do odkrycia.

Kamuly miał plamy krwi na ręku, którą wyciągnął do księcia i ten drgnął, cofnął się w tył.—Co.... jak?.... zapytał ponuro zmarszczony.

— Kiedy pachołkowie zerwali z niego suknie i kat chciał go przewiązać sznurem w pół ciała....

— Jakto?.... wzięliście go odrazu na tortury? — krzyknął książę srogo....

— Próżno było przewlekać—odparł Kamuly — bo to dyabeł nie człowiek. Śmiał się wtedy nawet, gdy krew już mu tryskała nosem i ustami.

— Cicho—zawołał Batorego i cofnął się w tył od Kamuly'ego.

Papiery były w takim woreczku jedwabnym, w jakich pobożne kobiety w owych czasach nosiły relikwie świętych patronów. Gdy książę z pewnym wstrętem rozwiązywał jedwabny sznureczek, którym opleciony był zwitek papierów, Kamuly rzekł: — Powinienem panie dodać ci i to, że gdym te papiery zerwał Dimonowi z szyi, on, z początku broniący ich zaciekle, potem sam mi je oddał.—Weź służalcze podły—rzekł z szyderstwem — weź i oddaj to twemu panu. Kiedyś z dumy kryłem tajemnicę tę przed światem, ale teraz chcę, aby ją poznał miłościwy nasz książę.—Potem obrócił się do kata i rzekł mu zimno.—Zaczynaj ...

Książę nie czytał ale przebiegał szybko okiem pożółkłe ćwiartki, widocznie listy, aż w końcu znalazł pargamin z pie-

częcią książęcą, a twarz jego mieniła się przytem dziwnie. —Kamuly — krzyknął — leć, pędź, ręka kata niech nie postanie na Dimonie, któremu oddaj to wszystko....

Ręce mu drżały, gdy pospiesznie kładł papiery w woreczek i oddając je Kamuly'emu—dodał: — Powiedz mu, aby nigdy nie spojrzały na siebie oczy nasze....

Kamuly już był w progu, gdy zawołał jeszcze:—Nie bronić mu nic, co zechce wziąść z rzeczy posiadanych—wszystko, wszystko mu oddać i dać mu ze stajni mojej konia, którego zechce....

— A jeżeliby chciał jeszcze przenocować w mieście — nie bronić mu.... Niech odpocznie....

Nie dokończył:—„po torturze...." ale dziwnie bolesny spazm ust wykazywał, że wyraz ten tylko nie mógł być przezeń wymówionym.

Książę dowiedział się z listów, pisanych ręką jego ojca Stefana, że Dimon był mu bliski krwią, jak brat bratu. Listy te były pisywane do Tekli, córki Teobalda, złotnika z Debreczynu, która młodą dziewczyną uszła z domu rodzicielskiego z miłości dla możnego i wielce urodziwego magnatu, którą ją poznał na uroczystości turniejów, wyprawianych w Debreczynie z okazyi zwycięztwa w wojnie Węgier z Turkami. Kobieta była słaba, ale tkliwego, wiernego serca. Wstydem trapiona, nie chciała już nigdy wrócić do doma rodzicielskiego i ukryła swoją boleść aż w dalekim Burzenlandzie, gdzie młodo zamknęła oczy, zostawiając syna sierotą na łasce losu.

Kiedy Batory wołał na Kamuly'ego: — Dać mu z mojej stajni konia, którego zechce.... był zdolny zawołać:—Jeżeli zechce, niech wróci do mnie, mój brat.... ale w walce uczucia z wyniosłością książęcą, uczucie—przegrało....

ROZDZIAŁ VII.

> Dzieje świata zdają się toczyć jak bałwany wzburzonego morza, pędzone wichrem i tą mocą ślepą, która tkwi w żywiołach. Ale nie.... czuwa w nich Mądrość Najwyższa, która trzyma w ręku szalę, ważącą czyny wszelkie i jest w nich wet, za wet....
>
> *Bezimienny.*

Posłowie Sascy nie wyjednali u Batorego pokoju. Warunków nałożonych na siebie przyjąć nie chcieli. Pod Marienburgiem stoczoną została walna bitwa, a walczyli w niej przeciw księciu i ci rycerze, którzy powinni byli stać po jego stronie, ale niezadowolenie szerzyło się w kraju coraz silniej i w szeregach Sasów był Gecci z hufcami stronników swoich. Batorego nie było tu osobiście, przecież bitwa została dla Siedmiogrodu wygraną i Weiss w niej zginął. Konając na polu bitwy, oddawał Celestę w opiekę Sewerowi i żądał od niego przyrzeczenia, aby cierpliwy jak brat, został jej wiernym jak kochanek, i gdy serce biednej dziewicy uciszy w sobie nakoniec walkę z nieszczęśliwą miłością, aby wyciągnął wtedy do niej dłoń raz jeszcze i uczynił ją małżonką swoją. Sewer przyrzekł to umierającemu i nie dlatego tylko, aby mu dał zgon spokojny. Serce szlachetnego młodzieńca było jak złoto czyste, które nie zawodzi pod kamieniem probierczym: doświadczenia losu nie wykazały w nim żadnej przymieszki podlejszego metalu i samotna sierota nie przestała mu być nigdy tak drogą, jak drogą była córka poważanego i ludem swoim, jakoby król ukoronowany, rządzącego człowieka. I wierność ta nagrodzoną została. Celesta przywiązała się do niego silnie jak do najlepszego przyjaciela i tak, jak przewidywał Weiss, to dwoje połączyło się w końcu węzłami przysięgi, aż do śmierci. Lecz Celesta przebyła jeszcze jedną próbę ognia i wyszła z niej zwycięzką.

Wśród różnych zmian losu i w kolei wypadków, wstrząsających Siedmiogrodem, przyszła w następnym zaraz roku ta-

ka chwila, że Batory zapotrzebował od Sasów nietylko przymusowej uległości, którą zdobywa na słabszych przemoc mocniejszego, ale prawdziwej życzliwości i spojni, jaka wiąże ludzi i narody, sprzymierzone ze sobą rzeczywistą sympatyą serc. Zjechał też do Kronsztadtu dla zdobycia sobie ludu saskiego, czy przecież to był jeden i jedyny tylko powód tej nagle zmienionej polityki Batorego? Gwałty jego i szały, potęgujące się coraz więcej, pustynię też wytwarzały w koło; odbiegli go wszyscy dostojniejsi i zacniejsi ludzie, w otoczeniu książęcem nie było już nikogo przedstawiającego rody znane krajowi i zasłużone. Batory usiłował pokrywać doświadczane uczucie braku przez dzikie wybryki szalonych orgii, przecież w głębi duszy czuł się samotnym i był smutnym. Szczególniej bolało go zerwanie z Betlenem, ale za dumny był, aby pierwszy wyciągnąć rękę do zgody, przytem robak nieufności już mu się wgryzł w serce i nurtował w niem, a nowi ludzie, któremi się teraz otoczył, jątrzyli go jeszcze ciągłemi donoszeniami o knutych na niego spiskach i tajemnych naradach szlachty siedmiogrodzkiej.

W takim stanie serca i umysłu, tęsknota za ukochaną kobietą mogła budzić się w nim silniej, niż kiedy. Trzeba mu było istoty jakiejś, którąby czuł przy sobie wierną i mocno kochającą—trzeba mu było jakiegoś oparcia się sercem o serce i może wpływ tych uczuć przyłożył się do zmiany jego polityki z Sasami. Ukorzeni już byli teraz i poddani rządom surowym, gdy on oto zjechał nagle między nich. Obóz księcia został rozbity pod Kronsztadtem, a Batory przyjmując przedniejszych obywateli miasta, sprosił ich do siebie na ucztę, przy której wzniósł zdrowie najpiękniejszej i najszlachetniejszej z kobiet Siedmiogrodu—Celesty, córki mądrego Weissa!

Zaraz na drugi dzień zjechał do miasta i odwiedził ją. Wspaniale strojny, na pysznym rumaku, z orszakiem licznym, prawdziwie po książęcemu zawitał do ukochanej, która wyszła na jego spotkanie zmieszana i smutna, aby usłyszyć słowa najgorętszej miłości.

— Bądź moją—mówił jej.—Już teraz bez żadnych zastrzeżeń, bez żadnych warunków, jedynie na prawach naszej wspólnej miłości—bądź moją!....

Ona zapłakała. Nie rumieniła się, lecz bladła.—Zapóźno już—odrzekła—zapóźno! Serce moje zbyt już wiele przecierpiało, aby mogło odżyć....

— Ach! panie.—dodała—.Na krwawych polach Marienburga dźwigałam ciało mojego ojca—bez głowy!

Tak było rzeczywiście. Gdy Weiss, który dowodził wojskom saskim, padł śmiertelnie ranny, a wśród popłochu i bezładnego odwrotu Sasów, Sewer usiłował unieść rannego gdzieś na ubocze, Weiss umarł mu w ręku, czyniąc go przez ostatnie swe słowa opiekunem Celesty i wtedy Sewer ukrył jak mógł ciało wśród krzaków, aby nie odarto go dla łupów i pośpieszył złączyć się z uchodzącemi szeregami rozbitych Sasów. Przecież nazajutrz, zaledwie świt słoneczny począł różowić niebo, już on tam był z córką sierotą, aby zabrać drogie zwłoki, lecz z czemżeż się przy nich spotkali? Nie kruki je obsiadły, nie sępy.... Szekler Bilibog odkrył je i za żadne pieniądze nie chciał odstąpić córce trupa ojcowskiego. Trzeba mu było głowy *Szwaba*.... bo było to jego rzemiosło odcinać je wszystkim przedniejszym, bogaciej odzianym wojownikom saskim i odnosić jakoby w darze księciu, jakoby trofea. Nienawiść rodowa Węgrów ku Niemcom działała tu, w wieku owym przejawiająca się w formach surowszych i okrutniejszych i nieszczęśliwa Celesta uwiozła ze sobą do miasta tylko tułów bez głowy i to wspomnienie okrutne stanęło jej teraz w myśli, słysząc swatające ją sobie słowa miłości Batorego.

— Panie—mówiła mu też sierota ta żałosna—między nami nie może być ślubów miłości, bo nas rozdzielają na zawsze strugi krwi i stosy trupów! To, com ci mówiła niegdyś w jasnowidzeniu losu mego, sprawdza się teraz okrutnie. Dwoje kochających się ludzi musi mieć jednego Boga i jedną ojczyznę i biada tym, którym padnie los inny.... Los taki padł nam i rozstać się musimy.....

Próżno Batory prosił i nalegał—nic nie wyprosił i nic nie wymógł.—Dźwigałam ciało ojca mego bez głowy—odpowiadała mężna dziewica i pokazując Batoremu żałobną jeszcze szatę swoją, zapytała, czy mogłaby stanąć z nim przed ołtarzem w kirze tym?

— Nie może być ślubów miłości między ludźmi wrogich sobie ludów..... Ta, która się tego dopuści, nie wie co czyni, nie wie co to są mściwe upiory, wstające z grobów ojczystych cmętarzy, które przychodzą po nocach gryść serca i sumienia—odstępców....

Nie było rady na rozżalenie serca sieroty i Batory opuścił Kronsztadt posępny i smutny głęboko. Tracił ostatnie dobro swoje — miłość kobiety szlachetnej, która mogła była stać się jego aniołem stróżem.

W rok potem poszła za Sewera. Dwoje szanujących się głęboko, dwoje silnie przywiązanych do siebie przyjaciół, połączyło się węzłem dozgonnym, aby módz razem żyć i pełnić obowiązki swoje. Nie była to może całość szczęścia, ale była jego część jakaś—był spokój sumienia, była cisza serca, nie targanego goryczą zawodu i uczuciem potarganych węzłów świętych.

ROZDZIAŁ VIII.

Jest straszne bóstwo Nemezys, które liczy i karze błędy ludzkie.

Byron.

Od Batorego szczęście odwróciło się ostacznie wraz z drogą mu kobietą. Zaraz za murami Kronstadtu spotkał gońca, dającego mu znać, że przez Wołoszczyznę ciągnie liczne wojsko tureckie z Iskanderem Baszą na czele. Obok namiestnika sułtańskiego znajdował się Gabryel Betlen i jego to wprowadzała na tron Siedmiogrodu ta potęga pohańców, straszna wtedy dla Europy. Batory odebrawszy te wieści, zapowiadające szereg klęsk dla kraju, a jemu grożące ruiną i stratą tronu, nie popadł jednak w trwogę ubezwładniającą. Forsownym pochodem ciągnął do Kolosvaru i ztąd słał posłów do Iskandera, obiecując mu oddanie Lippy w zamiast za wydanie mu Betlena. Ale dumny Turczyn ani posła przyjął, ani na propozycyą księcia odpowiedział. Przodem przed regularną armią wypuścił palącą i rabującą hordę Tatarów, która już zbliżała się do Kolosvaru i książę wysławszy do Cesarza Rakuskiego posłów, proszących o pomoc, ujechał do Varad'u, czyniąc zaciągi i obsyłając po kra-

ju wieści z ogłoszeniem pospolitego ruszenia. Ale mało już stronników liczył: tylko drobna szlachta i Szeklerzy jeszcze przy nim stali, lecz hufce magnatów, z których na hasło o wrogu tworzyły się głównie w owe czasy zastępy obronne—te się nie ruszyły na głos Batorego, jeżeli nie pociągnęły w stronę przeciwną i dzień każdy był dla niego dniem jakiegoś ciężkiego ciosu—nowego zawodu!

Ale był to duch za hardy, aby się poddał losowi bez walki. A i w sobie ją staczał—duszę tę despotyczną dręczyło ciężko upokorzenie, które przechodził, widząc tego, który był wczoraj jego poddanym, dziś stawiającym się między nim a krajem, i widząc, że kraj ten nie zrywa się na jego obronę... O! były to ciosy głęboko przenikające tę wyniosłą duszę.

A posłowie jego do Wiednia wysłani, ani dawali żadnych wieści o sobie, gdy tymczasem Betlen już wszedł w granice kraju, jako książę, a gdzie tylko powiały jego chorągwie, tam nie tylko przyjaźni mu magnaci, ale i ludność miasteczek garnęła się ku niemu. Rządy Batorego zmęczyły już ludzi: srogie i gwałtowne a słabe, uciskały, nie dając przecież obrony przed nieprzyjacielem zewnątrz i zcieraniem się stronictw wewnątrz, przyczem lud ubogi cierpi zawsze najwięcej. O Betlenie dochodziły same wieści pochlebne: mówione, że wspaniałym jest i szlachetnego serca, że obyczaje jego są uczciwe, a wszyscy już wiedzieli że mężny, głoszono też na okół, że rozumny i umiarkowany. Był więc zapowiedzią zmiany na lepsze, a Łazarz cierpiący przewraca się raz po raz na inny bok, ulgi szukając.

Tak też czyniła ludność Siedmiogrodu — przewracała się na inny bok...

Batorego zewsząd dochodziły wiadomości o odstępstwie i burzyły w nim krew, która dotąd pozostawała zimną, choć położenie stawało się codzień trudniejszym. Bez sprzymierzeńca nie chciał wyruszać w pole, a tu tymczasem nieprzyjaciel brał bezspornie miasto za miastem i posuwał się.

Dla takiego, jak on człowieka, bezczynność była wśród takiego położenia torturą. Wybladł, wychudł, piękne, orle jego oczy zapadły w głąb', gorączka trawiła go skrycie i nie mógł wytrzymać w twierdzy. Wyjeżdżał często, lecz po co? Wyjeżdżał naprzeciw swego przeznaczenia...

Jednego dnia nad wieczorem siadł w lekką kolaskę i wy-

jechał kawał drogi za Varad. Jechał sam, bez orszaku; woźnica kierował z kozła parą rączych, ognistych koni, a obok niego siedział pokojowiec, chłopak młody. Batory patrząc na zachodzące słońce uczuł się ogarnięty tęsknotą. Gdzie ono uchodzi i zkąd wraca? myślał. Woźnica był starym sługą rodziny Batorych, książę przywiózł go ze sobą z Węgier i teraz coś do niego zagadał o Węgry właśnie, o rodzinne ich obu miejsca, gdy nagle z krzaków olszowych, rosnących gęsto po obu stronach drogi, wyskoczyło dwóch ludzi zbrojnych. Maski mieli na twarzy i rzucili się najpierw na konie, cieli w nie pałaszami, potem jeden wymierzył potężny raz w starego woźnicę, któremu obciął rękę trzymającą cugle. Stary spadł z kozła, a Batory wyskoczył z kolaski z wydobytem już pałaszem, rzucił się na napastników. Maski przekonywały go, że to nie są prości zbójcy i tem goręcej wrzała w nich krew:—Podli buntownicy!... krzyknął i cisnął się jeden na dwóch, ale młody pokojowiec pośpieszył panu swemu z pomocą, której jednak dać mu nie mógł. Wpadł na zręcznie nastawiony na niego pałasz jednego z napastników i został nim tak przebity wskróś, jak gdyby kopią.

Teraz już Batory został sam jeden wśród szczerego pola z dwoma napastnikami przed sobą. Nawet kolaski jego już nie było — poniosły ją w szalonym biegu skrwawione, zestraszone konie.

Batory był mężnym i silnym, szybko też zajął pozycyą obronną; oparł się plecami o pień starej, wypruchniałej wierzby i tak ciął krzyżową sztuką, że jeden z napastujących, ranny ciężko w szyję, padł mu wkrótce u nóg. Maska spadł mu wtedy z twarzy i książę poznał przybocznego urzędnika swego dworu, Nadany'ego.

— Podły zdrajca...—zawołał i parając raz drugiego przeciwnika, krzyknął: — A ty kto jesteś?... Czy też taki pomiot Judaszowy?

— Poznaj mnie, krwiożercza hyeno — usłyszał odpowiedź, daną mu głosem znajomym i znajome też rysy zabłysły z pod zerwanej szybko maski. — Ja przynajmniej nie twój sługa — wołał głos drżący z nienawiści.

Był to Szilassi, i Batory ryknął z gniewu.— Kłamiesz...— krzyknął—i tyś stał u podnóżka mego tronu...

— Urzędnik mego kraju na dworze jego elekta, ale nie pachołek rozpustnika i zbójcy....

— Biję się z tobą za zamordowanego mego druha i brata ślubnego... za ściętą głowę Baltazara Kornisa, wezmę twoją!

Słowa te trafiły w pierś Batorego, jak jakaś kula stufuntowa. Ramię mu osłabło, wściekłość gniewna, która stawała się zapałem walecznym, opadła nagle, przecież nie dał się owładnąć niemocy. Oddawał ciosy za ciosy; obaj walczący byli wprawni we władanie orężem i bój się przedłużał, aż wreszcie Szilassi upatrzył moment, w którym Batory odsłonił się nieuważnie. Chciał ciąć przeciwnika przez głowę—silnie, mocno, tak, aby rozciąć go na połowę i dał mu możność, przez naprężenie za długie podniesionego w górę ramienia, aby ten pchnął go mieczem w bok...

Cios księcia, spadający w chwili, gdy uczuł w sobie zimne ostrze żelaza, nie dopiął też celu swego zamachu i obciął tylko ucho Szilassi'ego...

Obciął ucho, lecz dosięgnął dalej ramienia i tak je zranił, że Szilassi'emu pociemniało w oczach, zachwiał się i powalił o ziemię.

Batory też padł na jedno kolano. Na mieczu się swoim wsparł, ale długo nie zdołał się utrzymać w tej pozycyi i legł w końcu, padając w ten sposób, że się oparł głową o pień wierzby.

W tej chwili wydostał się z niej jakiś głos, ryk, jakgdyby dzikiego zwierza.

Nie słyszał już tego nikt, bo Batory omdlał padając, podobnie jak i Szilassy, jak i Nadany, który był też ranny ciężko.

Była to chwila zachodu słonecznego, w której rosa zaczyna opadać, a wraz z ustaniem świergotu ptasiego, ziemię ogarnia cisza przedsenna. Trzy martwe ciała ludzkie leżały obok siebie wedle drogi, jakgdyby to byli zmęczeni wędrowce, którzy się układli na nocleg.

Nieco dalej spało tak też dwóch: stary woźnica i pokojowiec księcia.

Tymczasem rozbiegane konie, pędząc szalonym biegiem, wpadły w rogatki i jeden z nich uderzywszy głową w szlaban,

zabił się na miejscu. Gdy strażnicy przyskoczywszy co prędzej, poznali uprzęż księcia, ogarnęła ich trwoga, bo i kolasa była przewrócona na bok kołami i tak wleczona przez oszalałe konie. Strażnicy dali też co prędzej znać o wypadku komendantowi twierdzy, stał się hałas i niepokój; kapitan gwardyi książęcej ruszył co prędzej z oddziałem żołnierzy drogą, którędy książę mógł jechać i wśród zapadającego już mroku spostrzeżono najpierw na drodze ciało zabitych sług księcia.

Wkrótce znaleziono jednego jeszcze trupa — były to martwe zwłoki Batorego.....

Nadany i Szilassi gdzieś zniknęli, znać otrzeźwiła ich chłodna rosa i uszli precz, gdy dzieło ich dokonanem zostało.

Ale zwłoki księcia nie zostały przecież porzucone samotnie, czuwał przy nich jakiś strażnik straszliwy. Wynędzniały jak trup, z oczyma głęboko zapadłemi w jamy czerwone, miał jeszcze świeżą ranę przez twarz—policzek był rozcięty i krew lała się z niego, brocząc mu suknie i ręce.

— Kto jesteś! — krzyknął kapitan, gdy ujrzał tę straszną postać, skułoną obok trupa Batorego.

Lecz w tej chwili odpowiedział sobie sam:—Dimon!...—krzyknął z podziwieniem.

On dźwignął się, o wierzbę rękami się chwytając. — Tak, to ja—rzekł.—Kto mnie woła?

Głos miał chrapliwy, gdy mówił, krew dziurgiem lała się z rany, a oficer poskoczył ku niemu.

— Zbrodniarzu, tyś zamordował księcia—wołał i wyrwał mu z ręki miecz Batorego, na którym się opierał. Z miecza też ciekła krew.

— Potworze niewdzięczny—mówił oficer, patrząc z pogardą i wstrętem na Dimona. — I za jakąż to nagrodę dopuściłeś się mężobójstwa na dawnym twym panu?

Dimon milczał. Był on w tej chwili rzeczywiście potworem. Wynędzniałość jego była straszna, skóra okrywała tylko sterczące kości, przytem umazany był wstrętnie krwią. Oficer patrzył też na niego jak na brzydką gadzinę. — Przyznaj się, żeś ty zabił Batorego—mówił groźnie—przyznaj się, bo inaczej czeka cię tortura....

On się uśmiechnął wzgardliwie straszliwemi, zakrwawio-

nemi usty. Zdawał się mówić gorączkowym wzrokiem zapadłych swych oczu, że wie on już, co to jest tortura, aż wkońcu rzekł z wysiłkiem, aby głos swój uczynić silniejszym:—Tak.... jam zabił Gabryela Batorego, więc teraz zabijcie mnie za to jego mieczem.....

Byłoby się tak może stało, jak żądał, ale jeden z gwardzistów księcia zawołał, że ten człowiek musiał mieć wspólników. Taka nędzna istota nie mogła zadać śmierci trzem ludziom, między któremi znajdował się taki silny i dzielny rycerz, jak książę.

Ale teraz Dimon zaprzeczał. Nie miał żadnych towarzyszy. Chciał być zabitym i, nalegał na to.—Słuchajcie—wołał—ja to, ja zamordowałem księcia. A i ja jestem Batory, tak.... nie patrzcie na mnie dziko.... Batory jestem i zamordowałem Batorego....

Oficer zaczął przypuszczać szaleństwo, ale gdy go miano imać, on ruchem nagłym porwał miecz księcia i pchnął się nim w pierś tak, że skonał na miejscu.

Zabrano obu trupów i poniesiono je na noszach razem. Spoczywały obok siebie — jak bracia, tylko, że Dimon złożony był u nóg księcia.

Czy był on jego mordercą, czy przeciwnie poniósł ranę w policzek, broniąc go od ciosów zabójczych, gdy Szillasi i Nadany ocknęli się z omdlenia i zapewne dobić chcieli ofiarę swoją?

Betlen wstąpiwszy na tron, który został opróżnionym, surowo zabrał się do rozjaśnienia tej zbrodni, której sprawcy nie umieli się ukryć. Nadany i Szillasi głosili z początku swój czyn sami, głosili go tryumfująco, jako akt sprawiedliwości i zemsty nad Batorym, to też nie mogli już potem zaprzeć się, gdy pociągnięci do odpowiedzialności, zostali stawieni przed sejmem, który Betlen, już jako koronowany książę Siedmiogrodu, zwołał w 1614 r. do miasta Medgyes i na którym upomniał się o krew Batorego.

Nie było to z jego strony hipokryzyą. Batory nie był zdolnym władać krajem i usunąć go z tronu było czynem potrzebnym i pożytecznym dla ojczyzny, ale śmierć jego dokonana okrutnie, była niemniej zbrodnią. Zwłaszcza Nadany, który niegdyś służył nieszczęsnemu księciu za narzędzie do czynów

jego samowoli, był człowiekiem nędznym. Popchnęła go przecież do tego ręka skrytej w cieniu zemsty. Narzędziem był tylko, lecz rzeczywistym zabójcą księcia okazała się kobieta!

Dumna, wyniosła małżonka Stefana Kendi, nie mogła nigdy zapomnieć, że lica jej musiały się raz zarumienić wstydem gorącym i poprzysięgła sobie, że ten, który był tego sprawcą, odpokutuje za to. Śmierć Kornisa i niedola łagodnej, słodkiej jego małżonki, która wkrótce po śmierci męża wstąpiła do klasztoru Karmelitek bosych—podniecała jeszcze i podniosła w jej sercu uczucie nienawiści dla Batorego. Za zawstydzenie jednej kobiety uczciwej, za okrycie drugiej żałobą wdowią, powinien był zostać skazanym na gardło i w tajemnicy przed mężem wmieszała się czynnie w zmowy nienawistnych Batoremu magnatów. Szillasi, przyjaciel Kornisa, pomagał jej w tem: on dawał swoją osobę, ona, jak podejrzywano, złoto i znalazł się wspólnik do zbrodni, która przecież nie uszła bezkarnie. Za wzięte życie, musiano płacić życiem i sąd sejmowy skazał obydwóch zabójców Batorego na jednakową karę śmierci przez strącenie z wieży tak wysokiej, że gdy wyrok wykonanym został, członkowie miłosiernego bractwa, które grzebało zbrodniarzy, traconych ręką sprawiedliwości, zebrali z bruku tylko bezkształtną jakąś miazgę rozbitych ciała i potłuczonych kości.

Lecz i Stefanowa Kendi nie uszła przed wymiarem sprawiedliwości. Ludzie się bali tej pięknej, jasnowłosej, modrookiej, jak śnieg lub alabaster białej kobiety, na której czole zdawało się widzieć plamę krwi. Czy i mąż nie wzdrygał się na jej widok—czy mógł kiedy wziąść pocałunek miłosny z jej ust różowych? Żyli na wsi samotnie, zamknięci w domu, odsunięci od świata i bezdzietni!....

Zwłoki Gabryela Batorego przewiezione zostały jeszcze przed wymiarem sprawiedliwości za śmierć jego okrutną, do rodzinnego gniazda, do Ecsedi. Betlen wydał pod tym względem szczegółowe rozkazy i posłał z ramienia swego delegatów, którzy się zajęli tym aktem posługi ostatniej, ze wspaniałością należną księciu i potomkowi starożytnego rodu, który wydał z siebie wielkiego męża i monarchę, w osobie Stefana Batorego, króla polskiego.

Zapewne też z rozkazu Betlena i śmiertelne szczątki Dimona zostały tam przewiezione jednocześnie i do grobu Ba-

torych też spuszczone. Jedna trumna była drogocennie ozdobiona berłem i koroną, jaśniał nad temi godłami wielkości i sławy herb starożytny, okrywała ją purpura z obrzeżeniem gronostajowem. Druga trumna była czarna i prosta, a miała na sobie tylko krzyż srebrny — godło miłosierdzia i odpuszczenia win wszelkiemu grzesznikowi, który odchodząc ze świata poczuł jednak w piersi swojej, choć dla jednej jakiejś istoty ludzkiej czyste i miłosne serca uderzenia.

Uroczystość pogrzebania na cmentarzu w Ecsedi tych dwóch trumien, odbyła się dnia 6 Grudnia 1613 roku. Poczem odwrócono na grobowcu herbową tarczę Batorych w tył, ponieważ nie żył już na ziemi żaden potomek tego rodu.

KONIEC.